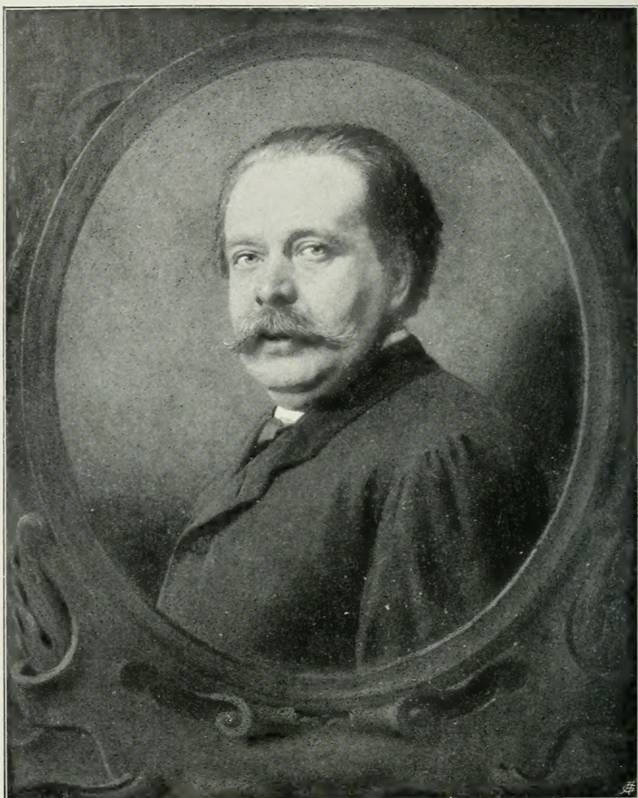
JULIAN KLACZKO

II



JULIAN KLACZKO

w 1881 r.

Z PORTRETU MALOWANEGO PRZEZ HR. A. MNISZCHA W PARYŻU.

(WŁASNOŚĆ HR. WŁADYSŁAWA BRANICKIEGO).

ST. TARNOWSKI

JULIAN KLACZKO

TOM PIERWSZY

W KRAKOWIE, CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU“
1909



NAKŁADEM AUTORA.

PRZEDMOWA.

Stary człowiek zostawia po drodze życia jednego po drugim z tych, co mu byli tej drogi towarzyszami, nieraz przewodnikami. Osamotnienie bolesne. Brak tych, co we wspólności uczuć, myśli, dążeń i starań byli podporą dla umysłu i woli, wskazówką dla sumienia. Na kogo się oglądać, do kogo się udać, na kim się oprzeć, we wszystkich licznych trudnościach i wątpliwościach? Kto mi powie, gdzie w zamęcie zawiłych spraw jest interes polski, i co mam w tem niejasnem położeniu robić, żeby mu nie zaszkodzić, ale służyć i pomódz? W labiryncie splątanych ścieżek i manowców kto mi wskaże, gdzie jest pewna prosta droga honoru, polskiego i chrześciańskiego obowiązku? Skąd wziąć tego światła, które było w niepospolitych rozumach, tego drogoskazu, który był w niepospolitych charakterach? Ludzi wyższych mieć koło siebie przez większą część życia, iść z nimi i za nimi, patrzeć na ich umysłową i moralną wyższość, a przez nią i siebie podnosić, to wielki dar Boży i jedno z wielkich szczęść w życiu. Ale gdy ta pomoc i podpora ubędzie, zostaje uczucie nie żalu i tęsknoty tylko, ale osłabienia, bezradności, niepewności co począć w położeniach i stosunkach, wśród których na schyłku życia przyszło się obracać. Taki przez towarzyszy opuszczony stary samotnik, ma sobie za powinność, i za pociechę,

wspominać i przypominać tych, którzy go odeszli. Zbiera ich pamiątki, rozpamiętuje ich własności, ich życie, chciałby żeby ich pamięć, ich znajomość, została w długie lata. Pamięć i sława ludzi prawdziwie znakomitych nie ginie — utrzyma się sama siłą ich dzieł — ale ich znajomość może się zatrzeć, zniknąć. Dzieła powiedzą że byli znakomici, ale jacy byli, jakie ich usposobienia, temperamenta, jakie upodobania, przyzwyczajenia, opinie, jakie przebyte w życiu koleje, to dzieła pomagają odgadywać, ale tego jasno i wyraźnie poznać nie dają. Do współczesnych, do świadków i towarzyszy szlachetnych żywotów należy, dodać to, czego w dziełach być nie może: zebrać i zostawić dla potomnych wizerunki i dzieje ludzi, o których potomność wiedzieć, których znać powinna. Myśli się i chce się robić ile można to, co Halban Mickiewicza: „Przeżyłem ich, i chcę ich sławę zachować światu". Ten smutek miał, i ten obowiązek spełnił wedle siły i możności swojej, niżej podpisany wiele już razy w swojem długiem życiu. Szujski, Kalinka, Matejko, żeby już wielu innych nie wyliczać, to wszystko znakomici ludzie, których znać dobrze było mu danem, których stracić było mu przeznaczonem. Przychodzi kolej na Klaczkę. Starszy od tamtych, zeszedł ze świata ostatni. Intelligencyą ze wszystkich najświetniejszy, przez pół wieku złączony z całą współczesną sobie historyą Polski i jej cywilizacyą, w swoim czasie pierwszy między pisarzami, pierwszy jako talent pisarza, jako bystrość polityka, jako znawca i sędzia rzeczy literatury i sztuki, przez cały ciąg życia postawiony w stosunkach trudnych a nieraz bardzo bolesnych, znoszący je z godnością i szlachetnością niezrównaną, ojczyźnie służący ze wszystkich sił, miłujący ją, bolejący z nią razem i nad nią z całej duszy, Klaczko jest wielką chwałą narodu, ale i wielkim dla niego przykładem. O nim milczeć, nie starać

się zebrać wszystkiego, co wiedzieć można, nie zrobić nic dla jego dobrze zasłużonej sławy a dla naszej nauki, byłaby niesprawiedliwość i niewdzięczność względem niego, grzeszna niedbałość względem społeczeństwa polskiego.

Zabieram się do tej roboty bez wahania, choć czuję i wiem, że mi do niej wiele braknie, że nie wykonam jej tak jakbym chciał. Ale nie widzę między dziś żyjącymi, a piszącymi, żadnego, któryby Klaczkę był znał tak długo i tak zbliska. Wolałbym, żeby kto inny podjął się tego obowiązku, a spodziewam się, że znajdzie się kiedyś taki, co go spełni lepiej i napisze o Klaczce dzieło, zupełnie godne przedmiotu; ale na dziś sądzę, że mam lepsze od innych warunki do tej pracy. Znajomość prawie półwieczna, razem przebyte złudzenia, nadzieje, zawody, wierna pamięć jego uczuć i myśli od pierwszych wypadków warszawskich z r. 1861 aż do końca XIX wieku i początków nowego, to mnie uprawnia do pisania o Klaczce — pcha do tego cześć i przyjaźń.

Jednak z góry ostrzedz muszę, że ta znajomość długa i bliska, zupełną nie jest. Nigdy, przez te lat blisko pięćdziesiąt, Klaczko nie zwierzył mi się ze swoich osobistych przejść lub uczuć. Nigdy ani jednego słowa o stosunkach rodzinnych, o swojem nawróceniu, o jakiejś miłości, która ile domyślać się mogę, musiała być wielką — i nieszczęśliwą. Są więc w moich o nim wiadomościach ogromne braki. Przecież pomimo tego nie waham się o nim pisać, bo jego życie jako Polaka i jako pisarza znam, a o tem wewnętrznem, o którem on nie mówił mi nic, mam niektóre wskazówki i ważne, w jego listach. Są to listy do księdza Jana Koźmiana z lat 1848 do 1856, własność pani Stanisławowej Koźmianowej i jej córek: listy do Ludwika Kastorego, dziś własność p. Konstantego M. Górskiego; listy do Eustachego Januszkiewicza, własność p. Konstantego Popiela. Te były mi łaskawie udzie-

lone, z pozwoleniem robienia z nich użytku. Dziękuję za to gorąco; dziękuję nie dlatego tylko, że wartość jakakolwiek tej mojej pracy zwiększa się przez tę pomoc niezmiernie, ale dlatego zwłaszcza, że przez nią Polska dzisiejsza, i przyszła, będzie miała lepszą, dokładniejszą znajomość Klaczki, a z lepszą znajomością i większą dla niego cześć.

Wielką zasługę w sprawie lepszej znajomości Klaczki położył p. Ferdynand Hoesick. Nietylko pomimo wszystkich trudności z powodu cenzury, dał poznać jego życie i dzieła w książce *Julian Klaczko,* ale zebrał i wydał dawniejsze, zapomniane, nieznane jego prace polskie, a dawniejsze francuskie dał przełożyć na język polski i wydał. Zadał sobie pracę korespondencyi z uniwersytetem królewieckim i wydobył stamtąd nieznane wiadomości o naukach Klaczki. Jego książka była mi nieraz bardzo pomocną. Autorowi wyrażam należną szczerą wdzięczność.

Swoją pracę zaś puszczam w świat jaka jest: oby się przydała na przechowanie pamięci i sławy Klaczki, na naukę i zbudowanie z jego dzieł i przykładów.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

I. Druga połowa XIX wieku. Przejścia i przewroty w Europie i w Polsce. Ich odbicie w pismach Klaczki. Jego umysł, dusza, talent. Pisma polityczne. Pisma do historyi literatury, sztuki, i cywilizacyi.

II. Wilno. Pierwsze lata. Wiersze. Nagany i pochwały. Uniwersytet w Królewcu. Nauki i profesorowie. Straty majątkowe. Examina doktorskie. Wyjazd do Heidelberga. Współpracownictwo w *Deutsche Zeitung*. Zajście z Zygmuntem Krasińskim. Rok 1848. Klaczko w Wielkopolsce. Stosunek z Janem Koźmianem. Prawdopodobny początek nawrócenia. Zygmunt Krasiński. Pierwsza miłość. *Die deutschen Hegemonen.*

III. Przyjazd do Paryża. Brak znajomości i środków utrzymania. *Tribune des Peuples.* Sądy o katolikach francuskich. Myśl dalszego ciągu *Hegemonów:* zaniechana. Wuj Grünberg; jego propozycye odrzucone. Pojedynek. Miejsce przy Bibliotece. Wypadki w Rzymie. Opuszczenie Biblioteki. Lekcye prywatne. Dalszy ciąg zajścia z Krasińskim.

IV. Zamierzone prace. Pozostałe ich ślady. Słowiańszczyzna. Historya poezyi polskiej XIX wieku. Historya Literatury polskiej. Prace drukowane. Artykuł o *Dantem*. *Lenora* i *Ucieczka.* Przeciw Jenerałowi Zamoyskiemu. Prace w języku francuskim. Pojedynek. Stosunki i przyjaźnie. Rosnąca sława. Śmierć ojca i chrzest.

I.

Druga połowa XIX wieku. Przejścia i przewroty w Europie i w Polsce. Ich odbicie w pismach Klaczki. Jego umysł, dusza, talent. Pisma polityczne. Prace na polu literatury, sztuki, i historyi cywilizacyi.

Rok upłynął od śmierci Juliana Klaczki (26 listopada 1906 r.). Jego imię i życie złączone jest nierozerwalnie z historyą Polski w drugiej połowie XIX wieku. Ukazał się po raz pierwszy, dał się poznać niektórym, w r. 1848, w wielkopolskich ówczesnych wypadkach, a przed śmiercią widział jeszcze zwycięstwa Japonii nad Rosyą, rewolucyę w Rosyi, Polskę niszczoną jej wybuchami, a psutą jej zatrutemi sokami. Pomiędzy temi dwoma datami ile zwrotów i przewrotów w Europie, ile w Polsce! pięknych nadziei zrazu, strasznych zawodów później. Rok 1848, to złudzenie jakiejś powszechnej wolności i sprawiedliwości, krótkotrwałe; rozczarowanie i gorycz nie z przegranej tylko, ze zwycięstwa złych rządów nad ludami, ale rozczarowanie z tych ludów samych, z ich przywódzców i haseł. Hasła wzniosłe, porywające, ludzie i ich czyny i ich cele albo marne i małe, albo złe; pod pięknemi hasłami nieprawda, udawanie i urąganie ich wzniosłości, prawda nienawiści tylko, nienawiści ludzi i warstw społecznych, nienawiści Boga, Jego wiary, Jego prawa i Jego Kościoła. Ale to niepodobna, to być nie może, żeby wolność i sprawiedliwość była tylko złudzeniem, jak o cnocie mówił zrozpaczony Rzymianin, kiedy miecz sobie w pierś zatapiał. Nie: wolność i sprawiedliwość jest prawdą, jest prawem Bożem, musi być i wolą Boga, i musi wziąć górę nad wszelkiem złem. Ta wiara została, a rodziła nadzieję, że sprawie-

dliwość wymierzy się i Polsce, i jej ciemięzcom: ten wiek przed swoim końcem zobaczy jeszcze zwycięstwo dobrego, ukaranie złego — to jego zadanie, jego przeznaczenie w historyi. W tem wielkiem porządkowaniu spraw świata, sprawa Polski miejsce znaleść musi, bo żadna nie ma za sobą więcej prawa, żadna nie jest sprawiedliwszą, żadna tak niecnie zgwałconą. Tak zdawał się mówić instynkt wszystkich narodów, nietylko narodów uciśnionych; we wszystkich szlachetniejsi wyglądali, pożądali, końca tego złego, w jakiem żyć musieli, początku lepszej epoki, lepszego świata. My przed innymi; a ta wiara i nadzieja, którą nas przejmowali nasi poeci, była tak zgodna z prawem Bożem, tak z niego wypływająca i do niego się odwołująca, że mylną być, zawieść nas, chyba nie może!

I czy się nie zaczyna spełniać, czy nie staje się rzeczywistością? A cóż to jest, te połączone francuskie i angielskie floty na morzu Czarnem, te wojska lądujące na jego wybrzeżach, te boje, w których Rosya broni się dzielnie, mężnie, ale zwyciężyć nie może? Jeszcze trochę, a te sztandary i działa i oręże pójdą z wybrzeży dalej, w głąb — i pomszczą, i...

Pokój paryski. Drugi zawód, gorszy, stokroć gorszy, jak ów z r. 1848. Nie będzie pomsty, nie będzie kary, wszystko zostanie jak było — a przyszłość gdzie? kiedy? jaka? Skryła się gdzieś we mgłach — ale zniknąć, przepaść nie mogła. Musi być, i w swoim czasie musi się przebić przez mgły i chmury. Tylko — ona nie spadnie jak dojrzały owoc z drzewa, nie stanie się przez cud. Ona chce i musi być wypracowaną, przygotowaną, w wytrwałym i cierpliwym trudzie; ona nie może być bez poprzedniego wielkiego, ogromnego wyrobienia wszelkich sił moralnych, rozumowych, pieniężnych, wszystkich. Więc wyrabiać te siły, przysparzać ich, ćwiczyć je, i w spokoju, w męzkiem posiadaniu siebie czekać, aż Bóg zbiegiem zdarzeń objawi swoją wolę i powie: „Teraz!“

To zaś pożądanie i oczekiwanie sprawiedliwości, ono nie jest marzeniem, złudą, ono się wciela w czyn, staje się

historycznym faktem. Najpotężniejsze w Europie mocarstwo wysyła swoje wojska za Alpy na wyswobodzenie podbitego narodu z pod obcego panowania, a „sprawa Francyi jest wszędzie, gdzie jest sprawa słuszna i cywilizacyjna"!

W Polsce rozkoszny dreszcz oczekiwania, nadziei, a nieznajomość spraw tego świata, nieznajomość granic możliwości, i niewiadomość, że i tu słowo nie zawsze staje się ciałem, że nie każde hasło jest prawdą, że między ideałem w pojęciach czy chęciach a rzeczywistością w praktyce, w wykonaniu, jest wielka odległość, jest przepaść. Dreszcz się wzmaga, wstrząsa; wypadki warszawskie z lutego i marca 1861 r. wydają się na prawdę ideałem wcielonym w rzeczywistość: nie widzi się zrazu pod niemi przygotowania, niebezpiecznego kierunku i niebezpiecznego zamiaru.

Nie tu miejsce na przypomnienie, kto, kiedy, w czem, i dlaczego zbłądził: błądzili wszyscy, i przyprawili Polskę o klęskę, jakiej od rozbiorów nie była przeszła. Zniszczyć w niej wszystko, aż do jej imienia, aż do ostatniego śladu, ostatniego tchu życia. Wściekła orgia nienawiści tryumfującej, pewnej że nie ma się czego bać: ludzie jej nie przeszkodzą, a Bóg tak dawno i długo pozwala na zbrodnie, że bać się go nie warto. Jeżeli jest, to z mocniejszym trzyma. Tak myślą święta Rosya, i pobożne Prusy.

Tak! Teraz nad Europą tylko Rosya i Prusy; mogą robić co zechcą. A co w tej boleści najgorsze, najstraszniejsze, to, że my Polacy pomogliśmy im do tego panowania nad światem, do tej zagłady nas samych.

Idą dalej na swojej drodze, śmiałe, niepowstrzymane: Rosya pastwi się nad Polską i wyrywa ją z ziemi z korzeniami. Prusy niebawem wyrzucają Austryę z Rzeszy niemieckiej i zostają w niej same. Czy się Europa nie przestraszy o siebie? czy pozwoli na powstanie tej nowej potęgi w samym swoim środku? Nie przestraszy się, pozwoli na wszystko, i wojna francuska oddaje Prusom nietylko Alzacyę i Lotaryngię, ale zdaje całą tę część świata na ich wolę i łaskę.

Dla Polski to wyrok śmierci. Dwie potęgi sprzysięgły się na jej zgubę, i w tem zawsze sobie wierne, zgodne w celu, różne w środkach, wykonują ten wyrok wspólnie wydany. Gdzie ratunek? gdzie punkt oparcia? gdzie i jakie możliwe wyjście albo choć cień możliwości wyjścia? Jaka przyszłość i jakie jej drogi? Nasz od stu lat, od Konfederacyi Barskiej, ideał wybicia się na wolność, w co się obrócił? O powstaniu nie godzi się nam myśleć, bo nie zwycięstwem by się skończyło, ale ostateczną zgubą. A więc wytrzymać w tem co jest, zdać na Pana Boga to co kiedyś być może, a na teraz, na długo, uznać się pobitymi, podległymi? Starać się tylko życie w sobie zatrzymać, a jego warunki po trochu poprawiać? O Boże, na to spaść z wysokości dawnych nadziei, z wysokości dawnych a nieprzedawnionych praw! A i to nawet, na co się przyda? Oparcie w Austryi? Kiedy ona sama oparcia potrzebuje, a nic przedsięwziąć nie chce, nie może. Do zabezpieczenia życia w jednej prowincyi to posłuży; do zabezpieczenia go w narodzie nie może wystarczyć.

Wybić się nie można; w tem przykuciu do Rosyi zostać musimy. A ona? Czy się kiedy zmieni, czy zechce i czy potrafi być inną jak jest? Mickiewicz przewidywał i powiedział, że „on jeden się poprawi i Bóg mu przebaczy“; ale na mistyczne widzenia i zachwyty odpowiada rzeczywistość, dzieje, fakta, że ani myśli, ani chce się poprawić. Tak im dobrze w tym strachu, jakim przejmują drugich! Nie mogą się stać, nie mogą chcieć być innymi jak są. Chyba, gdyby Rosya przeszła przez wielkie nieszczęście, wielkie upokorzenie, może weszłaby w siebie, może zaczęłaby sądzić sama siebie, możeby doszła do opamiętania, do poznania że złem jakie robi, w jakiem żyje, sama siebie wewnątrz osłabia i rozkłada. Tak: to mogłoby kiedyś otworzyć jakieś wrota, jakieś wyjście -- ale kiedy to przyjdzie, czy może przyjść?

Przyszło, i prędzej, i straszniej, niż ktokolwiek mógł przewidzieć, niż najzaciętsza mściwość mogłaby była marzyć: przyszło nieszczęście, przyszło upokorzenie, tak wielkie, że chyba nigdy jeszcze w dziejach świata nie widziane. Wojna,

a w tej wojnie państwo największe na świecie, pobite przez małe, przez lekceważone, pobite tak, że w całej długiej kampanii nie odniosło choćby na żart, choćby w drobnej utarczce, ani najmniejszego zwycięstwa nad tym małym nieprzyjacielem. Zgnilizna przekupstwa, zgnilizna gnuśności i niedbalstwa we wszystkiem co do wojny należy; żołnierz dzielny, a dowództwo liche, floty zmarnowane, armie pobite, twierdze poddane, ziemie stracone, dumne panowanie nad Wschodem i jego morzami upokorzone, próchno i zgnilizna tych rządów i ich zarządu obnażona i pokazana całemu światu w swojej obrzydliwości — większego upokorzenia, większego wstydu, nie było chyba nigdy na świecie.

Na co się przydał? Wywołał chaos mordów i rozbojów w ludzie, chaos liberalnych teoryj w warstwach oświeconych, chaos bezradności w rządzie — wejścia w siebie nie wywołał. Żądz, gróźb, zamachów bez liku, ale w tym wielkim gwarze nie słyszało się pytania: „Coście zrobili z Rosyą? coście zrobiły cesarskie rządy z jej siłą, z jej nieprzebranemi bogactwy, z jej armią i flotą, z jej wojskową sławą, z jej — nie godnością i czcią — ale z jej pychą, na którą dziś miejsca niema?“ Tak nie zapytał, tego rachunku nie zażądał nikt w Rosyi. Gorycz upokorzenia, patryotyczny ból, nie pokazały się, ani nie odezwały. Czy nie czują? czy nadrabiają miną i udają że na nich upokorzenie i wstyd spaść nie może? Jakkolwiek jest, wejścia w siebie nie znać. Odwieczne zepsucie nie może się w paru latach poprawić: ale też dotąd niema oznak zmiany i poprawy.

Na Polsce zaś występują oznaki długoletniego trującego wpływu, oznaki zepsucia. Między ubogimi i ciemnymi rozbójnictwo w rozmiarach, nie widzianych nigdy i nigdzie; między myślącymi i oświeconymi przeczenie Boga, wiary, związków rodzinnych, sumienia, i propaganda takiego *postępu;* deprawacya młodzieży zamożniejszej przez takie nauki, młodzieży uboższej przez socyalizm; zawrót głów i zawrót sumień; między Litwinami jakaś niepojęta, niczem nie wytłómaczona nienawiść Polski. Czy to po rozbiorach rozkład? Nie, bo jest opór, jest obrona; ale że to są oznaki rozkładu,

zakażenia krwi, tego sobie zaprzeczyć, na to oczów zamykać nie możemy.

Oto, na czem się kończy pół wieku naszych porozbiorowych dziejów; oto, co przeżyli ci, którzy byli młodzi w połowie XIX wieku, a starzy przy jego końcu.

Między tymi był jeden, wyższy nad innych siłą myślenia i siłą czucia. Umysł najrozleglejszy, jaki się u nas widziało w tym okresie czasu, obejmujący zarówno rzeczy polityki i historyi, jak kwestye nauki i sztuki, w jednych jak w drugich bystry i przenikliwy, zdolny przejrzeć na wskróś i zgłębić, osądzić, fakt czy dzieło, z jego naturą, z jego powodami i skutkami; intelligencya tak świetna, tak wielostronna, jak w ogóle nie zdarza się często w naszym świecie. Dusza, gorąca w miłości, gorąca w oburzeniu i pogardzie wszystkiego co złe lub niskie, a wrażliwa bardzo, przez tę wrażliwość potęgująca każde uczucie, każdy ból, każdy zawód; może byłaby zdolna taksamo potęgować radość, uniesienie, szczęście, ale tych w życiu tego człowieka chyba nie było. Zdolność myślenia i zdolność czucia miały sługę niezrównanie dzielną i wierną w zdolności pisania. Dar wypowiedzenia tego co myślał i czuł w największej mocy słowa, miał w stopniu, jakiego nie powstydziłby się nawet wielki poeta: jaki prozaik, choćby bardzo wielki, miewa nader rzadko. We wszystkich wiekach i językach nieliczni są pisarze tak świetni: w tym XIX wieku stał w pierwszym rzędzie między najświetniejszymi, nie u nas w Polsce tylko, ale w całej Europie.

Ta myśl, to uczucie, i ten wyjątkowy talent pisarski szły krok w krok ze sprawą Polski, przez wszystkie jej przejścia i zmiany, przez lat z górą trzydzieści. Pierwszy raz odezwał się ten głos po r. 1848, kiedy Sejm frankfurcki uchwalał wcielenie Wielkopolski do Rzeszy niemieckiej. Potem za drugiego Cesarstwa we Francyi, po wojnie krymskiej i pokoju paryskim, po wojnie włoskiej i obudzonych przez nią złudzeniach. przez lat cztery upominania do rozumów i przekonań, błagania i zaklęcia do miłości ojczyzny, żeby się nie unosić, ale się posiadać, i w posiadaniu siebie siły

wyrabiać, czekać. To *Wiadomości Polskie.* Nie zdały się na nic, jak przed wiekami nie zdały się na nic nawet prorocze groźby Skargi. Klęska, pogrom, nieledwie pogrzeb Polski, a tryumf jej nieprzyjaciół, rozkoszny i nieubłagany. Co można zrobić, co pomódz, co poradzić? Nic. Ale jedno można, to przejrzeć i odsłonić przed światem naturę tych tryumfów, wykryć ich drogi, wskazać ich skutki. Może się przyda na przestrogę, na naukę, że poświęcenie słabych prowadzi czasem za sobą osłabienie mocnych: a jeżeli się na nic więcej nie przyda, to przynajmniej zostanie świadectwo, pomnik. Niech potomność, niech historya wie, jak to było i niech się potomność uczy na tych przykładach. To *Studya dyplomatyczne,* to *Przygotowania do Sadowy,* to polityczna mądrość, aż straszna w swojej bystrości i jasności, to sumienie, niemylne i nieubłagane w swojej sprawiedliwości i prawdzie. I to nie zdało się na nic. Wojna francuska, a po niej już żadnej tamy, żadnego hamulca, żadnej rady: panowanie Prus nad tą częścią świata zostaje faktem, na czas jak długi, to tylko Bóg jeden wie.

Wtedy już tylko jeden głos, ostatni, w sprawach politycznych Polski i Europy — mowa w Sejmie lwowskim, mowa w delegacyach austryackich, a zresztą milczenie. Pisać? Po co? Wskazywać błędy, które się już naprawić nie dadzą? urągać zwyciężonym i nieszczęśliwym? Czy rozpaczać i rozpaczą odbierać ludziom odwagę do życia? Czy wmawiać w nich pociechę i nadzieję, kiedy jej dojrzeć nie można? Jedno bez celu i pożytku, drugie szkodliwe. Więc cóż mówić, co pisać? Nic. Milczeć. Od pogromu Francyi Klaczko wystąpił jeszcze z całym popędem i zapałem, kiedy po wojnie Rosyi z Turcyą chciał pokazać w *Dwóch kanclerzach,* jak Bismarck wyprowadził w pole rosyjskiego kanclerza i Rosyę. *Les évolutions du Problème Oriental* (r. 1878), rzut oka na historyę kwestyi wschodniej, od wojen Persów i Greków do wojny Rosyi z Turcyą, to ostatnie jego prace politycznej treści.

Ale ta rola pisarza politycznego, to dopiero jedna strona, dopiero połowa jego zawodu. Jest druga, krytyczna,

literacka, cywilizacyjna. Ten umysł szczególny obejmował i przenikał zarówno sprawy polityczne, jak kwestye sztuki i literatury. W pierwszej młodości, w latach nauki, widział zapewne przed sobą zawód uczonego; pochłonął i zgłębił ogromny zasób wiedzy, ogromną ilość dzieł najznakomitszych — historycznych głównie i krytycznych. Filozofia czysta zostawiała go raczej obojętnym: ale cała literatura świata od Greków po dzień dzisiejszy, ale wszystko, co o niej było mądrze pisanem, ale historya sztuki, to go nęci, to jego przedmiot, to jego zapał, to jego passya. Ma zmysł krytyczny najostrzejszy, najsubtelniejszy jak być może — ma zmysł podziwu, zachwytu, uniesienia, najgorętszy ale i najtrafniejszy. Nikt jaśniej i pewniej od niego nie dojrzy i nie wskaże, co w dziele którem słabe czy złe i dlaczego złe; nikt nie zachwyci się jak on, nikt tak nie rozkocha się w tem co wielkie i piękne, i nikt lepiej od niego nie wytłómaczy, nie da zrozumieć tych piękności. Ten rodzaj prac ma długo za swoje właściwe pole: zagłębia się w Dantem i w Homerze, w Szekspirze i w poetach polskich, sposobi się do pisania o nich wszystkich, myśli że im poświęci osobne książki, dzieła. Z tych nabytych wiadomości, z tych od dzieciństwa odebranych wrażeń, składają się w jego umyśle nieprzebrane pokłady znajomości, wiedzy, sądów. Ich opiłki, ich zdawkowa moneta niejako, to rozprawy i artykuły literackie, w polskim i francuskim języku, z pierwszych lat jego pobytu w Paryżu. Niektóre już wspaniałe, wszystkie, rzec można, świetne. Ale nastaje potrzeba pisania o rzeczach polskich, dla Polaków, poczyna się wydawnictwo *Wiadomości Polskich*, a w nich jak na politycznem, tak na tem krytycznem polu, rozum, talent i styl Klaczki jaśnieją dopiero całym swoim blaskiem. Koroną tych lat i prac, i ich zakończeniem, jest *Poeta Bezimienny*. Napisany po francusku, bo chodziło o to, by Francuzom dać wyobrażenie o polskiej poezyi i o Krasińskim, jest podstawą wszystkiego, co się odtąd o nim pisało, jest jego pierwszem zupełnem a dotąd nieprzewyższonem wytłómaczeniem.

Zaraz potem rok 1863: nie czas myśleć o poezyi, o sztuce. Klęski i boleści spadają jak grad. Dużo lat przeszło, zanim człowiek mógł oderwać myśl od tych cierpień. Ale kiedy ochłonął trochę, zaczęły pomału dobywać się na wierzch dawne marzenia czy zamiary, dawne umiłowane przedmioty rozmyślań i badań. W r. 1879 wyszły *Wieczory Florenckie (Causeries Florentines)*, czyli studya o Dantem. I znowu długie lata milczenia, nie próżnowania, w ciągu których składa się zwolna plan wielkiego dzieła. *Papiestwo i Odrodzenie:* wielkości i winy tej epoki, którą sztuka i cywilizacya dotąd nazywa Wiekiem Złotym. Na początek pójdzie Juliusz II na tle historycznych wypadków, w otoczeniu mistrzów i geniuszów sztuki, z wielkiemi dumnemi planami w głowie, z siłą wielką, ale siłą świeckiego człowieka, w duszy. Drugi tom, to będzie Leon X, dalszy ciąg tego samego Odrodzenia i tego samego Papiestwa, tylko już miększy, już pierwiastków siły i wielkości mniej. Tom trzeci, zakończenie, to będzie Klemens VII i zdobycie Rzymu przez hiszpańskie żołdactwo, *Sacco di Roma*, jako kara za ześwieczczenie papiestwa. Taki był plan: dojrzewał i wykonywał się przez lata. Wreszcie wyszedł z pod prasy *Juliusz II*, w r. 1898, ale wyszedł właśnie kiedy Klaczko od kilku dni był już złożony tą chorobą, z której więcej nie powstał. *Leon X*, jak on mówił, był prawie skończony, prawie gotowy, ale go spalił. Istotnie po jego śmierci nie znalazło się ani śladu.

Potem już ośm lat choroby. Ciało bezwładne, umysł i serce żyjące, zdolne zawsze czuć i cierpieć — i koniec.

Oto w streszczeniu zarys życia i dzieł Klaczki. Teraz trzeba ten zarys wypełnić.

II.

Wilno. Pierwsze lata. Wiersze. Nagany i pochwały. Uniwersytet w Królewcu. Nauki i profesorowie. Straty majątkowe. Egzamina doktorskie. Wyjazd do Heidelberga. Współpracownictwo w *Deutsche Zeitung*. Zajście z Zygmuntem Krasińskim. Rok 1848. Klaczko w Wielkopolsce. Stosunek z Janem Koźmianem. Prawdopodobny początek nawrócenia. *Die deutschen Hegemonem.*

Urodził się Klaczko w Wilnie, 6 listopada 1825 r., z rodziców Żydów. Ojciec był kupcem (sukna, jeżeli dobrze wiemy), dom, przy ulicy Niemieckiej, był dostatni. Urządzenie jego wygodne i staranne; syn uczył się w domu, znać, że rodzice mogli łożyć na jego wychowanie. Miał lat trzynaście, kiedy zrobiło się głośno około jego imienia. Napisał i wydrukował wiersz do matki, na rocznicę swego urodzenia; tytuł: *Pierwsza ofiara.* Jedni podziwiali przedwczesny niezwykły talent, unosili się nad cudownem dzieckiem, inni nie chcieli wierzyć, iżby w tym wieku można tak dobrze pisać. Chłopczyna stał się sławnym w Wilnie, a nawet daleko po za Wilnem, skoro Witwicki donosi Bohdanowi Zaleskiemu o tym nowym poecie (w r. 1841). Sława drogo okupiona, rychło zaprawiona goryczą. Skimborowicz, redaktor *Gazety Porannej* w Warszawie, zganił ów wiersz niemiłosiernie i niesłusznie. Młody autor miał wprawdzie satysfakcyę: wziął go w obronę X. Jucewicz w *Tygodniku Petersburskim*, X. Moszyński w *Bibliologii Wileńskiej;* ta obrona przedostała się do *Kuryera Warszawskiego*, do *Przyjaciela Ludu* w Lesznie, do *Rozmaitości* lwowskich. Ale choć bardzo pochwalne, z wielką sympatyą pisane, artykuły te nie pocieszyły biednego chłopca. Głęboko utkwiła mu w sercu krytyka — i zrodziła gorycz. Znać miłość własna musiała w nim być bar-

dzo silna, bo w wierszu *Pożegnanie* bierze rozbrat z poezyą, którą miłuje i wielbi, a musi się jej wyrzec, złożyć lutnię i wieniec o którym marzył, a w którym znalazł tylko ciernie. Jednak pomimo pożegnania nie rozstaje się z poezyą. Jest wiersz na śmierć siostry, jest kilka sonetów wydanych przez X. Jucewicza w czasopiśmie *Linksmine,* jest w planie większy poemat *Powódź,* i jest *Izraelita na gruzach Palestyny,* pisany i drukowany w r. 1841. Młody Izraelita wspomina dawną świetność, marzyłby o jej odżyciu, ale w nic nie wierzy i w tem rozpaczliwem rozmyślaniu umiera.

Jakie są te wiersze? Zadziwiające istotnie na trzynasto- i pietnastoletniego chłopca. Na Mickiewiczu wyrobione, nie bez zwrotów silnych i jędrnych (nie bez słabszych także), nie pozwalają zaprzeczyć, iżby w autorze nie było talentu. Ale jaki jego stopień? Klaczko, już w ostatniej chorobie, mówił, że gdyby kiedy robiło się wydanie jego dzieł, żeby broń Boże nie drukować wierszy, że tego stanowczo zabrania. Widocznie uważał je za niegodne siebie. Miał zapewne słuszność. W porównaniu z jego prozą wiersze wydają się raczej zwykłe, takie jak nie jeden inny mógł napisać. Może było z nim tak jak z księdzem Kajsiewiczem, który się miał za poetę kiedy wydawał swoje Sonety, a stworzony był na wielkiego mowcę, wielkiego pisarza. Klaczko podobnie: w prozie nie miał w tym wieku wyższych od siebie, w poezyi byłby został w drugim lub trzecim rzędzie, w szeregu, między wieloma innymi. Musiał to sam czuć chyba, skoro po pietnastym roku życia nigdy już wierszy nie pisał.

Młody poeta, młody Żydek poeta polski, był przedmiotem ciekawości; nie jeden chciał go widzieć i słyszeć. X. Jucewicz opisuje go jako chłopca drobnego, delikatnych rysów, ładnego, w oczach wiele wyrazu. Czytał swoje wiersze chętnie, ale skromnie, bez zarozumiałości. O literaturze polskiej i obcej, wiedział dziwnie wiele, a z gorącym zapałem mówił o wyższości poezyi polskiej nad francuską [1]). Mówi po polsku dobrze,

---

[1]) Ustępy z tych wierszy, jak i wiadomości o Klaczce zapisane przez tych, co go w tych latach widzieli, w F. Hoesicka *Julian Klaczko. Rys życia i prac.*

poprawnie, bez akcentu. X. Moszyński, rektor Pijarów w Lubieszowie, unosi się nad małym Klaczką jak nad fenomenalnem zjawiskiem. Biskup Krasiński mówi w swoich *Wspomnieniach*, że rozmawiał z tym chłopczykiem o literaturze, i słyszał od niego sądy tak bystre, tak wytrawne, że na dojrzałego byłyby jeszcze bardzo dobre. Przypuszcza, że gdyby nie złośliwa krytyka Skimborowicza, która go zmroziła, młody Klaczko byłby się rozwinął na wielkiego poetę. Jeden szczegół ciekawy, a dowodzący niemałej ufności w siebie. W rozmowie Klaczko zarzucał Kraszewskiemu, że w *Witolorandzie* nie umiał skorzystać z pięknego materyału, jaki tkwi w litewskiej historyi i mitologii. X. Krasiński przyznawał, że Kraszewski tego nie zrobił, ale pytał, kto potrafi, kto zrobi? „Ja!“ — odpowiedział Klaczko. Widocznie nie był się jeszcze zupełnie wyrzekł poezyi [1]).

Mając lat siedmnaście, w r. 1842, wyjechał na uniwersytet do Królewca. Wyjeżdżał jako młodzieniec nad wiek rozwinięty, o wyjątkowej zdolności, o wielkiem zamiłowaniu nauki, a widział przed sobą prawdopodobnie przyszłość uczonego; wyjeżdżał po to, żeby się kształcić, uczyć. Czego się uczył? Po jego śmierci znalazły się dwa stare indexy, dość podarte i wytarte, ale można z nich wyczytać wykłady i profesorów. Pierwsze półrocze: „Von Michaëli 1842 bis Ostern 1843“, ostatnie: „Von Michaëli 1846 bis Ostern 1847“. Wykłady, to przez wszystkie półrocza nieodmiennie historyczne Schuberta (z różnych epok) i jego historyczne seminaryum. Literatura starożytna Lobecka zawsze, bez przerwy. Wykłady historyczne Drumanna i Voigta, często, ale nie zawsze. Filozofia Rosenkrantza w trzech półroczach. Historya sztuki (różne okresy) Hagena w dwóch. Literatura niemiecka tylko w jednem. Na końcu każdego półrocza każdy z tych profeso-

[1]) Po wielu latach, kiedy wygnany Biskup wileński osiadł w Krakowie, piszącemu te słowa było danem zaprowadzić do niego Klaczkę i widzieć, jak się serdecznie witali, jak rzewnie wspominali swoje wileńskie czasy i swoją ówczesną znajomość. Płakali oba, a Klaczko, zawsze łatwy do płaczu, rozszlochał się jak dziecko.

rów świadczy w *Uwagach*, że pilność była *vorzüglich*, albo *ausgezeichnet*, albo *rühmlichst*, a *Antheil* w seminaryach *thätig und ergiebigst*. Po skończonych czterech latach pisze w tych *Uwagach* Hagen jako dziekan co następuje: „Der Fleiss des Herrn Studierenden Klaczko, im Besuch der Vorlesungen und in seinem Privatstudium, ist bekannt. Ausserdem hat auch Herr Professor Schubert, von dem der Besuch des historischen Seminars wegen seiner Reise noch nicht besstättigt wurde, vor seiner Abreise dem Herrn Klaczko das günstigste Zeugniss ertheilt".

Przez te cztery lata, spędzone w Królewcu, ze stałem postanowieniem uczenia się, z gorącym zapałem i pragnieniem nauki, młodzieniec niezwykle zdolny wyszedł na prawdziwie uczonego. Profesorowie zaświadczają jego rzadką pilność, ale oprócz wykładów i seminaryów, ile on musiał uczyć się sam, ile czytać! Z zamiłowaniem namiętnem, a z pojęciem niezmiernie szybkiem i bystrem, musiał czytać bez miary. Co? domyślać się można, że to, co w ówczesnych Niemczech uchodziło za najznakomitsze na polu historyi, krytyki literackiej, i historyi sztuki. Znajomość dziejów, znajomość literatur, znajomość Homera i Greków, Szekspira i poetów ery chrześciańskiej, z pewnością w tych latach złożyła w jego umyśle ten zasób wiedzy i sądu, który podziwiamy w jego pismach. Ale coby był czytał ze szczególnem upodobaniem, który z pisarzy byłby mu imponował więcej nad innych? nie umiem powiedzieć. Nazwisko Grimma słyszałem wiele razy wspominane ze szczególnem uszanowaniem. O jego niesłychanej pamięci opowiadają się rzeczy, którym doprawdy wierzyć jest trudno. Że umiał na pamięć całą *Iliadę*, to bardzo dziwne, jednak jeszcze możliwe; ale całą Biblię, w tekscie hebrajskim? To już chyba legenda, to zdaje się przechodzić możliwe granice ludzkiej pamięci. Że po hebrajsku umiał i czytał, to chyba zupełnie pewne. Tę naukę mógł pobierać już w domu ojca, a między jego książkami była Biblia, hebrajska, z różnemi na marginesach dopisanemi adnotacyami.

Czy na wakacye jeździł do rodziców do Wilna? O tem niema żadnego śladu. Jest za to ślad, że tych rodziców, a przez to jego, dotknęło nieszczęście, niepowodzenie majątkowe. P. Hoesick mieści je w r. 1846, ale powodów i rozmiarów jego nie podaje, ani on, ani nikt inny. Dom, za jego dzieciństwa zamożny, podupadł tak, że ojciec nie mógł synowi posyłać na utrzymanie, a syn ostatni rok uniwersytetu przebył w biedzie. Prof. Schubert, zdając sprawę wydziałowi filozoficznemu z podania Klaczki o dopuszczenie do egzaminów doktorskich, pisze co następuje: „In den ersten Jahren besass er die Mittel zu den Studien, seit einem Jahre ist sein Vater verarmt, und auf die kümmerlichste Weise hat er sich behelfen müssen, um seine Studien rastlos fortsetzen zu können. Ich bitte angelegentlichst für ihn um die Erlassung der Promotionsgebühren“ [1]).

Ale w tem samem sprawozdaniu jest coś więcej. Student Klaczko miał do r. 1846 paszport. Teraz nie może go odnowić. Władzom uniwersyteckim udało się zatrzymać go dotąd w Królewcu, ale teraz musi on spiesznie (*eilig*) wyjeżdżać. Jakie powody, dlaczego nie może odnowić paszportu? dlaczego musi wyjeżdżać, i to spiesznie? Czy go policya rosyjska reklamuje z powodu tego braku paszportu, a pruska gotowa go wydać, od czego ją dotąd prośby profesorów wstrzymały? Takby się zdawało, tak się można domyślać, ale bliższego wytłómaczenia, zatem i pewności, znaleść nie można. W skutku wszakże tego koniecznego pośpiechu, prosi prof. Schubert, żeby wydział filozoficzny naznaczył promocyę doktorską na dzień 27 marca 1847 r., a ponieważ kandydat nie miał czasu wykończyć zamierzonej rozprawy inauguracyjnej, żeby za taką przyjęta była jego praca seminaryjna: *De Rebus Franco-Gallicis saeculi XV.* Na tem sprawozdaniu następujący dopisek: „Herr Klaczko ist auch mir als einer der ausgezeichnetsten unter den hiesigen Studierenden bekannt, und ich kann Herrn Geheimrath Schubert für diese Verwen-

---

[1]) F. Hoesick: *Julian Klaczko,* str. 38.

dung nur danken: Drumann — Voigt — Lobeck — Lehrs — Rosenkrantz".

Trzeba przyznać, że ci profesorowie postępują pięknie względem kandydata. Nietylko zaś uwolnili go od głównych kosztów doktoratu, ale uboczne, dodatkowe pokryli, zrzekając się kwoty, jaka na każdego z nich za ten egzamin przypaść miała.

Promocya odbyła się istotnie 27 marca 1847 r.

W pięćdziesiąt lat później, kiedy sam może o tej dacie nie myślał, odebrał Klaczko z uniwersytetu królewieckiego drugi honorowy dyplom doktorski, na jubileusz pierwszego. Znowu znak pewny a piękny pamięci, jaką ten uczeń w swoim uniwersytecie zostawił, i czci, jaką w nim późniejszemi swojemi dziełami zdobył.

Wyjeżdżał więc nie taki, jak przyjechał. Wyjeżdżał zubożały, biedny, prawdopodobnie zbolały tym przeciwnym losem, dla rodziców więcej niż dla siebie. Ale wyjeżdżał zbogacony na wiedzy, uznany przez tych którzy go poznali za znakomitego nauką i talentem — niewątpliwie ufny w siebie, pewien swojej siły i pragnący ćwiczyć ją, rozwijać, zdobywać jej coraz więcej. Chce się uczyć dalej, chce się wzbić wyżej ze stopnia na którym stanął.

Ale prócz tego, czy nie zaszła w nim jeszcze jaka zmiana? Domysł to, a nawet raczej tylko pytanie, ale pytanie, czy nie tu w Królewcu począł się w jego duszy ten zwrot, który się skończył chrztem? Młodzieniec, tak wyjątkowo rozumny, a przytem wyjątkowo szlachetny także, musiał w tych latach rozkwitu obracać w głowie kwestye i zagadnienia nie naukowe tylko, ale kwestye życia, kwestye sumienia i duszy. Musiał rozmyślać o człowieku — i o Bogu. Co jest prawdą o jednym, i o drugim? Gdzie ta prawda? Czy w judaizmie, jak go w domu uczono, czy może...? Co musi cierpieć, jak musi wątpić, jak musi z sobą walczyć człowiek, co raz postawił sobie to pytanie, to tylko taki mógłby powiedzieć, kto sam tego doświadczył. Ale pytanie to, kiedy raz się zjawiło, raz stanęło, już zniknąć i zapomnieć się nie daje. Człowiek z natury szlachetny, człowiek

szczery w uczuciu i sumieniu, człowiek miłujący prawdę we wszystkiem, nie może być obojętnym na prawdę religijną, musi jej pragnąć, musi jej szukać. Dwoma laty później znajdą się w listach Klaczki słowa, wskazujące, że on te walki przebywał, jeżeli ich jeszcze stanowczo nie przebył i nie rozstrzygnął. W najtajniejsze tajemnice jego duszy, których sam nigdy nie odsłonił, nie mam może prawa się wdawać. Ale znając, jak znamy wszyscy, fakt jego nawrócenia, przypuszczam, domyślam się, że proces tego nawrócenia rozpoczął się w Królewcu.

Pojechał do Heidelberga, nęcony oczywiście sławą Gervinusa, a niewątpliwie opatrzony w listy polecające, gorąco polecające, od królewieckich profesorów. Bez takich, czy Gervinus byłby przypuścił obcego, zupełnie nieznanego młodzieńca do współpracownictwa w wydawanej przez siebie *Deutsche Zeitung*? Zapewne nie. Współpracownictwo to zaś zaczęło się zaraz od powstania gazety, od lipca 1847 r., aż do wyjazdu Klaczki w r. 1848. Artykuły nie były podpisane, ale były łatwe do poznania po stylu Klaczki i po treści, bo jak on sam mówił, nikt prócz niego o Polsce i o Rosyi w *Deutsche Zeitung* nie pisał. P. F. Hoesick zadał sobie pracę wyszukania tych artykułów i podaje ich spis [1]). Nie znając ich, poprzestaję na przytoczeniu z książki p. Hoesicka całego tego ustępu.

„Pisane pod ogólną rubryką, zatytułowaną: *Russland und Polen*, były to przeważnie wiadomości polityczne o stosunkach polsko-rosyjskich, stosunkach smutnych, a o których Europa wiedziała za mało. Klaczko, podejmując się prowadzenia tej rubryki, postanowił informować świat cywilizowany europejski, co się dzieje w Polsce i na Litwie pod panowaniem Mikołaja I. Że z podobnego zadania, w niczem nie krępowany przez Gervinusa, wywiązywał się znakomicie, że jego artykuły — rzadko kiedy dłuższe ponad sto wierszy — prawdziwie po juwenalowsku malowały dolę narodu pol-

---

[1]) F. Hoesick: *Julian Klaczko*, str. 40 — 46.

skiego pod jarzmem caratu, nadmieniać zbyteczna. Przejęty poezyą Mickiewicza, a zwłaszcza Trzecią Częścią *Dziadów* i „ustępem“ o *Petersburgu*, młody publicysta polski, gdy mu przyszło na szpaltach niemieckiego czasopisma „walczyć za prawa i interesy swego narodu“, nie uciekał się do dyplomatycznych obsłonek, ale nazywał rzeczy po imieniu, broniąc pokrzywdzonych i ciemiężonych, piętnując krzywdzących i ciemiężycieli. Z artykułów tych, pomieszczanych w rubryce *Russland und Polen*, należy wymienić następujące: *Krankheit des Zaren, Die Apfelsine, Fürst Dolgoruki, Verbot des Panslavismus in Russland, Dembowski, Russische Gnade, Der Panslavismus und Rzewuski, Ustrialoff, Ein grosser kaukasischer Feldzug steht bevor, Bauernaufstand in Witebsk, Neue Untersuchungen, Plünderungen in Litthauen, Sekten in der russischen Kirche, Die russische Westbahn und die preussische Ostbahn, Ueber die Abdankungs- und andere Gerüchte, Neue Schrift von Libelt, Wünsche und Hoffnungen, Das neue Strafgesetzbuch, Jünglinge in die Militäranstalten weggeführt, Linde, Entschiedenes Unglück der russischen Sprache, Gnade und Ungnade, Die Brennereien, Die militärpflichtigen Künstler, Zehn Polen die Rückkehr ins Vaterland gestattet, Die Erlasse des Kalischer Bischofs, Degradirungen, Anwesenheit des Kaisers und russischer Grossen (in Warschau), Geschenk an den Fürsten Statthalter, Feuerbrunst in Simbirsk, Beschuldigungen gegen Polen, Weitere Kundthuungen des Kalischer Bischofs, Die Krakauer Gefangenen, Russifizirung, Polenverfolgung in Kostroma, Eine Flugsschrift der Centralisation, Russische Ansicht von wissenschaftlicher Bildung, Ein Possenspiel, Einfluss der jetzigen Bewegung auf die russische Regierung, Journalistischer Tagesbefehl über die Pariser Revolution, Emissäre.* Prócz pomienionych artykułów i wielu innych drobniejszych, ujętych ogólną rubryką polityczną *Russland und Polen*, pomieszczał Klaczko w *Deutsche Zeitung* cały szereg obszerniejszych prac literacko-politycznych o stosunkach polsko-rosyjskich lub polsko-emigracyjnych. Do takich należały n. p. wstępne uwagi od redakcyi — *Einleitende Bemerkungen* —

poprzedzające szereg korespondencyj z Berlina, zdających sprawę ze słynnego procesu więźniów politycznych polskich z Mierosławskim na czele, korespondencyj, które pod ogólnym tytułem *Der Polenprocess*, przez pewien okres czasu, mianowicie przez cały czas trwania tego sensacyjnego procesu, wysuwane były w *Deutsche Zeitung* na czoło numeru. Nadto drukowało pismo Gervinusa w ciągu 1848 r. kilka zasadniczych artykułów w kwestyi polskiej, jak n. p. artykuł p. t. *Die polnische Frage*, wywołany znanym listem margrabiego Wielopolskiego: *Lettre d'un gentilhomme polonais sur les massacres de Galicie adressée au Prince de Metternich*. W dodatku do *Deutsche Zeitung* do Nr. 178 z dnia 25 grudnia 1847 r. pojawił się obszerniejszy artykuł p. t. *Aktenstücke über Polen*, informujący czytelników niemieckich z zawartością wydanych wtedy w Paryżu dokumentów z archiwum W. Ks. Konstantego p. t. *Le Grand-Duc Constantin à Varsovie pendant le Congrès de Vienne; cinq pièces officielles, jusqu'à présent inédites, publiées par un membre de la dernière Diète polonaise*. Artykuł ten pozostaje w ścisłym związku z innym, z którego czytelnicy *Deutsche Zeitung* zapoznali się z treścią książki Turgeniewa: *La Russie et les Russes*. Ale najpoważniejszą i najobszerniejszą ze wszystkich prac o Polsce, drukowanych w *Deutsche Zeitung*, była monografia historyczno-polityczna, ukazująca się pojedynczemi rozdziałami w ciągu całego drugiego półrocza 1847 r., zatytułowana: *Die polnische Verschwörung*. W monografii tej, znakomicie napisanej, zawiera się cała historya polska od r. 1815 aż do r. 1847, a więc historya Królestwa Kongresowego, rewolucyi listopadowej, a wreszcie emigracyi. Pierwszy z tej seryi artykułów, t. j. pierwszy rozdział monografii o „sprzysiężeniu polskiem", wydrukowany 18 sierpnia, nosił tytuł: *Das Konstitutionelle Königreich Polen und die Revolution von 1831*. Rozdział drugi i trzeci, wydrukowany w Nr. 55 i 56 z dnia 24 i 25 sierpnia, nosi tytuł: *Die polnische Emigration und die Demokratische Geselschaft*. Dnia 16 września ukazał się rozdział czwarty p. t. *Die Demokratische Gesellschaft*, z dokończeniem w numerze nastę-

pnym. Z kolei w numerach z dnia 1, 2 i 3 listopada, tudzież w numerach z dnia 2, 4 i 5 grudnia, wyszedł rozdział piąty rzeczonej pracy p. t. *Erste Phase der Demokratie: Die Propaganda.* Studyum to, ciągle p. t. *Die polnische Verschwörung*, wychodziło jeszcze w styczniu i w lutym 1848 r., w styczniu w Nr. 14, 15, 16 i 18 p. t. *Die Gemässigten in Polen*, w lutym zaś w Nr. 54, 55, 57, 58 i 59, jako *Zweite Phase der Demokratie: Die Verschwörung.* Wszystkie te prace — jak to dziś stwierdza sam Klaczko — były jego pióra, bo prócz niego nikt w *Deutsche Zeitung* nie pisywał o sprawach polskich. Nadmienić wypada, iż w niektórych z pomienionych prac, a zwłaszcza w artykułach o sprzysiężeniu polskiem, występuje Klaczko nietylko jako wielbiciel Mochnackiego i demokratów emigracyjnych, ale i jako czciciel Mierosławskiego. Dziwić się temu trudno. Wtedy Mierosławski naprawdę zdawał się być otoczonym aureolą bohaterstwa. Niepodobna wymagać od dwudziestodwuletniego Klaczki, żeby już wtedy z krytycyzmem *Katechizmu nierycerskiego* sądził działalność Mierosławskiego. A zresztą inną była rola Mierosławskiego w r. 1848, a inną w dziesięć lat później!“...

Z tego pobytu w Heidelbergu jeden szczegół, dość zajmujący. Zygmunt Krasiński bawił w Baden-Baden; nic prostszego, jak że młody Klaczko pragnął i ciekawy był go poznać. Napisał tedy list, w którym wyraził to swoje pragnienie, pytał czy może do Badenu przyjechać, a uprzedzał z góry, że jest Żydem. Krasiński, ze swoim do przesady posuniętym zwyczajem ukrywania się, a dopieroż wobec człowieka o którym pierwszy raz w życiu słyszał, odpisał, że to pomyłka, że jest chyba wzięty za kogo innego, bo nigdy żadnych wierszy nie pisał. Co się zaś tycze Żydów, to ma ich za plemię najbardziej arystokratyczne na świecie, plemię, które wydało proroków i bohaterów, jak Machabeusze. Odmowę tę wziął Klaczko głęboko do serca, był nią urażony, a jakie jej dalsze skutki i dalsze z Krasińskim stosunki, to się w swoim czasie, niebawem, pokaże.

Rok 1848! Rewolucya w Paryżu, w Wiedniu, rewolucya w Berlinie. „Witaj jutrzenko swobody, za tobą zbawienia słońce!“ Będzie koniec wszystkim niegodziwościom, początek wo'ności, sprawiedliwości, lepszego, boskiego porządku rzeczy. Tak marzy wielka część Europy, tak marzy nasz świat polski. Król pruski, kłaniający się wypuszczonym z więzienia Polakom, formacya jakiegoś zawiązku polskiego wojska pozwolona, zachęcana, z Berlina — to chyba jakiś cudowny zwrot w dziejach, chyba sam Bóg daje natchnienie i kierunek!

Klaczko, w rozmowie z p. F. Hoesickiem z r. 1897, tak opisywał swoje wrażenia i swoje postanowienia [1]):

„Siedziałem w redakcyi, gdy nagle przychodzi depesza, depesza z Poznania! *Notabene* depesze były wtedy wielką rzadkością. Wrażenie! Cóż dopiero, gdyśmy przeczytali wiadomość, którą nam przynosiła ta depesza. Rewolucya w Poznańskiem! Donoszono nam, że się formuje komitet rewolucyjny, że się zakładają obozy w polach, że się formują oddziały kosynierów. Czasy były takie, że, pamiętam, nawet nie poszedłem do domu na obiad, tylko pożegnawszy się z Gervinusem, który mię powstrzymywał i hamował, wprost z redakcyi *Deutsche Zeitung* pojechałem na kolej. Tak, jak stałem! Pamiętam, że mi Hahn, jeden z kolegów redakcyjnych, a późniejszy minister badeński, przesłał później z Heidelberga moje rzeczy do Poznania. Pojechałem wprost do Berlina. Tam przyłączyłem się do t. zw. legii akademickiej, z którą po kilku dniach udałem się do Poznania“...

„Pojechałem do Berlina, z Berlina do Poznania“. Oto, jak opowiadał co tam zastał i widział [2]):

„Zaraz pierwszego dnia po przybyciu do Poznania wprowadzony zostałem na posiedzenie Komitetu rewolucyjnego. Przedstawiony jego członkom, ponieważ byłem znany jako

---

[1]) F. Hoesick: *Julian Klaczko,* str. 47.
[2]) F. Hoesick: *Julian Klaczko*, str. 48 — 51.

współpracownik *Deutsche Zeitung*, zaraz zostałem zaszczycony jednogłośną uchwałą, ażebym redagował po niemiecku pisma od komitetu do rządu. Rzecz charakterystyczna, że ci sami Poznańczanie, którzy się tak skarżyli na germanizacyę, musieli wołać mnie, Litwina, żebym im po niemiecku pisał! A i to było niemniej charakterystyczne, że na takiem posiedzeniu, na którem zasiadali sami ludzie poważni wiekiem, przeważnie oficerowie z r. 1831, dopuszczono takiego jak ja wówczas młodzika, żem głos zabierał na równi z nimi. A przecież w tym komitecie zasiadał sam kwiat społeczeństwa!... Był arcybiskup Przyłuski, był nawet sam Mierosławski, był Potworowski, oficer z r. 1831, był Libelt, był Stefański! Ten ostatni był księgarzem w Poznaniu. Świetny typ! Świątobliwy demagog, człowiek, który pobożność cudownie umiał łączyć z demagogią: wydawał *Złote Ołtarzyki*, które mu się doskonale opłacały, i warcholił. Ale zaczęło się posiedzenie. Libelt, jako prezydujący, odczytał odezwę do narodu, napisaną stylem napuszonym i patetycznym, a której treścią było, pamiętam, że idziemy na śmierć, a idziemy bez nadziei zwycięstwa, byle tylko krew przelać za ojczyznę... Gdy skończył czytać, Potworowski wzruszony — albowiem był dziwnie skory do łez — zaczął wołać, zanosząc się od płaczu: „Na miłość Pana Boga! Na co tych biednych chłopów, którzy nie mają nic więcej, prócz kos, wydawać na rzeź niechybną? Obiecywaliśmy im, iż będzie Polska, zwodziliśmy ich, a teraz przyjdzie jeden *szrapnel*, wpadnie pomiędzy bezbronnych, a co się będzie działo wówczas, o tem najlepiej wiem ja, co bywałem w bitwach“... Tego samego zdania, co on, był i arcybiskup Przyłuski, który się także rozpłakał przy tej sposobności, i kilku innych. Na to Libelt: „To jest nasz testament. Zginąć musimy, albowiem tego wymaga honor oręża polskiego“. A Potworowski na to: „Jeżeli mamy zginąć, my, to lepiej urządźmy rewolucyę w Poznaniu, barykady! Padnie nas kilkunastu dla honoru, ale po co gubić tych chłopów, co stoją w obozie?...“ Wtem otworzyły się drzwi i jeden z członków komitetu, już nie pamiętam który, wprowadził jakiegoś smagłego bruneta o delikatnych

rysach, o wyschłej, śniadej twarzy, z suchotniczemi rumieńcami na zapadłych policzkach, i zamiast przedstawić go zgromadzonym, zaczął po kolei przedstawiać ich jemu. W końcu dopiero, gdy już zdążył przedstawić nas wszystkich, dodał głośno, wskazując nań ręką: „Słowacki, poeta". Na nas jednak, przypominam sobie, nie zrobiło to nadzwyczajnego wrażenia, bo *primo* zbyt byliśmy zaabsorbowani dyskusyą, a *secundo* imię Słowackiego, choć znane, nie było tak głośne w owych czasach, jak Mickiewicza, lub choćby Krasińskiego. Wszelako wytoczono przed nowoprzybyłym całą sprawę od początku. Libelt odczytał powtórnie całą odezwę, Stefański, jak poprzednio, gardłował za nim, arcybiskup i Potworowski znów mu oponowali z płaczem. Na to powstaje Słowacki — jakbym go widział w tej chwili — i stojąc ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma, podniesionym głosem przemówił w te słowa: „Cóż wy myślicie? Wam się zdaje, że dzisiaj potrzeba jeszcze, jak dawniej, armat, pułków, oficerów? A ja wam powiadam, że dzisiaj przyszła *epoka świętej anarchii...*" Chciał mówić dalej, ale mu nagle przerwał Stefański, który, posłyszawszy połączenie tych dwóch wyrazów *świętość* i *anarchia,* rzucił mu się w zachwycie do nóg i wyciągając ręce, krzyczał: „Mistrzu! wielkie słowo rzekłeś..." Tą komedyą przerwał wątek myśli Słowackiemu, który usiadłszy, już nie mówił więcej... Skończyło się na tem, że odezwy nie ogłoszono. W takich okolicznościach poznałem Słowackiego. Był to jedyny raz, kiedym go widział".

Złamanie słowa (konwencyi), nowa zdrada pruska, potyczka pod Miłosławiem, łatwe zwycięstwo wojska nad ochotnikami, więzienia, prześladowania — koniec złudzeń. Polityka germanizacyjna zaczaiła się na kilka tygodni, ale wróciła z nową siłą i złością.

Co dalej pocznie Klaczko? Wracać do Wilna nie może, nie ma paszportu, poszedłby zaraz do więzienia, może na Sybir jako przychodzący z Poznania. Gdyby zaś żadnych innych przeszkód i powodów nie było, to było zawsze pytanie, coby miał robić w Wilnie? On, uczony, pisarz, powołany do nauki i do pisania, tam, bez książek, bez bibliotek, nie

mógłby nic robić, a pod cenzurą nie mógłby robić tak, jak rozumie i chce. A więc co? zostać w Wielkopolsce? Co robić? jakie zajęcie, obowiązek, zawód? Jakiś czas można przebyć w domach przyjaciół, ale na zawsze nie można tak zostać, jak ptak na gałęzi. Trzeba coś wyszukać, coś obmyśleć.

Pobyt tymczasowy znalazł się łatwo, z dobrem sercem i szczerą przyjaźnią, w domach, które były siłą i zaszczytem ówczesnej Wielkopolski. Młody Klaczko zostawał w otoczeniu ludzi najpoważniejszych i najzasłużeńszych, a wpływ tego otoczenia z pewnością nie mniej działał na uformowanie jego pojęć i zasad, jak wpływ profesorów w Królewcu na jego naukowe wykształcenie. Przebywał najwięcej w Turwi u jenerała Chłapowskiego i w Goli u Gustawa Potworowskiego, a miał sposobność spotykać i widywać często jenerała Morawskiego i Kajetana Morawskiego, Macieja Mielżyńskiego, Augusta Cieszkowskiego, Libelta, X. Janiszewskiego. W tym zbiorze ludzi był jeden, który musiał pociągnąć go do siebie siłą i urokiem swego świetnego wielostronnego umysłu, gorącością swoich uczuć polskich, i stałością, jasną świadomością przekonań i zasad, rzadką wszędzie, rzadką zwłaszcza u nas. Był to Jan Koźmian, podówczas nie ksiądz, ale zięć jenerała Chłapowskiego. Z tym zawiązał młody Klaczko przyjaźń trwałą, długą, a tak serdeczną, że przed nim jednym otwierał całe swoje serce, zwierzał się ze swoich tajemnic. Z nim jednym — i przez całe życie może z nim jedynym — mówił otwarcie o swojem pochodzeniu i wyznaniu, o swoich stosunkach z rodzicami, o swoich wątpliwościach, cierpieniach i walkach.

Śladem tej przyjaźni jest kilkoletnia korespondencya. Jedna jej strona zaginęła: Klaczko nie przechował listów Koźmiana. Ale Koźmian zachował listy Klaczki, a te świadczą, że w każdej sprawie, z każdą myślą, zwracał się Klaczko do tego przyjaciela z ufnością najzupełniejszą, z przywiązaniem gorącem.

W r. 1848, kiedy oba są w Wielkopolsce i widują się często, listów mało, bo nie są potrzebne. Są jednak. Klaczko

tłómaczy na język niemiecki jakiś artykuł czy broszurę Koźmiana (jaką? czy ten przekład był drukowany?) — prosi o poprawki; czasem, jakżeby w dalszym ciągu rozmów, mówi o sobie i swoich widokach, a raczej swoich niepewnościach przyszłości. Pokazuje się z tych listów, że o tej przyszłości mieli myśl piękną: gdyby się Klaczko starał o docenturę literatury polskiej w Uniwersytecie krakowskim? Koźmian radzi mu napisać z zapytaniem do Kremera (jego jednego zapewne znał z profesorów krakowskich). Kremer w odpowiedzi każe się zgłosić do Majera, który był w owym roku rektorem:

„Kochany Janie! „Otrzymałem wczoraj list od Kremera, który tu załączam. O ile wnosić mogę, jest on bardzo grzecznym, ale też niczem zbywającym. Odsyła mnie do Dr. Mayera i nie stara się sam jemu rzecz moją przedstawić; nie zachęca mnie nawet. Ja już chciałem zaprzestać, bo wiesz, że mnie najmniejsza rzecz otuchę odbiera; ale pani Potworowska zaklinała mnie, abym nie był lekkomyślnym i ciebie się zapytał, co mam robić, czy i jak pisać do profesora Mayera. Zastępcą profesora być nie myślę; jestem za młody i nie doświadczyłem sił moich. Chciałbym tylko na początku być docentem, choćby i bez pensyi — ale i z czegóżbym żył w Krakowie?“

„Załączam także dwa świadectwa uniwersyteckie, które mam pod ręką — wystarczą one w Krakowie? Mógłbym pisać do Schuberta i dostałbym w kilku dniach świadectwo, jakiego tylko sobie życzyć mogę — ale nie chciałbym przedwcześnie mu o rzeczy pisać, która może na niczem spełznie, a jemu by wtenczas posłużyła do powtarzania mi swoich apostrof, że dla mnie tylko w Niemczech przyszłość. Zdaje mi się więc, że nie ma co pisać do Schuberta. Jak sądzisz?“

„Daruj, że cię tak oblegam interesami memi! Jesteś może jedynym dobrze mi życzącym na świecie, do ciebie więc tylko się udać mogę“.

Dalszego ciągu widocznie sprawa nie miała, zamiar, czy raczej marzenie, zaniechane. Ale jeżeli nie to, co innego

robić, gdzie szukać miejsca i zajęcia? Zjawia się myśl o Paryżu:

„Mój kochany Janie! Panu Gustawowi [1]) powiedziałem o zamiarze wyjazdu. O stosunkach familijnych nie śmiałem mu powiedzieć, brakło mi do tego odwagi. P. Gustaw prosił mnie, abym poczekał do końca oborów, wtedy by miał więcej spokojności do zastanowienia się nad tem. Pojmuje i pochwala wszystkie moje pobudki do wyjazdu, ale nie jest za Paryżem; znając moją niedołężność w rzeczach praktycznych, boi się, abym się do reszty nie zmarnował w zupełnie obcym kraju, bez najmniejszego widoku utrzymania się, choć najskromniejszego“.

„Przyznam ci się, kochany mój Janie, że mnie swemi argumentami bardzo wzruszył. Gniewaj się na mnie, gardź mną... ale jestem znowu w wahaniu się. Że wyjadę z Księstwa, to wiem z pewnością — ale czy do Paryża, tego ci jeszcze powiedzieć nie mogę!“

„Piszę teraz broszurkę w języku niemieckim p. t. *Die deutschen Hegemonen. Offenes Sendschreiben an Herrn Georg Gervinus von J. K.*“

„P. Gustaw przyrzekł mi, że ją wydrukuje — jeszcze raz: do widzenia. Twój

Julian“.

Ten list, zapewne z Berlina pisany, skoro w nim jest mowa o *Hegemonach,* mieści w sobie jedną wskazówkę ważną. „O moich stosunkach familijnych nie śmiałem mu powiedzieć, nie miałem odwagi“. A więc z Koźmianem o nich mówił, przed nim miał odwagę wywnętrzyć się ze wszystkiem, co mu ciężyło na sercu. Jeżeli w tych stosunkach familijnych było co bolesnego, jakie nieporozumienia, to Koźmian znał jego tajemnicę. W tych nieporozumieniach zaś czy nie znaczą wiele — najwięcej — jego religijne uczucia i wątpliwości? Przypuszczenie to tylko, ale są jednak jego

[1]) Potworowskiemu.

własne słowa, które na takie przypuszczenie naprowadzić mogą.

„Mój kochany Janie! List Twój ostatni bardzo mnie zastanowił. Z początku myślałem, że zarzuty Twoje zupełnie są niesłuszne; wszakże, po dłuższem rozważaniu przekonałem się, że masz słuszność. Wyznaję Ci to szczerze, bo wiem, że szczerość moją, acz po długiem wahaniu się wyrzeczoną, ocenisz, i teraz prędzej uwierzysz w stałą chęć moją poprawienia się nadal".

„Wiele rzeczy, wiem, razi Cię we mnie — a przede wszystkiem moja niedecyzya. Racz jednak i na to uwagę swą zwrócić, że całe moje życie tak religijne, jak socyalne i polityczne, piętnem Kainowem połowiczności jest naznaczone. Miej dla mnie choć część tego pobłażania, które ja zawsze dla zawistnego losu miałem. Bo, jak ciężkie popełniłem błędy i grzechy, zawsze z pokorą znaszałem ciężkie te próby, i nigdy, przysięgam Ci to, mój drogi Janie, nigdy mną nie powodowała prywata. Nawet miłość własna, którą mnie wyrzucasz, któż wie, czy nie dopiero wtenczas obudziła się we mnie, gdy raniony i kolony ze wszech stron jedyny tylko znalazłem przytułek w przekonaniu o czystości sumienia i nieskazitelności zamiarów? Nie chcę tej miłości własnej usprawiedliwiać — chcę Ci ją tylko wytłómaczyć. Poprawię się, przyrzekam Ci to; i mam nadzieję, że nie wątpisz o mnie".

Ta „niedecyzya, którą mi zarzucasz", czy ona nie znaczy, że Klaczko był na drodze nawrócenia, ale jeszcze na postanowienie zdobyć się nie mógł? To jego „życie religijne piętnem połowiczności naznaczone", czy to nie dowód, że o swojem religijnem życiu z przyjacielem mówił otwarcie i wszystkie swoje wahania mu wyjawił? Wskazówki to tylko; ale dozwalają one przypuszczać, że proces myślenia o kwestyach religijnych, w Królewcu prawdopodobnie rozpoczęty, posuwał się naprzód i znacznie posunął w Wielkopolsce, i pod bezpośrednim wpływem Jana Koźmiana.

Do tych poznańskich czasów należy także dalszy ciąg owego heidelberskiego zajścia z Krasińskim. Klaczko żalił

się na Krasińskiego przed Koźmianem. Stanisław Koźmian napisał o tem do Krasińskiego i odebrał następującą odpowiedź, datowaną z Badenu, 14 lutego 1849 r.:

„Drogi Stanisławie. „Co do Klaczki prawda historyczna się ma tak. List odbieram w Heidelbergu, „chcąc poznać Tego, który tak wieszczy i proroczy i t. d. (komplementów ciąg i t. d.). Proszę o wyznaczenie mi godziny a przyjdę; jednak ostrzegam, że moim zwyczajem, gdy do jakiego Polaka się udaję, zawsze wprzód mu oznajmić, żem Żyd, na to, by miał zupełną wolność przyjęcia mnie lub nie, gdyż w istocie pojmuję ja Żyd, że Polacy mają prawo nas nie lubić i t. d."

„Taki był sens listu — podpisano: Klaczko. Anim wiedział: skąd, kto, jak. Mógł być i szpiegiem, mógł mnie wynęcać na jakie odpowiedzie. Z drugiej strony przypuszczając, że poczciwy chłopiec; dziwnie wdzierał się w ufność moją, ale znów rozrzewniało mnie, że tak przyjmuje na siebie *pariostwo*. Odpisałem wtedy tak":

„Zapewne mnie za kogo innego bierzesz i nie mnie chcesz pan, ale tamtego poznać, bo ja nigdy w życiu żadnych wieszczb, ni proroctw, ni wierszy, nie wydawałem. Zatem skoro się dowiesz, że to nie ta osoba, której pragniesz, tem samem zaniechasz pragnienia zapoznania się z nią, któremu to zapoznaniu skądinąd żadną by przeszkodą być nie mogło i nie powinno, że należysz do plemienia, które wśród dziejowych losów ludzkich niezawodnie najarystokratyczniejszem pochodzeniem znaczy synów swoich, bo jest najstarszem, a niegdyś wielkich czynów plemieniem na ziemi". Pytam się teraz, co w tem było tak niegrzecznego, niemiłosiernego, niedobrego? Owszem, w przypuszczeniu, że poczciwy i szlachetny, chciałem mu serce podnieść, chciałem wspomnieć o chwale rodowej hebrajskiego narodu, i dziwno mi, że żyd tego nie uczuł i za to wdzięcznym mi nie był. Prawdziwy Żyd, pomny Machabeuszów i oblężenia Hierozolimy, nie byłby szukał szyderstwa w tak orzeczonej prawdzie historycznej. Już oddawna mi różni donosili o jego monomanii skarg na mnie. Zaręcz go słowem mojem sumiennem, że nie

znając go, a widząc z listu szlachetność, chciałem mu się odpłacić i tom napisał doń, co wydawało mi się w przekonaniu mojem, że powinno wywołać w duchu jego dumną, narodową pamiątkę. Taki był mój cel! taki a nie inny. Krzywdzi mnie niesłychanie, kto przypuszcza, że nie znając kogo, że nie wiedząc na pewno, że niegodny i zły, gotówbym chcieć go upokorzyć i za chleb kamieniem odrzucić, przekleństwo narodowe mu w oczy ciskając. Na miłość Boga! kto tak sądzi, ten chyba w dniu zwycięstwa samby mnie zwyciężonemu gotów taki cios zadać. Nieszczęśliwy kraj, gdzie każdy ma się za obrażonego, o obrazie swej tylko pamięta, gdy właśnie czas taki, że Bóg wszystkimi obrażon jest i sąd swój gotuje! O tem myśleć, a nie o pysze swojej“...

Na tym liście Krasińskiego dopisuje Stanisław Koźmian co następuje:

„Tłómaczyłem (Klaczce) jak to niepodobne do Zygmunta. Był bardzo rozdrażniony, nie chciał wierzyć. W końcu dodał: „I wy tak dobrzy, tak przyjacielscy dla mnie jesteście, a przecie w głębi duszy mną pogardzacie“. Usiłowałem więc nakłonić Zygmunta, żeby albo do niego wprost, albo do mnie napisał list, któryby urazę załagodził“.

Cała ta sprawa dowodzi wielkiej wrażliwości, wielkiej drażliwości nerwów, którą Klaczko miał zawsze, ale prócz tego może i pewnej podejrzliwości czy obrażliwości na punkcie pochodzenia i wyznania. Był skłonny pod wpływem nerwów i rozdrażnienia, podnosić i przesadzać swoje uczucia. Teraz naprzykład, w Wielkopolsce, i później jeszcze z Paryża, żali się przed Koźmianem, że wśród Polaków doznał tylko goryczy i bólu. Czy miał jakie w Wielkopolsce przykrości? czy mu kto zrobił co złego? Być może. Ale dobrego, przyjaźni, doznał tam tak wiele, że skarga jest oczywiście przesadną.

U tych, między którymi Klaczko żył wtedy, zostało podanie o jego, pierwszej zapewne, miłości. Gustaw Potwo-

rowski był opiekunem panny Zofii Kurnatowskiej, sieroty bez rodziców, która mieszkała w domu opiekuna, uważana niemal za własną córkę przez niego i jego żonę. Klaczko bywał wiele w Goli, widywał ją, i... miał pokochać. Nie mógł oczywiście ani myśleć o staraniu się o jej rękę, ale podziwiał, kochał i pragnął dla niej szczęścia. Z tem swojem podziwieniem (dla panny w dodatku bardzo niezwykle pięknej) nie ukrywał się. Stanisław Chłapowski, najstarszy z synów Jenerała, dziwnym jakimś zbiegiem okoliczności, nie był jeszcze znał panny Kurnatowskiej. Klaczko podziwiał ją przed nim także, może zachęcał do zobaczenia, do poznania, i wprowadził młodzieńca na drogę, która go zawiodła do ołtarza. Z Paryża już, w czerwcu r. 1849, pisze Klaczko do Koźmiana: „Nie mogę ci powiedzieć, jaką radością twój list mnie napełnił. Wiadomość o zamiarach Stasia nie uwierzysz, jak mnie ucieszyła. Było w tem trochę egoizmu, bo pierwszą myśl ja mu nastręczyłem. Mój Boże, być że to może, abym ja, który tyle rozdwojenia we własnej familii zrobiłem, który sam w ciągłem wewnętrznem jestem rozdwojeniu, abym ja mógł się kiedy przyczynić do połączenia, do związania dwóch drogich mi osób! Ledwo temu wierzyć mogę, prawie się nie posiadam z radości“.

To „rozdwojenie we własnej familii“ — to „rozdwojenie wewnętrzne“, w którem on żyje, to oczywiście odnosi się do jego religijnych uczuć i zamiarów. Ale ta miłość, która zdaje się była na prawdę, miała po latach koniec piękny, rozrzewniający. Klaczko był już sparaliżowany, pan Stanisław Chłapowski przyszedł go odwiedzić. Nie widzieli się od r. 1848, od lat przeszło pięciudziesiąt. Po pierwszych uściśnieniach i rozrzewnieniach pan Chłapowski zapytał: „To jeszcze nie wszystko, jest tu i moja żona. Czy pozwolisz, żeby weszła?“ Spotkanie było pierwsze od pół wieku, od lat młodości, a ostatnie na tym świecie.

W Wielkopolsce w tym czasie wypadki, niepokojące i oburzające. Po wiosennych udanych demonstracyach za Polską i jej sprawą, w jesieni wystąpiła prawda, żądza pochłonięcia i strawienia polskiego kraju. Sejm frankfurcki

uchwala wcielenie Księstwa do Rzeszy niemieckiej. Jest skromniejszy, nie taki śmiały i bezczelny jak dzisiejsze Prusy, nie posuwa się do wypędzania i wywłaszczania Polaków, ale chce oznaczyć co w tym kraju jest polskie a co niemieckie: podział geograficzny, tak zwana podówczas „Linia demarkacyjna“. Ta myśl tak się w Niemczech podoba, takie ma powodzenie, że sama ta *Deutsche Zeitung*, która parę miesięcy temu uważała Poznań za święty depozyt Polski w rękach Prus, teraz widzi „historyczną konieczność i słuszność“ uznania go za część Niemiec.

Sumienie, zmysł prawa, poszanowanie prawdy, wszystko, co w ludziach ludzkie i szlachetne, wstrząsło się z oburzenia: uczucie polskie, polskie prawo do bytu, zadrżało o przyszłość. Wszystkie pisma polskie, trybuny parlamentarne, odezwały się zgodnym chórem protestu, odsłaniały kłamstwo i niegodziwość. Te wypadki i te uczucia, wywołały pierwsze znane i znakomite pismo polityczne Klaczki. Bawiąc na miejscu, w Wielkopolsce, czuł tem żywiej, bezpośrednio, krzywdę tego kraju; widział, podzielał, brał do serca oburzenie i troskę tego społeczeństwa: a tak niedawny jeszcze współpracownik *Deutsche Zeitung*, tak niedawno wierzący w jej uczciwość i honor, zdradę jej musiał uczuć żywiej od innych. Namiętny zaś w uczuciach, zwłaszcza niepohamowany w gniewie na podłość, wybuchnął prawdziwie jak wulkan: napisał *Hegemonów*. Jest podanie, nie wiem o ile stwierdzone, że do tego pisania skłonił, przynaglał go, Gustaw Potworowski.

Cóż to są *Hegemony* — rzadkość bibliograficzna, dziś prawie nikomu nie znana?

Offenes Sendschreiben an Herrn Georg Gervinus zaczyna się od przedmowy, zwróconej wprost do niego.

„Nie dziw się — mówi — że syn Polski, niedawno z taką dumą stojący przy twoim boku, dziś występuje przeciw tobie. Osobiste zobowiązania muszą ustąpić pierwszeństwa obowiązkom patryotycznym. Dłużnikiem twoim byłem, i takim się wyznaję — ale dla mego narodu żądam rachunku od ciebie“.

Pisze w uroczystym, nieledwie patetycznym tonie, a nie bez upodobania w tych antitezach, które będą zawsze właściwością a często świetną ozdobą jego stylu.

„Filozof historyi zapyta kiedyś, dlaczego rok 1848, który zaczął tak *grosssprecherisch*, skończył tak *kleinlaut*? dlaczego ciężarna góra Rewolucyi porodziła takie śmieszne myszy, jak Parlament frankfurcki i Prezydentura Ludwika Napoleona Bonapartego? Odpowie sobie, że tragiczny czas zastał na świecie ludzi komicznych“.

„Czas był tragiczny. Miał nie mniejsze zadanie, nie mniejsze zawady, jak rok 1789. Nagroda zwycięzcy mogła być jeszcze wspanialsza! Dziś, jak wtedy, chodziło o urzeczywistnienie wielkich zasad. Ale Herkules znalazł się między pygmejami. Wolność zamiast skrzydeł anielskich dostała błony nietoperza — rycerz był tylko Don Kiszotem, Brutus był tylko brutalny, i przez to stało się, że zwycięzcę z pod Piramid parodyowały piramidalne nicości. Niemieccy hegemoni wlekli się z tyłu jak marodery za sztabem mizernych dyplomatów. Nad tymi komicznymi karłami sterczy tragiczna postać Słowian; nad błazeńską czapką niemieckich marzycieli świeci czako Kroata, szturmującego do niemieckich miast. Charaktery są komiczne, ale czas jest tragiczny. Rozdarł tysiącletnie tradycye, rozłupał świat na dwa obozy — nawet złoty węzeł cywilizacyi, który wiązał Polskę z Niemcami, z Zachodem, topnieje pod gorącem tchnieniem Slawy“.

Broszura sama zaczyna od świeżych bieżących wypadków, od pruskich zdrad i wykrętów. Dziś wcielenie do Rzeszy niemieckiej, dziś Linia demarkacyjna, a jak to dawno temu w Wielkopolsce była pozwalana, zachęcana, formacya jakiejś siły zbrojnej polskiej? Jak dawno wasi jenerałowie zawierali konwencyę z dowódzcami tych ochotniczych oddziałów? Prawda, że tę konwencyę złamali, złamali swoje słowo, uderzyli na chłopów zbrojnych w kosy, zabili wielu, zamykali w więzieniach!

„Teraz te podstępy i zdrady tłómaczą się filozoficznie, usprawiedliwiają historycznemi argumentami. Jakiemi? Łatwo poznać i osądzić. Od Danii domagacie się duńskiego

Szlezwiku, dlatego, że był złączony z Holsztynem zamieszkałym przez Niemców; ta historyczna należność jest podstawą waszych niby prawnych reklamacyj. Ale Poznań nie był nigdy historyczną, ani inną jednością z Niemcami, a wcielacie go do Rzeszy? Szlezwik ma być niemieckim, bo był złączony z krajem niemieckim; Poznań ma być niemieckim, choć tem nigdy nie był — a jedno i drugie na tej samej zasadzie *des guten Rechtes*".

„Dlaczego pochlebialiście Polakom? dlaczego te do nich umizgi i obietnice? Boście się bali, że cesarz rosyjski ruszy z wojskiem przewracać wasze konstytucye i tłumić wasze rewolucye; Polacy mieli was od niego bronić. Wtedy odbudowanie Polski, wtedy Poznań i Galicya były tylko świętym depozytem w ręku Niemiec, wtedy Prusy miały oddać Wielkopolskę i dać przykład, wziąć inicyatywę, dostarczyć Polakom broni i pieniędzy. Tak mówił i pisał Robert Mohl, tak pisał Gervinus. Ale cesarz rosyjski uśmiechał się tylko na to coście wy robili, wiedział, co o was sądzić. Nie ruszył się; a gdy minął wasz strach, minęła i wasza sprawiedliwość, ulotnił się wasz zmysł moralny i wasz honor. I wtedy hasło: wcielenie do Rzeszy — Linia demarkacyjna, i zdrada. Pobożny i mistyczny Radowitz, razem z bezbożnym Straussem, Lichnowsky, Dahlmann, Raumer, wszyscy uznawali i uchwalali, że kraj polski ma być niemieckim. Zgodność, jednomyślność, większość ogromna, niewidziana. Jak skromnie wygląda przytem ofiarowanie cesarskiej korony Niemiec królowi pruskiemu, uchwalone większością dziewięciu głosów! Prusacy jeszcze myśleli przynajmniej o badaniach, dochodzeniach: Hegemoni w Frankfurcie, ze stanowczością, jaką tylko świadomość złego czynu dać może, oświadczyli się przeciw wszelkim dochodzeniom — pierwszy raz Niemcy okazali się *einmüthig — wenn auch nur im Kleinmuth!* Moskal wali nas na ziemię, Niemiec tratuje kopytami swojej dyalektyki; tamten powołuje się na swoją silną pięść, ten na swoją filozofię; tamten nas nie pojmuje, ten ogłasza za niezdolnych wszelkiego pojęcia, za pomyłkę Boskiej Opatrzności w tworzeniu i budowie świata. A jak włoski rozbójnik ostrząc nóż

modli się do Madonny o pomoc, tak wy nas mordujecie a mówicie o sprawiedliwości. W imię swojej wolności narzucacie nam niewolę, w imię swojej cywilizacyi nas skazujecie na dziczenie, w imię swojej jedności nas dzielicie i krajecie; dla zachowania czystości waszego szlachetnego plemienia, nas chcecie udać za bękarcią rasę kalek. To wszystko oburza nas, rani w samo serce, odbiera nam wiarę w ludzkość — przecież to wszystko mogło jeszcze zostawić was godnymi naszej nienawiści".

„Ale kiedy ten parlamentarny linoskok a polityczny szachraj, Jordan, o narodzie którego wiek i nieszczęście najostatniejszego z szubrawców jeszcze powinny przejąć uszanowaniem (*dem bübischesten der Buben)*, kiedy powiedział, że ten naród dobry jest na to chyba, by tańczyć mazura — powiedział to o narodzie, który miał Świętych, bohaterów, mężów stanu, męczenników, wielkie zwycięzkie boje, wielkie czyny — a z was żaden nie okazał dość najprostszego, najzwyklejszego zmysłu honoru i prawa, by się oburzyć, by się zarumienić wstydem, że żaden z was nie zawołał: „Chcemy Polskę dzielić, ale nie chcemy jej znieważać, chcemy ją na śmierć zabić, ale nie na śmierć załaskotać" – że w zgromadzeniu, gdzie tak często przywoływano do porządku, ta bezgraniczna podłość wydała się być „w porządku" — to zostawia nam już tylko jedno uczucie dla tych zdrajców wszystkiego co jest prawdą, czcią i godnością, uczucie najgłębszej pogardy". (*Hochverachtung* – wspaniale, a w innym języku nie do oddania, przerobienie zwykłej niemieckiej formuły uszanowania: *Hochverehrung)*. „Zdradziliście nas, ale w tej samej chwili byliście sami zdradzeni; rozdzieraliście nas, a byliście sami rozdarci; rzucaliście losy o suknię Chrystusa narodów, a wasz własny mozolnie zeszyty i złatany płaszcz cesarski rozpadł się na trzydzieści siedm szmat, i Niemcy stoją dziś znowu w swojej wstrętnej nagości".

„Straciły wszystko — a honor przedewszystkiem".

Taka jest treść pierwszej części broszury.

Druga, to *Drang nach Osten*, przez wszystkie wieki — to margraf Gero, to Cyryl i Metody oskarżeni w Rzymie, to

chrzest i krzyż zawsze jako środek do grabieży i ciemięztwa, to Zakon krzyżacki, to później, po Reformacyi, to samo, ale już nie w imię chrześciaństwa, tylko w imię cywilizacyi. To Fryderyk, to Józef II, to Fryderyk Wilhelm III. Ale pomimo wszystkiego ofiara jeszcze żyła — schylony nad jej śmiertelnem posłaniem przyszły dziedzic ze złością dosłyszał, że jeszcze dysze. Wtedy wynalazł trzecią broń: wolność, demokracyę roku 1848! Wolność jest także święta, ale jak chrześciaństwo, jak cywilizacya, w ręku Niemców staje się i ona nieprawdą, staje się trucizną.

Część trzecia, to Słowiańszczyzna. I ona ruszyła się w tych czasach, wystąpiła w wypadkach, domaga się swego miejsca na świecie. Objawiła się w Pradze, objawiła w Poznaniu, w Wiedniu cesarz Niemiec musiał wezwać słowiańskich Kroatów, żeby dla niego zdobywali jego stolicę — na Niemcach. Możecie bombardować Pragę, krajać Wielkopolskę, ale wasz tryumf niedługi, przyszłość należy do nas; a ta przyszłość, to nie będzie nowa burząca wędrówka narodów, nie *Völkerwanderung*, ale *Völkerverwandlung*, przemiana, wyszlachetnienie narodów.

Ten ustęp o Słowiańszczyźnie czy ma jakie podobieństwo z późniejszym panslawizmem? albo może z margrabi Wielopolskiego *Listem do księcia Metternicha?* Z tym ostatnim ma zapewne na dnie wspólne uczucie odwetu, pragnienie zemsty, ale zresztą podobieństwa żadnego: a jeżeli jakie ma, to z Mickiewiczem. Z jego to *Kursów* prawdopodobnie dostała się do Klaczki ta Słowiańszczyzna idealna, wstępująca na scenę dziejów, wnosząca w nie nowe, szlachetniejsze pierwiastki i siły. Polska miłość wolności, polska zachodnia cywilizacya, będzie łącznikiem między młodym słowiańskim światem a Europą zachodnią.

Streszczenie, ani nawet tłómaczenie, nie może dać zupełnego wyobrażenia o świetności i energii wyrażeń, o ironii gryzącej, o tej wspaniałej *Hochverachtung*, w jakiej rzecz była pisana. Te nie będą poznane nigdy. Klaczko, na przypadek wydania swoich pism, zabronił stanowczo i raz na zawsze drukowania wierszy i *Hegemonów*. Dlaczego? Po-

wód przypuszczalny, ale tak naturalny, że go można uważać za pewny, jest ten, że to pismo doznało strasznych zaprzeczeń: przez to samo jego przypomnienie było mu bolesnem. Idealna Słowiańszczyzna okazała się złudzeniem, w rzeczywistości ukazał się rosyjski panslawizm: a szyderstwo z Niemców mogliby dziś oni obrócić przeciw niemu, przeciw nam. Natrząsał się z tej cesarskiej korony uchwalonej dziewięcioma głosami większości, natrząsał się z cesarskiego płaszcza, podartego na trzydzieści siedm szmat, a dziś ten płaszcz jest cały na barkach, korona na głowie króla pruskiego! Dziś *Hegemony* są przykre do czytania, bo zaprzeczone; o ileż przykrzejsze musiały być temu, kto je w złudzeniu napisał, a tak srogiego zaprzeczenia doznał.

Hegemonów podpisał 20 lutego 1849 r. i wydał bezimiennie; podpisał tylko literami J. K. Potem wyjechał do Paryża.

III.

Początki życia w Paryżu. Brak znajomości i środków utrzymania. *Tribune des Peuples.* Sądy o katolikach francuskich. Myśl dalszego ciągu *Hegemonów:* zaniechana. Wuj Grünberg: jego propozycye odrzucone. Pojedynek. Miejsce przy Bibliotece. Wypadki w Rzymie. Opuszczenie Biblioteki. Lekcye prywatne. Dalszy ciąg zajścia z Krasińskim.

Przyjeżdżał Klaczko do wielkiego Paryża, obcy i nikomu nieznany; przyjeżdżał szukać tam nauki, pracy i wreszcie sposobu do życia. Jak sobie dać rady? gdzie i do kogo się obrócić? W listy polecające zaopatrzyli go naturalnie przyjaciele poznańscy, sami w blizkich i licznych stosunkach ze znaczącymi ludźmi w Emigracyi. Ale listy, choć były i posłużyły do pierwszych i z pewnością pożytecznych znajomości, nie poradziły na to, że początki tego pobytu — a przez początki rozumieć można nie tygodnie, ani miesiące, lecz lata — były trudne, ciężkie. Klaczko szuka jakiegoś zajęcia, jakiegoś miejsca, a nie prędko je znajdzie — i, dodajmy z góry, nie znajdzie nigdy stałego i prawdziwie dogodnego.

Najwcześniejszy z jego listów do Jana Koźmiana jest z 7 czerwca 1849 r. Jest w nim wzmianka o dawniejszych, które trafem jakimś nie doszły do rąk Koźmiana, a po niej „krótki ale szczegółowy zarys mego położenia tutaj". Pokazuje ten zarys, że radził sobie jak mógł, że ludzie byli dla niego uczynni, i że na wielką skalę założył sobie plan pracy, uzupełnienia swojej wiedzy:

„Co do pracy, to brak znajomości stoi mi dotychczas bardzo na zawadzie. Nie wiem, jak zrobić, by dostać ksią-

żek z Biblioteki do domu; ale i to się załatwi, bo Wołowski przyrzekł zapoznać mnie z Micheletem, który mi niezawodnie w tem skutecznie poradzi. Sienkiewicz także dostarcza mi książek. Po długich szukaniach znalazłem też doskonałą czytelnię, zaopatrzoną we wszystkie najnowsze dzieła historyczne, co mnie mocno ucieszyło; za 4 franki miesięcznie mam kilka tomów naraz. Chcąc uzupełnić lekturę historyków francuskich, przeczytałem Amédée Thierry'ego *Histoire des Gaules*, której jeszcze nie znałem, tudzież p. Henri Martin *(Grand prix Gobert)*. Dociągnąłem już do XV tomu — dzieło to, z erudycyą prawie niemiecką napisane, jest bardzo nauczające, chociaż nie ma tych genialnych pomysłów i wielkich a czasem bardzo fałszywych błysków Micheleta. Począwszy od Reformacyi mniej mnie uspakaja, lubo i tam niezawodnie dalekie jest od stronności Sismondiego. Przeczytałem także kilka innych dzieł specyalnych p. Lavallée i t. d. Mam nadzieję dostać najnowsze dzieło Ozanama (o chrześciaństwie w pierwszych wiekach), z którego prześliczne już czytałem wyjątki. Chciałbym też potem napisać o niem do *Przeglądu*. Zgoda? Zacząłbym się tym sposobem uiszczać z zaciągniętego długu".

„Widzisz więc, kochany Janie, że nie próżnuję. Skończywszy Martina, zabiorę się do Ampera, St. Beuve; i tak w krótkim czasie spodziewam się uzupełnić lekturę historyków francuskich, zaniedbaną od czasu mego przybycia do Księstwa".

„Co do gazet, to te czytam w kawiarni (za 4 sous) gdzie mam i *Gazetę Polską* i *Kolońską*. W Bibliotece polskiej niema żadnych gazet, dlatego też nie wiem, co Mann do *Czasu* o *Hegemonach* napisał. Dostaliśmy dopiero w tym tygodniu *Przegląd* kwietniowy. Rozbioru *Hegemonów* w *Przeglądzie* wyglądam z niecierpliwością — bardzobyś mnie nawet zobowiązał, gdybyś mi mógł ten poszyt (albo tylko ten arkusz) przesłać prędszą drogą. Sąd Twój w liście dogmatyczny, ale może i słuszny, jeszcze bardziej ciekawość moją zaostrza. Co do twego pytania, czemu nie *Preussische Hegemonen*, to wyznam Ci szczerze, że jego nie pojmuję. *Hege-*

monen znaczy „Przywódzcy", a *Deutsche Hegemonen*, to ojcowie frankfurtscy i wszyscy ci liberały niemieckie, których ruch w 1848 roku wyniósł. Rzecz to bardzo jasna, a którą nadto każda stronnica broszurki objaśnia. Powiedz mi także, kochany Janie, dlaczego *Gazeta Polska* nie raczyła o niej słówka powiedzieć? a z niemieckich dzienników, czy kto wspomniał o niej?

„Co do pobytu w Paryżu — poznałem wiele już ważnych monumentów, kościoły, galerye (w Luwrze byłem dwa razy dopiero). Byłem też i w Izbie reprezentantów, ale na sesyi nie bardzo ciekawej".

„Co do znajomych — z Polaków poznalem Przyłuskiego, siostrzeńca X. Arcybiskupa, który mi bardzo był przysłużnym. Spotkałem się tu także z Kazimierzem Romockim, dawnym kolegą uniwersyteckim. U księży byłem raz z Przyłuskim. Miałem także list od p. Macieja [1]) do T. Morawskiego [2]), który bardzo był dla mnie grzecznym. Ks. Czartoryskiemu oddałem wizytę i list od Henryka Wodzickiego; więcej u niego nie byłem; przyjął mnie bardzo zimno; traktował z góry; pewno wiedział o mojem pochodzeniu. Właśnie pisze mi Przyłuski, że będzie dzisiaj u mnie z młodym Czartoryskim. Zobaczymy. Do Branickiego także list miałem, ale tylko raz u niego byłem. Wołowski przyobiecał mi wystarać się dla mnie o lekcye".

„U Montalamberta nie byłem. Podziela on, jak mi mówił Królikowski, zdanie całej *Rue Poitiers* o nas i o Węgrzech. Nie chciałem do niego pójść, bo nie mogąc się dobrze rozmówić po francusku, musiałbym milczeć i dać pozór, że się na jego zdanie zgadzam. P. Thomas nie zastałem w Paryżu; mieszka on w Clermont, dokąd mu posłałem list Cieszkowskiego i broszurkę; odpisał mi, że o niej wspomni w *Debatach*, ale tego nie uczynił. P. Desprès jest sobie bardzo cichym, skromnym i pracowitym człowiekiem, a Polski nie rozumie. Innych Francuzów nie znam".

---

[1]) Maciej hr. Mielżyński.
[2]) Teodor Morawski, historyk.

„Oto jest pokrótce wszystko, cobym Ci o sobie mógł donieść“.

Można z tego listu wnosić — oprócz pracy, do której wziął się gorliwie — że zawiera nowe znajomości z obawą, z przypuszczeniem że będzie źle przyjętym, źle widzianym, z powodu swego pochodzenia. Ta obawa i drażliwość czy nie jest przesadzoną, czy nie przechodzi w uprzedzenie? Byłoby to zapewne naturalnem, ale zdaje się być. Ks. Adam Czartoryski „traktował go z góry“? Czy mu się to nie wydało? Stary książę był właśnie bardzo uprzejmy w obejściu, bardzo dobrze wychowany, i jeżeli mógł być chłodnym względem obcego nieznanego człowieka, to trudniej uwierzyć, iżby go był traktował z góry. Do Montalemberta jest dość widoczne uprzedzenie, niechęć, których powody znajdą się w późniejszych listach, ale które sprawiedliwe nie będą. Co ciekawe i warte zapamiętania, to, że on w tym czasie mało i źle umie po francusku.

List następny, z 14 lipca, bardzo długi, bardzo rozmaity w treści, rzuca wiele światła na ówczesny sposób myślenia Klaczki, i na jego temperament. Do Wielkopolski doszły wieści, jakoby Klaczko był pisywał do *Tribune des Peuples* Mickiewicza. Koźmian mu to wymawiał (w liście, zaginionym jak wszystkie). Klaczko odpowiada:

„Przystępuję do rzeczy najgłówniejszej, od której i Ty zaczynasz, do sprawy z *Trybuną*. Jest to fałsz największy. Nigdy o tem ani mowy, ani myśli nie było, abym kiedykolwiek brał udział w redakcyi (zapomniałeś wreszcie, że po francusku nie umiem). Muszę się tu obszerniej rozpisać. Dwóch tylko z ludzi mających z *Trybuną* styczność poznałem: Branickiego i Chojeckiego [1]). U Branickiego [2]) byłem raz tylko, zaraz po moim przybyciu do Paryża. Oddałem mu list niejakiejś pani Hoguet, a na zapytanie, czy poznałem

---

[1]) Edmund Chojecki w pismach francuskich Charles Edmond.

[2]) Ksawery Branicki.

Trybunę, odpowiedziałem: *Vidi et dolui* i bez ogródki wyraziłem mu zdanie moje, że jego pismo jest sprawie szkodliwem. Skrzywił się trochę na to, zaczął o czemś innem, a potem mnie pożegnał i już go więcej nie nawiedziłem, ani widziałem. Chojeckiego poznałem dopiero po 13 p. m., t. j. po zakazie *Trybuny*, a to z przyczyny, że musiałem jemu donieść o poleceniu Libelta, umieszczonem w przypisku do listu Cieszkowskiego do mnie. Prosił mnie Libelt o korespondencye do *Dziennika Polskiego* i o proszenie Chojeckiego o toż samo. Doniosłem to Chojeckiemu, który napisał do mnie bilecik z prośbą, abym przyszedł do niego, gdyż on mieszkania opuścić nie może. Poszedłem i zaraz się tak postawiłem, że mi otwarcie wyznał, że się ze mną nigdy nie zgodzi, a przeczytanie *Hegemonów* jeszcze bardziej go w tem przekonaniu umocniło. O jego broszurze (*La paix et la guerre*) powiedziałem jemu otwarcie, może nawet i za ostro, że jest kaskadą frazesów anarchicznych. Oświadczyłem mu, że nigdy nie uwierzę, aby Polska, która nierządem o s t a ć się nie mogła, nierządem p o w s t a ć mogła. Starałem się go tylko wywieść z błędu, jakobyś Ty był jego nieprzyjacielem (jak mi zaręczył) i radziłem mu przeczytać recenzyę *Rewolucyonistów* w *Przeglądzie*, co też uczynił. O *Trybunie* (która wreszcie już wtenczas nie istniała) i tu ani mowy nie było. Powiedział mi nadto, że Wołowski go prosił o wystaranie się dla mnie czego — ale że nie piszę po francusku, a przedewszystkiem, że nie jestem zaawansowanym, nie wie, w czemby mógł mi usłużyć. Ja też zupełnie byłem jego zdania".

„Oto jest wszystko, co się tyczy mego mniemanego współudziału w *Trybunie*; ani mnie żadnych w tej mierze propozycyj nie robiono, ani ja też żadnych nie uczyniłem kroków. Jeszcze jeden szczegół do uzupełnienia wszystkiego. Za namową Przyłuskiego, kilka dni po napisaniu i odesłaniu trzeciego mego listu do Ciebie, pisząc do Cieszkowskiego prosiłem go, czyby nie mógł w jakimś liście do Branickiego wspomnieć o mnie i powiedzieć mu mimochodem, że władam piórem. I tu ani o współudziale, a tem mniej jeszcze o re-

dakcyi w *Trybunie* mowy nie było. Miałem wcale co innego na myśli. Słyszałem, że Branicki myśli rzucić między wojsko rosyjskie, idące na Węgry, kilka pism ulotnych o Polsce, Węgrzech i Słowiańszczyźnie, w języku polskim, niemieckim, francuskim, ba, nawet rosyjskim. Zresztą i z tego nic nie było. Cieszkowski, który widocznie zna Branickiego, odpowiedział mi, że napisze do pani Krasińskiej tutaj, aby mnie zaleciła Branickiemu. Czy się to stało, nie wiem; zresztą mówił mi Chojecki, że pani Krasińska już dawno wyjechała z Paryża, a Branicki teraz bawi w Londynie“.

„Widzisz więc, że to wszystko, co Ci tam pisali, było fałszem, fałszem jak największym. Mógłbym więc, jak mi sam radzisz, puścić uwagi Twoje z wiatrem, gdyby mnie od tego nie wstrzymywał wzgląd, nie na ostre Twoje słowa o mnie, które po największej części są bardzo uzasadnione, ale wzgląd daleko wyższy, wzgląd na brak zaufania, któryś do mnie okazał. Wolno Ci było powątpiewać o stałości zdań i zasad moich, ale o szczerości mojej, nigdy! Za pierwszą nie ręczę, ale za drugą zawsze. Może być, że inne nabrać mogę zdanie, a gdyby się to stało, to Ci z góry zapowiadam, żebym Ciebie o pozwolenie wtenczas nie prosił — bo zdanie, zasada, to nie rzecz przyjaźni, ale przekonania i sumienia; ale zawsze byłbym Ci o tem doniósł w całej szczerości mego serca. Oprócz jednej rzeczy — o której nie każdemu mówię — życie moje jest takie, że w każdej chwili mogę spowiedź zrobić publiczną i ufam w Bogu, że takiem zawsze i pozostanie. Ty, co wiesz o wszystkiem, o wszystkiem, co się mnie tyczy, Ty nie masz prawa podejrzywania, nie stałości — ale szczerości mojej. Kiedy Ci coś podobnego donieśli, powinieneś był zaraz sobie i im powiedzieć: „To nie prawda — nieprawda, nie dlatego, aby Klaczko nie mógł innego nabrać przekonania, ale, że nabrawszy, byłby mi tego nie utaił!!“ Tego się spodziewałem, tego żądać nawet po Tobie miałem prawo — i wyznam Ci otwarcie, że ten brak zaufania do mnie bardzo mnie zmartwił, a jeszcze bardziej zadziwił“.

Sąd o *Trybunie*, śmiałość w wypowiedzeniu tego sądu przed jej zwolennikami czy twórcami, to znak, że zmysł polityczny wyrabia się, dojrzewa i staje się politycznym rozumem. Ale temperament zostaje, wpływ nerwów zostaje, i oburzenie namiętne staje się czasem uprzedzeniem, niesprawiedliwością. Stronnictwa umiarkowane i ich dzienniki, oskarżały Polaków o uczestnictwo w czerwcowych rozruchach paryskich, a z radością witały marsz wojsk rosyjskich na Węgry; widziały w nim klęskę rewolucyi, anarchii. Jeżeli one się myliły, to Klaczko znowu przebrał wszelką miarę w oburzeniu, kiedy wołał i „przysięgał“, że „to Moskale“, a nawet dla Montalemberta nie robił wyjątku.

„Zdanie moje co do osób i stronnictw tutaj bardzo się zmieniło. Dawno Ci już o tem chciałem pisać, i nie chciałem. Chciałem, bo czułem potrzebę wynurzenia się; nie śmiałem, bo wiem, jak niepodobnem zamknąć w ciasnych granicach listu rzecz tak ważną i wielostronną. Muszę to już jednak uczynić, choćbym miał być niezrozumianym, a co jeszcze gorzej, źle zrozumianym“.

„Otóż Ci to z góry zapowiadam, że umiarkowani tutejsi, to są M o s k a l e, tylko Moskale. Dziś wschodni ląd dwóch bójką wiar: Polska i car — a wiarą pp. Molé, Thiersa, Falloux i Montalemberta jest car. Zżymaj się jak chcesz: powiadam Ci to szczere moje przekonanie, a dodam Ci tu, że podziela je i Królikowski i X. Semenenko i T. Morawski. Czemże jest Thiers, który jeszcze przed sześcioma miesiącami pisał (*Histoire du Consulat* t. III): „Il faut être traître ou aveugle pour ne pas voir, que les Russes sur le Danube c'est le plus grand péril pour la France, pour l'Europe, pour la civilisation?“ Czemże jest p. Tocqueville, który się zachwyca nad szczerością i uczciwością polityki moskiewskiej? Czemże jest p. Montalembert, który roku zeszłego, gdy eksploatacya kolei żelaznych zagrożoną była, znalazł tak piękne, tak wzniosłe, tak piorunujące słowa — a teraz ani słówka nie znajduje dla obrony Węgier, Galicyi, i całej cywilizacyi katolickiej, Moskwą zagrożonej? Czemże jest p. Falloux, który przeszłego tygodnia — jest to fakt prawdziwy, znam go od reakcyonaryusza,

który był naocznym świadkiem — powiedział w pewnem towarzystwie, gdy mu donieśli, że Moskale pobili Węgrów: „Dieu merci, les Russes font nos affaires!“ Tak, tak! „Les Russes font leurs affaires, et eux ils font les affaires des Russes“.

„Przypatrz się tylko, z jaką wściekłością dzienniki *honnêtes et modérés* prześladują Polaków! Z jaką zwierzęcą lubieżnością nas chłostają! A dlaczego? Czyż dlatego, że my zagrażamy ich społeczeństwu? To fałsz, fałsz bezwstydny. Dwustu przyaresztowano cudzoziemców z powodu zaburzenia 3 czerwca — między tymi dwóch Polaków tylko... Gdzież więc są ci *condottieri de l'anarchie*, te legiony polskich podpalaczy? Dwóch tylko na dwustu obcych znaleźli — a jednak nie przestawają w potwarzaniu i prześladowaniu... dla czego? Dlatego, że to jest *mot d'ordre* Kisielewa, dlatego, że tego sobie życzy Moskwa. Moskwa!! to jest ich *ultima ratio*, ich kotwica, ich *bussola!* Czerwoni, mimo wszystkich swych brudów, szaleństw i podłości, mają dwie wielkie, dwie święte prawdy: reformę i wojnę. Jest to fałsz, jest to obłuda, że umiarkowani z bojaźni przed Czerwonymi zaskorupili się w zbrodniczej bezczynności i nieczułości. To fałsz, to obłuda!! Właśnie tylko przez reformy i przez wojnę mogą zwyciężyć Czerwonych, właśnie tylko przez to mogą ustalić pokój. Bugeaud tego chciał — on jeden poznał prawdę, on jeden nie był Moskalem. Ale oni, to Moskale, oni chcą tylko ruiny społeczeństwa, wolności, cywilizacyi, byle tylko uratować kufry bankierów!“

„Ten, kto wobec teraźniejszych wypadków, wobec Rosyi, zagarniającej całą Słowiańszczyznę, jeszcze śmie mówić o pokoju, nawet o szlachetnych zamiarach cara — to choćby nie był „Moskal rodem, ten Moskalem stał się z ducha, ten mongolskich natchnień słucha, Moskwa-Piekło mu Narodem!“ Nie wolno nam sprawy naszej łączyć z Czerwonymi. — Ale także nie wolno łączyć jej z umiarkowanymi, z pp. Fould i Falloux! Nasza chorągiew jest czerwoną i białą zarazem!!! Pamiętaj o tem, kochany Janie, nie sądź podług *Debatów*

4*

i *Univers'a* — bo to dzienniki moskiewskie, przysięgam Ci, że moskiewskie".

„Powiesz, że to radykalne frazesa, że to tyrady gazeciarskie — cóż robić? Jestem święcie przekonany, że gdybyś był w Paryżu, gdybyś widział i słyszał tych ludzi — zdanie Twoje nie różniłoby się od mojego... Ponieważ to się stać nie może — czas tylko i doświadczenie Cię przekonać potrafią — bo wiem aż nadto dobrze, że moje słowa nie ważą".

Być może, że nie wolno łączyć sprawy polskiej z umiarkowanymi, ale czy wolno w jednem oburzeniu łączyć ludzi takich, jak p. Falloux, z takimi, jak Fould? Czy wolno Montalemberta nazywać Moskalem? Łatwość oburzenia się na złe była szlachetną cechą Klaczki i wielką jego siłą jako pisarza, ale namiętność w oburzeniu, podniecana zależnością od chwilowego wrażenia, unosi go, przebiera miarę, i czyni go niesprawiedliwym.

Dalej już, w tym samym liście, o Stanisławie Chłapowskim i jego staraniu się o pannę Zofię Kurnatowską, i wreszcie o sobie, o *Hegemonach*.

„Żałuję mocno, że nie jestem teraz w Turwi, mógłbym może Stasiowi w czem być użytecznym. Pani Gustawowa mi pisała, że jeszcze wszystko w zawieszeniu, ale ja to uważam tylko za konieczne i zwykłe *decorum*, bo ile wiem, Staś się pannie Zofii bardzo podobał. Boże szczęść im — a kiedy będą złączeni, niech nie zapomną, że się do ich szczęścia przyczynił człowiek, któremu to jedno jedyną może będzie prawdziwie miłą pamiątką z życia wśród Polaków!"

„Dziękuję Ci serdecznie za recenzye! Za bardzoś mnie chwalił — co się tyczy nagan, wszystkie są słuszne. Śmiałem się bardzo z „radykalnych grubiaństw". Co mnie najbardziej ucieszyło, to ta serdeczna życzliwość, która się w każdym niemal przebija wierszu. Jeszcze raz dziękuję Ci za ten sąd, tak surowy a tak przychylny!"

„Mimo Twoich uwag jeszcze się nie mogłem przekonać o słuszności zarzutu co do *Hegemonów*. Ale to za błaha rzecz,

aby się nad tem jeszcze dłużej rozwodzić. Pewnoś zauważył pochlebną wzmiankę broszurki mojej w artykule Taillandiera w *Revue des Deux Mondes*".

„Chciałem tu napisać drugie ulotne pisemko p. t. *Die Deutschen Epigonen, Post-scriptum an Herrn Georg Gervinus* — miałem już ją prawie całą napisaną, ale różne względy mnie wstrzymywały. Uwagi Twoje w recenzyi zadały jej cios ostatni - i żebym więcej nie miał tentacyi, zaraz po przeczytaniu Twej recenzyi spaliłem brulion. *Fuit pamphletus!!*"

Otóż, z tego zniszczonego pamfletu, jak się autor wyraża, uratowało się parę początkowych kartek. Kiedy Klaczko zakazał drukować *Hegemonów*, to tem bardziej niema się prawa tłómaczyć i ogłaszać tego urywka, skazanego na zniszczenie przez autora zaraz po napisaniu. Trzeba poprzestać na krótkiej o nim wiadomości. Tytuł: *Die Deutsche Schuld, Nachschrift an Herrn Georg Gervinus, von J. K.* (*Verfasser des Sendschreibens „Die Deutschen Hegemonen"*). Powód napisania następujący.

W r. 1848 Niemcy domagały się Holsztynu, Prusy miały go odbierać; w r. 1849, na upomnienie cesarza Mikołaja, wszystko ucichło. Prusy się cofnęły, Rzesza musiała się cofnąć. Upokorzenie, zawstydzenie. Gervinus, w artykule czy broszurze (przez Klaczkę bliżej nie oznaczonej), daje mu wyraz w tych słowach: „Jeżeli tak jest na prawdę, że my odstępujemy sami, albo pozwalamy odstąpić tej sprawy Szlezwiku i Holsztynu, w którą włożyliśmy naszą cześć — jeżeli istotnie zatraciliśmy to uczucie, które robi ucisk gorzkim, a wstyd nieznośnym — jeżeli tak jest, to istotnie nadszedł ten czas, że naród stracił nie już wszelką sławę, ale wszelkie pretensye do waleczności i do polityki, czas, w którym człowiek musi zamknąć się sam w sobie, a nadzieję swoją odłożyć do tej godziny rozpaczliwej, kiedy to żyjące pokolenie mdłych serc gwałtem będzie odwołane, a ustąpi miejsca innemu, takiemu, co w rzeczach narodowego honoru będzie miało więcej namiętności, a więcej żółci przeciw zuchwalstwu i samowoli".

Tak mówi Gervinus. Klaczko odpowiada, że nie chce mu urągać, i choć miałby do tego prawo, nie chce uczyć się od Niemców szlachetnej sztuki deptania po upadłych; bezsilną złością tchnące słowa Gervinusa, w nim nie obudziły uczucia *der Schadenfreude*. „Ale że do tego przyszło, że Pan na swój naród rzucasz wyrok i klątwę, jakiej drżące usta na zgubę przez was poświęconego Polaka nie śmiałyby wymówić!"

Urąga swoją drogą. Drwi z tej korony cesarskiej, trzymanej w drżących rękach nad głową Hohenzollerna: głowa zadrżała ze strachu, usunęła się, korona padła na ziemię i rozbiła się w kawałki...

Lepiej, że tego nie skończył, że nie wydał — bo jak dziś ta korona urągałaby jemu!

Ostatnie słowo tego wstępu jest, że straszna, niezmierna jest pokuta i kara, bo straszną, niezmierną była wina.

Dalszego ciągu już niema.

Jest dalszy ciąg, zakończenie, tego listu z 14 lipca. Prośba o książki, troska o chleb powszedni, przyjęcie z bólem serca pomocy Gustawa Potworowskiego.

„Ozanama wreszcie dostałem. Proszę cię, jeżeli możesz, o list do niego, bo bardzo byłbym rad go poznać. Rozbiór (boję się tylko, żeby nie był zbyt obszernym) prześlę w tych dniach. Czytam teraz *Źródła historyi polskiej* i obrabiam właśnie życie św. Wojciecha — czy zamieściłbyś ten ustęp w *Przeglądzie?* Gdybym został w Paryżu, chciałbym mieć tu moje książki i papiery z Królewca, bo mi bardzo potrzebne. Napisałem do Królewca, aby je posłali do p. Gustawa; czy nie mógłbyś znaleść sposobu przesłania mi ich do Paryża?"

„A teraz o rzeczach materyalnych. Trudno, muszę przyjąć przesyłkę p. Gustawa. Ale cóż będzie dalej? Byłem już tu w bardzo wielkim ambarasie, zwłaszcza, że krytyczne położenie Królikowskiego nie pozwalało mi zaciągnąć u niego pożyczki. Musiałem, zrzuciwszy pychę z serca, pożyczyć 100 franków od Wołowskiego. Zwrócę mu je teraz — ale co dalej będzie? Jeżeli nie znajdę tu zatrudnienia, wrócę do Księstwa."

„O śmierci pani Karoliny Mycielskiej [1]) wiedziałem już z gazet“.

„Zatrwożył mnie wczoraj p. Morawski wiadomością o okropnem wzmaganiu się cholery u was. Cała familia Unrugów miała wymrzeć. Boże zlituj się nad nami! Pozdrów serdecznie całą kochaną Turwię, tudzież i Górę [2])“.

„Żegnam Cię — a odpisz mi zaraz. Twój

Julian“.

Biedne sto franków musi pożyczać od Wołowskiego! Cieszy się, że je odda z tej pomocy, jaką musi przyjąć od Potworowskiego. Więc jest w biedzie zupełnej, wielkiej?

I w takiem położeniu spada na niego ofiara, propozycya, wszelkiej wygody, obfitości, dostatku — a on ją odrzuca? To przejście w jego życiu zostało tajemnicą między nim a Janem Koźmianem, aż do czasu kiedy po śmierci Klaczki jego listy odsłaniają niektóre tajemnice jego życia, a zarazem czystą wzniosłość jego duszy.

Oto jak rzecz się miała.

W liście bez dnia, ale jeszcze z r. 1849, pisze Klaczko do Koźmiana w wielkiem wzburzeniu, że wczoraj wpadł do jego mieszkania jego stryj (zapewne wuj, bo nazwisko inne, Grünberg), bogaty bankier, który uczciwym sposobem dorobił się wielkiego majątku, a teraz osiadł w Paryżu z żoną, z synem i z zamężną córką. O Klaczce i jego pobycie w Paryżu dowiedział się w ten sposób, że miał agenta w Królewcu, a że Klaczko znosił się z rodzicami przez Królewiec, więc ów agent mógł się dowiedzieć, że on w Paryżu, i zawiadomił o tem Grünberga. Ten był nietylko krewnym, ale był dobrodziejem rodziców Klaczki. Po stratach majątkowych powierzył jego ojcu agencyę swoich interesów w Wilnie, i przez to dał mu utrzymanie.

---

[1]) Karolina z hr. Wodzickich hr. Józefowa Mycielska, zmarła w Warszawie 15 czerwca 1849 r.

[2]) Majątek hr. Cezarego Platera.

Ten więc człowiek stanął przed Klaczką niespodzianie. Odurzonego tem spotkaniem porwał do swego powozu, zawiózł do swego domu, i wreszcie zapytał:

„Czy dziś, czy jutro się do niego przenoszę?... Na moją odpowiedź, że pozostanę tam, gdzie jestem, stryj z dobrocią, z wielką dobrocią, ale i nie mniejszą stałością, odrzekł mi, żeby sobie tego nigdy nie był w stanie wybaczyć, aby synowiec jego mieszkał w chałupce takiej, że nie mając żadnych przesądów, jeden tylko posiada familijny, że u niego mieszkać muszę, że mi wszystko da, w niczem mnie użyć nie myśli, że mnie wprowadzi do wszystkich wielkich domów, przedewszystkiem do Rotschilda i Foulda, że chce ojca mego, wystaw sobie najdroższy Janie, ojca mego tu sprowadzić, byśmy razem w szczęściu żyli, że czuje moralny obowiązek opiekowania się mną, że do tego użyje wszelkich „nawet prawnych“ środków, że czas już porzucić „fantazye i kaprysy“ i pomyśleć o sobie, a w razie „gdybym sam tego nie chciał, to on już się tem mojem szczęściem zajmie...“

„Szczęście a szczęście i zawsze szczęście!! Ten człowiek gotów mnie różami udusić! Wyszedłem, wybiegłem, szukałem Ciebie... Ciebie! O Boże, cóżbym za to nie dał, gdybym Ciebie miał tutaj! Serce mi wrzało, głowa zdawała się pękać, co za dziwne położenie! Stryj według swego przekonania chce tylko mego dobra, ma najszlachetniejsze, najuczciwsze zamiary ze mną... a ja o mało com go nie przeklął w duszy za tę dobroć, za tę uprzejmość!!“

Jak jest wzburzony i rozdarty między uczuciem wdzięczności z jednej strony, a własnej stałości i wierności z drugiej, to wyraża z akcentem niemal patetycznym rozterki i bólu.

„O jeśli serce Twe jest tem zwierciadłem, o którem mówi Pismo Święte, wejrzyj tylko w nie, najdroższy Janie, a poznasz i zadrżysz, albo może i mnie przeklniesz...“

„Cóż robić? zapytałem siebie“.

„Nie tracić chwili i uciec z Paryża? Prawiem się na to zdecydował, ale obawa dziecinnego pośpiechu, a przytem wstyd, wstyd, że uciekam jakbym jakąś zbrodnię popełnił, wstrzymały mnie od tego. Kogo się poradzić? Kogo? gdy sprawa żadnej nie cierpiała zwłoki? Ciebie nie miałem, najdroższy mój Janie — ale cząstkę Twego serca uniosłem z sobą“.

I powziął postanowienie.

„Przypomniałem sobie coś mi raz mówił, że prosto i szeroko postępować jest Cnotą i Rozumem zawsze — i po krótkiej walce z sobą przyszedłem wreszcie do tego rezultatu“.

„Wróciłem do stryja i miałem z nim długą rozmowę. Nasłuchałem się wielu, wielu rzeczy, zniosłem wszystko. Powiedział mi, że kiedy nie mogę mu zaręczyć, że pracuję dla zapewnienia sobie przyjemnej i niezawisłej w świecie pozycyi (i jakże mu to mogłem zaręczyć?) to jedyna tylko mi pozostała pozycya — w domu waryatów, i t. d. i t. d.“

„Powiadam Ci, kochany Janie, żem wszystko cierpliwie wysłuchał. Potem stale, bez uniesienia, bez drapowania się, ale też bez goryczy, owszem z głębokiem przekonaniem o dobrych acz jednostronnych zamiarach jego, odpowiedziałem mu, że szanuję i cenię to wszystko, co dla biednych rodziców już zrobił, a dla mnie uczynić ma chęci, że będę mu za to wdzięcznym do zgonu — ale że są przekonania, obowiązki, których zmienić i znieść nie można, że ja takie mam i je zawsze wypełniam, że może być pewnym, że nigdy się nie spodlę, ale też że nigdy nie odstąpię mego sumienia, chociażby ono tylko kaprysem być miało, że zawsze we mnie znajdzie wdzięcznego synowca, ale że życie moje religijne i polityczne mnie samemu tylko należy, i że gdy zechce w nie wglądać, w niem mnie dozorować lub przeszkadzać, to natychmiast opuszczę Paryż, i już się nigdy z miejscem mego pobytu nie wydam“.

„Czym dobrze zrobił? Czy pozostała mi inna droga? Osądź to sam, mój najdroższy Janie!“

„Stryj był bardzo wzruszony tem przedstawieniem gorącem, acz spokojnem. Powiedział mi, że widzi, iż ma z obłąkanym do czynienia, że jednak nie chce być posądzony „za nietoleranta", że tylko czasem pozwoli sobie mnie napominać i wskazywać mi drogę zdrowego rozsądku i prawdziwego szczęścia... że byłby podłym i grzesznym, gdyby tego nie próbował, ale że to spróbuje w najłagodniejszych, „najliberalniejszych" formach..."

„Taki był rezultat rozmowy. Przyrzekłem bywać u niego choć raz w tydzień. Czule się ze mną wszyscy pożegnali. Nie potrzebuję Ci powiedzieć, żem się wymówił od wszelkich podarunków i wszelkich *moyens détournés*, któremi poczciwi ludzie chcieli mnie wydobyć z mego, jak się wyrazili „zbyt Dyogenesowego położenia".

„Cały dzień dziś zszedł mi na rozmyślaniu skutków, które ten wypadek na dalszy bieg mego życia wywrzeć może. Nie będę Ci tu opisywał moich uczuć i wzruszeń. Jeśli mnie znasz, jeśli mnie kochasz, położenie moje ocenisz ze strony cierpień, walk i sumienia — słowa wszelkie są tu zbyteczne. Chcę Cię tylko się pytać: cóż teraz robić? Czekam twojej odpowiedzi — ażeby mogła być zupełną, muszę tu jeszcze w kilku rysach uzupełnić i moje obecne stanowisko. Stryj nie zrezygnował wcale; powiedział mi owszem, iż uważa to za święty obowiązek doglądania i pilnowania mnie. Liberalizm, to rzecz bardzo elastyczna, tolerancya, to trzęsawisko moralne — zwłaszcza u ludzi jego sposobu myślenia. Mogę tu być wkrótce otoczonym zewsząd — a chociaż stałości w przekonaniu nie stracę, to niezawodnie spokojność w pracy".

„Wiesz, kochany Janie, że już od dwóch dni nic, nic nie wziąłem do ust, że jestem tak zbity, tak zniszczony, że mnie serce tak boli, ach tak boli, jakby mi je kto we dwoje rozłamał! Położenie takie jest nieznośne, nie do wytrzymania".

„Bym mógł w czemkolwiek spokojność odzyskać, muszę być tak zabezpieczonym i zapewnionym, abym w każdej chwili, bez zwłoki i zabiegów był zawsze w stanie opuszczenia Paryża. Jak to wykonać, jak to zapewnić, jak to urzą-

dzić, dokądbym się wtenczas mógł udać, by zaginąć — obmyśl, kochany drogi Janie, bo ja teraz o niczem myśleć nie jestem w stanie".

„Jeśli mnie kochasz, odpisz, odpisz i pomóż Twemu

Julianowi".

„Życie moje polityczne i religijne należy do mnie samego". Z tych słów można się domyślać, że uczucia polskie, program nauki i pracy dla Polski, Grünberg uważał za „kaprysy i fantazye obłąkanego". Z tego zaś, że mówił o tolerancyi i liberalizmie, wnosić można, że Klaczko wyznał, a przynajmniej dał poznać, że jest zachwiany w swojej dawnej wierze. Czy już przyjął nową? Jeszcze nie, ale przekonaniem swojem, wolą i postanowieniem już do niej należy.

Po tem przejście drugie, nie tak bardzo, ale jednak przykre: pojedynek, z którego się Klaczko ze skruchą przed Koźmianem usprawiedliwia:

„Mój kochany Janie!

„Proszę na samym wstępie o pobłażanie, a nie wątpię o dobrych usposobieniach; chciałbym tylko, abyś mnie co do tego jednego wypadku nie wprzód sądził, aż się całkiem wmyślisz w położenie moje, jestem bowiem pewny, że na ten czas zganisz mnie wprawdzie, bo niepodobna nie zganić, ale zarazem i wytłómaczysz. Przypadek ten był bardzo dziwny, a dla Ciebie pewno niespodziany, jednem słowem: pojedynek. Wiele w tem zawiniłem, nie w skutku, ale w przyczynach — a przyczyną było moje zbyt lekkomyślne postępowanie, lepiej: pospolitowanie się z młodymi emigrantami, których widywałem w kawiarni, gdzie czytam gazety. Zacznę *ab ovo.* Młodzież emigracyjna tutejsza przesiąkła całkiem wyobrażeniami komunistycznemi. Bolało to mnie mocno: starałem się, może nie powołany, kilku zdolniejszych i lepszych nie nawrócić, ale przynajmniej do głębszego zastanowienia się zachęcić. W tej myśli dałem im do przeczytania artykuł Szymańskiego w *Przeglądzie* o *Komunizmie.* Rezultat z tego był, żem Jezuita. Nasłuchałem się dużo przycinków, zniosłem

je z największą spokojnością, zbywałem żartami. Wreszcie pewnego dnia, czytając gazety, wszedłem do pokoju bilardowego — bo nie potrzebuję Ci powiedzieć, żem jeszcze ani razu w życiu kija bilardowego nie miał w ręku. Dwóch tam grało, jeden z nich nazwiskiem Świerzyński, człowiek w dość podeszłym wieku (lat 40 może), który brał udział w r. 1830, a r. 1848 emigrował. Jest on z Płockiego, sławny awanturnik, który już wiele burd narobił w kraju i nie jeden miał pojedynek; słynny wreszcie jako dobry strzelec. Otaczający go młodzi wychodźcy robili różne koncepta nad jego grą, a ja, który nic a nic z niej nie rozumiałem (a dlatego tembardziej zasługujący na naganę), idąc za przykładem drugich, powiedziałem, że p. Świerzyński zdemoralizowany w grze i że się poci z biedy; tych tylko słów użyłem niestosownych bezwątpienia, ale w niczem nie obrażających. P. Świerzyński w niczem się też nie obraził: dopiero gdy wychodzącego otoczyli młodzi i — jakem to wyraźnie słyszał i słyszeli inni — zaczęli go namawiać do skarcenia mnie za niestosowne żarciki, a przy tych podżeganiach nie obeszło się też bez „Jezuity“, dopiero wtenczas przystąpił p. Świerzyński do mnie i z wielkim krzykiem wpadł na mnie, żem śmiał z niego żartować. Odpowiedziałem, żem nie z niego, ale z gry żartował, że to wreszcie i inni i na większą skalę robili — a gdy on jeszcze bardziej się unosząc powiedział mi, iżbym tylko nie myślał, żem jemu podobny i że się z nim zmierzyć mogę, odrzekłem bardzo niestosownie, że też daleki jestem od tej myśli i że widząc jego irrytacyę z powodu przegranej partyi, nic mu za złe wziąć nie mogę. Odpowiedź ta, wyznaję, była bez taktu, bez godności i celu. Świerzyński zagroził mi wyzwaniem i nazajutrz je też odebrałem. Nie potrzebuję Ci powiedzieć, kochany Janie, jak bolesnym był dla mnie ten brzydki przypadek, a że pojedynku nie pochwalam, to ci wiadomem. Ale położenie moje było takie, że go przyjąć musiałem, zwłaszcza, że mi usłużni rodacy donieśli o przebąkiwaniach reszty, że „Jezuici to tchórze“. Zaręczam Ci jednak osobiście i święcie, kochany Janie, żem wszystko zrobił, co było tylko w mojej mocy, dla załagodzenia sprawy

bez ubliżenia sobie. Prosiłem Słonczewskiego[1]), by się w to wdał i zaproponował sąd honorowy; ale Świerzyński ani chciał wiedzieć o tem. Biedny p. Królikowski[2]) wiele wycierpiał w tych dwóch dniach; bo zdawało mi się obowiązkiem go o tem uwiadomić. Wiedział też o tem i X. Terlecki[3]) i okazał mi wtenczas prawdziwe chrześciańskie i ojcowskie współczucie, chociaż nie mogłem przystać na to, aby on jako ksiądz wdał się w tę sprawę, jak mi to w swojej dobroci zaproponował. Królikowski rozmówił się z jednym z moich sekundantów i miałem przynajmniej to zadowolenie, że i mój sekundant, obecny całej awanturze, opowiedział Królikowskiemu ją temi samemi co i ja słowami i zaręczył uroczyście, żem Świerzyńskiego w niczem nie obraził i że ten tylko przez podżeganie innych szuka zaczepki. Wystaw sobie jednak, kochany Janie, do jakiego stopnia może dojść zaślepienie ludzkie. Świerzyński, który tak dobrze strzela, który 5-frankówki rzuconej w powietrzu nigdy nie chybia, a który dobrze wiedział o mnie, żem jeszcze nigdy pistoletu w ręku nie miał, Świerzyński przez te trzy dni przesiadywał u Lepaża[4]) i wprawiał się w strzelanie! Nadszedł wreszcie dzień czwarty. Było to w sobotę – wyjechaliśmy do lasku w Vincennes. Warunki pojedynku były: 18 kroków z mierzeniem i jeden strzał na komendę. Świerzyński i na placu nie chciał słyszeć o zgodzie, a chociaż powiedział był Słonczewskiemu, że nie myśli mnie zabić, ale mnie tylko tak naznaczyć, abym całe życie o nim pamiętał, to jednak tak dobrze wymierzył, że mi jego kula koło ucha świsła. Że ja nie mierzyłem, to sam sobie powiesz, wypaliłem w chybitrafi, czyli raczej wcale nie wypaliłem, bo proch się tylko na panewce spalił. Miałem podług prawa jeszcze jeden strzał.

---

[1]) Młody emigrant, uważany za zdolnego i uczonego ekonomistę.

[2]) Księgarz — filozof i mistyk.

[3]) W późniejszych latach przyjął obrządek wschodni, w myśli służby missyonarskiej w Słowiańszczyźnie bałkańskiej. W końcu przeszedł na schizmę.

[4]) Lepage, sławny sklep broni i strzelnica.

A p. Świerzyński bardzo przytem obstawał, bym mu dał tę „satysfakcyę“. Oświadczyłem jednak, że w żaden sposób na to nie przystanę, że ja z mojej strony jestem już kompletnie zadowolony i że p. Świerzyński na mnie strzału nie wymusi. Sekundanci moi mnie w tem popierali, a ci ze strony Świerzyńskiego na to się zgodzić musieli. Taki był koniec tej awantury; w każdym razie ze wszystkich najpożądańszy“.

„Nie zataiłem Ci tu nic i umyślnie w najdrobniejszych wszystko opisałem szczegółach. Brudna ta bilardowa burda niezawodnie Cię zasmuci i rozgniewa. Przyznaję się do winy i zaręczam Ci, że mi będzie nadal nauką. Jeśli jednak bliżej się rozpatrzysz, przyznasz, że już raz wlazłszy w to błoto, wyszedłem z niego jeszcze jako tako. Królikowski mnie trochę wyłajał, ale i sam przyznał, że niepodobna mi było się inaczej wycofnąć. X. Terlecki wprawdzie innego był zdadnia i być musiał — ale w świecie, w którym żyjemy, są wymagania i prawa, których trudno nie usłuchać, zwłaszcza w takiem, jak ja położeniu. Jeszcze raz więc, kochany Janie, pozwalam Ci się gniewać i mnie wyłajać, ale żądam też pobłażania i przebaczenia!“

„A teraz przejdźmy do czego innego. Stosunek mój z p. Grünbergiem nie najlepszy. Żąda on po mnie rzeczy niepodobnych. Chce, żebym często do niego przychodził, bym dzielił zabawy jego familii, od których mój umysł zbyt daleki. Niema on żadnej delikatności: ciągłe przycinki, to co do mego mieszkania *(Dans un quartier de prolétaires, par communisme)*, to co do mego niemodnego ubioru i t. p. przycinki, kończące się zawsze jakąś nową propozycyą z jego a nowem odmówieniem z mojej strony. I jakież propozycye, mój Boże! Wystaw sobie, że mi raz ofiarował seryo angielskiego konia!!! — A nakoniec wyznał mi w całej cynicznej szczerości, że gdyby to było w jego mocy zwrócić mnie z drogi z teraźniejszych moich szaleństw przez kobiety, nie wahałby się ani chwili tego środka użyć... Co też to za niezmierzona otchłań, to serce ludzkie! I mój biedny ojciec zaklina mnie w liście, bym słuchał rad stryja!! Jaki tego wszystkiego koniec będzie, trudno mi przewidzieć. Zawsze

jednak niespokojny jestem. Zdaje mi się ciągle, że to chmury, które się powoli zbierają, a z których jeszcze grom wypadnie. Bądź jednak przekonany, kochany Janie, że siebie nie zdradzę i że w ostatecznym razie potrafię ujść przed niebezpieczeństwem".

„Pisałem Ci o pani Cornu[1]). Za jej staraniem miałem dostać miejsce w Bibliotece Richelieu. Było to mi już przyobiecanem. Za pięć godzin codziennej roboty (miałem pracować w *Bureau des acquisitions* i przedstawiać dzieła nowo wychodzące w języku niemieckim, francuskim, polskim, czeskim i t. d.), miałem pobierać 1200 fr. rocznie, ale coś znowu się to rozbiło. Przynajmniej że już od trzech tygodni wyglądam stanowczej odpowiedzi, którą we trzy dni dostać miałem. Jeśli z tego nic nie będzie, a spodziewać się tego należy, cóż natenczas pocznę? Czy nie mógłbyś w tym razie coś urządzić z p. Maciejem i p. Gustawem? Konieczność niestety przytłumia już we mnie powoli i moje skrupuły. Nie czyń jednak żadnego kroku, póki Ci nie napiszę, jak się skończyło z biblioteką".

„Ozanama spotkałem na ulicy, bardzo uprzejmie mnie przywitał. Na nieszczęście podróż, którą przedsięwziął do Szwajcaryi, przeszkodziła bliższemu zaznajomieniu się. W październiku wróci. Przybył tu i p. Aleks. Thomas, alem go jeszcze nie widział".

„Natomiast poznałem Bohdana Zaleskiego i Cyprana Norwida. Głównym przedmiotem rozmowy byłeś Ty. Norwid mnie bardzo niepokoi: i serce chore i umysł chory — rady nie przyjmuje, a kołysze się ciągle w jakiejś samobójczej genialności, a ze zdolnościami swemi robi tylko łamane sztuki, więcej obawy niż podziwienia obudzając".

„Gervinus'a nowe dzieło o Szekspirze (dotąd dwa tylko wyszły tomy) warte czytania. Zalecam je szczególnie p. Stanisławowi. Dostałem je i przy tej sposobności czytam i samego Szekspira; przeszedłem już wszystkie historyczne dramy,

---

[1]) Mleczna siostra Napoleona III, wtedy Prezydenta Republiki, i jego przyjaciółka do śmierci.

a obok tego czytałem Lingarda i Turnera z tej epoki. Uczę się teraz angielskiego języka, zwłaszcza, że zamknięcie bibliotek przerwało moje studya kronikarskie. Czytałeś Macauleya?"

Po tym liście bez daty, następny z 7 listopada 1849 r. donosi o pożądanej zmianie w położeniu Klaczki. Dostał miejsce w Bibliotece.

„Kochany Janie!

„Wiesz już, żem dostał miejsce. Dotychczas jestem kontent z położenia mego, a konserwator oświadczył mi też ze swojej strony zupełne zadowolenie z moich robót. Jest, jak mówisz, punkt oparcia. Trzeba mi nawet będzie wkrótce pomyśleć o przedłużeniu mego paszportu, jeśli można, na dwa lub trzy lata. O powrocie do Księstwa nie wolno mi myśleć. Byłoby to grzechem, dostawszy wreszcie jakiekolwiek zatrudnienie, znowu być ciężarem dla innych. Zresztą obowiązków obywatelskich nie mam, mam tylko naukowe, a te zarówno, albo raczej nierównie lepiej tu wypełniać mogę. Piszę Ci to, bom i o to spór wiódł z Michałem [1]). Tyle razy już w mem życiu lekkomyślnie jak jakiś Tell przewrotny odepchnąłem biedną moją łódkę od portu, że już teraz nie tak prędko opuszczę przystań, jakkolwiekby niedogodną być mogła. Mój Boże, a jednak, czegóżbym nie dał za to, żebym mógł być na ślubie Stasia i Zofii!!"

„Lubo Ci tu piszę bardzo spokojnie, muszę Ci powiedzieć, żem w ciągłem gorączkowem rozdrażnieniu. Główną przyczynę Ci już powiedziałem, drugiej się łatwo domyślisz. Grünberg prześladuje mnie ciągle, troskliwością, pieczołowitością, przechodzącą wszystkie granice, niezważającą na żadne odmowy, niezrażającą się nawet żadnym, nawet i brutalnym, wyskokiem. Nie będę Ci tu szczegółów opisywał, są one bez wartości dla Ciebie, mogłyby nawet w Twoich oczach być śmiesznemi. Bądź co bądź mnie to wszystko drażni, kole, cierpię niewypowiedzianie..."

---

[1]) Michał Mycielski, później ksiądz, Jezuita.

„Położenie moje finansowe niezbyt świetne. Pobieram 100 fr. miesięcznie, ale te mi na nieszczęście kwartalnie *ex post* płacą, tak, że w ciągłej jestem biedzie. Nadto przenosiny, skwitowanie się ze starych zaległości w dawniejszem mieszkaniu, a wreszcie gwałtowna potrzeba sprawienia sobie jakiegokolwiek porządnego ubioru, to wszystko stanowi pewną moralną konieczność, którą ledwie materyalnie ogromną cyfrą 500 franków śmiem wyrazić. Chciałem się udać do Ciebie, ale na uwagę Michała, że Ci teraz dosyć ciasno, myślę w tych dniach napisać do p. Gustawa. Ufam w Bogu, że to już będzie po raz ostatni.

Twój *Julian*".

„Życie tu moje bardzo spokojne i ciche. Po tylu latach tułactwa bez celu, zdaje mi się, że znalazłem przystań chwilową, a co więcej, towarzyszów myśli i uczuć, których dotąd na próżno między rodakami szukałem. Czy długo to wszystko potrwa? Czy nowi znajomi nie uwierzą fałszom i potwarzom i nie ogłoszą mnie zdrajcą bez wysłuchania, mnie, jak to robili dawni? Czy i Ty, kochany Janie, nie zmienisz wkrótce zdania i nie pożałujesz, żeś mi na chwilę rękę ścisnął?... Bóg jeden to tylko wiedzieć może, a lubo ufam w Jego dobroć, że mi oszczędzi drugiej boleśniejszej próby, staram się jednak w duchu na wszystko przygotować i okazać się godnym tylu bolesnych doświadczeń".

Co znaczy ten zwrot gorzki? do czego się odnosi? kto i kiedy rzucał na niego potwarz i ogłaszał zdrajcą? Objaśnienia wszelkiego brak.

List następny, z 6 grudnia, pisany w wielkiem oburzeniu na rewolucyę rzymską, rzuca ciekawe i piękne światło na uczucia religijne Klaczki (wtedy jeszcze nie chrześcianina), a zarazem na tworzenie się i wyrabianie jego pojęć politycznych.

„Środa 6 grudnia.

„Wypadki w Rzymie boleśnie mnie dotknęły, wstrząsły całą moją filozofią, całą wiarą w ludzkość i w wolność. Bo,

że już ominę święte względy i obowiązki dla głowy chrześciaństwa, mój Boże, taż ma więc być nagroda, dla męża, który wśród tylu nieprzyjaznych okoliczności, wśród tylu niebezpieczeństw, pierwsze dał hasło do wolności i swobody ludów! Cóż na to wszystko powiedzą ubóstwiacze, bałwochwalcy ludu? Nie wiem, ale to przynajmniej mnie ucieszyło, że ze wszystkich Polaków, z którymi rozmawiałem, żaden by też i najbardziej zacentralizowany — nie miał ochoty bronić „zasad demokratycznych“ ludu rzymskiego“.

„W ogóle Ci powiedzieć muszę, że brak mi teraz wszelkiego pewnika w poglądzie na ruch teraźniejszości. Oprócz boleśnych, zakrwawiających nowin z domu, myśl się błąka wśród tego chaosu pojęć stronnictw i haseł, i nigdzie nie widzi promienia z niebios, któryby mógł wskazać, z jakiej strony wejdzie słońce zbawienia — bo przecież koniec końcem ono kiedyś wejść musi!“

Zakończenie listu każe przypuszczać, że myśl, zawarta w końcowym ustępie *Hegemonów,* myśl o Słowiańszczyźnie, nie ustąpiła, owszem, miała ciąg dalszy — że owszem był zamiar jakiejś o Słowiańszczyźnie pracy. Ale zarazem widoczne jest ze słów tego listu, że myśl przebywała zmianę, że to wyobrażenie, to zaufanie do Słowiańszczyzny, jakie miał Klaczko w początkach r. 1849, bardzo zmalały pod jego koniec.

„Im więcej się nad Słowiańszczyzną zastanawiam, tem bardziej się jej boję, bo jej odgadnąć nie mogę. Jużem Ci pisał, że brak mi do zgłębienia ostatnich w niej wypadków wszelkich materyałów. Jeszcze raz Cię więc i jak najusilniej proszę, abyś się o nie wystarał. Miś, zamiast Szafarzykowego narodopisu, przysłał mi jego starożytności. Do Sułkowskiego [1]) pisałem z prośbą o przysłanie mi ostatnich numerów *Czasu,* w których ciekawe mają być szczegóły. Jerzy [2]) niezawodnie najwięcej ma materyałów — nie mógłbyś do niego pisać i prosić o udzielenie onych? Postanowiłem sobie albo wcale

[1]) Książę August Sułkowski z Rydzyny.
[2]) Lubomirski.

o Słowiańszczyźnie nie pisać, albo tak, bym mógł powiedzieć *sine ira et studio*. Z tego, co dotychczas czytałem i zebrałem, jeszcze żadnego sumiennego aposteriorycznego zdania w sobie wyrobić nie mogłem".

Ale zupełnego i stanowczego ustalenia jego pojęć i zasad jeszcze niema, owszem jeszcze do niego dość daleko; a wrażliwość temperamentu, skłonność do oburzeń i wybuchów, doprowadza go nietylko do niesprawiedliwości, ale do sprzeczności z samym sobą. Niedawno, 6 grudnia 1849 r., gromił rewolucyę która wypędziła Papieża z Rzymu, i cieszył się, że przynajmniej żaden z Polaków jej nie broni; Dnia 11 stycznia 1850 r. rzuca się na księdza Kajsiewicza za jego kazanie o *Duchu narodowym i Duchu rewolucyjnym*. „Zasady, objawione przez księdza Kajsiewicza, są najradykalniejsze w Polsce, burzą nietylko świat żyjących, ale i mogiły ojców, i prowadzą nas prosto do Moskali. To konserwatyzm strachu, który z obawy przed wymarzonym socyalizmem wpadnie w istotną reakcyę". Jednem słowem, Klaczko pisze mniej więcej to, co myśleli ci emigranci, których ksiądz Kajsiewicz zgromił z ambony za przerwanie kazania. Dziwny jest ten jego list. Czyż on zapomniał o tem, co sam pisał przed miesiącem do tego samego Koźmiana? A Kajsiewicz innemi słowami mówił to, co on wtedy napisał, myślał to samo co on. Prócz tego druga uwaga: jeżeli to kazanie było tak oburzające, to dlaczego Klaczko nie oburzył się na nie zaraz? Dlaczego nie w liście z 6 grudnia, kiedy ono było powiedziane 29 listopada? Sprzeczność to trudna do zrozumienia i wytłómaczenia. Młodość, wrażliwość, usposobienie bardzo nerwowe, to zapewne jedyne tłómaczenie. W jednym liście Ludwika Górskiego do Jana Koźmiana z r. 1852 znajduję ustęp, który może dobrze te sprzeczności wyjaśnia. „Klaczko, umysł świetny, jasny, trzeźwy; serce także dobre. Ale drażliwość charakteru wielka. Ta często mu nawet prawdę zaciemnia. Z anegdot sądzi o charakterach i usposobieniach; często bierze nadużycia za błędy zasad". To było prawdą za młodości Klaczki, a w jego wieku dojrzałym, choć się zmieniło, to coś z tej nadmiernej wrażliwości zawsze zostało.

Wrażliwość, temperament nerwowy, dają się widzieć także w jego zamiarach i postanowieniach. Niedawno cieszył się, że ma posadę w Bibliotece, że zawinął do przystani, i obiecuje sobie w tej przystani pozostać; po jakimś czasie donosi (znowu bez daty), że tę przystań porzucił. Praca biurowa, mechaniczna, zabierała mu cały czas, nie pozwalała pracować umysłowo, krępowała i niecierpliwiła go tak, że wolał ją porzucić i narazić się na niepewne losy, a odzyskać swobodę.

„Zmiany niektóre w mem położeniu zaszły, o których Ci zapewne doniósł Królikowski. Opuściłem Bibliotekę. Praca biurowa tak mnie wycieńczała, denerwowała, iż dłużej wytrzymać nie mogłem. Musiałem przez sześć godzin na dzień pisać same tytuły i cyfry, tytuł każdego dzieła siedmnaście razy przepisywałem!!! Tego za wiele było na mnie. Może się uśmiechniesz, że z takiej muchy robię słonia, ale ja sobie mogę dać to sumienne świadectwo, że takie zatrudnienie wycieńczało we mnie ostatnią kropelkę krwi zdrowej; nieraz wychodząc z biura, byłem jak pijany temi tytułami, cyframi i karteczkami. Do żadnej porządnej pracy nie mogłem przystąpić. Nadarzyła mi się szczęśliwa sposobność. Bawi tu w Paryżu młody Jabłonowski [1]), który mnie prosił o dawanie mu wespół z drugim lekcyj historyi i literatury. Wynagrodzenie ofiarowali mi takie, jakie dostawałem w Bibliotece, a to za dwie godziny dziennie. Nie wahałem się ani chwili i podałem się do dymisyi. Konserwatorowie, którzy mnie bardzo byli polubili, żałowali mnie serdecznie, dali mi jak najpochlebniejsze świadectwo o służbie, ofiarowali nawet podwyższyć mi znacznie pensyę, a wreszcie sami mi przyznali, że mam racyę. *Nous le regrettons beaucoup pour nous* — powiedział mi p. Magnin — *mais nous en sommes très contents pour vous.* Prawda, że lekcye nie są tak stałe, jak miejsce rządowe; ale mam nadzieję, że gdyby Jabłonowski wyjechał,

---

[1]) Józef Jabłonowski, z Pacykowa pod Stanisławowem. Do śmierci gorący wielbiciel i przyjaciel Klaczki. Tłómacz *Bezimiennego poety* na język polski.

to gdzie indziej innych dostanę; jakkolwiek doświadczyłem już nieraz w mem życiu smutnych skutków niepewnego położenia, nie żałuję kroku tego bynajmniej. Królikowski poczciwy bardzo się na mnie z tego powodu srożył, zwłaszcza żem to wszystko bez jego wiedzy zrobił, bo wiedziałem z góry, że się na to nigdy nie zgodzi. Królikowski na mnie się zbyt z emigranckiego zapatruje stanowiska. Ach! w emigracyi „mieć miejsce“ jest tak czarownem słowem, że o wszystkich innych skłonnościach, powołaniach i obowiązkach łacno się zapomina. Ja zaś o tem zapomnieć ani chcę, ani mogę, że przyjechałem do Paryża nie aby miejsca dostać, ale dla nauki i pracy. Jabłonowski i Gorayski [1]), uczniowie moi, bardzo ze mnie kontenci, zachwalili mnie nawet tak, że już z różnych stron ofiarowano mi lekcye, ale nie chciałem czasu marnować“.

„Czasu tego używam teraz z całą rozkoszą uwolnionego więźnia i z całą sumiennością byłego biuralisty. Konserwatorowie i dawni moi koledzy bibliotekarscy jak najuprzejmiej mi dostarczają wszystkiego i uprzedzają wszystkie me chęci. Zajmuję się teraz studyami nad manuskryptami, o których niezbędności dla mnie pisać Ci nie potrzebuję. Oprócz tego piszę teraz i pracuję nad dziełem obszerniejszem, którego pierwszy tom w trzy lub cztery miesiące przygotuję do druku — treści, jak się domyślisz, historycznej. Obrachowałem je na 3 — 4 tomy, a posłuży mi do utorowania drogi jeszcze rozleglejszemu przedsięwzięciu. Gdybym się nie bał łowić ryb przed niewodem, pytałbym się Ciebie o radę co do wydrukowania pierwszego tomu, objętości 20 — 30 arkuszów; ale o tem jeszcze czas będzie pomyśleć“.

„Z Grünbergiem jakoś idzie. Byłem słaby przez dwa tygodnie, odwiedzał mnie kilka razy ze swoją córką. Zresztą jakbyśmy się nie znali“.

Jak się ten stosunek skończył, czy rozszedł? nie wiadomo. Ostatnia to wzmianka o Grünbergu. Odtąd już żadnej.

---

[1]) Adam Gorayski, syn Józefa, później żonaty z hr. Młodecką, brat stryjeczny Augusta Gorayskiego.

Z jakiego czasu ten list? z r. 1850? czy może r. 1851? Na to brak wszelkiej wskazówki. Niewątpliwie za to w r. 1851 dalszy ciąg owego zajścia z Zygmuntem Krasińskim, które się poczęło jeszcze w Heidelbergu. Poświadcza to list Krasińskiego do Stanisława Koźmiana.

„Heidelberg 22 kwietnia.

„Gdym z Dieppe przybył na jesień do Paryża, znudzony wiecznemi skargami, rozsiewanemi na mnie przez Klaczkę, jakobym go chciał obrazić w Heidelbergu, prosiłem Augusta (Cieszkowskiego), by go zaprosił na rozmowę ze mną, chciałem go bowiem szczerze z błędu wyprowadzić, a tem zmniejszyć skwaśniałej duszy kwasu. Wtedy Klaczko znów jak dziecko znarowione kazał mi odpowiedzieć, że się nie chce widzieć ze mną. Pomyślałem: dziecko. Przyjętym albo nieprzyjętym nie mógł być do Augusta, bo codzień do niego o tej samej godzinie z rana przychodząc, prosto z korytarza w jego drzwi wchodził -- i tak raz wszedłszy, mnie zastał. August rzekł tylko: „Pan Klaczko". Ja natychmiast się zerwałem i przystąpiwszy doń rzekłem: „Kiedy pan do mnie w Heidelbergu 1847 r. pisałeś jak do proroka, pojmiesz pan, że nie poczuwając się do żadnych proroctw, nie mogłem się z panem widzieć. Ja nie mogłem, a pan zaś tu w Paryżu, gdym ja znów pragnął, nie chciałeś. Zatem kwita między nami. A teraz szczerej prawdy słuchaj. Panu się zdaje, że pan masz do mnie pretensyę i urazę — wręcz przeciwnie jest, bo ja ją raczej do pana powinienbym mieć, wszędzie albowiem pan rozgłasza, żem panu kamieniem odrzucił za chleb, odpowiedział ironią za tkliwe uczucie. Gdybym tak był postąpił, byłbym podłym. Zatem pan mnie wszędzie oskarżasz o podłość. To niedobrze i niesłusznie. Pisząc do pana pochlebnie o pańskim narodzie, sądziłem, że najwyższą panu pociechę przyniosę, i nie mogłem się spodziewać, że pan to za ironię poczytasz. Gdyby naprzykład p. Thiers, dziś niecierpiący Polaków, napisał do mnie coś pochlebnego o Polsce, czy pan myślisz, że jabym to za obelgę i szyderstwo uważał? Wcale nie. Owszem, miałbym to w dumie mej

narodowej za chwilę sprawiedliwości w p. Thiersie, a skądinąd za grzeczność dla siebie osobistą od niego. Jeśli pan w moim liście tego nie uczuł zaraz, i na opak cały sens zamierzony przejąłeś, to chyba z winy mego stylu pochodzi — możem ciemno się wyraził. Zatem miałbyś tylko prawo chodzić po świecie i mówić: Jaki głupi pan Z. K., ale nigdy nic innego — rozumiesz pan — nic innego. Do niczego innego prawa nie masz. Zatem ufam, że po takiem szczerem i otwartem wytłómaczeniu, pan już nadal skarg swoich na mnie rozwodzić nie będziesz. Obowiązuję nawet pana do tego. Pan sam czuć musisz, że już nie masz prawa żadnego mię w tym względzie ścigać.“ Tu ścisnąłem mu rękę. Przez cały czas pomięszany milczał, potem coś przebąknął, obietnicę że już nigdy nie będzie wspominał gorzko o liście moim, i oświadczenie że mi wierzy — ukłonił się najuprzejmiej, najpoddaniej — i wyszedł. Co zaś prawda, to to, żem prawie w ataku nerwowym był, gdym doń przemawiał, bo trza wiedzieć, że w one czasy pokąpielowe rozstrojenie nerwów moich było doszło do stopnia niesłychanego. Słów zaś: „Pan mię w Heidelbergu nie przyjąłeś, ja mam teraz prawo nie żądać pańskiej znajomości“ — słowo honoru Ci daję, że nigdy ich do mnie ni na początku, ni w środku, ni w końcu nie wyrzekł. Fałsz najabsolutniejszy! Teraz masz prawdę najzupełniejszą, a po jej wypisaniu, z głębi serca mu przebaczam, i raczej żal mi jego, niż gniew mi nań. Sam siebie rozdziera — nie chce wierzyć w serce drugich. Gdyby był uwierzył mojemu, możebym mu był przyniósł cokolwiek ulgi. Mam go za charakter daleko wyższy od Norwidowego, i intelligencyą daleko potężniejszą — ale żre go robak zawiści, i ten drugi, który w naszym wieku wmawia we wszystkich, którzy nie od razu urodzili się potentatami lub Rotschildami, że nimi gardzą i że im drudzy co chwila pragną ubliżyć. Brak w tem godności, a właśnie tem, zda im się, że jej dostępują. Biedni i bardzo biedni!...“

„Powiedz mi, czy możnaby czem dopomódz Klaczce? Na twoje ręce bym przesłał“.

Tu znowu Krasiński staje się niesprawiedliwym, kiedy przypuszcza pospolitą próżność czy zawiść; co najwięcej była w Klaczce podejrzliwość zbyteczna, powodowana i pochodzeniem, i drażliwem usposobieniem. Stanisław Koźmian dopisuje na oryginale powyższego listu, słowa następujące:

„Klaczko, pomimo urazy, choćby urojonej, ale głęboko odczutej, stał się wielbicielem Krasińskiego i przemówił o nim do cudzoziemców jako o poecie i o człowieku, jak tylko pisarz wyższego umysłu i gorącego serca przemówić jest zdolny“.

A teraz zobaczmy, co o tej samej sprawie mówi druga strona, Klaczko. Jan Koźmian widocznie uwiadomił go o liście Krasińskiego do brata, na co odebrał następującą odpowiedź:

„Dobroć Twoja względem mnie, staranność w sprawianiu mi dobrych nadziei i weselszych poglądów na moje życie i moje stosunki, skorość do rozpędzenia wszystkich nieprzyjemnych dla mnie wrażeń i wspomnień — napełniają mnie prawdziwą, szczerą i dozgonną wdzięcznością dla Ciebie, mój kochany drogi Janie! Nie mam słów, i nie chciałbym ich nawet użyć, gdybym mógł, by Ci wyrazić całą moją wdzięczność za tyle troskliwości i pieczołowitości ze strony Twojej dla mnie. Z tego tylko stanowiska chcę się zapatrywać na całą sprawę z p. Krasińskim, którą mi objaśniasz, bo co do istoty rzeczy samej, mogę Ci zaręczyć, że nawet i tyle objaśnień nie potrzeba było. Ja oddawna wytłómaczyłem sobie szlachetny charakter osoby, o której mówisz i której słowa mi przytoczyłeś. W nieszczęśliwych zajściach ze mną widziałem i upatrywałem oddawna tylko dziwny zbieg uprzedzeń, nieporozumień, a może i plotek. To, co mi donosisz, mogło tylko posłużyć do utwierdzenia mnie w dawnej myśli i przysięgam Ci, kochany Janie, że ani śladu już goryczy lub żalu w mojem sercu dla p. Krasińskiego nie ma. Żałuję tylko, żem się stał przyczyną niepokoju i rozdrażnienia dla duszy tak pięknej i wzniosłej, a bezemnie już dosyć rozdra-

żnionej. Oto w krótkich słowach szczery wyraz całego mego usposobienia względem niej — czyś z niego zadowolony?"

Takie były początki stosunku, którego dalszym ciągiem będzie zażyłość, częste rozmowy i dyskusye, nie jedna bardzo zaszczytna wzmianka o Klaczce w listach poety, a końcem: artykuł *Śmierć Zygmunta Krasińskiego* w *Wiadomościach Polskich* i *Bezimienny poeta*.

W końcu listu wiadomości o sobie:

„Po powrocie moim do Paryża straciłem wprawdzie lekcye u Jabłonowskiego, który wyjechał do wód, ale za to prosił mnie o wykładanie historyi jego kuzyn, Ludwik Krasiński [1]), pod temi samemi warunkami — tak, że wolny jestem od trosk powszednich na teraz. Na parę tygodni osiedliśmy w St. Cloud, gdzie świeże powietrze i wiejskie na pół życie bardzo się przyczyniają do poprawienia mego zdrowia. Możesz być o mnie zupełnie spokojny. Ból piersi prawie już całkiem ustał, a nawet, jak mi tu zaręczają, znacznie lepiej wyglądam".

---

[1]) Ten stosunek został na zawsze. Ludwik Krasiński zajmował się czynnie i skutecznie losem Klaczki w latach dla niego najtrudniejszych.

IV.

Zamierzone prace. Pozostałe ich ślady. Słowiańszczyzna. Historya poezyi polskiej XIX wieku. Historya Literatury polskiej. Prace drukowane. Artykuł o *Dantem*. *Lenora* i *Ucieczka*. Przeciw Jenerałowi Zamoyskiemu. Prace w języku francuskim. Pojedynek. Stosunki i przyjaźnie. Rosnąca sława. Śmierć ojca i chrzest.

„Czuję się jak więzień wypuszczony na wolność, z rozkoszą używam swobody“ — pisze o sobie Klaczko po wyjściu ze służby w Bibliotece, i dodaje, że pracuje nad większem dziełem; zamierza je na trzy lub cztery tomy, o druk tomu pierwszego, objętości dwudziestu do trzydziestu arkuszy druku, może niezadługo zacznie się porozumiewać z Koźmianem.

Co to za dzieło? jaki zamiar lub plan?

Po śmierci Klaczki znalazło się mnóstwo notat, zapisek: dwanaście kartonów zapełnionych papierami. Z bijącem sercem, ręką niespokojnie drżącą, otwierało się te kartony. Co się w nich znajdzie? jakie skarby i klejnoty wydobędzie się na świat z tej kopalni? Niestety zawód, nadzieja omylona. Skarbów niema. Czasem, bardzo rzadko, natrafi się na jaką perłę, na jaki drogocenny kamień, ale perła czy kamień choć ma blask, nie ma kształtu — nie ma ani całości, ani obrobienia. Kilka, w najlepszym razie kilkanaście ustępów świetnych, ale niedokończonych. Są zredagowane, gotowe do druku, ale urywają się po dwóch lub trzech stronnicach i dalszego ciągu nie mają. Ogłosić je można, i należy; ale ogłoszone wywołają tylko żal, że są tak krótkie. Ogromna zaś większość tych papierów, to na luźnych kart-

kach zapisane nazwiska, daty, często wyciągi z dzieł obcych, cytaty z autorów: uwagi lub sądy własne, o ile są, to tak krótko naznaczone tylko, że dla pamięci autora mogły przechować jego myśl i posłużyć mu do jej rozwinięcia, ale czytelnikowi nie mogą wystarczyć do jakiegokolwiek objaśnienia, choćby do domysłu, jak autor tę swoją myśl pojmował i chciał rozwinąć.

Odnoszą się te zapiski do przedmiotów różnych, i każą przypuszczać, że miały służyć do różnych przedsięwzięć i prac. Z niektórych, niezbyt licznych, można się domyślać, że Klaczko miał zamiar pisać coś o Słowiańszczyźnie, o czem sam zresztą po przyjeździe do Paryża wspomina. Ale są to prawie same wyciągi, najwięcej z Szafarzyka. Czy myślał pisać jaką historyę Polski? O pracy historycznej wspomina wprawdzie, ale wiedział on dobrze, w jaką ogromną pracę musiałby się zagłębić, jakie morze źródeł zbadać i opanować, ktoby taką pracę chciał podjąć. Czy z tem usposobieniem, jakie miał i jakie w sobie znał, byłby mógł postanowić śmiało i stanowczo, że na długie lata, może na całe życie, odda się tej jednej myśli i pracy? Taka ciągłość, taka systematyczna i przymusowa praca, nie była w jego naturze. Jednak z niektórych zapisek można wnosić, że taką myśl, choć zapewne przelotną, miał. Są wyciągi z Bielowskiego, są zapiski (bardzo krótkie, przez to nie wiele znaczące) o Bolesławie Chrobrym, albo o wprowadzeniu chrześciaństwa. To wszystko wskazuje, że jakiś zamiar może był, ale się nie wyrobił, prawie (rzec można) nie zaczął się nawet na prawdę wyrabiać.

Wielka liczba tych luźnych notat odnosi się do historyi sztuki, największa do historyi literatury — nie samej tylko polskiej: do powszechnej. Z jaką ciekawością i radością napotyka się naprzykład osobną dużą kopertę, z napisem *Studia Homerica!* Ale te studya, to dużo wypisów z różnych dzieł o Homerze, i wyjątki z *Iliady* i *Odyssei*, przeznaczone zapewne na illustracye czy dowody jakich spostrzeżeń i twierdzeń — twierdzeń i spostrzeżeń prawie niema. O *Odyssei* tylko cokolwiek więcej, coś, co wygląda na plan czy szkic

rozprawy lub rozdziału o niej. Tak samo *Shakespeariana*. Wyjątki z dzieł cudzych, wyjątki z wielu sztuk Szekspira, ale nic, coby było Klaczki własnem. Zapiski o Dantem, które miały służyć do wielkiego dzieła o nim, pomogły po wielu latach do *Wieczorów Florenckich;* ale o Homerze, o Szekspirze, nie zrobiło się nic z tych przygotowywanych materyałów. Jest ich zaś bardzo wiele, do bardzo wielu: jest Ariosto, Macchiavelli, Milton, Eschyl, wszystkich wyliczać i za długo i niepotrzebnie. Dużo Francuzów; między nimi, cokolwiek dłuższe ustępy o Corneille'u, o *Cydzie* mianowicie, i dość złośliwy ironiczny o *Polyeucte*. O malarstwie, raczej o malarzach, zapiski tak samo skąpe; o muzyce coś, co wygląda jak szkic artykułu o *Don Juanie* Mozarta. Bardzo wiele cytacyj z autorów starożytnych, Cycerona, Tacyta i t. p., ze św. Augustyna, które miały zapewne stosować się do ludzi lub do kwestyj i posłużyć za świetne objaśnienie, za artystyczne zaokrąglenie w zamierzonych a nigdy niestety niewykonanych rozprawach.

Notat tych najwięcej do rzeczy polskich, do historyi literatury, ale roztaczającej się na tle historyi. Bez stanowczego dowodu, ale nie bez znaczących poszlak, można przypuszczać, że Klaczko miał w zamiarze dwa różne dzieła o literaturze polskiej: jej historyę całą, i historyę poezyi w XIX wieku. Są bowiem dwa do nich osobne, napisane, ustępy, jeden nawet dość daleko posunięty, starannie wykończony i przepisany. Sądząc po piśmie, po papierze bardzo zżółkłym, możnaby sądzić (na niepewne), że myśl o Historyi poezyi była dawniejsza, przyszła wcześniej, choć trwała dłużej, skoro Klaczko się nią zajmował w r. 1856.

Cztery luźne kartki, zapisane bardzo drobnem, bardzo zbitem pismem; przekreśleń, dodatków, odsyłaczy, wiele, a dojść trudno, jak one do siebie należą i po sobie następują; na jednej z tych kartek napis: *Cel dzieła — Metoda — Charakterystyka nowszej poezyi naszej*. Na początku zarzut (dość dziwny), że w tej poezyi jest przewaga refleksyi nad uczuciem, kiedy źródłem i natchnieniem poezyi jest uczucie i wiara. Zaraz potem, w świetnym stylu, pełnym effekto-

wnych antytez, zarzut, że nasza poezya chce przyszłość brać za przedmiot, kiedy z natury swojej z przeszłości i teraźniejszości tylko może snuć swoje natchnienia i brać swoje obrazy. Czy to do Krasińskiego wymierzone? Po części do *Nieboskiej komedyi*, ale w ciągu dalszym są o *Przedświcie* i *Psalmach* słowa, dowodzące że nie o Krasińskiego mu chodzi, ale raczej o możliwe rozdwojenie, oddalenie życia i obowiązku od słowa i od ideału. Żądamy od poezyi, żeby była filozofią albo proroctwem, a w życiu poprzestajemy wygodnie na troskach o chleb powszedni, o materyalne dobro. W poezyi tymczasem — w tej, która była i jest naszą siłą, niema tego oddalenia i rozdwojenia. Przeciwnie, ona nie zna „słowa i czynów rozdziału". Jej istotą i jej cechą jest prawda życia, jest żywy nierozerwalny związek ze zjawiskami, boleściami, obowiązkami i dążeniami tego życia. Ona nigdy nie patrzała obojętnie na świat ze szczytów Olimpu czy Parnasu, ale miłowała go, pielęgnowała, cierpiała z nim macierzyńskiem sercem, a odbywając z nami ziemską pielgrzymkę, zachowała przecież swoją niebiańską czystość. Przez tę prawdę życia i tę niebiańską czystość (wzniosłość), dostępuje najwyższej godności, ma uniwersalność miłości i wiary.

Ustęp ostatni mówi o trudnościach, jakie ma do pokonania ten, kto się kusi o obraz tej poezyi i jej dziejów.

Przedmowa to? czy wstęp, preludyum do tego, co miało być dalej? Dalej niema nic. W tem co jest, choć nie jedno wydać się może przesadnem, mylnem, siła zapału i siła stylu jest wielka, a myśli głębokie, uderzające, spotykają się często.

Drugi zamiar jeszcze większy — to Historya literatury polskiej: *„Rys dziejów piśmiennictwa polskiego* (dla użytku młodzieży). Część pierwsza. *Od najdawniejszych czasów do epoki Zygmuntowskiej"*, mówi napis na oprawnym, porządnie pisanym rękopisie i dodaje datę: Paryż 1852.

Szkoda, że nie wydał; większa, że nie skończył. Dziś, kiedy historyi literatury jest kilka, ten *Rys* nie jest już tak potrzebny, a przez niejedno nowsze odkrycie podlegałby nawet nieuniknionym sprostowaniom. Pół wieku temu, byłby choć tylko ułamek, bardzo oświecającym, bardzo pożytecz-

nym. Jaki jest wzięty sam w sobie? Treściwy i ogólny. Sama essencya rzeczy; najważniejsze, najistotniejsze cechy czasu i cechy piśmiennictwa, określone krótko, jasno, a bystro i wyczerpująco. Szczegółów mało, prawie niema ich wcale. Cztery rozdziały, pięćdziesiąt jeden krótkich paragrafów. Naprzód pytanie o przedchrześciańskich pierwiastkach czy zarodach literatury. A więc podania, legendy, co w nich z historyi wzięte, a co z wyobraźni. Symbolika tych podań, ich niektóre podobieństwa z greckiemi: mianowicie w jednych jak w drugich są pierwiastki własne, i są inne, widocznie wschodniego jeszcze pochodzenia, odziedziczone, przyniesione. Dalszy rozwój tych podań przerwany chrześciaństwem. Różnica zachodniego katolickiego i wschodniego byzantyńskiego chrześciaństwa, i z niej wynikająca, na niej oparta, różnica cywilizacyi w Słowiańszczyźnie. Z chrześciaństwem przychodzi nieunikniony przeważny wpływ łaciny, i cofa w głąb, przygłusza, pierwiastki rodzime, kiedy stan wewnętrzny, podział państwa, potem najazdy Tatarów, wstrzymują postęp cywilizacyi w Polsce. Wielka epoka cywilizacyi średniowiecznej, wiek XII i XIII, dlatego mało lub wcale nie wpływa na Polskę. Następuje zjednoczenie państwa i jego wewnętrzna cywilizacya: Łokietek, Kazimierz. Trzy elementa prawa, rodzimy, rzymski, i kanoniczny, odbijają się w późniejszych instytucyach, pojęciach, i losach. Rekapitulacya epoki Piastowskiej, i druga część zarysu: epoka Jagiellońska. Połączenie z Litwą, wzajemny wpływ Litwy i Polski na siebie, najświetniejszy okres historyi. Zwrot i postęp w cywilizacyi. Pierwsze wpływy klassycyzmu: dzieła w łacińskim języku, wiersze i kazania w polskim. Akademia krakowska, może nie słusznie nazwana połowiczną w tym okresie jej bytu; wpływ hussytyzmu. Tyle jest.

Gdyby było wydane, spotkałoby się zapewne z niejednym, i może słusznym, zarzutem; ale w spostrzeżeniach Klaczki, w jego rozumieniu czasów i wypadków, w jego łączeniu skutków z przyczynami, jest przenikliwość i bystrość taka, że nie jedna jego mimochodem rzucona uwaga może posłużyć i dostarczyć wątku do długich rozmyślań i do głęb-

szego wniknięcia w naturę polskiego społeczeństwa, w literackie jak historyczne objawy tej natury.

Niestety, jedyna to całość, jaka się znajduje w ogromnem mnóstwie jego zapisek. Te odnoszą się do wszystkich wieków literatury polskiej (najmniej do wieku XVII) i do wszystkich niemal znaczących pisarzy. Ale co o nich myślał, jak sądził, tego albo nie mówią wcale, albo tak szkicowo i niewyraźnie, że dla niego samego tylko myśl była dostatecznie zaznaczona, dla drugich taką nie jest. Po większej części zaś nazwiska pisarzy, jakieś daty z ich życia, zapisane prace o nich, rzadko własne uwagi. Im bliżej końca, im bliżej rozbiorów, tem więcej tych notat, a zawsze równolegle z literackiemi idą kwestye historyczne. Elekcyjność, sejmy, konfederacya barska, Legiony, żeby innych nie przytaczać, mięszają się z zapiskami o Kochanowskim lub o Klonowiczu, o Konarskim, Staszicu lub Naruszewiczu. Z wieku XIX notat może najwięcej. Nie są zupełne, przygotowanie materyałów jeszcze nie ukończone; ale nie są pominięci nawet tacy, na których zwykle mniej się zwraca uwagi. Często spotyka się o jednym i tym samym notat kilka, zupełnie identycznych co do treści, widocznie skutek zapomnienia. Od Mickiewicza począwszy zapiski są liczniejsze i obfitsze, dłuższe. Można z nich wnosić, że ze szczególnem zamiłowaniem byłby Klaczko opisywał Malczewskiego. Do Słowackiego są zapiski więcej szczegółowe, o tym lub owym poemacie, o *Balladynie* naprzykład, ale niedostateczne na to, by z nich poznać coś więcej, jak ogólne podziwienie dla talentu poety. O Krasińskim już więcej zdań i sądów, te znalazły się z czasem w *Bezimiennym poecie;* ale tu są także zaznaczone tylko. Co wydaje się widocznem, to że pewien zbiór zapisek o Mickiewiczu służył za plan do tych wykładów z r. 1858, które takie sprawiały wrażenie i taką Klaczce zrobiły sławę. Ale plan, suchy szkielet, porządek materyi, tu i ówdzie cytat, przeznaczony zapewne na zakończenie ustępu lub wykładu. Tego gorącego uczucia, tego blasku słowa, które słuchaczy wprawiały w uniesienie, niema; widocznie zrobił plan, trzymał się go, ale w wykładzie improwizował.

W odnalezionych i przedrukowanych świeżo *Listach z Włoch* z r. 1860, rzuca Klaczko mimochodem uwagę, że są dwa sposoby czytania: czytanie na kanapie, z którego mało co lub nic w głowie nie zostaje, i czytanie przy stoliku, z papierem przed sobą a piórem czy ołówkiem w ręku. Otóż te wszystkie pozostałe po nim zapiski, to muszą być ślady i skutki tego drugiego czytania. Studyował autorów, studyował ich opracowania, a cokolwiek uderzyło go w nich albo jemu stanęło w myśli, to rzucał na papier, chował na zapas, z nadzieją czy zamiarem spożytkowania tego kiedyś, przy pisaniu.

Takie są pozostałe ślady jego zamierzonej pracy o literaturze polskiej; praca musiała być ogromna i rozłożona na lata. Ale w tym samym czasie zaczęły przecie wychodzić w druku jego prace mniejsze, niby opiłki od wielkiej. „Czytałeś w *Bibliotece Warszawskiej* mój artykuł o *Dantem*“ — pyta Klaczko Koźmiana w jednym liscie z r. 1852. Jakoż, w grudniowym zeszycie *Biblioteki* (1852), jest *Dante Alighieri*. Dlaczego bez podpisu autora? Być może, że bawiąc w Paryżu bez paszportu, bał się swojem nazwiskiem zwrócić uwagę władz na rodzinę pozostałą w Wilnie i narazić ją na przykrości.

Ten artykuł, to jest właściwie wstęp, założenie, za którem dopiero miał iść wykład, rozwinięcie w kolejnem przedstawieniu trzech części poematu, tego jego znaczenia i charakteru, które tu są z góry oznaczone w zbitem streszczeniu.

Tego dalszego ciągu, tej właściwej pracy o Dantem, niema; ale w tym początku daje się poznać to samo jego rozumienie, które po latach blisko czterdziestu znajdzie się w *Wieczorach Florenckich*. Daje się też poznać i podziwiać rozległa gruntowna znajomość przedmiotu i jego rozlicznych opracowań; ze zdumieniem przychodzi się pytać, jak on miał czas już to wszystko przeczytać, dowiedzieć się? Nadewszystko daje się poznać ten wzrok bystry, orli prawdziwie, co z góry na rzecz patrzy, ogarnia wszystko co do niej należy, a w niej widzi i przenika wszystkie składowe pier-

wiastki. Jak w *Wieczorach Florenckich,* tak i tu zaczyna się od r. 1300, od Wielkiego Jubileuszu Bonifacego VIII. Jak tam ten rok, ten początek wieku XIV jest datą przełomu, terminem schyłku wieków średnich, a brzasku nowszych. Ta różnica czasów i ich charakteru, wykazana w szeregu zestawień i porównań, głębokich i wspaniałych. Jak tam, poemat Dantego jest obrazem, pomnikiem średniowiecznego świata, jego wiary i jego wiedzy, jego rzeczywistości i jego ideału — jest rezultatem pracy wieków, skupieniem i podniesieniem różnych pierwiastków i form, które były rozprószone, nie połączone w organizm. Bardzo często spotyka się myśl, uwagę, nawet zwrot, znany już z *Wieczorów.* Bardzo piękny, mądry, ustęp o podobieństwie natury, istoty, w architekturze gotyckiej i w *Boskiej Komedyi,* a obok niego drugi, określający różnicę sztuki starożytnej i chrześciańskiej. Wieki średnie się kończą, zacznie się świat nowy; nie we wszystkiem od nich lepszy, ale wielki. I kiedy o tym świecie i jego wielkościach mówi, przypomina tu Klaczko szczegół jeden (i jeden z najpiękniejszych) już nie z *Wieczorów Florenckich,* ale z *Juliusza II.* Rafael dwa razy wymalował Dantego w kamerze *della Segnatura,* na *Parnasie,* i w *Dyspucie.* Otóż, ten krótki ustęp o *Dyspucie,* to niby ziarno, zaród, tego najwspanialszego jej opisu, jaki się znajdzie w jego dziele ostatniem.

Język, styl, jeszcze nie jest zupełnie wyrobiony: nie ma tego blasku, tej siły, jaka jest w pismach późniejszych, jakie są już w niemieckich *Hegemonach.* Być może, że przez lata nauki w Królewcu i lata praktyki w Heidelbergu, Klaczko używał ciągle języka niemieckiego, a w polskim pisywać nie mógł; dość, że to nie jest jeszcze ten pisarz niezrównanie świetny, jakim stał się z czasem.

Szkoda, szkoda, że Klaczko zaczął tylko, a nie skończył, że koleje życia oderwały na długo jego myśl i pracę od Dantego. Może mielibyśmy w polskim języku studyum, choćby nie równe *Wieczorom,* ale do nich podobne. Tylko gdyby Klaczko był wtedy zagłębił się w Dantem i jemu swój czas i pracę poświęcił, nie mielibyśmy dziś jego pism polskich i o polskich sprawach.

Drugi jego artykuł w polskim języku, to *Lenora i Ucieczka,* drukowana w r. 1853 w *Pokłosiu,* małem pisemku, wychodzącem w Lesznie.

Zaczyna od wspaniałego i głębokiego określenia ballady, która „formą stoi między epopeą a dramatem, a sztuką między naturą a kulturą, między ludowym instynktem a artystyczną świadomością“. Jej warunkiem jest „równowaga ducha poety z duchem ludu“. Wszystkie ballady dawniejsze, jakie się ukazywać zaczęły już w XVII wieku, pisane były nie w tej równowadze, ale „w uczuciu wyższości poety nad gminnym zabobonem“. Tak pojęta i pisana ballada stawała się konwencyonalną, sztuczną, martwą. „Bürger pierwszy wrócił na tor prawdziwy, z prostotą i naiwnością przystąpił do prostej i naiwnej baśni, utrzymał się w równowadze z duchem „ludu“, i dlatego dał w *Lenorze* przykład, wzór, pokazał czem ballada jest i jaką być powinna. To jej znaczenie w poezyi europejskiej, znaczenie większe, niż talent jej autora wzięty sam w sobie.

Ale *Ucieczka* jest od *Lenory* wyższa. Wyższa przez to naprzód, że mniej refleksyjna a więcej naiwna i więcej wierząca, przez to dalej, że bardziej skupiona, bardziej dramatyczna. Bürger wprowadza wiele szczegółów i rozwodzi się nad niemi szeroko (perswazye matki, przyjście upiora, widma i strachy podczas jazdy, szyderczy śmiech konia w ostatniej chwili). U Mickiewicza żadnych przyborów, żadnych dekoracyj, wielka oszczędność słów, wszystko idzie szybko jedno za drugiem; a ta szybkość i nagłość wywołuje silniejsze wrażenie grozy, niż tamte przybory. Naiwność ludowych wierzeń i prostota zwrotów ludowych, także w *Ucieczce* wierniej zachowane. Wreszcie to co główne, związek przyczyny ze skutkiem, uczynku i kary, ściślejszy, konieczniejszy, więcej logiczny. Lenora bluźni — to jej wina — i za to jest porwana przez upiora; kara mogła tak samo być inną. Dziewczyna z *Ucieczki* idzie do czarownicy, chce ujrzeć kochanka choćby go z tamtego świata sprowadzić, dobrowolnie ucieka się do czarów i zaklęć. Przyjście upiora jest naturalnym skutkiem jej uczynku, porwanie przez upiora karą z niego

wynikającą, do niego zastosowaną. Bardzo subtelnie, bardzo pięknie, tłómaczy Klaczko powody większej ponurości, większej grozy w *Ucieczce*, aniżeli w *Lenorze*. Dostrzega zaś i wskazuje, że jedna ma podkład katolickich, druga protestanckich pojęć o naszym i o zagrobowym świecie; dlatego jedna ma więcej prostej wiary, druga więcej refleksyi, dla tego Lenora i jej matka rozprawiają, rozumują, a dziewczyna z *Ucieczki* jest pobożniejsza, bierze z sobą szkaplerze, koronki i krzyżyk. Rzucenie ich na rozkaz upiora jest dramatyczniejsze, robi wrażenie straszniejsze, niż widma towarzyszące jeździe Lenory. Dowodzenie, naszem zdaniem zwycięskie, a rzecz w każdym razie świetnie napisana.

Najbliższy potem polski artykuł Klaczki, wymierzony jest przeciw jenerałowi (wtedy pułkownikowi) Zamoyskiemu. Jak to być może? Klaczko napisał coś na Zamoyskiego? Dla człowieka, który ich widział razem pracujących, który przez całe życie słyszał co Klaczko o Zamoyskim myślał — w zdaniu różnił się z nim nieraz, ale w najwyższem uszanowaniu nie chwiał się nigdy — była to rzecz nie do uwierzenia. Napotkawszy ją w książce p. F. Hösicka o Klaczce, myślałem, że jakaś pomyłka, że trzeba będzie ją sprostować; zapytałem samego Klaczki. Potwierdził: istotnie, napisał i wydrukował tę broszurę. Dręczyć chorego pytaniami, żądać od niego tłómaczenia w sprawie, która oczywiście była mu przykrą, zdawało mi się nie wielkiem okrucieństwem, ale jednak okrucieństwem. Nie wyciągłem na objaśnienia i tłómaczenia, dlatego wiem o broszurze tyle tylko, ile ona sama o sobie mówi.

„O szkole narodowej na Batignolles“, odpowiedź panu Juliuszowi Jedlińskiemu (1854), to oskarżenie przeciw Zamoyskiemu, którego ów Jedliński był tylko narzędziem, że tej szkole i jej dobroczyńcy, Sewerynowi Gałęzowskiemu szkodzi z tendencyjnych partyjnych powodów. Nie udało mu się dostać szkoły pod swój wpływ, czy bezpośredni czy pośredni przez jednego z synów Adama Czartoryskiego, i odtąd podkopuje jej powagę i przyszłość, nauki wystawia jako niedostateczne, wychowanie jako bezreligijne. Jedliński tylko usłużnie pożycza swego pióra i nazwiska.

Że ludzie fałszywo i źle sądzą tych których nie znają, to rzecz powszechna; że Klaczko młody, wrażliwy, mógł się uprzedzić i unieść, rzecz naturalna. Dochodziły do niego wszystkie złe sądy, jakich o Zamoyskim było w emigracyi więcej niż o każdym innym; wszak sam Mickiewicz, na krótko przed śmiercią, z Konstantynopola, pisze o nim, że „chciało mu się być jenerałem angielskim". Pojąć więc można, że Klaczko w sądach i oskarżeniach posunął się do niesprawiedliwości, a zaprzeczyć nie można, że swoje oskarżenie napisał świetnie, z wielką siłą namiętności i ironii. Ale gdyby nawet niesprawiedliwym nie był, gdyby miał słuszność we wszystkiem co Zamoyskiemu zarzucał, to zawsze dziwić się można nie jego namiętności i ironii, ale jego złemu smakowi. „Dobroczynny wpływ salonowej protekcyi", „*Jaśnie Wielmożny* dobroczyńca", „Cerberowi trzeba było rzucić jaką tłustą kość, a gryzłby ją spokojnie i głodnych zębów nie wyszczerzał" — te i tym podobne słowa, a podobnych jest wiele, byłyby naturalne w jakiem pospolitem emigracyjnem piśmie, ale nie w ustach Klaczki.

Na zakończenie tej sprawy, jeden szczegół. W papierach Klaczki znalazł się jeden mały liścik jenerałowej Zamoyskiej. Po śmierci Jenerała Klaczko przemawiał o nim na dorocznem posiedzeniu Towarzystwa Historycznego.

Oto, co do niego pisze wdowa:

„Bóg zapłać za radość, jaką mi Pan sprawił — radość, jakiej nie sądziłam, abym kiedykolwiek już doznać mogła. Jeżeli miło jest patrzeć na obraz oddający rysy osoby kochanej, stokroć milej słyszeć słowa, które duszę i myśli jej oddają. Pewną byłam, że Pan nie możesz powiedzieć jak tylko doskonale — to jest doskonale dla tych, co mniej znali mniej kochali. Ale żeby było doskonale dla mnie, tego nie mogłam się spodziewać. To też sprawiłeś mi Pan radość bardzo istotną, bardzo wielką".

To jest najlepsze świadectwo uczuć Klaczki dla Zamoyskiego z czasów kiedy go poznał, i najlepsza odpowiedź na jego dawniejsze sądy i zarzuty.

W tym samym roku, 1854, zaczynają się ukazywać jego prace we francuskim języku. Przypomina się, i uśmiech wywołuje to, co nie tak dawno pisał do Koźmiana: „Nie umiem po francusku“. Nauczył się od tego czasu, i dobrze. Teraz nietylko umie, ale pisze tak świetnie, tak włada językiem, jak mało który z francuskich nawet dobrych pisarzy. Wychodziły te prace w r. 1854 i 1855 w *Revue Contemporaine* i w *Revue de Paris*.

1) Prawie wszystkie mają charakter sprawozdawczy; pisane były z powodu, a przynajmniej z okazyi, jakiegoś dzieła cudzego. Tylko, tam gdzie inny pisarz byłby zrobił prostą zwykłą recenzyę, tam potężna intelligencya i wielka nauka Klaczki rzuca tyle myśli głębokich, tyle spostrzeżeń nowych, a jego talent tyle blasków, że sprawozdanie z paru niemieckich dzieł o Dantem staje się przygotowaniem do *Wieczorów Florenckich*, a sprawozdanie z francuskiego dzieła o *Atenach i Odrodzeniu* przygotowaniem do *Papiestwa i Odrodzenia*.

Dante wobec krytyki nowoczesnej, po francusku: *Dante et la critique moderne*, to niby preludyum do *Wieczorów Florenckich*.

Zawsze słusznem było utrzymywać świat francuski w znajomości rezultatów nauki niemieckiej, ale w tym czasie, kiedy dzieło Ozanama o Dantem było jeszcze nowem, kiedy Lamennais dokonywał swego przekładu *Boskiej Komedyi*, wiadomość o ostatnich pracach Niemców nad tym przedmiotem musiała być tem bardziej zajmującą i pożyteczną. Dwóch Niemców, których nazwiska spotykamy często w *Wieczorach Florenckich*, Karol Witte i Wegele, swojemi studyami o Dantem dali powód do tego, które zrobił teraz Klaczko, na pozór niby sprawozdanie tylko.

Zaczyna od wielkiej pochopności do pisania i mówienia o Dantem (konwencyonalny a sentymentalny frazes za-

¹) Ustęp powtórzony z przedmowy do polskiego przekładu francuskich pism Klaczki p. t. *Szkice i Rozprawy*, wydanie F. Hösicka, 1904.

stępuje często badanie i sąd); badacze i krytycy mają zwykle każdy swojego Dantego, przykładają i przymierzają go do siebie samych, a w głęboko uczonych komentarzach każą mu czuć i myśleć tak jak sami czują i myślą, o prawdziwego Dantego, jak był, mało się troszcząc. Krytyka dantejska we Włoszech gubi się w ciężkiej erudycyi i w subtelnościach, nieraz błahych; we Francyi jasna, przejrzysta, zgrabna, czasem bystra, częściej jest pobieżna i powierzchowna; w Niemczech zadziwiająca ilością i nakładem pracy, dochodzi nieraz do pięknych rezultatów, ale chcąc dojść do zupełnych i wszystko objaśniających, podaje czasem za takie wnioski i twierdzenia dowolne, wydobyte nie z dzieł i życia Dantego, ale z własnych doktryn i rozumowań.

Po wzmiance o kilku nieważnych i poważnych studyach niemieckich, przystępuje Klaczko do Wittego. Ten znalazł klucz, którym otwiera wszystkie skrytości i tajemnice, rozwiązuje wszystkie zagadki Dantego! Mianowicie: jako młodzieniec kochał się on w Beatrice i miał prostą dziecinną wiarę. Wyrazem tej części jego życia, tego stanu jego duszy, jest *Vita Nuova*. Ale Beatrice umarła. Młodzieniec stracił nietylko swoje szczęście, ale swoją wiarę w Boga, cały skład swoich pojęć. Dante „zapadł w tę otchłań zwątpienia — gdzie światło wszelkie w noc się wieczną zmienia". Pociechy szuka w filozofii, w nauce, w wiedzy ludzkiej, którą wielbi a prawie ubóstwia, i to drugie swoje przejście odbija w *Convito*. Ale wiedza ludzka, sama sobie zostawiona, otacza go mnóstwem niebezpieczeństw, pokus, zwątpień, błądzeń; on się w nich szarpie i targa, i ten stan swój maluje jako „straszny las w połowie swojej drogi"; Piekło jest obrazem różnych jego pokus, grzechów i udręczeń. Ale się spostrzegł; poznał, że wiedza ludzka sama nie wystarcza, a wtedy Beatrice, która już w *Vita Nuova* była symbolem czystej wiary, zjawia się teraz jako symbol łaski, i wyprowadza go z przepaści zwątpień i błądzeń do Raju wiary pogodzonej z wiedzą.

Wszystko składa się niby logicznie i symetrycznie, doskonale jedno do drugiego przypada, klucz zdaje się wybornie nadawać i wszystko otwierać — tylko jedno nieszczęście!

Rzeczywistość i chronologia łamią klucz w ręku tego szczęśliwego, który już mniemał z jego pomocą dostać się do skarbów. Niestety *Convito* pisane było po *Boskiej Komedyi;* gdyby więc Dante w tej chciał był oddać swoje filozoficzne rozumowe błądzenia i swoje z nich nawrócenie, to czy mógłby po tem nawróceniu, po osądzeniu tych zwątpień jako złych, czy mógłby pisać *Convito* na chwałę tej filozofii, która go niby złudziła i zwiodła? A jednak *Convito* jest jej gloryfikacyą — może pedantyczno-subtelną i ciężką, ale szczerą, pełną czci i zapału.

Wegele robi poprawkę do hipotezy Wittego. Te błądzenia, które sobie Dante wyrzuca, podług niego nie są pokusami zwątpienia i buntami rozumu, tylko poprostu (jak w istocie było) miłostkami zupełnie realnemi i rozpustnemi. Z temi równocześnie przebywał Dante okres zwątpienia i pokus rozumowych; ale one wiary w nim nigdy do szczętu nie zniszczyły, owszem były powierzchowne, przemijające, tak, że kiedy przeszły, on nawet nie myślał iżby o nich wspominać było warto. Wznosił się nad nie coraz wyżej, co wskazuje *Boska Komedya;* a *Convito* (Wegele nie zapomniał, że ono było napisane po tamtej), jest wyrazem ducha, uspokojonego przez pojednanie wiedzy z wiarą.

Cóż na to Klaczko?

Klaczko mówi, że ci wszyscy uczeni badacze przenoszą Dantego w wiek XIX, i patrzą w swoją własną myśl i duszę, nie w jego. Szukają w jego słowach stwierdzenia tych pojęć, które widzą w sobie i dokoła siebie, a gdy jakieś podobieństwo znajdą, robią Dantego wówczas swym Faustem lub Manfredem. Ale wiek Dantego był inny, i on sam był inny. Człowiek ówczesny i czas ów nie znał tego rozdarcia, tej rozterki, tej niejedności duszy w jednej istocie, która jest cechą i chorobą naszego wieku. Wieki średnie znały wątpliwości, znały niedowiarstwo, herezyę, znały bunt przeciw wierze, ale nie znały powątpiewania i zwątpienia jako stanu stałego i powszedniego, jeżeli nie powszechnego. Nie wierzył ten lub ów człowiek; ale i taki nawet nie wierzył tylko w ten lub ów artykuł czy dogmat. Niedowiarstwa zasadni-

czego, ogólnego, wątpienia we wszystko, kwestyonowania wszystkiego, nie znał i nie rozumiał, nie przypuszczał nawet rozum zbuntowany przeciw katolickiej wierze. Najmniej zaś rozumiały i znały wieki średnie ową przyrodzoną, niby zasadniczą niezgodę między rozumem i wiedzą, a wiarą. To wynalazek późniejszych wieków; a dla Dantego, jak dla całego ówczesnego świata, wiedza i wiara nie sprzeciwiają się sobie, nie żyją w koniecznym i niezgodzonym rozbracie, ale owszem wspomagają się wzajemnie, i każda swoim sposobem, każda na swojej drodze, ale zgodnie i połączonemi siłami, służą tej prawdzie, z której obie wyszły, do której obie dążą. Podsuwać Dantemu taką rozterkę, taką walkę między rozumem a wiarą, to znaczy nie rozumieć jego wieku i jego, jakim na prawdę był, a wkładać w niego jakąś duszę, stworzoną na obraz i podobieństwo nasze. Jak dalece Dantemu nie śniło się o takiej rozterce, dowodzi cała jak jest *Boska Komedya*. Ten Dante, który przecież swoje uczucia, pojęcia, gniewy, pragnienia, daje poznać wyraźnie na każdym kroku swojej drogi, który co chwila ma wyrzuty sumienia, a robi raz zupełny jego rachunek, Dante wątpienia, zachwiania w wierze nie wyrzuca sobie nigdy. Co więcej, on, który jak nikt drugi gromi wszelkie zło, jakie w swoim wieku i kraju widzi, on, taki srogi dla rozpustników, świętokupców, zdrajców ojczyzny i innych, on najmniej życia i strasznej fizyognomii daje „sekciarzom i złym doradcom“. Karze wprawdzie bez miłosierdzia ogniem niebieskim tych, co źle używali ognia wziętego z nieba, ale to użycie rozumu na złe pojmuje jako podstęp, oszukaństwo, nie jako bunt rozumu przeciw wierze. „Problem tej walki, tego przeciwieństwa, nie był znanym w całej swojej rozciągłości ani poecie, ani jego epoce“.

Czytelnik pamięta zapewne część trzecią *Wieczorów Florenckich*. Ta rozprawa jest jakżeby wstęp lub raczej jak zaród tego wspaniałego wykładu, wspaniałego równie jak zwycięskiego i niezbitego, o stosunku Dantego do wiary.

Heine był bardzo popularnym u Francuzów. Taki Paryżanin, taki dowcipny, tak nic niemieckiego w tym dowcipie, taki rozkochany w Paryżu! Przysposobiony syn Fran-

cyi, który z własnego popędu naturalizował się Francuzem! Klaczko rzuca trochę zimnej wody na tę łatwowierną sympatyę do autora *Lutecyi.* Nowe jej czterotomowe wydanie, z *Wyznaniami Poety* i *Bogami na wygnaniu,* daje mu do tego sposobność. Klaczko przypomina więc Francuzom, że Heine nic na prawdę nie kocha, ani nie szanuje; że dla Francyi i Francuzów ma taką samą złośliwą pogardę jak dla Niemców; że podobną pogardę ma dla wszelkiej zasady, wszelkiej wiary, wszelkiego rozróżnienia dobrego od złego. Uważa się za wyższego nad wszelkie przekonania; przekonanie, zasada, dobre są tylko dla głupców i pedantów. Wszystko więc i wszystkich zarówno wynosi i wydrwiwa, nie wierząc nigdy w to, co sam mówi. A kiedy mu to zarzucić, odpowiada, że on jest poetą, „synem Jowisza, dzieckiem Muz“, odpowiedzialnym tylko za dźwięki i rymy swoich wierszy. „Możnaby odpowiedzieć mu na to, że poetą można być tylko wtedy, gdy się ma szczerą wiarę i wzniosły zapał, że wzruszać drugich może tylko serce płonące szlachetnem uczuciem... Ale tej odpowiedzi nie zrozumiałby Heine. Zrozumie może łatwiej inną, tę mianowicie, że przestaje być coraz więcej dzieckiem Muz, a staje się uliczuikiem. Podobny jest do tych koboldów germańskiej Sagi, które miały pod swoją strażą prawdziwe skarby, ale były złośliwe i brzydkie. I on miał skarby, dowodem *Buch der Lieder;* ale kiedy do nich sięga, to rzadko trafia na dyamenty, a najczęściej dobywa garść piasku, którą rzuca ludziom w oczy“.

Czego żałujemy bardzo, to, że ten artykuł o Heinem *(Revue de Paris,* 1855), przypadkowy nieledwie i krótki, nie stał się obszernem i zupełnem studyum. Nikt nie zdołałby lepiej rozłożyć na pierwiastki i znowu złożyć w całość tej dziwnej mięszaniny rzewności, rozmarzenia, namiętności, wdzięku w uczuciu, świetności w dowcipie, i próżni w duszy a cynizmu w sumieniu, która się nazywa: Henryk Heine.

Pan de Laborde, członek Akademii, wydał w r. 1854 dzieło o *Atenach w wieku XV, XVI, XVII.* Opowiadał w niem, jak pierwsze Odrodzenie mało, raczej wcale nie zwróciło uwagi na Ateny i ich zabytki, jak późno, bo już

za Ludwika XIV, dostają się do Francyi pierwsze wiadomości o Akropolis i Parthenonie, jak Turcy stosunkowo mało zrobili krzywdy świątyniom i rzeźbom, jak zniszczenie sprawiły dopiero weneckie armaty i bomby. Z książki tej, bardzo uczonej, ale suchej i ciężkiej, robi Klaczko sprawozdanie; a to proste sprawozdanie czy streszczenie (*Athènes et la Renaissance* w *Revue de Paris*, 1855), staje się pod jego piórem żywą historyą nietylko ateńskich budowli, ale krytyczną historyą pojęć o sztuce starożytnej, ich stopniowego kształcenia się w ciągu trzech wieków.

Wiek XVI, tak fanatycznie i do zbytku zakochany w starożytności, nie pytał o Ateny, nie dbał o nie, nie wiedział, że tam są rzeźby partenońskie i jakie one są. Jak zrozumieć, czem wytłómaczyć tę obojętność i niewiadomość?

Tem właśnie, że uwielbienie starożytności było fanatyczne a bezkrytyczne. Wiek XV i XVI brał za dobre wszystko, co było starożytne; nie rozróżniał, nie badał i „za najwyższy wyraz ideału klassycznego brał to, co było jego kopią. Kochał się w dziełach rzymskich, a kiedy dotarł wreszcie do greckich, to przyciągały go bardziej dzieła z gorszych epok schyłku i upadku, jak z najlepszych". W poezyi Wergiliusz długo podoba się bardziej jak Homer, Terencyusz jak Arystofanes, Seneca jak Eurypides, a Eurypides wreszcie jak Sofokles. Z dziełami rzeźby jest podobnie. Trzeba było równie wiele czasu do poznania się na Fidyaszu, co na Sofoklesie. Papieże, uczeni, artyści, którzy z takim zapałem rozkopują grunt rzymski i z uniesieniem witają każdy wydobyty kawałek marmuru, ani myślą o Atenach; może słyszeli, że tam coś zostało po Grekach, ale puścili to mimo uszu, i nie przeszło im przez głowę pytać, czy też nie byłoby warto zobaczyć, poznać, porównać.

De Laborde zaczyna swoje dzieło od zajęcia Aten przez Turków. Turcy nie zburzyli nic. Kościół chrześciański, którym był Parthenon, zamienili na meczet, postawili przy nim minaret, zabielili figury Świętych na ścianach, ale nic gorszego, żadnej szkody niepowetowanej nie zrobili. Francuzi, żeglarze, wojskowi, dyplomaci, uczeni, poeci, kiedy zaglądają

w te strony, widzą w nich i zapisują różne rzeczy, tylko nie greckie świątynie i rzeźby. Co dziwniejsza, to że ci Grecy, którzy po zdobyciu Konstantynopola przenieśli do Włoch dzieła greckich filozofów i poetów, nie zostawili żadnej wzmianki o dziełach rzeźbiarzy i architektów, żadnego śladu, że ich rozumieli i czcili.

Wiek XVII zaczyna się żywiej zajmować zabytkami greckiemi i lepiej na nich znać. Anglicy, chciwi posiadania dzieł sztuki, kiedy we Włoszech o posągi już było trudno, zaczęli je odkopywać w Azyi Mniejszej i przewozić do swoich zamków. Misyonarze francuscy, Kapucyni, zrobili i wydali pierwszy plan Aten, Jezuita X. Bobin pierwszy ich opis. Poseł Ludwika XIV do sułtana, margrabia de Nointel, bierze z sobą w tę podróż (r. 1670) uczonych i malarzy. Chciał objechać Egipt, wielką puszczę, Ziemię Świętą; w tem doznał przeszkód. Ale Ateny poznał, opisał, przywiózł rysowane ich widoki, i pierwszy śmiał się odezwać z nowem zdaniem, że rzeźby partenońskie są chyba piękniejsze od wszystkich znanych we Francyi i we Włoszech.

To poselstwo wywołało zwrot w ciekawości i znajomości rzeczy greckich; badanie ich staje się głębszem, bardziej umiejętnem. Pierwszym archeologiem specyalistą, który zwiedzał Grecyę z wyraźnym celem naukowym, był lekarz z Lyonu, Spon, lekarz, ale więcej zajęty filologią i archeologią. Ten, rozciekawiony relacyami X. Pecoil (towarzysza Nointela), po swojej podróży wydał dzieło, które nie było bez myłek i błędów, ale które pierwsze łączyło obserwacyę naoczną z erudycyą i specyalną krytyką.

Opowiadanie kończy się nieszczęsną katastrofą z r. 1687. Morosini oblega Ateny na czele wojsk weneckich i zaciężnych; Akropol uchodzi za twierdzę niezdobytą. W nim zamknęli się Turcy; w Parthenonie mieli skład prochów. O tem zbieg jakiś uwiadomił oblegających. Wycelowano działa na Parthenon, kule trafiły, prochy się zajęły... Ze zniszczenia zostało kilka jeszcze posągów na frontonie; te, ustępując z Aten, chciał Morosini zabrać do Wenecyi. Ale gdy się wzięto do zdejmowania, runęły z murem, na którym stały.

Historya zabytków ateńskich jest ciekawa sama przez się: ale spostrzeżenia i uwagi o stosunku wieku XV i XVI do dzieł greckich, o ich smaku i ich niewyrobionym jeszcze zmyśle krytycznym, te są ciekawsze i ważniejsze. Mogłyby znaleść się jako ustęp, wtrącony w książce o *Papiestwie i Odrodzeniu*, a mogą zawsze służyć nam poniekąd za uboczne, ale potrzebne i cenne dopełnienie.

Celtowie i Germanie (*Celtes et Germains* w *Revue Contemporaine*, 1855), to proste sprawozdanie z dzieła Adolfa Holtzmanna, który dowodzi, że Celtowie i Germanie są jednem i tem samem, a przez to obala wszystko, co się dotąd wiedziało i wierzyło o Gallach, Germanach i Brytonach. Klaczko uznaje, że niemiecki autor popiera swoje twierdzenie niektóremi silnemi argumentami, ale przekonanym nie jest, a do stanowczego głosu prawa sobie nie przypisuje.

Artykuł następny: *Ponowna edycya niewydanej powieści* (*La seconde édition d'un roman inédit* w *Revue de Paris*, 1855 r.), jest sam przez się bardzo świetny, a prócz tego ma historyę ciekawą. Edmund About, głośny powieściopisarz, w owych latach młody i na wstępie do swojej wielkiej wziętości, wydał powieść pod tytułem *Tolla Feraldi*. Powieść była bardzo ładna. Opowiadała o młodej dziewczynie ze starego rzymskiego domu, ale nie bogatego, w której się zakochał i którą rozkochał młody książę z najbogatszych i najświetniejszych. Jego rodzina krzywiła się na posag i tytuł niedość wielki; on nie miał odwagi opierać się i przemódz opór rodziny, opuścił dziewczynę, która wkrótce potem umarła. Historya była prawdziwa, zdarzyła się w Rzymie przed laty, a w r. 1855 wszyscy wiedzieli, kto był jej nieszlachetnym bohaterem, jeszcze żyjącym, choć już starym. Ale po śmierci biednej panienki — nazywała się Vittoria Savorelli — ojciec jej, rozżalony i chcący pomścić córkę choć trochę, zebrał listy owego kawalera do córki, listy jej do jakiejś przyjaciółki, i wydał w Paryżu w r. 1841 pod tytułem: *Vittoria Savorelli, istoria del secolo XIX*. Rodzina owego młodzieńca wykupiła odrazu całe wydanie. Ocalało parę egzemplarzy, z tych jeden w Bibliotece cesarskiej w Paryżu.

Wyszła *Tolla Feraldi.* Jako jej recenzya ukazał się w *Revue de Paris* List Klaczki do Edmunda About, arcydzieło ukrytej, zamaskowanej, niemiłosiernej złośliwości. W formach najwykwintniejszej grzeczności, nawet pokornej uniżoności, donosi autorowi *Tolli,* że genialną intuicyą odgadł całą historyę, a co trudniej, wszystkie uczucia, nawet słowa nieszczęśliwej dziewczyny – a na dowód drukuje obok siebie całe ustępy, całe stronnice z *Vittorii Savorelli* i z *Tolli Feraldi,* jedne zupełnie absolutnie takie same, drugie zaledwo cokolwiek zmienione. Nigdy plagiat nie był oczywistszy, bardziej złapany na gorącym uczynku; nigdy nie było złośliwiej dowiedzione i wyśmiane literackie oszukaństwo, tłómaczenie udane i podpisane za rzecz oryginalną.

Dla Edmunda About byłby to cios śmiertelny. Na jego szczęście niedyskretny jakiś drukarz przestrzegł go, że taki *List* wychodzi w *Revue de Paris,* i na jeden dzień przed wyjściem zeszytu ukazał się w *Revue Contemporaine* artykuł Edmunda About, pod tytułem *L'histoire et le roman de Tolla,* w którym tenże przyznaje, że znał włoską *Vittorię Savorelli,* ale że ją zupełnie przerobił, tak mniej więcej, jak Szekspir przerobił nowellę na tragedyę *Romeo i Julia.* Oprócz tego, z urzędu, przez sąd, przysłał About do redakcyi *Revue de Paris* długi protest przeciw fałszywemu oskarżeniu o plagiat, w tonie raczej obelżywym dla Klaczki.

Redakcya musiała ogłosić dokument, oddany jej przez woźnego, ale nie została w odpowiedzi dłużną. W jej imieniu napisał Ludwik Ulbach replikę, w której bardzo dowcipnie i bardzo słusznie odpowiada Aboutowi, że małe zmiany, parę dodanych figur pobocznych, nie zmieniają istoty rzeczy, że powieść jest ta sama, a większość jej kart wprost tłómaczona.

I na tem jeszcze nie koniec. Ów protest był pisany w takim tonie, że Klaczko nie mógł zbyć go milczeniem. Wyzwał Edmunda About na pojedynek. Ale ten osądził, że wygodniej jest nie stawać. Stanął za niego naczelny redaktor *Revue Contemporaine,* Alfons de Calonne. Ten chybił, a Klaczko strzelił w powietrze.

Wykwintny sarkazm, ironia cicha, a zła jak żmija, nigdy nie były świetniejsze i złośliwsze, jak w tym Liście, podpisanym przez *uniżonego sługę*.

Nakoniec dwie rozprawy o treści polskiej.

Rok 1855, to wojna wschodnia, uwaga całego świata zwrócona w stronę Krymu. Sposobność doskonała, żeby przez Krym zająć tę uwagę i poezyą polską. Wychodzi więc w *Revue Contemporaine* artykuł: *La Crimée Poétique (Półwysep Krymski w poezyi)*, Studyum o *Fontannie Łez* Puszkina i o *Sonetach Krymskich* Mickiewicza. Naprzód poemat Puszkina. Rozbiór jego poprzedza autor krótkim, dla publiczności francuskiej bardziej jeszcze potrzebnym niż dla innej, obrazem Bakczyseraju i pałacu Chanów, tej „krymskiej Alhambry", jak się wyraża; potem rozwiewa, śladem uczonych podróżników i badaczy rosyjskich, legendę o mniemanej Potockiej, porwanej w jassyr, kochanej przez Chana, młodo zmarłej: i przystępuje do poematu. Tłómaczy jego powodzenie: był pierwszym większym poematem Puszkina, i pierwszym romantycznym w poezyi rosyjskiej; był nowością, oznaczał i wywoływał zwrot, miał powab bardzo pięknej formy. Sam przez się, poemat ten w byrońskim rodzaju, ma zdaniem Klaczki piękne ustępy, myśli, wiersze, ale niewiele życia i fizyognomii w figurach i scenach, nie wiele zręczności czy biegłości w budowie i układzie.

Druga część rozprawy, to *Sonety Krymskie*. Nic równego dotąd o *Sonetach* napisanem nie było. Autor zaczyna od niedowierzania względem poezyi opisującej, malującej czy chcącej malować. Nie chce jej odmawiać praw, ani nawet tryumfów; wie, że w poezyi wszystko może być, i może być dobrem, jeżeli jest dobrze zrobione. Tylko sam dla siebie chowa nieufność do opisowości, bo widzi z doświadczenia, że ona rzadko kiedy się udaje: mówi dużo, maluje mało.

Jeszcze większy brak zaufania, czy sympatyi, ma Klaczko do sonetu, formy sztywnej, nieużytej, twardej, a przez to z góry skazanej na to, by krępowała, okaleczała, myśl i uczucie.

Te dwa pierwiastki raczej ujemne, opisowość zwykle wątpliwa, bo zbyt często gadatliwa, a nadto i forma sonetu

nieużyta, niewdzięczna, zeszły się z sobą po raz pierwszy, i wbrew logice wydały piękność, w swoim rodzaju niezrównaną. Sonet, który aż dotąd jednostajnie tylko wzdychał i kwilił, przez Mickiewicza pierwszy raz użyty był za ramy do obrazów; i pokazało się, że pod ręką mistrza niema ani form sztywnych i sztucznych, ani widoków, któreby się nie dały wymalować. Owszem, despotyczna forma sonetu, może bez wiedzy poety, wyszła na dobre jego obrazom, bo go zmuszała do skupienia, do trzymania opisowości na wodzy i w karbach. Natura sonetu zaś, która wymaga, żeby wiersz ostatni wyrażał jakiś zwrot myśli i wywoływał wrażenie niespodziewane a przez to silniejsze, ta posłużyła Mickiewiczowi doskonale do zmiany tonu i do włożenia w ten wiersz ostatni własnego uczucia, tęsknoty, zadumy, żalu za Litwą, za przyjaciółmi, za pierwszą miłością. Ten stan jego duszy, spokojniejszy, ale z „hydrą pamiątek“ w głębi, występuje w sonetach zwykle na końcu, po obrazach Stepów Akermańskich, Czatyrdachu, czy Ałuszty. Przechodzi potem Klaczko sonety po kolei (do francuskiego tekstu tłómaczył je częścią on sam, częścią hr. Roger Raczyński), a z tym komentarzem jeszcze lepiej, jeszcze zupełniej rozumie się i wierzy, że sonety są także liśćmi wawrzynu, z których „wieki uplotą“ koronę Mickiewicza.

Był Klaczko w tych latach bardzo już w emigracyi znany, był już znaczący. Pisał dotąd mało, ale jego nauka i zdolność, jego intelligencya, jaśniejąca choćby tylko w rozmowie, były zbyt uderzające, nie mogły przejść niepostrzeżone. Nie był jeszcze sławnym jak później, ale był już głośnym. W ówczesnych listach Polaków emigrantów są o nim wzmianki częste i życzliwe; jego obecność przy jakiem zebraniu lub obchodzie jest zauważona i zapisana. Polacy przyjeżdżający z kraju, za powrotem przywożą pierwsze może wiadomości o nim, o jego zadziwiającej nauce, fenomenalnej pamięci, o rozumie, z jakim mówi o wszystkich kwestyach politycznych, literackich, czy naukowych. Z kim łączyła go wtedy bliższa, serdeczna przyjaźń? Wnioskować nie umiem. Znajomości, zażyłości, stosunków, wiele; wielu dobrych zna-

jomych, dobrych przyjaciół: ale jednego, wybranego, bardzo ukochanego przyjaciela, między nimi nie widać. Sympatya i przyjaźń dla Henryka Rodakowskiego była bardzo żywa i wierna, została do śmierci; ale czy była wielkiem przywiązaniem, czy była dla Klaczki potrzebą serca i szczęścia? Myślałbym, że tej miary nie dochodziła. Lubił bardzo Leona Kaplińskiego i cenił go bardzo, ale tylko lubił i cenił, a niecierpliwiły go w Kaplińskim niektóre własności, podobne do tych, które sam miał w wyższym stopniu, nerwowość, wrażliwość, skłonność do uniesień lub oburzeń. Znajomość z Mickiewiczem, z Bohdanem Zaleskim, blizką, poufałą, zażyłą nie była; z Krasińskim stała się taką dopiero później. Z Czartoryskimi w tych latach stosunki dalekie i chłodne. Z Kalinką, z Januszkiewiczem, wtedy jeszcze tak samo. Horacy Delaroche, Ludwik Kastory, to przyjaźń nie o wiele, ale jednak późniejsza. Roger Raczyński musiał mu być blizkim, skoro go wybrał na sekundanta w owym pojedynku z panem de Calonne. Ale ze wszystkiego wnosząc, jedyny zupełnie zaufany, jedyny bardzo kochany przyjaciel Klaczki w tych latach, to Jan Koźmian.

Te pierwsze lata paryskie sprowadziły wielką zmianę w nim i w jego życiu. Miał rok trzydziesty, młodość przechodziła, zaczynał się wiek męzki, wyrabiała się męzka dojrzałość. Pracował przez ten czas w cichości, ale ogromnie — i z ba dzo zdolnego młodzieńca stał się bardzo uczonym, bardzo świetnym pisarzem: pisarzem w dwóch językach, a w obu równie dzielnym, imponującym siłą myśli, olśniewającym pięknością formy. Wyższość jego była tak widoczną, że jej nikt nie przeczył, uznawali wszyscy. Ubogi był zawsze, utrzymywał się z pism i z wykładów, ale stanowisko już miał, miejsce w świecie już sobie zdobył, choć to były dopiero początki jego piśmienniczego zawodu. W tych latach także wyrobiła się jego miłość Francyi. Francya imponowała mu tyle, ile mu się podobała. Cywilizacya, literatura, sztuka, życie towarzyskie, wszystko to miało dla niego powab i urok, podniesiony do potęgi wiarą w polityczną Francyi nie siłę tylko, ale dobrą wolę.

Wstępował w drugi okres swego życia, w pełnej już zbroi swojej nauki i swego talentu. I wtedy przyszedł fakt największy w jego życiu — chrzest.

Jakto? Teraz dopiero? Tak. Uczucia i przekonania były chrześciańskie oddawna, ale chrztu dotąd jeszcze nie było. Znajomi, przyjaciele, bliżsi czy dalsi, wiedzieli że on się Żydem urodził, ale myśleli że nim już oddawna być przestał. Było inaczej.

I znowu szczera głęboka wątpliwość, obawa, czy ma się prawo mówić o tej sprawie: wystawiać na widok publiczny to, co było najgłębszą treścią jego duszy i sumienia, co było największą zapewne boleścią jego życia, co było tajemnicą tak głęboko w sercu chowaną, że ją przed jednym tylko przyjacielem odsłonił, co było jego najbardziej wyłączną, najbardziej osobistą, najbardziej własną własnością? Gdyby żył, gdyby wiedział, oburzyłby się z gniewem, może zerwałby z człowiekiem, który tę stronę jego życia i serca poważa się odkryć przed światem. On, który zawsze wzdrygał się na pogrobowe plotkarstwa, szperające i dobywające na wierzch tajemnice znakomitych zmarłych, on, który miał za zuchwalstwo niedozwolone i niegodziwe wszelkie śledztwa i dochodzenia w sprawach miłości (Krasińskiego naprzykład i pani Bobrowej lub pani Delfiny Potockiej), cóżby on pomyślał i powiedział na odchylanie zasłony z tajemnic jego sumienia i wiary? Przecież wiara i Bóg, to więcej jak miłość ziemskiej kochanki! To święte, to nietykalne, do tego nikomu nic.

Z najgłębszem przekonaniem widzę i przyznaję, że Klaczko tak sądziłby to co w tej chwili robię. A jednak robię.

Dlaczego? jakiem prawem?

Dlatego, bo z równem przekonaniem widzę i czuję, że mu nie ubliżam, nie uwłaczam, owszem, cześć mu oddaję i drugich do niej powołuję, że nie wdzieram się w jego tajemnicę, tylko fakt powszechnie wiadomy przytaczam: że nie o marną ciekawość chodzi, ani o brzydkie gwałcenie cudzych tajemnic, ale o wyjaśnienie tego, o czem wszyscy wiedzą: nie o popisanie się nową i nieznaną wiadomością, ale o pokazanie,

jak wielka dusza dręczyła się w bolesnej walce dwóch świętych uczuć, jak żadnego z nich nie obraziła, a z walki wyszła z zasługą spełnionego obowiązku względem Boga i względem ojca, z zasługą wyznawstwa — ale i nie bez zasługi moralnego przynajmniej, w duszy, męczeństwa.

Od roku już 1849 — wspominaliśmy — zdarzały się w listach Klaczki do Jana Koźmiana, ukryte ale wyraźne zwroty do jego religijnych uczuć, do wiary, do jej zmiany. Teraz przychodzi list, który o tej zmianie mówi otwarcie, obszernie, i daje poznać, dlaczego ona teraz dopiero, a nie wcześniej nastąpiła. Z tego listu widocznem jest, choć nie jest powiedzianem, że Klaczko (jak był powinien) przyznał się przed ojcem do swoich uczuć i wierzeń, zapewne do swego zamiaru. Gniew ojca musiał być wielki, nieporozumienie z synem gwałtowne. Czy przyszło do zupełnego zerwania? Zapewne nie, skoro z Paryża jeszcze wspomina o listach ojca do siebie. Ale co widoczne z listu który zaraz niżej podamy, to że ojciec zażądał od syna przysięgi: przysięgi, że się nie ochrzci (przynajmniej nie za życia ojca). Syn przysiągł.

Oto ten list, z 25 stycznia 1856 r.:

„Mój kochany, mój drogi Janie!

„Po długiem milczeniu, po latach starganych w walce i błędach, odzywam się do Ciebie, mój drogi, mój kochany przyjacielu! Nie będę Cię przepraszał ani za moje milczenie, ani za nieporozumienia chwilowe, bo przychodzę do Ciebie ze sprawą nierównie ważniejszą i świętą“.

„Ojciec mój umarł, Bóg go przywołał do Siebie. Ustał wzgląd nieprzełomny, który mnie dotąd oddzielał od wiary: nie od jej wyznania, ale od jej zeznania. Powiedziałem Ci, że w tej najważniejszej i najuroczystszej chwili mego życia udam się do Ciebie, mój drogi, mój kochany Janie, więc nie odmawiaj mi teraz pomocy“.

„Mam serce rozdarte i zakrwawione. Wiadomości z domu są straszne; na ojcu ledwie wymusiła moja matka błogosławieństwo dla mnie — ale umysł mam trzeźwy i z całą trzeźwością ducha Ci piszę. — Posłuchaj“.

„Póki ojciec żył, byłem wiązany przysięgą, ale i teraz wzgląd na położenie matki nakazuje mi wielkie ostrożności“.

„Matce wszystko powiem, może Bóg dobry i litościwy da, że ją tu kiedyś sprowadzę, och, może Bóg da, że i ją pozyskam dla Prawdy!... O, wtedy do zupełnego szczęścia by nic już mi nie brakowało, prócz Ojczyzny!...“

„Ale na teraz położenie matki wśród jej rodziny, wśród jej otoczenia, zawisłość jej nawet od tego otoczenia, są takiego rodzaju, że rozgłosem danym memu przystąpieniu do Wiary Chrystusa podkopałbym jej spokój, jej egzystencyę, rzuciłbym ją na pastwę prześladowania i nędzy — och, a tego przecie Bóg żądać nie może! On może mi kazać z siebie zrobić ofiarę, ale nie z mojej matki!...“

„Czekać aż ją uwolnię, aż ją sprowadzę, niepodobna. Bo to może trwać rok, lata nawet. Czekać więc nie mogę — chciałbym jak najprędzej pogodzić się z Bogiem i oczyścić sumienie. Mnie ten stosunek już zbyt dawno cięży!“

„Chodzi mi więc o to, aby przystąpieniu memu do Wiary Chrystusa nie dano rozgłosu, aby o niem nie pisano w gazetach, słowem, abym z własnego zbawienia nie ukuł miecza dla mojej matki, i abym ją jeszcze mógł zbawić kiedyś!...“

„Zresztą, nie świetna to i nie pyszna zdobycz ze mnie dla Świętego Kościoła, z którejby się chciał chwalić. Rzecz to między sumieniem mojem a Zbawicielem, rzecz to duszy mojej, biednej, nędznej duszy mojej...“

„Zechciej to zrozumieć, zechciej się tem przejąć, Janie mój drogi!“

„Gdyby tu był ksiądz Piotr [1]), udałbym się do niego; do Rzymu jechać nie mogę. Do księdza Aleksandra [2]) mam odrazę; do niego bym się chyba w chwili skonania tylko udał...“

„Proszę więc Ciebie, mój drogi, mój kochany Janie, abyś mi udzielił pomocy. Czy znasz jakiego księdza francuskiego,

---

[1]) Semenenko.
[2]) Jełowickiego.

tu we Francyi, i choćby w południowej, do którego bym się mógł udać? Ale zrozumiej mnie: księdza prostego, świątobliwego, nie uczonego i nie dysputującego, księdza litościwego i miłującego...“

„Przystępuję do tego aktu z radością, ale i z brzemieniem strasznych wspomnień i walk okrutnych — proszę o litość, o miłość, o pobłażanie — och, proszę przedewszystkiem o oszczędzenie pamięci ojca, o łaskę dla mojej matki... Nie chciałbym być targanym i szarpanym przez rękę zawsze niezawodnie ojcowską, ale czasem twardą i skwapliwą do jątrzenia. O, taką rękę racz odemnie oddalić, Janie mój drogi! U progów Kościoła miłości chciałbym znaleźć Miłość... Czy rozumiesz?...“

„Nie wiesz, nie zrozumiesz nigdy, co cierpiałem i co cierpię...“

„Możesz mi wskazać takiego księdza? księdza pełnego litości i pobłażania, prostaczka w duchu i lekarza sumień? Wolałbym księdza takiego na wsi; zabawiłbym czas niejaki i uczyłbym się tajemnic wiary...“

„Zrobię jeszcze jedno ostrzeżenie: nie czuję w sobie namaszczenia wyższego nad to potrzebne zwykłemu grzesznikowi, nie czuję powołania do stanu duchownego, ani nawet do polemiki religijnej. Chcę tylko własnego pokoju, ciszy sumienia...“

„Jeżeli znasz takiego księdza, powiedz mi, i daj mi list do niego. Pisz mu w tym liście, żem uczciwy: nic więcej; resztę sam jemu powiem. Przedewszystkiem nie wychwalaj moich zdolności; toby skrzywiło mój stosunek z nim — chcę jako prostaczek udać się do prostego, świątobliwego księdza“.

„Nieraz dawniej się pocieszałem nadzieją, że będziesz moim ojcem chrzestnym — moim Janem Chrzcicielem, Janie mój drogi! Ale to być nie może. Postaram się o takiego, coby przynajmniej miał imię Jana w pamięć Twej przyjaźni, mój drogi przyjacielu. Wezmę jakiegoś poczciwego dziada, bo nie chcę ni panów, ni możnych...“

„To, co ci piszę, zachowaj w sekrecie — zaklinam Cię na zbawienie Twoje, nie mów o tem z nikim, nie pisz do

nikogo, aż się mnie spytasz. Wkładam ten obowiązek na honor Twój, na sumienie Twoje!...“

„Odpowiedzi Twej wyglądam z niecierpliwością. Napisz mi w każdym razie, jaką książkę mam czytać, by się obeznać z praktyką wiary“.

„A teraz ściskam Cię, Janie mój drogi, na teraz jeszcze tylko jako brat w Polsce — wkrótce, da Bóg, jako brat w Chrystusie“. Twój *Julian*.

Adres mój 35, rue Joubert.

Wiadomość o śmierci ojca odebrałem 10-go t. m., dzisiaj mamy 25-go“.

W innym liście pisze, że pragnąłby przyjąć chrzest w Rzymie, ale na to brak mu środków, a prócz tego jego wyjazd do Rzymu nie przeszedłby niepostrzeżony. Trzeba jakiegoś miejsca bliższego, nieobecności krótszej. Listów Koźmiana niema; ale z listów Klaczki pokaznje się jasno, że on na chrzest przyjechać obiecał, i że za miejsce wybrali Bruksellę. Musiał Koźmian mieć tam księży znajomych, których Klaczce wskazywał, bo o list do jednego z nich Klaczko prosi.

„Niedziela, 5 kwietnia 1856.

„Mój drogi, mój dobry Janie!

„Wyjadę w przyszłą sobotę, t. j. 11-go w nocy i nazajutrz stanę w Bruksellí. Bądź więc tak dobry i wystaraj się zaraz o paszport, abyś był w pogotowiu. Skoro otrzymam pozwolenie, t. j. najpóźniej w środę, natychmiast Ci doniosę, tak, że mój list odbierzesz najdalej w niedzielę; w tym liście Ci też napiszę, w jakim hotelu stanę. Proszę Cię, mój drogi, mój dobry przyjacielu, przygotuj wszystko, abyś wraz za odebraniem mego listu mógł wyruszyć, i abym ja bez Ciebie długo w Bruksellí nie bawił — bo mnie by to jeszcze bardziej rozstroiło. Zaklinam Cię także, wystaraj się o rekomendacyę do P. Ligurjana, bo wolę jego; przyczyny Ci powiem w Bruksellí. — Och, oby Bóg dał, abyśmy się już zjechali i uścisnęli! — Nie mogę jeszcze odzyskać spokoju; odbieram z domu bardzo bolesne listy; pracowałem jak wyrobnik osta-

tniemi czasy, by załatwić bieżące potrzeby — ale dzięki Bogu już wszystko przebyte, wszystko załatwione! Zresztą nie wiem, co się w świecie dzieje. Od czasu, gdym odebrał wiadomość o śmierci mojego biednego ojca, ślubowałem sobie nigdzie nie bywać i uczyniłem rozbrat ze światem — powiedziałbym wieczny, gdyby mnie bolesne doświadczenia nie nauczyły, jak krótkotrwałą niestety jest ta wieczność, którą ludzie sobie i drugim ślubują.

Twój *Julian*".

Chrzest odbył się 25 kwietnia. Ta data znajduje się w liście Klaczki do księdza Koźmiana, późniejszym o lat dziesięć.

Niebawem nowa boleść i wielka: niebezpieczna choroba matki i niebezpieczna operacya.

„Berlin, 3 lipca.

„Mój drogi Janie!

„Sam Bóg mnie ciężko doświadcza — odebrałem listy z domu, że matka bardzo chora. Ma raka w piersi; lekarze nasi, zrozpaczywszy o wyleczeniu, wysłali ją do Langenbecka. Wyruszyłem zaraz z Paryża i czekam jej przybycia, którego się w sobotę spodziewam. Smutno mi i gorzko, mój drogi Janie. Wszakże niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, Amen".

„Młodzież tutejsza akademicka smutny przedstawia widok. Zwątpienie, rozbicie straszne, a niewiara wielka. Jakaś zaciekłość antireligijna, nawet bez dawnego zapału filozoficznego; a jednak są chłopcy ze zdolnościami niezwykłemi. Że też nie staracie się wpłynąć na tę młodzież biedną, nadzieję naszej przyszłości! Mnie tu zrazu dobrze przyjęli akademicy, nawet z niezasłużonem uczczeniem — ale zaraz po pierwszym wieczorze zraziłem ich jezuityzmem (!!!) i teraz widocznie odemnie stronią".

„Bawię tu od niedzieli; jak długo jeszcze zostanę, sam nie wiem. Zależeć to będzie od choroby matki. W każdym razie pisz do mnie: *Nr. 29 Georgenstrasse, Klaczko.* Nie wiem także, jak się z wydatkami urządzę. Przywiozłem

z sobą małą sumkę, ale jeśli mama nic niema, to nie wystarczy".

Ściskam Cię, kłaniam generałowi i Twemu bratu

Julian".

„Berlin, 13 lipca.

„Przeszedłem wielkie męczarnie: widziałem, jak krajano i rozpłatano biedną pierś, która mnie karmiła; przekonałem się także, że się próżną łudziłem nadzieją... Przedział jest wielki; nie do zapełnienia — myślę już tylko o spokoju, o odpoczynku i zapomnieniu".

„Słuchaj, nie mówmy już o tem nigdy. Nie mam prawa zatruć ostatnich dni mojej biednej matki — nie mam prawa jej nawet powiedzieć prawdy... Dwanaście lat jej nie widziałem; sądziłem o niej z listów, i nie brałem w rachubę jej wieku. — Jeszcze raz, niech już o tem mowy nie będzie — nigdy — nigdy".

„Rana w dobrym stanie, a p. Langenbeck tylko sobie winszuje z obrotu, jaki wzięła choroba. Jak długo tu zabawię, nie wiem. Rozumiesz, że już teraz ani myślę o zabraniu matki z sobą do Paryża; ona by zresztą na to nie przystała. Zaczekam więc aż do jej (przy pomocy Bożej) wyzdrowienia; a potem rozjedziemy się każde w swoją stronę".

„Poniedziałek 21.

„Operacya niestety jest tylko palliativem, a rak wróci za rok lub nawet pół roku; tę smutną wróżbę mam z ust Langenbecka! Przeszedłem tu wielkie bóle: przekonałem się, jak różnie sobie tłómaczyć można bóle, szczególnie pisane, z daleka... Nie widziałem matki od lat 13 — znalazłem staruszkę, znękaną wiekiem, nieszczęściem i chorobą, której nawet o sobie prawdy powiedzieć nie mogłem, nie śmiałem, nie miałem prawa..."

„Ściskam Cię serdecznie — przed wyjazdem jeszcze raz napiszę. Twój *Julian*".

Czy rak się odnowił? jak długo matka żyła po tem spotkaniu? kiedy umarła? Nie wiemy, a dowiedzieć się nie mamy od kogo.

ROZDZIAŁ DRUGI.

I. Wiadomości Polskie. Artykuły Klaczki z roku 1857. *Krewni* Korzeniowskiego. Kilka mniejszych. *Sztuka Polska. Gladyatorowie* Lenartowicza. Rok 1858. Trzy mniejsze artykuły. Wykłady o Mickiewiczu. Próba złożenia ich treści.

II. List o sobie i o innych. Mowa Mierosławskiego. *Katechizm Nie-Rycerski.*

III. Śmierć Zygmunta Krasińskiego. Artykuł *Wiadomości.* List Klaczki. Nieporozumienie z Czartoryskimi. Wojna włoska. Klaczko o wojnie włoskiej. Dalsze artykuły z roku 1859. *Konspiracya i jawne działanie.* Rok 1860. Nieporozumienie w redakcyi. *Polska w roku 1860.* Zamknięcie *Wiadomości Polskich.* Polskie pisma Klaczki. Znaczenie *Wiadomości.*

I.

Wiadomości Polskie. Artykuły Klaczki z roku 1857. *Krewni* Korzeniowskiego. Kilka mniejszych. *Sztuka Polska*. *Gladyatorowie* Lenartowicza. Rok 1858. Trzy mniejsze artykuły. Wykłady o Mickiewiczu. Próba złożenia ich treści.

Jak przeszła Klaczce reszta tego roku 1856? Śladów brak, ale i bez nich domyślać się można, że przeszła smutno. Jeden list do Ludwika Kastorego [1]), bez daty, ale sądząc po treści do tego roku należący, świadczy o wielkiem przygnębieniu. Sebastopol i jego dalsze następstwa stoją mu kością w gardle, tak, że o nich pisać nie chce. O znajomych donosi cokolwiek; o sobie tyle tylko, że pisze po francusku dla *Revue Contemporaine*. To, co pisze nie wiele go obchodzi, ale daje mu nadzieję zarobku, wydobycia się z długów. Wydaje się przybity i zniechęcony. Nie bezczynny jednak; nie wyrzekł się swoich dawnych zamiarów, a znalazł w sobie dość energii, żeby powziąć nowe, i śmiałe, i znaczące.

Pierwszy numer *Wiadomości Polskich* wyszedł w styczniu 1857 r.: a więc w drugiej połowie r. 1856 myśl powstała, dojrzewała, stała się zamiarem i postanowieniem.

---

[1]) Kastory, nauczyciel domowy ks. Marcellego Czartoryskiego, później pełnomocnik jego rodziców, zmarły w r. 1904. Jego przyjaźń z Klaczką dotrwała do śmierci, a w tym czasie zapewne poczęła być ściślejszą. W lipcu r. 1856 Klaczko donosi księżnie Marcellinie Czartoryskiej o chorobie matki i o przebytej operacyi; w tym liście przesyła ukłony jeszcze »P a n u Kastoremu«. Odtąd Kastory jest zawsze »kochanym Ludwikiem«.

Jak do tego doszło?

O powstaniu *Wiadomości* pisaliśmy obszerniej we wspomnieniu o X. Kalince, o ich wartości i znaczeniu i tam, i w osobnej rozprawie *(Roczniki Polskie)*. Tu więc wystarczy przypomnieć krótko, że aż do tego czasu Klaczko i Kalinka znali się mało, a raczej nie mieli do siebie pociągu. Teraz spotykali się częściej w Bibliotece Polskiej, gdzie jeden przychodził pracować nad zamierzoną historyą poezyi polskiej, drugi nad zamierzoną historyą emigracyi. Z częstego spotykania się wynikły i częste rozmowy. O czem? O tem oczywiście, co było pierwszą myślą i troską każdego. Wojna krymska skończyła się marnie, na niczem, pokój paryski na zawodzie i zwątpieniu. Co dalej? W czem przyszłość? Jaka do niej droga? Jedyna pewna, to podniesienie rozumów i podniesienie charakterów w Polsce samej. Jej nieszczęścia, dawne czy świeże, to skutek całego pasma błędów, win, pomyłek, nagromadzonych od pokoleń i wieków — to skutek złych własności i złych nawyknień narodu. Tych musi on się pozbyć, z tych się wyleczyć, jeżeli ma na prawdę stać się silnym i nabrawszy sił dojść do swego prawa. Co w nas jest złego? dlaczego nic nam się nigdy nie udaje? czem grzeszyliśmy i grzeszymy przeciw swojej sprawie? To musimy wiedzieć, rozpoznać, zobaczyć jasno i wyraźnie, jeżeli nasz stan dzisiejszy chcemy zamienić na lepszy. A więc zbadać ten stan i pokazać jakim jest, a wskazywać jakim być powinien. Z tej myśli wyszły *Wiadomości*. Przez czas wojny krymskiej wychodziły już, pod redakcyą Wrotnowskiego, ale podawały tylko wiadomości wojenne. Teraz Wrotnowski pozostał w redakcyi, ale pismo się przeobraziło. Jego organizatorem, głównym pracownikiem, duchem co przemyśliwał i przygotowywał, ręką co prowadziła, był Kalinka. Jego ozdobą i świetnością, jego natchnieniem i siłą porywającą był Klaczko.

Z dawniejszej pracy pozwalamy sobie jednak, raczej musimy, powtórzyć jeden ustęp jako ogólną charakterystykę pisma.

„*Wiadomości* nie były dziennikiem w ścisłem słowa znaczeniu. Nie były nim nie dlatego tylko, że nie co dnia,

lecz raz na tydzień wychodziły; ale więcej dlatego, że założeniem i treścią swoją różniły się wielce od tego, co zazwyczaj rozumiemy przez dziennik. Wydawane w samem centrum współczesnej polityki i historyi, nie trudnią się przecież wcale bieżącą polityką; o wypadkach nawet ważnych nie wspominają ani słowem, jeżeli te wypadki nie mają wpływu na sprawę polską; o wypadkach potocznych, codziennych, nie mówią wcale. Stoją one w wielkim prądzie europejskiego życia i znać to na każdej ich karcie; ale na to, co się wokoło nich dzieje, patrzą o tyle tylko, o ile spodziewają się stąd lub obawiają dobrego lub złego wpływu na Polskę lub jej losy. Ale w Polsce zato nie trafi się ani jedno choćby obojętne napozór zdarzenie, żeby *Wiadomości* o niem nie wiedziały, żeby go nie oceniły w odniesieniu do sprawy naszej, żeby nie sądziły jego pożytków lub nie przewidziały złych następstw; nie zdarzy się ani jedna krzywda, ani jedno prześladowanie o któreby się one nie upomniały, ani jeden obowiązek któregoby nie wskazały, ani jedna dobra sposobność o którejby nie przestrzegły. Jeżeli się stanie jakieś małe zboczenie z drogi obowiązku, jakaś płochość, jakaś lekkomyślność, *Wiadomości* zaraz przywołują do porządku; jeżeli w dziennikarstwie, w literaturze, w życiu społecznem lub obyczajowem, objawi się jaki kierunek fałszywy i niebezpieczny, *Wiadomości* upominają zaraz i grożą skutkami, które bystro przewidzieć umieją; a kiedy im przyjdzie spotkać się z jakiem publicznem zgorszeniem, z grzechem obrażającym polskie sumienie, z działaniem zgubnem dla tego odrodzenia narodu, dla którego pracują same i innych do pracy chcą znaglić, wtedy karcą i chłoszczą tak, że napiętnowany przez nie kierunek lub człowiek obronić się nie może, a podnieść chyba tylko odmianą i poprawą".

„I tak przez lat cztery były *Wiadomości* jakżeby strażnicą polskich interesów i wewnętrznego życia Polski; z myślą wiernie w przyszłość zwróconą, wlepiły wzrok w teraźniejszość, i przypatrując się jej pilnie, bacznie, niezmordowanie, przykładały do tej teraźniejszości miarę tej przyszłości, i nasze uczynki sądziły podług tego, czy one dla przyszłości

narodu były złe lub dobre, czy ją budowały lub podkopywały. Nie na jedną zaś część Polski, ani na dwie zwrócona była uwaga *Wiadomości*, ale na całą dawną przestrzeń Rzpltej. O częściach mówią one dla całego narodu i z myślą o całości; wydają się jak majtek na najwyższym maszcie, obejmujący cały widnokrąg morza dookoła i wyglądający na wszystkie strony, skąd idzie chmura, skąd burza, skąd się sunie podejrzany korsarz lub nieprzyjacielska flaga powiewa, wreszcie skąd zerwie się ten wiatr i ten prąd, który okręt do portu zaniesie“.

Otwierając te tomiki, przerzucając te karty, doznaje się dziwnego uczucia: jakżeby jakiś głos z innego świata odzywał się do serc i umysłów tak zmienionych, że ledwo poznać się mogą. Pół wieku temu, kiedy te arkuszyki *Wiadomości* zakazane w Galicyi dostawały się ukradkiem z Wielkopolski, rzucaliśmy się na nie z zapałem, z rozkoszą, czytali je sami, odczytywali drugim, na pamięć umieli całe ustępy tych pism małych, z których biło wielkie światło rozumu, wielki ogień miłości ojczyzny, wielka nauka jak tę ojczyznę kochać i jak jej służyć, a nad upomnieniami, naukami, nad surowemi nieraz wyrzutami, unosiła się jednak i jaśniała tęcza nadziei, wiara że Polska będzie coraz lepszą, a jej przyszłość szczęśliwszą. To co wtedy zapalało serca, umysł wiodło do głębszych zastanowień, a wolę do postanowień i ślubów na całe życie, to dziś w naszej straszliwej teraźniejszości ma jakiś ton tragiczny: jest przypomnieniem, odnowieniem, i pożegnaniem dawnych wiar i nadziei. Prawda! tak się myślało, tak się czuło, tak się widziało świat i własny los, a jakim on się okazał! Pół wieku dziejów powszechnych stwierdza tylko, że „coraz podlej na tej ziemi było“: a w Polsce nie coraz lepiej, coraz silniej, coraz mądrzej, coraz wyżej, ale i jej stanowisko w świecie i co gorzej jej stan wewnętrzny, osłabione i obniżone.

A więc w *Wiadomościach*, w mądrych słowach Klaczki i Kalinki niema nic, tylko nieprawda, tylko gorycz złudzenia i rozczarowania? O nie. Wiele jest tej goryczy, ale prawda i nauka jest, i zostaje — smutniejsza, ale choć nie więcej praw-

dziwa, to więcej sprawdzona. A jak my dziś, po wiekach, lepiej rozumiemy upomnienia Modrzewskiego lub Górnickiego, Skargi błagalne prośby i straszne groźby, jak w żałości serca mówimy: „O gdybyśmy ich byli słuchali“ — tak i dziś, i długo potem, kiedy nas już nie będzie, polski rozum, polskie sumienie, polska miłość ojczyzny, mówić musi i mówić będzie, że gdybyśmy byli brali na rozum i do serca to, co nam mówiły *Wiadomości*, nie bylibyśmy tak runęli w przepaść, nie bylibyśmy w niej tak głęboko.

Tu nie o *Wiadomościach* jako takich ma być mowa, ale o tem tylko, co w nich pisał Klaczko. Skąd wiadomość i pewność, które z bezimiennych nie podpisywanych artykułów są jego pióra? Po stylu można je poznawać, z ustnej tradycyi można wiedzieć i pamiętać: ale jest jedna wskazówka, pewniejsza od tamtych, zupełnie pewna, to przez Kalinkę, najlepszego świadka, nazwiska autorów dopisane do każdego artykułu. Z tym dokumentem w ręku, wiemy, co w *Wiadomościach* pisał Klaczko.

Te artykuły są tak mało znane, tak nikt o nich nie wie, prócz małej liczby ludzi, że chcąc o nich dać wyobrażenie, trzeba będzie rozwieść się cokolwiek szerzej. Z tych co czytali, nie zapomniał żaden tego co czytał, ale z tych co czytywali *Wiadomości* od r. 1857 do r. 1861, wielu jeszcze pałęcze się po świecie? Może kilku ledwo. A kiedy wyszły w czterech tomach *Roczników Polskich,* kto je kupił, kto kupiwszy zaglądał do nich i przerzucał raz po razu, jak potrzebny sobie pokarm duchowy? I takich podobno nie więcej. Na to, żeby je dać poznać, nie wystarczy je streścić. To powiedziałoby tylko co w nich jest; jakie one są, tego nikt nie pozna bez własnych słów Klaczki, bez jego stylu. Dlatego potrzebne i konieczne są liczne i długie wyjątki; czytelnik tylko nam za nie wdzięcznym być może.

Pierwszy z rzędu jest artykuł o *Krewnych* Korzeniowskiego. Ten dość jeszcze zapamiętany. We wszystkich większych czy mniejszych monografiach o Korzeniowskim, w niejednej nawet ogólniejszej pracy gdzie o nim jest mowa, znajdzie się i wzmianka o recenzyi Klaczki. Była sroga. Korze-

niowski sam tak ją wziął do serca, że podług wielu podań jeszcze przed samą śmiercią miał mówić: „Przebaczam wszystkim, nawet Klaczce“. Biografowie i krytycy Korzeniowskiego zgodnie sądzą, że Klaczko obszedł się z nim nielitościwie, że go skrzywdził.

Jakiż powód tego całego zajścia i jaki przedmiot tej krzywdy?

W powieści swojej wprowadza Korzeniowski dwóch ludzi, z których jeden był zepsuty do szpiku kości, a drugi mocno nadpsuty, oba zaś podnoszą się z upadku, odzyskują sumienie, honor własny i ludzki szacunek, przez służbę w wojsku rosyjskiem. Na to oburza się Klaczko, to nazywa (nie jeden raz) odstępstwem sprawy narodowej.

W tem oskarżeniu jest istotnie niesprawiedliwość. Korzeniowski odstępcą nie był, nigdy nie chciał ani nie myślał nim być. Ale żeby zrozumieć oburzenie Klaczki, przypomnijmy sobie ówczesne powszechne uczucie polskie. Od zaprowadzenia powszechnej służby wojskowej każdy widzi mundur jednego z państw rozbiorowych na sobie, na swoim bracie, synu, przyjacielu, znajomym; przywykliśmy do tego widoku, przywykliśmy do tej konieczności, i nikt dziś nie myśli, nie powie, że mundur hańbi Polaka, że się nie zgadza z jego polskiem uczuciem i honorem. Ale pół wieku temu było inaczej. Wtedy dobrowolne wstąpienie do wojska, dobrowolne włożenie munduru, uważane było jak zgodzenie się na rząd obcy, jak zaparcie się swoich uczuć i swoich praw. Była w tem nawet oczywista i wielka niekonsekwencya. Nie braliśmy ludziom za złe służby cywilnej: urzędnik administracyjny albo sędzia nie był uważany za złego Polaka, ten mundur nie dotykał i nie plamił jego honoru; ale mundur wojskowy widziany był jak coś brzydkiego, przeciwnego godności narodowej. Nie brano za złe tej służby tym, co na rozkaz, lub żeby uniknąć konfiskaty majątku, wstępowali do wojska rosyjskiego, a zdarzały się takie wypadki. Służba dobrowolna w wojsku raziła i oburzała. Nie brak faktów na przykład czy dowód. Księżna Stanisławowa Jabłonowska (z Wielopolskich) nie chciała wyjść na ulicę w Kra-

kowie z krewnym swego męża, feldmarszałkiem ks. Feliksem Jabłonowskim; hr. Ludwik Morstin prosił swego krewnego Romana Michałowskiego, podówczas bardzo młodego chłopca, żeby do niego w tym mundurze nie przychodził. Porozumienie margrabi Wielopolskiego z jenerałem Zamoyskim i jego otoczeniem w r. 1860, z obu stron pożądane i usiłowane, rozbiło się między innemi powodami o pytanie Kalinki, dla czego syn margrabi, hr. Zygmunt, służy w wojsku i chodzi w mundurze.

To trzeba sobie przypomnieć i uprzytomnić, a wtedy oburzenie Klaczki nie wyda się dziwnem. Czy nie wyda się przesadzonem, niesprawiedliwem? Znowu rzecz jasna i pewna, że lepiej służyć w wojsku, choćby obcem, jak nic nie robić, zbijać bruki, marnować się albo i terać w próżnowaniu. W służbie wojskowej jest jakiś pierwiastek honoru, odwagi, hartu, a w nim środek zaradczy przeciw niejednemu złemu, może popęd do niejednego co dobre. A więc Klaczko zawinił, kiedy rehabilitacyę przez służbę wojskową wziął Korzeniowskiemu za złe? Tu trzeba rozróżnić, a wtedy pokaże się, że nie Klaczko przesadził, ale Korzeniowski chybił brakiem rozeznania i taktu. Odstępcą, jeszcze raz powtarzamy, Korzeniowski ani był, ani chciał być; ale że mu zabrakło delikatnego uczucia i właściwej miary, to darmo, to się zaprzeczyć nie da, to jest prawda. Że jego pan pułkownik Jelewski z niegodziwego szubrawca w wojsku wyszedł na uczciwego człowieka, niech tak będzie; trudy i niebezpieczeństwa mogą człowieka podnieść i wyszlachetnić. Ale uczucie, z jakiem ci ludzie służą, to jest rażące. Uczucia polskiego na prawdę nie znać w nich nic. Eugeniusz szczyci i cieszy się uprzejmością kolegów, łaską przełożonych, awansami i krzyżami, czuje się „swobodnym i dumnym jak Farys“. Czy to nie zanadto? czy nie mógł choćby wspomnieć o innych lancach i innych chorągiewkach? A *Tadeusz Bezimienny* czy nie mógł zginąć gdzieś pod Grochowem czy Ostrołęką, skoro tam był? czy musiał koniecznie przez łaskę ojcowskiego przebaczenia być wziętym do wojska rosyjskiego i tam dopiero zginąć bohaterską śmiercią?

A jego matka dopiero! Jeżeli już koniecznie chciała mieć kochanka, to czy nie mogła znaleźć „pięknego i silnego“ jenerała w wojsku polskiem? To są te pomysły, które dziwnemi muszą się wydać zawsze, to są pytania, których nikt przy czytaniu i sądzeniu *Krewnych* odsunąć i autorowi oszczędzić nie może, a które pół wieku temu Klaczko w oburzeniu nazwał „przystawaniem na niewolę egipską i narodowem odstępstwem“.

Rzecz druga, którą Korzeniowskiemu zarzuca, to moralność pozioma, średnia, nie obrażająca ani kodeksów karnych, ani praktycznego rozsądnego zmysłu bezpieczeństwa i wygody. I znowu musimy wyznać, że Korzeniowski w swojem sumieniu i przekonaniu z pewnością takiej moralności nie wyznawał, ani pochwalał, ale że przez brak rozeznania czy taktu, w dziełach swoich nieraz taką wystawia jako sympatyczną i dobrą. Czasem nawet staje w sprzeczności ze swojem własnem dobrem uczuciem, i istotę wstrętną, niegodną, ma nie za niewinną, ale za sympatyczną, dobrą. Za dowód służy ta sama Rozalia, matka *Tadeusza Bezimiennego*. Że raz zbłądziła, nie rzucajmy na nią kamieniem. Ależ to nie jeden raz, to zwyczaj. Wszak ona sama przed końcem powieści oświadcza drugiemu synowi, że on nie ma więcej praw jak Tadeusz, że on także nie jest synem męża, tylko szczęśliwym dla siebie trafem przyszedł na świat w takim czasie, że mógł być na tego męża intabulowanym. Że ta Rozalia na starość pokutuje i płacze, to bardzo szczęśliwie dla niej, otrzyma przebaczenie na tamtym świecie. Ale na tym świecie istotnie zrozumieć trudno, jak autor mógł mieć dla niej tyle pobłażania i względu? jak mógł nie czuć, że ta jej matka, która na przyjęcie córki z amantem przysposabia i zdobi mieszkanie jak żeby dla córki nowo zamężnej i przyjeżdżającej pierwszy raz po ślubie z mężem, że ta matka jest oburzająca, obrzydliwa?

Nie był więc Klaczko bez słuszności, kiedy mówił, że Korzeniowski idzie za daleko w ugodowości (że użyjemy dzisiejszego wyrażenia), a nie dość wysoko w moralności. A jak Klaczko to mówił? To zobaczyć warto. Przytaczamy

naprzód ustęp początkowy, dający poznać, jak on patrzał na literaturę w ogólności, i na dzisiejszą, a w szczególności na powieść:

„Można temu złorzeczyć lub przyklaskiwać, można w imię ideału nad tem ubolewać, albo w imię postępu z tego się cieszyć, ale nie można temu zaprzeczyć, że wszystko w naszych czasach dąży do upowszechnienia, a zarazem i do spowszednienia. Myśl już nie jest numizmatem starannie zbieranym przez miłośników, przechowanym i cenionym przez rzadkich znawców; jest ona monetą przechodzącą z rąk do rąk, przez rąk jak najwięcej, i w miarę właśnie większego obiegu tem bardziej cenioną. Ale ta moneta bywa nieraz bardzo mięszanego kruszcu, a w obiegu swoim traci zazwyczaj wzniosłe piętno, nadane sobie pierwotnie w tajemniczej ducha mennicy. Koło cywilizacyjne się coraz rozszerza, promień oświaty nie spoczywa już wyłącznie na wyżynach społeczeństwa i daleko głębiej przenika; nietylko same wielkie mianowniki, ale masy wchodzą w rachubę świata politycznego i moralnego — i któż nie zechce w tem uznać opatrznej woli, któż będzie śmiał zaprzeczyć historycznej konieczności tej przemiany? A wszakże, jak we wszystkich przemianach, tak i tutaj, niepowetowane straty idą w parze z niezaprzeczonemi zyskami, i z dojrzewającym owocem nie jeden piękny liść opada — liść niejednemu od samego owocu milszy i droższy. Horyzontalna dynamia ludzkości się wzmaga, ale wertykalna opada; działania stają się obszerniejsze, ale dzieła drobniejsze; ogół potężnieje, a indywidualności maleją. W dwóch jedynych wielkich wojnach, których był świadkiem wiek nasz po skończonej epopei napoleońskiej, palmę zaszczytu, palmę powszechnego uznania odniósł nie wódz żaden, ani żaden naczelnik; odniosło ją dwóch bohaterów, „których imię legia“, *Czwartak i Żwaw,* imię pułku nie hetmana, imię masy nie osoby — rzec także można, imię ducha, nie geniuszu“.

„Ten sam objaw spostrzegać się daje i w literaturze współczesnej. I tu coraz mniej widzimy mistrzów słowa, a coraz więcej pisarzy, coraz mniej arcydzieł, a coraz większy

ruch literacki. Artyści, poeci, nie tworzą teraz w zaciszy natchnienia dla umysłów wybranych, sympatycznych, dla tych, z którymi ich łączy spółka ducha i uczucia. I oni też przedewszystkiem masy mają na widoku; masy narzucają im swoje warunki, swoje zachcenia, swoje potrzeby, z których największą a bodaj najfatalniejszą jest potrzeba ciągłego spożywania pokarmu, choćby najmniej zdrowego. Jeszcze tak niedawno powiedział Schiller[1]), iż „kto najlepszym swego czasu zadosyć uczynił, ten uczynił dosyć po wszystkie czasy“ — ale jakżeż prędko przebrzmiały te piękne, te dumne słowa! Nie najlepszych, ale najliczniejszych swego czasu usiłują zadowolnić obecni pisarze, i dość uczynili, gdy wyrobem swym zapełnili próżnię jednego wieczoru — i jednego fejletonu. Nic charakterystyczniejszego pod tym względem nad owe wyrażenie ruchu literackiego, o którem eśmy dopiero co wspomnieli, które w tak powszechne weszło używanie i które naiwnie przypomina pokrewne wyrażenia o ruchu kapitałów, kolei żelaznych i t. d. Ale ze zjawiska tego tylko te statystyczne dusze chyba cieszyć się potrafią, które i duchowe bogactwo według ekonomicznych praw popytu i odbytu oszacować zamyślają, które nie o jakość, ale o ilość dzieł się pytają, i przemysłowe gospodarstwo radeby rozciągnęły aż do niwy poetycznej. Dla każdego myślącego i czującego przeciwnie fakt to będzie bolesny, przestraszający, i stanie się dlań źródłem niejednego skrupułu, niejednej gorzkiej uwagi. Umysł, najskłonniejszy do sympatyzowania z ogólną niwelującą dążnością wieku, najskorszy do uznania jej konieczności, do hołdowania jej sile, do głoszenia jej dobrodziejstw, zachwiać się jednak musi i zaniepewnić, skoro owa dążność się objawia i w dziedzinie sztuki: skoro twory zapału, uczucia i wyobraźni przybierają powszechne średnie rozmiary szczęśliwej mierności, skoro i potok natchnień zaczyna płynąć — potocznie, coraz szerszem, ale i coraz płytszem korytem. Mniej pałaców a więcej porządnych chat; mniej świetnych czynów a więcej dobrych uczynków; mniej

[1]) Mylka — powiedział to Göthe o Schillerze.

bohaterów a więcej obywateli; mniej półbogów a więcej ludzi... Zgoda! Ale czy też i mniej geniuszów a więcej talentów, mniej Rafaelów a więcej Dowów, mniej *Irydionów* a więcej *gawęd?*... Żądać lub tylko dozwolić tego, aby sztuka przestała być idealną, natchnioną, żądać lub tylko dozwolić tego, aby lot swój niebieski zwinęła i poziomego nam dotrzymała kroku, aby zamiast nas prowadzić do słońca, z nami przy naszej ekonomicznej zasiadała lampie — nie jestże to nietylko ubliżyć jej godności, ale odebrać jej wszelką racyę bytu? Bo jakież inne jej powołanie, jakież inne może być zadanie, jak to, aby nas z cieśni codziennych stosunków prowadziła w świat rozleglejszy i piękniejszy, w świat, w którym ustają wszelkie przypadkowości i mierności naszego zwykłego życia, w którym zapał tworzy cudy, a natchnienie łamie, czego rozum łamać nie jest w stanie? I czyż właśnie w czasach jak dzisiejsze nie większa tego niż kiedykolwiek potrzeba? Czyż właśnie w epoce, w której wszystko maleje i powszednieje, nie potrzeba, aby przynajmniej poezya nam przedstawiała figury wielkie, idealne, aby wśród otaczającego nas zewsząd dymu, nie dział, ale kotłów, odsłaniała nam raz po raz czyste i jak najczystsze niebo Olimpu, aby nam dała poznać, poczuć, przeczuć choćby tylko, że jest wyższa moralność nad dobrze zrozumianą Franklina, i cudowniejsza jeszcze droga nad *railway* — ta, która od serca prowadzi do Boga?...“

„Jeśli z tego stanowiska zechcemy zapatrywać się na znaczenie i powołanie literatury, nie łatwo nam przyjdzie wtórować tym naszym pismom krajowym, warszawskim szczególniej, które z taką chlubą, z takiem zadowolnieniem wspominają o wzrastającem coraz bardziej piśmiennictwie naszem, o wzmagającej się liczbie autorów i rozszerzającem się kole czytelników; i będziemy nieraz musieli żałować tych ledwie co ubiegłych, a jednak już tak dalekich czasów, w których rzadkie a wielkie geniusze trzymały pochodnię myśli. Mniej wówczas było piszących, ale ileż natchnionych! Mniej wtenczas było czytelników, ale ileż za to serdecznych wielbicieli!...“

„Od surowego sądu o tym rodzaju piśmiennictwa [1]) nie może też nas odwodzić i ta jego sławiona użyteczność, którą najwięcej łudzą umysły. Ileż, wołają, wiedzy powieść rozszerza między masy; ileż uczuć i wyobrażeń budzi w tej publiczności, której stan kultury zabrania przystępu do wyższych sfer nauki i sztuki; ileż poetyczności rozlewa przez to między niższe warstwy! Te i tym podobne dają się słyszeć głosy na cześć tej poetycznej encyklopedyi. Ileż złudzeń w tem wszystkiem, odpowiemy my znowu na to: ile dobrowolnego zaślepienia, ile nieznajomości mas i serca ludzkiego! Jeśli gdzie niedouctwo gorszem jest od nieuctwa, to niezawodnie tam, gdzie nauka jest tylko przyprawą fantazyi, gdzie gruntowny wykład nie może być udzielanym ani nawet żądanym, gdzie nauczyciel, żadnej nie ulegając kontroli, przed własnem nawet sumieniem ma wymówkę, że sam sobie swój świat stwarza! A jakżeż niebezpiecznemi znowu są przykłady, które najlepsze nawet stawiają romanse! Jakżeż szkodliwemi są ich ideały — tem właśnie, że nam są przystępnemi! Epopea, tragedya, tworzą nietylko ludzi idealnych, ale i sferę idealną, którą ich od nas zbawiennie oddzielają; budzą w nas szlachetne uczucia podziwu, uwielbienia, nie wywołują chęci złego naśladownictwa. Romans przeciwnie, na gruncie domowego życia, w powszedniem otoczeniu, wyprowadza figury wpółpoetyczne, wpółrealne, tak zwodnicze właśnie — dla wpółukształconych. Któż kiedy spotkał się w życiu z Makbetem lub Learem? a jakżeż często ujrzymy dobrowolne a nieszczęśliwe kopie bohaterów Sanda i Balzaca! Cóż dopiero, jeśli romans, jak u nas, staje się wyłącznym i powszednim chlebem czytającej powszechności, absorbuje wszystkie talenta i jedyny prawie głos publiczny zabiera?...

„Drażniące opowiadanie namiętności, dramat życia obecnego, jak go pojmujemy, nie dotyka przyczyn, przedstawia tylko skutki, które są raczej zaraźliwe niż korzystne dla umysłów pozbawionych wszelkiej innej uprawy. Było zawsze mojem zdaniem, że dobre romanse są bardzo użyteczne, lecz dla

[1]) O romansie.

odpoczynku, nigdy zaś jako wyłączny i ciągły pokarm umysłów“... Któż wyrzekł te głębokie, pamiętne słowa? Zaprawdę, nie pedant żaden lub moralista, ale najznakomitszy, najgenialniejszy z nowoczesnych romansopisarzy: George Sand! I na tem godnem uwagi wyznaniu, przerywamy nasze ogólne spostrzeżenia“.

To był głos krytyki, literackiego i artystycznego sądu; zobaczmy, jak brzmi głos oburzenia:

„Jak dalece p. Korzeniowski posuwa to godzenie się z obecnością, to przystanie na niewolę egipską — nazwijmy rzecz po imieniu: to narodowe odstępstwo — dowodzi oburzające zakończenie, które śmiał dać swej powieści, bezbożna transfiguracya, w której nam okazuje się wreszcie bohater Eugeniusz. Doprowadziwszy go do ostatecznego kresu rozczarowania, postawiwszy go nad samym brzegiem przepaścistego zmarnienia, moralnego znikczemnienia i wyzucia się ze wszelkich instynktów zacności i honoru, pozwala mu znowu autor odzyskać pozycyę i znaczenie, pozwala mu wyjść ze strasznego zachwiania, przywraca go do czci we własnych oczach i ludzkich, do uczucia osobistej godności i wartości, i oddaje mu w nagrodę rękę ulubionej istoty — a cudownym środkiem takiej wielkiej rehabilitacyi jest — służba w wojsku rosyjskiem! Stan ten „uczy go pogardzać wykwintnemi wygodami życia, wytrzymać wytrwale w jednostajnej pracy i opierać się na własnej sile, czego mu właśnie brakowało“. Czytamy listy tego kaukaskiego żołnierza, z których, jak sam p. Korzeniowski powiada, „widać, że Eugeniusz opisywał takim szczęśliwym tonem miejsce gdzie się znajduje, ludzi z którymi żyje, służbę którą pełni, nietylko dlatego aby krewnych uspokoić, ale że mu się to wszystko doprawdy podoba“. Autor zapewnia nas dalej, że jego bohater zdrów i wesoły, że go „kaszkiet nie gniecie i mundur nie ciśnie“... „a gdy koń jego parska, gdy chorągiewka piki wiszącej na jego ramieniu igra z wiatrem nad jego głową, szumiąc jak skrzydło które go chce unieść od ziemi, czuje się swobodnym jak Farys (jak Farys! — p. Korzeniowski w takiem miejscu przypomina poemat tego wielkiego

wieszcza-tułacza, który w wyprawie przeciwko tym właśnie pikom i chorągiewkom dokonał męczeńskiego życia na brzegach Euxynu!..) i rozmarzony, szczęśliwy, marzy o tych wiekach poetycznych, które zna tak dobrze!“ Pełniąc sumiennie swe obowiązki, zyskuje Eugeniusz „życzliwość swoich zwierzchników“ i szczyci się „kompanią uprzejmych towarzyszów“; a ponieważ szczęście nigdy samo nie przychodzi, udaje mu się raz nawet ocalić życie rosyjskiego jenerała i drogiej jego rodziny, za co go naturalnie nie mijają łaski i awanse, a niebawem też „błyszczą pożądane szlify na ramionach pięknego bohatera naszego“...

Więc w taki to czyściec przemienia p. Korzeniowski owe piekło wojskowej służby rosyjskiej, na którego wspomnienie drżą nasze matki i tulą swe dzieci do łona! W taką to Dantejską górę Zbawienia przeobraża nam autor *Krewnych* ów Kaukaz ciemny, do którego cary od lat tylu przybijają polskiego Prometeusza! Więc jako szkołę naszej rehabilitacyi przedstawia on nam tę armię Attylów, która mieści w sobie dwa najokropniejsze barbarzyństwa w świecie: barbarzyństwo dziczy u dołu i barbarzyństwo przekształcenia u góry, której wyżyny są stekiem najwyrafinowańszego zepsucia, a podwaliny kolosem bydlęcego stępienia, w której łupiestwo, okrucieństwa, zapoznanie praw ludzkich i boskich, walczą o prym z pogańską nienawiścią ku wszystkiemu co wolnem, cywilizowanem i szlachetnem: która jeśli kiedy słyszy o honorze, to chyba gdy mowa o długach karcianych, a jeśli zna jaki heroizm, to chyba ten, który wielki wieszcz nasz nazwał heroizmem niewoli! I czyż p. Korzeniowski tego nie wie, że ta właśnie służba jest najstraszniejszą i najniebezpieczniejszą próbą, przez którą tylko przechodzić może biedna młodzież nasza, i z której tylko rzadcy wychodzą z czystemi obyczajami, z czystem sercem, z czystem sumieniem Polaka? Niechaj się pyta tych męczenników, co z tej piekielnej próby wyszli zwycięsko, a oni mu powiedzą, jaką koszulą Dejaniry był dla ich polskiej duszy ten „mundur co nie gniecie!“ Czyż p. Korzeniowski o tem nie pomyślał, co to znaczy dla Polaka być „w uprzejmem towarzystwie“ potomków Suwo-

rowów i Drewiczów, zawiesić na swem ramieniu tę „chorągiewkę“, która może nie tak zbyt dawno temu po trupach jego braci wzlatywała w dymiące się szańce Warszawy, wziąć w rękę tę „pikę“, która może przebiła niejedno z niewiniątek oszmiańskich, dzierżyć ten bagnet, którego ostrze wymierzone zawsze przeciwko sprzymierzeńcom ojczyzny, a w danym razie przeciwko jej synom a własnym braciom?“

„P. Korzeniowski w swoich powieściach wystawia bohaterów, walczących w szeregach wroga, za sprawę wroga; w koło naszej społeczności, którą maluje, wprowadza gdzie i jak się tylko da Moskali, jakby nas chciał z nimi oswoić i pobratać; w *Tadeuszu Bezimiennym* dziewosłębi nawet — *proh pudor!* — wyrodnym i cudzołożnym miłostkom Polek z rosyjskimi jenerałami! Musimy tu choć w krótkich słowach wspomnieć o tym, niezbyt także dawno ogłoszonym utworze; bo jeśli nie jaśniej, to niezawodnie jeszcze jaskrawiej niż w *Krewnych* odbija się w nim myśl narodowego odstępstwa. Powieść zaczyna się od tego pamiętnego roku, który witał na polskiej ziemi wracające Legiony Dąbrowskiego, który był kolebką i grobem tylu wielkich nadziei, który autorowi innego i zaprawdę bardzo odmiennego *Tadeusza,* stał zawsze przed oczyma „jako piękna mara senna i narodzonemu w niewoli, okutemu w powiciu, jedyną był wiosną w całem mroźnem życiu“. Ale p. Korzeniowski swoje opowiadanie o ten rok Napoleońskiej wyprawy tylko dlatego zawiązał, by korzystając z częstych wówczas pochodów wojsk wzdłuż i szerz naszego kraju, ukuć kilkutygodniową intrygę między pięknym „silnym“ jenerałem rosyjskim, „na którego szyi błyskał wysoki znak łaski i dostojeństwa kosztownemi obsypany brylantami“, a polską panią, córką wielkiego rodu, żoną zamożnego szlachcica. Mamy potem opis pewnej nocy i pewnej sypialni, nie ustępujący ni w wytworności, ni w wyrafinowanym cynizmie, najbardziej osławionym tego rodzaju obrazom w romansach francuskich, a w których wiarołomna żona podrzuca śpiącemu mężowi płód swego bezprawia... Taki jest początek dzieła; a koniec jego niemniej hańbiący stawi pomnik drugiej wielkiej dacie naszych dziejów z tego

półwieku, powstaniu z 1831 r. O tej dacie nie wspominają pisarze nasi pod zaborem rosyjskim; i zaprawdę, nic uroczystszego, nic wymowniejszego nad to pobożne milczenie, którem, jak niejeden lud starożytności święte imię swego grodu lub bóstwa, pokrywają ten rok wielki a cudowny! P. Korzeniowski pierwszy i dotąd jedyny, o ile wiemy, złamał ten święty obyczaj, i wręcz wypowiada, że bohater jego powieści, uciekłszy ze szkół krzemienieckich, przystąpił „do wojsk powstańczych“. Ale jakżeż to zgrabnie umie tłómaczyć tę płochość szesnastoletniego dziecięcia, jakżeż prędko mu każe wrócić do upomnienia i skruchy! Tadeusz nie czeka ćwierci wieku na tę sławną amnestyę, której perifrazę w gazetach warszawskich tak wprawnemu zawdzięczamy pióru; on następnego zaraz roku wraca z emigracyi do kraju, gdzie sąd wojenny, łaskawy i w całem znaczeniu tego wyrazu ojcowski, każe mu się dosługiwać przebaczenia w wojsku kaukaskiem... „W połowie lipca 1834 r. miał już Tadeuszek krzyż, miał porucznikowskie szlify, i gdy po raz pierwszy w nowiuteńkim mundurze, na dzielnym koniu, prześliczny oficer pokazał się w szwadronie swoim, wszyscy żołnierze krzyknęli uradowani, a oficerowie ściskali go i winszowali sobie takiego kolegi!“ Autor apoteozę prowadzi do końca: kula czerkieska „uderza w tę pierś bohaterską“ i Tadeusz ginie na polu sławy, na ręku swojej matki, w bratniem kole oficerów rosyjskich“...

Jest mniemanie, powtarzane przez wszystkich niemal, którzy o Korzeniowskim pisali, że w jego *Złotych kajdanach* figuruje Klaczko, jako najemny pismak, sprzedający swoje pióro, nazwany Centaurowiczem. Jeżeli to prawda, to Korzeniowski się mścił tylko, ale się nie obronił. Nie oczyścił ani swoich figur, ani siebie, z zarzutów, jakie mu Klaczko robił; jemu zaś zrobił zarzut, gorszy od wszystkich, jakie od niego miał do zniesienia. Klaczko nie posądzał go nigdy o przedajność, o interes pieniężny; Centaurowicz, jeżeli istotnie ma być wyobrażeniem Klaczki, jest potwarzą. Gdzie i kiedy zrobił Klaczko cokolwiek w interesie pieniężnym? gdzie i kiedy miał swoje przekonanie na sprzedaż? To oskar-

żenie jest nieprawdą, a Centaurowicz nie jest podobieństwem Klaczki, tylko potwarzą na niego: nie jest obroną Korzeniowskiego, tylko jego zemstą. Bezskuteczną, bo dobrej sławy Klaczki nie tyka, a wiary znaleźć nie może.

Dziennik Kazimierza Platera, o *Zebrzydowskim i Radziejowskim*, to sprawozdania o świeżo wyszłych zabytkach lub pracach, ale i w takich jest sposobność na sąd, na wyraz polskiego uczucia i politycznego zmysłu. Tak naprzykład pewne próby wytłómaczenia i usprawiedliwienia Zebrzydowskiego i Radziejowskiego, nasuwają Klaczce taką uwagę:

„Spór czysto kronikarski, kwestya osób dawno zmarłych i nas nie obchodzących — powiedzą może czytelnicy nasi! Jesteśmy zupełnie innego zdania. Dla nas historya jest częścią wielką naszego narodowego bytu, i przestrzeganie w niej prawdy i cnoty rzeczą aktualną i obywatelską. Zdrowe sumienie indywiduów polega na jasnej wiedzy o dobrem i złem w moralnym świecie; zdrowe sumienie narodu polega na dokładnej świadomości dobrego i złego w świecie jego historycznym. Ta sama fantazya szlachecka, która niegdyś podkopywała u nas wszelkie rządy polityczne, podkopuje teraz wszelkie sądy historyczne. Wystawienie anarchii u nas, jako żywotnej sprężyny naszego dziejowego organizmu, usprawiedliwienie wojen „kokoszych“ i rokoszów z ducha praw i instytucyj polskich, z opatrznego posłannictwa narodu, rehabilitacya Radziejowskich, Zebrzydowskich, Lubomirskich i Szczęsnych z wyższego stanowiska „dodatniego światła“ i złotej wolności, prowadzą do zamącenia wszelkich pojęć o państwie, o prawie, o pierwszych warunkach politycznego bytu“.

Wyraźniej i świetniej występuje ta sama myśl w sprawozdaniu o Kazimierza Jarochowskiego *Dziejach panowania Augusta II.* Z wielkiem uznaniem, ze szczerą sympatyą, mówi Klaczko o młodym historyku: ceni i chwali jego zasługę, że zadał sobie przymus bolesnej pracy nad temi smutnemi upokarzającemi dziejami. Ale młody historyk był wtedy uczniem tej szkoły, adeptem tej nauki, która od Lelewela poczęta przeszła na Moraczewskiego i innych: wszelką opozycyę przeciw królom miała za czyn patryotyzmu i obywa-

telskiego obowiązku, dla republikańskich pozorów nie chciała widzieć i przyznać politycznych defektów i zgubnych następstw naszej konstytucyi. Przeciw tej doktrynie, tej apoteozie polskich instytucyj, protestuje Klaczko w imię historycznej prawdy, i prawdy politycznej: siły państwa, jego bezpieczeństwa, jego bytu.

„Ustawa nasza rządowa przez dwa wieki była nieustannym przedmiotem patryotycznych obaw wszystkich znakomitych ludzi u nas, i *ją* przedewszystkiem, jako naczelną przyczynę naszego upadku, uważają wszystkie wyższe umysły, wszyscy sędziowie dziejów i mistrze historyi, w Polsce, jak i w reszcie Europy, tak dobrze Andrzej Zamoyski, Staszyc, Czacki i Niemcewicz, jak Spittler, Macaulay, Schlosser i tylu innych jeszcze. Na nieszczęście, autor *Dziejów Augusta II* należy do tej nowej u nas historycznej szkoły, która ustawę naszą rządową, jaka się wykształciła w ciągu XVII i XVIII wieku, uważa za prawdziwą arkę narodowego ducha, za najwyższy wyraz naszego politycznego wykształcenia, i fatalnie z nią łączy całą naszą przeszłość, a nawet i przyszłość. „Ustawa ta, cokolwiek jej zarzucić można — powiada dosłownie autor — jest przecież i pozostanie zawsze wielkim i szczytnym pomnikiem naszej zbiorowej dojrzałości i naszego rozumu politycznego“, a w końcu nawet zaręcza, „że czas uznania całej jej wielkości i głębokości nie nadszedł jeszcze“...

„Więc jeszczeby nie nadszedł czas sądzenia tego, co przez tyle klęsk i nieszczęść, przez tyle okropnych doświadczeń i strat niepowetowanych, przez tyle strasznych przepowiedni i straszniejszych ziszczeń, przez rozum wszystkich myślących i przez głos całego świata oddawna osądzonem zostało! Więcbyśmy na zawsze już skazani byli w tych samych błądzić wciąż ciemnościach i szukać lekarstwa tam, skąd dla nas najśmiertelniejsza sączyła się trucizna! Więcbyśmy w drugiej połowie XIX wieku znajdowali się jeszcze na tem samem stanowisku, na jakiem nas zastał wielki Konarski, gdy przeciwko *liberum veto* i elekcyi królów pisał!...“

„Bo nie łudźmy się! To, co nasz autor i zwolennicy jego szkoły eufemicznie „naszą polityczną ustawą“ nazywają, jest poprostu owe samowładztwo szlacheckie i elekcyjne królestwo, które dopiero na końcu XVI wieku u nas wykształciły się, i naród do ostatecznej przywiodły zguby! Przed zejściem tego nieszczęśliwego zasiewu, była Polska rządną i silną, cywilizowaną i cywilizującą, szanowaną u obcych, spokojną i zacną u siebie. Od wybujania zaś owych dwóch strasznych principiów, które nam jako najwyższy wyraz naszej politycznej mądrości chcą przedstawić, zaczął się nasz widoczny upadek, zaczęło się rozprzężenie wszystkich naszych sił politycznych i socyalnych. Wszystko, co u nas miało głowę i serce, wszyscy wielcy nasi ludzie, co mieli wyobrażenie o rządzie i jakieś rozleglejsze widzenie rzeczy, Skarga i Kochanowski, Batory i Władysław IV, Jan Kazimierz i Marya Ludwika, Ossoliński i Sobieski, Konarski i Andrzej Zamoyski, wszyscy oni przez wszystkie czasy walczyli przeciwko tej „ustawie“, wszyscy widzieli w niej, przewidywali, przepowiadali ruinę publiczną, sromotę narodu, rozdarcie ojczyzny! Wszystko przeciwnie, co u nas było ciemnotą i złością, a około nas chciwością i podstępem, broniło tych instytucyj, których godło ostatni raz jeszcze widział naród na chorągwiach — Targowicy! I czyż ten jeden fakt, tak jasny, tak prosty, a tak wielomówny, nie daje nic do myślenia naszym nowomodnym historyozofom?...“

„Fantazya poetyczna może wiele upiększyć, fantazya szlachecka wiele zagmatwać, ale historya będzie zawsze tylko nauką doświadczenia, a w osądzeniu jakiejś politycznej ustawy, w wyrokowaniu o jej mądrości i wielkości będzie miała dwa główne *criteria:* dobro, które ów system przynosił największemu ogółowi narodu, najliczniejszej masie jego obywateli, i bezpieczeństwo, potęgę i trwałość, którą zapewnił państwu. Dwa zaś te najwyższe, najprawdziwsze *criteria,* przyłożone do naszej konstytucyi, stać się zawsze muszą jej najkrwawszą krytyką. Uciemiężenie, spodlenie ludu, unicestwienie najliczniejszej masy obywateli państwa, jest niezatartem, kainowem piętnem tej braci szlachty, w czasie jej wielkorzą-

dów. Jest to historycznie dowodnem, że mieszczanin i chłop u nas jeszcze w XIV i XV, jeszcze nawet i w XVI wieku mieli swobody i prawa, bili się za ojczyznę i jej używali opieki, a że z postępem naszej „ustawy“, z rozwojem szlacheckiego samowładztwa i elekcyjnego królestwa, coraz sromotniejszemu zaczęli ulegać losowi, aż nakoniec wyzuci zostali z wszelkich praw obywatelstwa, z wszelkich praw do życia, i w obojętną, martwą się zamienili masę, w wielki ogrom bez duszy, bez myśli, bez pojęcia nawet ojczyzny! Co się zaś tyczy bezpieczeństwa, potęgi i trwałości, jaką nasza ustawa zapewniała państwu — na to jest odpowiedzią nasza sromotna obecność, bezprzykładne w dziejach rozszarpanie Polski, bezprzykładny w dziejach upadek tak wielkiego niegdyś narodu! Tyleśmy mieli zasobów, a tak małośmy zdziałali! Tyleśmy wydali bohaterów i mężów stanu, a najopłakańszej popadliśmy zagładzie! Tyleśmy zaleli ziemi i krajów, a dzisiaj się tułamy po świecie! Tyle liczyliśmy zwycięstw i zdobyczy, a jęczymy w kajdanach! Naród, może najbitniejszy w świecie, nie umiał w końcu i 20.000 wystawić żołnierza na obronę swego bytu, swej niepodległości! Szlachta, która z sejmików wciąż szła na sejmik i z trybunałów w elekcye, objawiła w końcu najzupełniejsze ubóstwo politycznego wykształcenia, najzupełniejszy brak publicznego ducha, i krzyczała do chrypki jeszcze swoje wiwaty, gdy już do dna wychylała kielich zaprawionej przez obcych trucizny!...“

„Nie wina to naszej ustawy, - odpowie tu nam autor i jego historyczna szkoła — wina to ludzi, którzy do jej wysokości podnieść się nie byli w stanie; wina to zepsucia następnych pokoleń, zmalenia późniejszych obywateli! Ustawa była wielka i szczytna, tylko że ich wykonawcy byli mierni i nikczemni!... Ale rozważny myśliciel tej tylko konstytucyi przyzna charakter mądrości i wielkości, która nie na nadludzkiej cnocie, ale na ludzkiej jest oparta naturze, która nietylko z dobrem iść w parze, ale i od złego uchować jest w stanie, która nietylko z wielkimi ludźmi, ale i bez nich się utrzymać i brak ich w potrzebie zastąpić potrafi! Klasy rządzące w Anglii

XVIII wieku były może bardziej zepsute, niezawodnie nie były lepsze od naszych w tej samej epoce. Nieszczęścia i klęski waliły się wtenczas na naród angielski piętrami. Ameryka niepowrotnie się była oderwała; w kraju samym wrzały umysły, podniecane wichrzeniami Wilkesa i innych demagogów; europejska wojna z Francyą żądała coraz nowych ofiar; następca tronu był w powszechnej pogardzie, a ministrowie musieli w końcu publicznie oświadczyć, że król dostał pomięszania zmysłów... Taki był stan tej Anglii na końcu przeszłego stulecia! Ale wtedy się też pokazała cała wielkość i mądrość jej politycznej ustawy, która poważnie i godnie nie przestała funkcyonować mimo sodomskiego zepsucia rządzącej arystokracyi, mimo utraty Ameryki i wojny powszechnej, mimo wzburzenia umysłów i gwałtowności opozycyi, mimo poniżenia królewicza i szaleństwa króla. Z naszą natomiast ustawą, i nawet wtenczas gdyśmy największych mieli obywateli, najszczytniejszych bohaterów, najpoświęceńszych synów ojczyzny, Polska — tylko chromała; a gdy tych ludzi zabrakło, upadła — upadła, nie znalazłszy w swych instytucyach żadnego środka ratunku, żadnej podpory, znalazłszy w nich przeciwnie najśmiertelniejsze narzędzia własnej zguby... Nie przez konstytucyę to swoją stała Polska w XVI i XVII wieku; stała ona mimo niej i wbrew niej, przez kilku wielkich, rzadkich mężów, których nam Opatrzność wówczas nadarzyła! Gdy to bohaterskie pokolenie wygasło, wtedy się pokazała cała wartość naszej ustawy, która już niewstrzymanym pędem prowadziła nas w przepaść. Wtedy się pokazało, że całe ciało narodu było jedną piętą Achilla i że państwo niemylnie, niechybnie i — legalnie zdążyła do samobójstwa; a czychający na śmierć naszą sąsiedzi, mieli tę jedyną tylko troskę, abyśmy w nietykalnej całości zachowali tę formę rządu, którą nowomodna szkoła teraz „wielkim i szczytnym pomnikiem naszej zbiorowej dojrzałości i naszego politycznego rozumu“ mianuje, tak jak ją swego czasu i „świętą“ być głosiła Moskwa: *La sainte liberté des élections en Pologne*, pisała Katarzyna! O, była to straszna ironia losu, że właśnie te mocarstwa, które Polskę podzieliły, tak gorli-

wie w niej przez wiek cały pielęgnowały *liberum veto* i elekcyjność tronu; była to straszna ironia losu, że właśnie wyobrazicielką i mścicielką naszej złotej wolności była w końcu Targowica i Caryca! Nietylko w tylu tragicznych, ale i w tych komicznych, w tych tragi-komicznych przykładach zaostrzyła nam Opatrzność tę tak prostą, tak jasną, a tak jeszcze przez nas niepojętą przestrogę; a zaprawdę, jeśli dla głębokiej, tacytowej nauki, w naszych dziejach złożonej, już nie mamy zmysłu, to przecież powinnibyśmy wreszcie zrozumieć choć tę — prawdziwie szekspirowską w krwawym dramacie naszego rozbioru — ironię!...“

Takie to mądre, takie prawdziwe, takie wymowne siłą boleści i siłą prawdy, że trudno oprzeć się pokusie przedrukowania więcej, jeszcze więcej, choćby połowy artykułu, choćby jego całości. Nie można! nie można tu podejmować zupełnego wydania dzieł Klaczki — trzeba iść dalej. Ale te próbki wystarczą przecie na to, by dać poznać choć niektórym, jak on pisał, by dać uczuć jak on czuł.

Etude historique sur la Révolution française, par un Etranger, to złośliwa niemiłosierna krytyka trzech-tomowego, bezimiennego dzieła starego hr. Feliksa Czackiego z Sielca [1]). *Pomniki prawa polskiego*, to po wyjściu pierwszego tomu wielkiego wydawnictwa A. Z. Helcla, bardzo piękny hołd oddany jego nauce, jego zasłudze, jego znakomitej wartości i postaci. *Listy z Drezna* — czy Klaczko jeździł tam w tych czasach, czy tylko chciał tą maską obudzić większą ciekawość? *Listy z Drezna*, to już nie literatura, to złe zwyczaje społeczeństwa wzięte pod krytykę. W tym przypadku, zwyczaj ludzi bogatszych osiadania w miastach zagranicznych. Nie dość, że nie robią tego dobrego, nie wywierają tego wpływu cywilizacyjnego, jaki mogliby wywierać, siedząc w Warszawie, Poznaniu lub Lwowie, ale nawet dla swojej miłości własnej, dla tej próżności, która ich zagranicę wyciąga, nie mają tej satysfakcyi jakiej pragną, o jakiej ma-

---

[1]) Synowiec Tadeusza, syn Michała podczaszego w. kor., umarł bezdzietnie.

rzyli. Ze słusznością niezaprzeczoną, a z ironią równie ostrą jak świetną, dowodzi Klaczko, że za te same pieniądze, za które mogliby błyszczeć szumnie w Warszawie, siebie i drugich olśniewać swoim trybem życia, w Paryżu cisną się w ciasnych mieszkaniach, o wielkich przyjęciach ani marzyć nie mogą, składają się w dwie rodziny na jednę lożę w teatrze, i łamią sobie głowę nad pytaniem, czy ich stać na własny powóz, czy mogą sobie pozwolić zbytek remizy, albo czy muszą skromnie brać fiakra kiedy mają wyjechać. List o *Wychowaniu zagranicą* powstaje na to wychowanie pozorne, bez treści, bez prawdziwej nauki, która przestaje na słuchaniu od czasu do czasu wykładu jakiego sławnego profesora, a jest zbyt często dla młodych ludzi pretekstem do próżnowania, dla ich rodziców pretekstem do wyjazdu zagranicę. Dziś może to nie tak częste, uwagi nie tak na czasie jak przed pół wiekiem, ale wtedy takie marzenia o błyszczeniu w zagranicznym świecie i takie upokarzające zawody w marzeniach, zdarzały się nie rzadko.

Z tym artykułem łączy się drugi, o *Młodzieży polskiej bawiącej za granicą*. Zaczyna od przejmującego, wstrząsającego przypomnienia małego Artura w *Królu Janie* Szekspira, błagającego, żeby mu nie wyłupiono oczów. Tak oczy wyłupia, tak oślepia polską młodzież na umyśle rząd rosyjski swojemi szkołami i całym swoim systemem rządzenia. Ta młodzież nie może nauczyć się widzieć, nie może światła rozeznać, ani nabrać! A wtedy ci, młodzi bogatsi, którzy mają możność i sposobność — zatem i obowiązek — wykształcenia się, nauczenia się za siebie i drugich, którzy powinni zdobyć i przywieźć napowrót zasób światła dla siebie i dla tych którzy wziąć go skąd nie mają, którzy powinni służyć za latarnię, za ognisko światła, swojej okolicy, swoim znajomym, a przez to i kraj ile się da oświecać, ta młodzież bogatsza marnuje możność, sposobność, czas i środki. Kiedy jeszcze łudzi się, że się czegoś niby uczy, to na prawdę uczy się po dyletancku, piąte przez dziesiąte: kiedy bardziej płocha i łatwiejsza do zepsucia, marnuje się w rozpustach. Tu przynajmniej jeden mały ustęp z zakończenia:

„Słyszymy nieraz tę naszą młodzież wzdychającą do chwili, w której jej danem będzie walczyć za Polskę, przelewać krew za ojczyznę, i oko w oko zmierzyć się z wrogiem; nie my to zaprawdę zechcemy przyganiać takim szlachetnym życzeniom i gorącym modłom. Ale, jak to pięknie wyraził autor *Listów o Rusi*: „Młodzież nasza nie pojęła jeszcze tego dotąd, że dla ludu pognębionego, walka o swe prawa z orężem w ręku, już nie jest ofiarą, ale koroną, nagrodą i szczęściem, któremi Bóg wieńczy trudy i poświęcenia obywatelskie, w ciszy pokoju składane“... Zasługą, ofiarą są te mozolne i codzienne prace, które ostateczną walkę uczynią podobną i skuteczną, są te przygotowania i przysposabiania, które dążą do tego, aby nietylko zmartwychwstająca ojczyzna odważnych żołnierzy, ale i zmartwychwstała rozważnych znalazła obywateli, ludzi zaprawnych do politycznego życia i działania, do rządzenia i sądzenia, do trudnych sztuk boju a nierównie trudniejszych jeszcze sztuk pokoju. Popuszczanie pasa okazało się zgubnem nawet za Sasa, i zaprawdę nie stanie się zbawiennem za Romanowów! Zaniedbanie nauk, wyłączna dbałość o pozorne polory salonowego *comme il faut*, unikanie wszelkich mozołów specyalnego i gruntownego wykształcenia, bezmyślne lub lekkomyślne przystanie na tę ciemnotę egipską, którą rząd rosyjski z szatańską wśród nas szerzy rachubą, płoche uronienie tych sposobności i sposobów do umysłowego wydoskonalenia się, których rozważnie i sumiennie użyty pobyt zagranicą nastręcza — straszne, śmiertelne to grzechy naszej zamożniejszej młodzieży, które zadają fałsz wszelkim jej zaręczeniom i zaklęciom o miłości do kraju i wierności dla sprawy, i które jej samej bezdenną ohydę a narodowi sromotną gotują zagładę!“

Za bytności cesarza Aleksandra II w Warszawie był wielki bal dworski, były naturalnie zaproszenia dla pań, a w tych zaproszeniach wezwanie, rozkaz, żeby przyszły w *kakosznikach*. Klaczko pisze o tem zaledwo kilkadziesiąt wierszy, nie całe dwie strony druku — ale mieści na nich wszystko, co się w polskiem uczuciu mieści i zawiera. „Sroga to ironia despotyzmu, który politycznym i policyjnym postra-

chem wyciska uśmiech ofiary, i ten uśmiech potem roznosi po Europie, za dobrowolny go sprzedaje". Klaczko wie, że ten uśmiech i ten strój był wymuszony, wie z jakiem uczuciem polskie panie słuchały tego rozkazu. Ale jeżeli nie wszystkie? Jeżeli — jak wieść niesie — były i takie lekkomyślne, takie próżne, że w nakazie widziały tylko sposobność popisania się strojem i klejnotami? Jeżeli tak, to Klaczko nie chce wybuchać, tłumi w sobie oburzenie, tylko żałuje, że niema dziś w Warszawie pewnego złośliwego staruszka, który się nazywał Ursyn, i który byłby może powiedział co owym paniom o „woluntaryuszostwie podłości".

Nie było dotąd ani jednego artykułu treści politycznej. Jest takim *Polityka zagraniczna dziennikarstwa polskiego.* Zarzuca w nim Klaczko dziennikom polskim, bez wyjątku, lekkomyślne, powierzchowne traktowanie zagranicznych stosunków, wynikające z bardzo powierzchownej ich znajomości, a nieraz sprzeczne z interesem Polski. Sprzeczne z nim są przedewszystkiem dwa pojęcia i przyzwyczajenia tych dzienników. Lekceważą Francyę, natrząsają się z niej, liczą z góry na jej bliski koniec i nieledwie go pragną, a o tem zapominają, że naprzód Francya okazała się dość żywotną w wojnie krymskiej, że dalej gdyby upadła, to spadek po niej, dziedzictwo sił i wpływów wzięłaby Rosya. Druga kwestya, to nasz stosunek do Europy zachodniej. Dzienniki z małą istotnie znajomością rzeczy, za to z upodobaniem, z przyjemnością, wystawiają ten Zachód (Francyę przedewszystkiem) jako stek zepsucia i zgnilizny. Wiedzą o złych obyczajach i zgorszeniach, a nie patrzą głębiej, nie widzą, jakie pod zewnętrzną warstwą złego są nieprzebrane i nieocenione pokłady dobrego we wszystkich kierunkach życia politycznego, cywilizacyjnego i chrześciańskiego. „Pracują tylko niebacznie na korzyść Moskwy ci wszyscy, którzy nasz związek z Zachodem starają się w umysłach polskich osłabić, nadwątlić — szyderstwem czy żalem, fałszywym sentymentalizmem czy płytką doktryną".

Wreszcie *Sztuka Polska.*

Ta więcej, nie czytana, ale więcej zapamiętana niż inne pisma Klaczki, dlatego że zaprzeczona, dlatego że tym których gniewała, których oburzała, pozwala brać odwet i tryumfować nad autorem, który się tak bardzo pomylił, a tak srodze został upokorzonym i ukaranym. Pomylił się, istotnie: przyszłość zadała fałsz jego przewidywaniom i twierdzeniom. Pytał na wstępie „czy istnieje sztuka polska“, a w całym ciągu swojej rozprawy dowodził, że nie istnieje i istnieć nie może, że mogą być Polacy malarzami i rzeźbiarzami, ale będą zawsze tylko uczniami i kolonistami w szkołach obcych, a własnej polskiej nie wydadzą, nie wytworzą, że same warunki geograficznego położenia, zimny klimat, niebo pochmurne, światło przyćmione i bledsze, z góry nie dopuszczają, iżby wyrobił się u nas zmysł sztuki, zmysł linii i kolorytu. W poezyi, w muzyce jeszcze, możemy współubiegać się z innymi, dorównać, przewyższać; w malarstwie i rzeźbie musimy zostać na zawsze uczniami tylko i naśladowcami.

Tak Klaczko myślał i pisał, a w tej samej chwili kiedy to pisał, dorastało dwóch młodych ludzi, którzy mieli dać mu zaprzeczenie: mieli potężną indywidualnością artystyczną wycisnąć na swoich dziełach piętno swoje własne, a potężną głęboką miłością ojczyzny wycisnąć na nich piętno polskie. Przez Matejkę i przez Grottgera malarstwo polskie wyróżniło się wśród wszystkich innych, wyodrębniło się, nabrało osobnego własnego charakteru i cechy; czy jest osobną szkołą, czy nie, mniejsza o to, ale malarstwem jest, i malarstwem widocznie, niezaprzeczenie polskiem, *every inch a... Pole.* Za tymi dwoma zastęp mniejszych i większych, lepszych i gorszych, ale zastęp liczny, urozmaicony bardzo, a w nim i talenta znakomite, i oryginalności wiele. Klaczko się pomylił, kiedy *sztuce polskiej* źle wróżył.

A kiedy tak, to dlaczego ta jego rozprawa, ta *Sztuka Polska,* jest jedną z rzeczy najpiękniejszych, i najmędrszych, jakie mamy w naszej prozie XIX wieku, i w naszej artystycznej krytyce? Bo tylko przewidywanie co do sztuki polskiej się nie sprawdziło, ale pojęcie sztuki jako takiej, zrozumienie jej istoty i jej powołania, jej cześć i miłość, te są

prawdziwe, i prawda jaka w nich jest, zostanie prawdą na zawsze. A jak dopiero wypowiedział tę prawdę! Każde zdanie ciężkie od myśli, od mądrości, a porywające wzniosłością, olśniewające blaskiem słowa. Ten styl ma moc starego wina, ma żar żywego płomienia, ma kiedy chce jaskrawość i znowu subtelny, łagodny, wdzięczny kolor; grzmi jak działo, albo dzwoni powagą uczucia, upomnienia, prośby. Lekki czasem jak motyl, jak pyłek na kwiecie, uśmiecha się figlarnie jak elfy Szekspira, ale ten uśmiech figlarny stanie się złośliwym, drwiącym, niemiłosiernie szyderczym, kiedy *indignatio* natchnie go Juwenalową ironią, a nieledwie Dantejską pogardą i inwektywą. Podziwia się tę siłę i ten czar słowa. Ale jakaż musiała być siła, jaki żar uczucia! Bez nich takie słowa się nie znajdą.

W tej rozprawie daje się widzieć w całej pełni to mistrzostwo słowa, ten w nim artyzm, i w całej pełni także siła rozumu i siła uczucia.

„Na jednem z ostatnich swoich posiedzeń wyznaczyło sobie Towarzystwo Naukowe krakowskie, jako przedmiot do następnych rozbiorów, pytanie: *Czy istnieje sztuka polska, a jeśli istnieje, jakie są jej cechy?* Nie mamy roszczenia, dyskusyą szanownego grona w naszem piśmie wyprzedzić, a tem mniej ją wyczerpnąć. Z nadarzonej sposobności chcemy tylko korzystać, aby i z naszej strony i w naszych celach rozważyć przedmiot, który wiele w Polsce umysłów zajmuje i w niejednym znaczącym odbija się już kierunku. Jeśli może zbyt skwapliwie występujemy na pole zapowiedzianych rozpraw, nie nęci nas w każdym razie ani łatwość popisu, ani pewność oklasków; a zamiast, cobyśmy się mieli narzucać, czujemy owszem dobrze, że pod niejednym względem tylko ciężko się narazimy. Bo stanowisko, które zająć myślimy, nie będzie najkorzystniejsze; bo hasło nasze w rażącym się znajdzie rozdźwięku z ogólnym chórem bardzo wziętych głosów w kraju; bo nareszcie, trudne nasze zadanie tem się jeszcze stanie drażliwszem, że, chociaż poniewolnie ale niechybnie, obrazimy na siebie tę klasę umysłów, którą do-

świadczenie wieków za najdrażliwszą uważać nauczyło: *genus irritabile vatum...*"

„Co nam trochę dodać może odwagi w przedsięwzięciu tak przykrem, to chyba przeświadczenie, że jesteśmy tak wolni od niechęci do osób, jak pełni miłości do przedmiotu, o którym rozprawiać zamierzamy, i że jeśli sztuka światlejszych niezawodnie, to nie tak łatwo szczerszych od nas potrafi wskazać wielbicieli. Nie zupełnie nam obcą Arkadya, chociaż w niej ani naszej kolebki, ani praw obywatelstwa nie mamy, i nie byliśmy nigdy ślepi na farby tej cudownej tęczy, którą między niebem a ziemią, na znak przymierza, snuje ideał. Potężnemu urokowi wielkich dzieł mistrzów umiemy tak dobrze ulegać, jak szczytne zrozumieć ich powołanie i boskie odgadywać źródło, a wiemy nadto i doświadczyliśmy z rozkoszą, że gdy wszędzie indziej drogi liść wprzód opadać musi, zanim nas owoc ucieszyć może, sztuka jedna, szczęśliwa i uszczęśliwiająca, kwiat i owoc nam podaje zarazem. Gdybyśmy na osobiste nasze pociągi a nie na publiczne uważali potrzeby, i z naszych indywidualnych zamiłowań — jak to tak łatwem i tak zwykłem w tych czasach — ogólne robili zasady, wtedyby obecni nasi przeciwnicy gorętszych może, niż teraz przypuścić zechcą, znaleźli w nas zwolenników własnej sprawy, i przychodziłoby nam tylko serdecznie przyklaskiwać, gdzie teraz rozważnie przestrzegać musimy".

„Liczne i różne od wieków były usiłowania wielkich myślicieli do wytłómaczenia i orzeczenia tej naszej twórczej siły i potrzeby, która w marmurze lub na płótnie, w tonach lub słowach, kształci sobie świat inny i piękniejszy. Ale w miejscu nużących definicyj zakłopotanych systematyków, wolimy sobie przypomnieć czarowny obraz natchnionego wieszcza. „Gdy Stwórca od swego oblicza odegnał człowieka, i późnego powrotu do światła na ciężkiej drodze zmysłów szukać mu rozkazał, gdy wszyscy niebianie odstąpili syna ziemskiego, ona, Sztuka jedna, ludzka, podała rękę opuszczonemu wygnańcowi i, nieśmiertelna, wielkodusznie się z nim w jego śmiertelność zamknęła"... Tak mówi poeta, i trudno

piękniej i prawdziwiej dla oka duszy ukształcić ten popęd ludzkości do idealnego tworzenia, który w istocie jest jakby przypomnieniem utraconego Raju, odzyskaniem, choć złudnem, oderwanej wyższej krainy, powrotem, choć sennym, na ciężkiej zmysłów drodze do zabranego światła ducha! A w tem znaczeniu, któżby chciał utrzymywać, że naród polski nie ma w sztuce powołania, któżby go tu raczej nie policzył do wybrańszych! Jakiż naród więcej utracił i więcej ma do odzyskania? Jakiż silniej ukochał i srodzej ucierpiał? Jakiż wyżej sięgał myślą, głębiej nurtował uczuciem, i nad ciemną przepaścią bytu skrzył się cały w ognie wieszcze? Jakiż nakoniec, przez wielki ciąg swoich dziejów, może wskazać tak ciągłą dążność do ideału, nieustannie ściganego, chociaż nigdy nie osiągnionego, i który może też nie jest do osiągnienia? Na swoją chwałę, czy na swoją zgubę, Polska zawsze sobie stawiała zadania, w których więcej przeważało niebo, niż ważyła ziemia, których wyobraźnia dopełnić, ale rzeczywistość spełnić nie mogła. Zamiast sprzęgać ciała, myślała tylko o serc kojarzeniu; zapał chciała mieć sprężyną działań, które tylko zimna rozwaga do celu doprowadzić może, i ziemskie skazitelne rządy kusiła się oprzeć na tem, co tylko niebiańskim jest darem kilku dusz nieskazitelnych — na dobrej woli. Jeśli za tą pokusą czekały ją tylko pokuta i upokorzenie, jeśli, chcąc stać ciągłym cudem, w końcu tylko samym stała się nierządem, i jeśli wreszcie na tej błędnej drodze dotąd jeszcze zbyt wiele durzących pochwał, zbyt mało upominających przestróg znalazła - trudno jej jednak zaprzeczyć tego idealnego piętna, które zawsze wybranych choć nie zawsze szczęśliwych znamionuje, tego wyższego polotu, który w zaświecie szuka rodzinnego sobie gniazda, tej potęgi natchnień, która nieraz ziemię utraci, ale „rajską dziedzinę ułudy“ jako swoją zadzierży — i naród, o którym wielki jego wieszcz powiedział, żeby go jak pieśń żywą stworzył, jak dzieło sztuki ukształcił, taki naród może śmiało zapukać u wrót piękna świątyni. Głos mu stamtąd odpowie: „Wnijdź, i tu są Bogi twoje...“

„Tylko, niechaj wchodzący nie zapomni o tem, że nie w każdej zarówno formie, dla każdego zarówno narodu przystępnem jest bóstwo tej świątyni, i że jak we wszystkich innych, tak i w tej dziedzinie, nie jednostajnie usposobione są ludów umysły! Świat ideału, jak świat rzeczywisty, ma swoje strefy i klimaty, których ani dowolnie obierać, ani bezkarnie odmieniać nie można. Sztuka jest metampsychozą: wielką wędrówką ducha z materyi do Boga przez przemiany coraz mniej zmysłowe i przez wcielenia coraz mniej cielesne. Gdy architektura, rzeźba, i malarstwo, w materyalnej się jeszcze rozlegają przestrzeni, muzyka już tylko w czasie swych rozmiarów szuka, a poezya nakoniec, równie nad przestrzeń, jak i nad czas wywyższona, myślą li samą żąda być objętą, i jako duch przemawia do ducha. Ale nie każdemu to narodowi jest danem, przechodzić całą tę wielką skalę przemian, i w każdą z tych wielkich form wcielać zarówno swe ideały. Podział pracy tu owszem jest tak logicznie wskazanym, jak historycznie dowodnym. Z zapalną imaginacyą, pod palącem niebem, z wyostrzonemi zmysłami wśród ostrych ponęt, w otoczeniu natury, która pieszczotami naprzemian usypia i budzi, w otoczeniu ciał tak pięknych i piękności tak cielesnych — ludy południowe, na polu szczególniej rzeźby i malarstwa stworzą arcydzieła, i równie skoro jak szczęśliwie uchwycą i wydoskonalą te główne sztuki, w których duch na wpół się z materyi wyzwala, a na wpół jej ulega, nawet się w niej rozkoszuje, i gdzie myśl przedewszystkiem jest kształtem, a uczucie ledwiebyśmy nie rzekli dotknięciem. Na tem samem polu ludy północne tylko swoje wysilenia, nigdy swojej siły prawdziwie nie objawią. Brak im do tego nieomal wszystkiego; brak im przedewszystkiem tej intuicyi form, tej tajemniczej morfopedyi, która od kolebki prawie, bez jego wiedzy i woli, kieruje każdym krokiem i ruchem południowego mieszkańca. W surowym klimacie stępione zmysły, ani tak czujne są na zewnętrzne wrażenia, ani tak wprawne do ich zewnętrznego ukształtowania; wszystko, co w Grecyi i Włoszech było naturą, we Francyi już i w Niemczech będzie tylko kulturą — mozolnym nabytkiem, co tam

przyrodzoną własnością. Im dalej na północ postąpimy tem rzadsze pod tym względem spotkamy rzeczywiste uzdolnienia, tem większy trud i mozół ujrzymy w indywiduach, tem mniej współczucia i współudziału znajdziemy w masach. Organizacye prawdziwie artystyczne, pod obłąkaną gwiazdą losu w tych stronach zrodzone, nie znajdą tu ni spokoju, ni zadowolnienia, zrobią sobie i drugim nieustanne wrażenie obcych, gwałtem z innej, cieplejszej ziemi przesiedlonych wygnańców, i będą zawsze miały instynktowy pociąg do tych krajów, „gdzie buja laur i cyprys cicho stoi“; i w tych krajach i dla nich Thorwaldsen zapomni w końcu swego rodzinnego języka, a Winckelmann się wyrzecze macierzyńskiej wiary. Ale jeśli narodom północnym odjęty jest nieodzownie ten dar plastycznego kształtowania, który szczęśliwym i prawie wyłącznym jest udziałem Hellady i Italii, tem większe i potężniejsze będzie ich mistrzowstwo w tych, nie powiemy że piękniejszych, ale spirytualniejszych sferach sztuki, w których dźwięk jedyną jest formą uczucia, a słowo jedynem ciałem myśli, w których ideał z marmurowej się wyzwala powłoki, pył farb nawet zbyt ciężkim dla swych skrzydeł znajduje, i już tylko w przejrzystej, nienamacalnej obsłonie drżących tonów i słów wiewnych do coraz czystszych się wznosi błękitów. Jak wszędzie, tak i tu, za stępieniem zmysłów idzie wyostrzenie myśli, za ubóstwem natury bogactwo ducha, i ten sam Bóg Homera, co Feniuszowi odebrał wzrok którymby się cieszył posągami, użycza mu tego natchnionego głosu, który z serca pochodzi i do serc przenika“.

„Ci, którzy u nas (a jest ich nie mało) wiele sobie obiecują po rozwoju sztuk plastycznych w Polsce, którzy mniej lub więcej szczęśliwe próby krajowego malarstwa biorą za zapowiedź dojrzewającej szkoły narodowej, którzy nawet (bo aż do tego stopnia posuwa się czasami u niejednych amatorstwo!) spodziewają się w tym kierunku jakiegoś odrodzenia i odmłodnienia gnębionego ducha Polski, ci — niechaj nam wybaczą — nie zdali sobie może dokładnie sprawy ani z natury naszego kraju, ani z usposobienia naszego ludu, ani z wiekowej nauki, którą nam historyczne doświadczenie podaje“.

Dalej dowodzenie, że w najświetniejszych epokach swojej historyi i swojej cywilizacyi Polska nie wydała malarstwa ani rzeźby — trudno więc, nie do uwierzenia trudno, by w dzisiejszym nieszczęśliwym stanie wydobyła je z siebie. I na zamknięcie pierwszego ustępu takie wezwanie:

„Nie szukajmy chluby tam, gdzie nam milcząca tylko nakazana skromność, ale bądźmy dumni z tego, co prawdziwą i niezaprzeczoną jest naszą zasługą! Nie szperajmy w pergaminach za antenatami naszego rzeźbiarstwa i malarstwa, których nigdy nie było, ale umiejmy szczycić się i godnie wywiązać z tego prawdziwego szlachectwa, które nam w pięknym świecie ideału wielka nasza wyrobiła poezya! Jeśli w sztukach plastycznych żadnego nie mamy znaczenia, jeśli w muzyce nawet jedno tylko uznane możemy wymienić imię Chopina, to natomiast Malczewski i Adam, autor *Irydiona* i Juliusz stoją na tych eterycznych wyżynach Olimpu, jakich rzadkim tylko wybranym najwybrańszych narodów dostąpić było danem. Tu jest nasza chwała i tu jest nasza sztuka; pod tym tylko znakiem wolno nam wystąpić w szranki twórczości i w tym tylko zwyciężać! Wprawdzie, od lat dziesięciu z górą, głucha i w tej krainie u nas zapanowała cisza, i od tytanicznej walki Juliusza z Psalmistą, żadnegośmy już boskiego nie usłyszeli głosu... Jestże to tylko przerwa chwilowa, po której znowu, w zwykłej potędze i wielkości, dawna heroiczna zabrzmi symfonia? Albo ma-że to znaczyć, że myśl polska, na teraz i na długo ostatnie już w tej sferze wypowiedziała słowo, i do innego zwolna przechodzi wielkiego trudu, mniej pięknego, ale niemniej ważnego i bardziej naglącego?... Odpowiemy może gdzieindziej na to ciężarne przyszłością zagadnienie. Ale w każdym razie to pewna, że nie rzeźbiarzom to i malarzom u nas przeznaczono zająć opuszczone przez wielkich naszych wieszczów kierownicze stanowisko, i że ugorem leżące pole narodowego ducha, nie płodami pędzla i dłuta uprawianem być żąda i może. „Nie ta droga!“ — woła tu do nas jak do błędnego tułacza Biblii wielki prorok — głos natury, historyi i sumienia. Sztuka plastyczna u nas zawsze tylko pozostanie krzewem egzoty-

cznym, w cieplarni amatorstwa mozolnie pielęgnowanym; nie będzie ona nigdy pełnym soków i ziaren owocem, samorodnie dojrzewającym na drzewie naszego życia... Synowie północy, tylko w bogactwie myśli i ducha możemy znaleźć wynagrodzenie za nieodzowne nasze ubóstwo form i natury; Słowianie, jesteśmy i możemy tylko być mistrzami słowa!“

„Słowianie, możemy być tylko mistrzami słowa“ — to niby w nazwie Słowian tajemniczo ukryta istota ich przeznaczeń czy uzdolnień. Klaczko miał upodobanie w antitezach i w zbliżeniu brzmień podobnych: wywoływał tym środkiem często wspaniałe effekta. Tym razem effekt jest raczej naciągany, przez to pozorny tylko. Ale idźmy dalej.

Dalej będzie ustęp o zachwytach i uniesieniach nad sztuką, bez jej znajomości, bez rzetelnej dla niej czci i miłości; dyletantyzm wmówiony a ckliwy, i krytyka, krytyka artystyczna, która go krzewi i szerzy, bo sama nic innego sztuce dać nie może, nic więcej nie ma i nie wie.

„Gdyby zresztą sami tylko nasi artyści podobne mieli urojenia i uroszczenia, nie wieleby tu było powodów do żalu, i moglibyśmy ich spokojnie zostawić przy wierze, która góry olimpijskiej, bądź co bądź, do nas nie przeniesie. Ale tę wiarę podziela teraz wielka część naszej publiczności; ale artyzm wiele bardzo opanował u nas umysłów, a jeszcze niedawno jedno z pism krajowych dało nam to dziwne świadectwo, w świętej prostocie znajdując je bardzo zaszczytnem, „iż zdaje się, jakby wszystkie uczucia Polaków skupiły się w jedno ognisko sztuki!!!“ Znajomość sztuki jest u nas teraz prawie niezbędnym warunkiem dobrego wychowania — protegowanie sztuki bardzo wielką, bodaj czy nie najgłówniejszą oznaką dobrego obywatelstwa! Uderzenie pędzla lub smyczka wydobywa cały zdrój wodnistych wyrazów z piersi, która dla wielu innych, dla wielu świętych rzeczy twardą zostaje opoką; a malarstwo, rzeźbiarstwo, muzyka, są niewyczerpanym przedmiotem gwarnych rozmów w salonach i cichych dumań w poddaszach. Młodzież nasza, która dawniej za granicą chciwie oblegała katedry sławnych profesorów lub trybuny wielkich mow-

ców, teraz, z sumienną wytrwałością, przyzwoitą liczbę godzin przeziewa w Luwrze, leci zdyszana od jednej malarskiej pracowni do drugiej, nie opuszcza ni razu koncertu jakiegoś maëstra, studyuje mozolnie wszystkie techniczne termina dyalektycznego entuzyazmu, na myśl wystawy się ożywia, na samo wspomnienie o Alboni omdlewa, a *vedi Ristori, poi mori* jest dziś rycerskiem hasłem każdej u nas pięknej duszy!! Mamy teraz literalnie nowego rodzaju messyanizm — messyanizm sztuki! Polska, zaręczają nam, do wyższej teraz wznosi się potęgi: „Adam i autor *Irydiona* wiek jej tylko przedstawiali młodzieńczy; malarze dopiero naród doprowadzą — do męzkości!!!“ Tamci, czytamy dosłownie, „tworzyli tylko poezyę słowa; tym dopiero przeznaczono utworzyć poezyę czynu!!!...“ Zaprawdę, gdy raz w natchnieniu i w przeczuciu wielkich zdarzeń, wielki wieszcz *Przedświtu* kazał zaginąć pieśniom a powstawać czynom, przed innymi to zapewne wteneczas myślał ustąpić mistrzami, i nie pędzlami to najeżone widział w duchu pole ojczyste...“

„Do jakiego przerażającego stopnia doszło to prawdziwe *delirium artisticum*, o tem się każdy przekona, co choć pobieżnem rzuci okiem na obecne piśmiennictwo krajowe. Rzecz ledwie do uwierzenia: w naszej biednej Polsce, w której ani jeden poważny, naukowy organ jeszcze nie potrafił się wykształcić, w naszej biednej Polsce mamy aż dwie muzykalne gazety!!! Dzienniki nasze, warszawskie szczególniej, przepełnione są artykułami, rozprawami i korespondencyami o sztuce. Rzec można, że żadne *ut* piersiowe nie wyleci z jakiegobądź śpiewającego gardła na świecie, aby o tem natychmiast, wszem wobec i każdemu z osobna, nie donosiły nasze czasopisma. Wyjazdy, przyjazdy, najdrobniejsze stąpania braci Kątskich, braci Wieniawskich i *tutti quanti fratelli* są tam notowane z sumiennością i ścisłością, z jaką sam tylko może Monitor pekiński zapisuje fakta i funkcye Syna Słońca. Każdą po warszawskim lub żytomierskim horyzoncie przemykającą się, a zazwyczaj już spadającą, zagraniczną gwiazdę, muzykalną czy teatralną, poprzedza u nas

wielki ogon piór gęsich, a które ostrzą ciekawość i łechtają nerwy zapału. A cóż dopiero, gdy przychodzi przywitać jakiś talent „rodzimy!“ Jakaż to dziecinna, płocha wtenczas radość z naszych Petri, i naszych Fryben, i naszych Dawisonów, w których powołaniu tyle polskiego, ile w ich imionach, z których n. p. ostatni, Dawison, jest w istocie najpierwszym może aktorem — niemieckim! Ale czyż i naszym nie pokazał się nawet ów Kiss tak sławny? Kiss jest wprawdzie nadwornym rzeźbiarzem w Berlinie; jako narodowe swe dzieła może wskazać posągi Fryderyka II i Fryderyka Wilhelma III, i nigdy niezawodnie nie marzył o polskim indygenacie. Ale Kiss się urodził w Plessen, które po polsku podobno zowie się Pszczyną, a które leży w Górnym Szląsku; więc czytaliśmy ostatniemi czasy, we wszystkich prawie pismach warszawskich, artykuł o tym „rodaku rzeźbiarzu!!!“ Tak to w tych latach mszczą się Maurowie, i w ten to sposób bierzemy od Niemców odwet za wynarodowianie Wielkopolski!!!...“

„Z tym dziecinnym, chociaż wcale nie naiwnym entuzyazmem, może się tylko da porównać dziecinna i prawdziwie naiwna nieznajomość, z jaką nasi krytycy rozprawiają o sztuce. Wszyscy niemal nasi krajowi sędziowie sztuk przedstawiają prawdziwie rajski stan nieświadomości złego i dobrego. Dyssertacye ich są tylko jednym ciągłym i przeciąganym wykrzyknikiem, kauczukowym dytyrambem, nieustannem rozprowadzeniem ostatniej syllaby piątego Krymskiego Sonetu. Zdawałoby się, że pomni ezopowej bajki o lisie, wolą każdy owoc uznać dojrzałym, z obawy, aby nie przypuszczano, iż dla nich za wysoki. Z zimną poważnością, z pewnością siebie niesłychaną, z bezwzględną na niecierpliwość czytelnika nielitościwością, rozprawiają „o tęczowych blaskach tonów, atłasowym pociągu smyczka, perłowatości gamm, olbrzymiej sile czwartego palca“ i t. p! Głos, pod innym względem poważny i szanowny, powie o Apollinarym Kątskim, że „wiolonista dalej pójść nie może — to coś idealnego“! Nie dosyć na tem, ten sam pisarz porówna kompozycye owego wirtuoza z utworami — Chopina, znajdzie tamte

poniekąd wyższemi, czy prawdziwszemi, czy bardziej „szablistemi“ — i nietylko fałszywe postawi bogi, ale ubliży jeszcze wielkim cieniom jedynego dotąd muzycznego geniusza, którym Polska szczycić się ma prawo! Gdy naszym Arystarchom przyjdzie sądzić obrazy, będą wówczas podziwiali „wielką znajomość praw tworzenia, równowagę linij, przechodowe tony i szum w powietrzu“; pożałują tylko, „że niebo sinką pruską zepsute, że za mało pasty, za wiele kości palonej“, a Delaroche'owi zarzucą „brak konstytucyi na płótnie!!!“ Rzecz widoczna, że ci znawcy nie widzieli ani jednej wielkiej galeryi, nie słyszeli ani jednego prawdziwego mistrza, że naukę i wiadomości swoje czerpią z przeglądów i fejletonów francuskich, i nie dziw, że takim sposobem do najpocieszniejszych w świecie przychodzą nieraz zestawień i sądów. O p. Servais powiedzą nietylko, że jemu „nie sprosta Franchomme“, ale jeszcze jako „trzeciego w związku“, jako kompletującego tryadę największych wiolonczellistów Europy, policzą tego niewinnego Offenbacha, który sam skromnie przestaje na chudych laurach *Bouffes* paryskich! Jako najsławniejszych francuskich malarzy wymienią Ingres'a, Delacroixa i — Winterhaltera, i jednym tchem wymówią imiona Ruysdaela i — Gudina!! Tej gruntownej znajomości nowożytnej sztuki, odpowiada znajomość dawniejszej. Gdy p. Siemieński tę dobrą i zdrową dał naszym artystom radę, aby lepiej robili portrety, zamiast coby się mieli odrazu zrywać na wielkie historyczne przedmioty, odpowiedział mu jakiś znakomity znawca, który nawet był w Wenecyi, że „kto dobrze maluje portrety, nie jest już w stanie nic historycznego utworzyć — ale nigdy!“ — jak gdybyśmy nie posiadali *Ferroniery* i *Monny Lizy* nieśmiertelnego Leonarda, jak gdyby Rafael nie malował Leona X i Castigliona, jak gdyby i dziecko nie wiedziało, jakim mistrzem w tym rodzaju był Tycyan wielki! Ten sam „Winckelmann polski“ zaręcza nam dalej, że „Rembrandt nie miał twórczego ducha, był tylko dobrym portrecistą a najgorszym historyczno-religijnym malarzem“, że „Murillo tylko brudy i obrzydliwości brał sobie za przedmioty do malowania i ze sta-

nowiska błotnistego patrzał na sztukę i naturę!!“ Nie chcemy mnożyć przykładów; dodawanie ułamków było dla nas zresztą zawsze jednem z najtrudniejszych działań. To, cośmy przytoczyli, wystarcza aż nadto do przekonania, na jakiej to nieznajomości, na jakiej to czczości, na jakim to fałszu oparty cały ten artyzm nasz! A kiedy jeszcze słyszymy, że jedna z najszlachetniejszych i najzacniejszych pań naszych, która za szczególną u nas uchodzi kunsztów wielbicielkę, Polka, przed której zresztą wielkiemi przymiotami duszy i serca kornie uchylamy czoła [1]), poleciła biegłemu artyście odtworzenie w marmurze — Madonny Sykstyńskiej... (jak gdyby malarstwo i rzeźba nie miały swoich osobnych i wyłącznych i wyłączających się sfer, jak gdyby można było dzieło pędzla przełożyć w kamień, jak się to jakiś romans przekłada z francuskiego na polskie, jak gdyby głównemi zaletami, cudami Sykstyńskiej Madonny, nie była właśnie ta wiewność, ulotność, ta nadpowietrzność, ta wniebowziętość, jednem słowem, wszystkie te przymioty, których skulptura oddać nie może — i nie powinna!), kiedy widzimy, że ten dziwny pomysł uchodzi u nas za szczęśliwy, genialny, a przy okazyi i patryotyczny... to wtedy, zaprawdę, niepodobna nie rozpaczać zarówno, tak o znawcach sztuki, jak o jej amatorach i protektorach w Polsce!“

Pod względem rzetelnej znajomości sztuki postąpiliśmy także od pół wieku. A jednak czy tych słów nie moglibyśmy dziś jeszcze z korzyścią brać do serca i rozpamiętywać? Czy nie skorzyśmy do tego, by każdy „owoc uznać za dojrzały“, i czy przez to nie oddajemy złej usługi czy sztuce, czy literaturze, czy temu ogółowi, który krytyka powinna kształcić, oświecać, podnosić w cywilizacyi? Skutki tego sztucznego zapału dla sztuki, tego przyjmowania wszystkiego za dobre, mogą być złe dla społeczeństwa, są już widocznie złe dla dobra literatury.

„Elementa malarskie i muzykalne, które w należnych sobie sferach nic samoistnego dotąd nie stworzyły u nas,

---

[1]) Hr. Augustowa Potocka dla kaplicy w Willanowie.

wygórowały natomiast przemożnie w naszej pięknej literaturze i podkopują coraz bardziej wszystkie jej prawdziwe podstawy. W miejscu poważnych gatunków dramatu i epiki, mamy teraz już tylko te dowolne i luźne, żadną estetyczną ni etyczną kategoryą nie objęte obrazki, szkice, gawędy, w których sama malowniczość, bez względu na moralne znaczenie i idealną wartość, jest tak jedynym motorem, jak celem; a w liryce zapanowała prawie wyłącznie ta muzyczna nieokreśloność i pieszczoność, która dźwięcznym doborem słów i rymów zapełnia ucho, ale i myśl zagłusza: łzami nie płacze, lecz „brzęka", z ciągłego wzruszenia nigdy do ruchu i czynu nie przychodzi, i w puch kwiatów, jak w bawełnę, obwija wszelką szorstkość ducha: która w Polsce same tylko bławatki, a w chrześciaństwie same tylko cacka, i bawi się nieustannie gramatycznemi zdrobniałościami, które mają być ludowemi, a w gruncie tylko zdradzają, że przedmiotami natchnienia są ludzkie drobiazgi, że owe dyminutywa języka wyrażają to, co Szekspir w jednem miejscu nazwał dyminutywami natury. Miękkość pędzla i tonów rozczynia w naszej literaturze wszelką poetyczną i moralną energię; nie względy ideału, ale potrzeby malowniczego efektu kierują wyborem przedmiotu i stanowiska, a przed prawami perspektywy ustępować nieraz muszą najwyższe prawa człowieka. Anegdota więcej waży od historycznej prawdy, koloryt więcej od rysunku, lokalne oświecenie więcej niżli światło ducha. Zamiast kreślić figury, pisarze nasi układają draperye, zamiast stałych konturów, dają stare kontusze, a w miejscu charakterów przedstawiają same — oryginały. Bo też tylko charakter może tworzyć charaktery, gdy tymczasem do uklejenia oryginału nie potrzeba nawet i oryginalności: wystarcza tu pewna artystyczna skrzętność, która umie zbierać i sztukować, i z różnych stron zachwycone rysy w jeden skupić obrazek. Bo też trzeba mieć serce, aby patrzeć w serca; do zrozumienia kostyumów dość mieć zmysł dekoratora. Bo walczył, cierpiał i kochał twórca Maryi i Miecznika; bo nie „jak owad na róży kwiecie" spoczął ten mąż, który kreślił Litawora i Rymwida, Alfa i Hal-

bana, lecz miał wielkie dążenia i cel wysoki, lecz chciał swój naród „dźwignąć, uszczęśliwić, chciał nim cały świat zadziwić“, poeta, który Polsce stawiał naprzemian przed oczy Wallenroda i księdza Robaka; bo wszystkie rany ludzkości wziął w swą natchnioną pierś magnetycznie ten wieszcz, który z marmurowego łoża budził uśpiony posąg Irydiona, i na Okopach Św. Trójcy kazał stanąć Hrabi i Pankracemu... Ale aby przedstawić nieświeżskich Albeńczyków i opisywać naszych maniaków i zawadyaków z XVIII wieku, tak mało trzeba mieć wieszczego uczucia ideału, jak obywatelskiego poczucia narodowych potrzeb, a wszelkie poczęcie tu tak jest bez miłości, jak i bez bólu rodzenie. Literatura nasza ma obecnie prawdziwą swoją epokę saską — czasy próżniactwa przy wielkiej hałaśliwości, czasy zadowolenia przy najsłuszniejszych powodach do upamiętania się i poprawy — i nie bez pewnej konieczności święci ona też przedewszystkiem podobną epokę i w naszej historyi... W gawędach naszych i historycznych powieściach, zaleta długich wąsów okupuje prawie wszystkie niedostatki krótkiego rozumu, krzywość szabli prostuje wszelkie czyny wątpliwe, a kontusz dostatecznem jest pokryciem moralnej i estetycznej nagości bohaterów. Jakiekolwiek zaś mogły być w początkach przyczyny i pobudki takiego smutnego upodobania w najsmutniejszym wieku naszych dziejów, to pewna, że temu dziwnemu pociągowi przyszły dziwnie w pomoc nasze artystyczne zachcenia, i że niejedna obraza zdrowego rozsądku, zdrowego smaku, i zdrowej moralności, znalazła swoją ekskuzę, swoją nawet apoteozę w obrazowości, w malowniczości przedmiotu, w rubaszności opisu. Fantazya artystyczna sympatycznie się tu spotkała z fantazyą szlachecką, moralny nierząd w naszych umysłach z politycznym nierządem w naszych dawnych instytucyach. Między obecną naszą twórczością bez celu, a przeszłowiecznem naszem życiem bez myśli, zachodzi rzeczywista współmierność — w podwójnem tego słowa znaczeniu; między hulaszczem pisaniem najnowszych autorów a hulaszczem działaniem tej szlachty, którą oni nam jako szczególnie sarmacką chcą przedstawić, a którą jednak

już Pasek bardziej „hierozolimską niż polską“ nazwał, jest stosunek równie opłakany jak naturalny; a węzeł łączący stanowi tu ten artyzm fałszywy, który z obojętnością dla treści goni tylko za ujętnością formy, który zamiast o wartość czynów, o wartość tonów się pyta, zamiast sumienia tylko swego się radzi kalejdoskopu, i zamiast podnosić, chce tylko zabawić“.

A wreszcie, i na koniec, to, co najważniejsze: sztuka nie jest głównem, pierwszem zadaniem i sprawą narodów, a od ważniejszych może odciągać, może w nich przeszkadzać.

„I czyż dla czciciela prawdy i dbałego o moralność narodu obywatela, nie dosyć powodów do żalu, do obawy, w samym już tylko, tak widocznie kłamanym charakterze tych naszych uroszczeń, choćby ich źródło było mniej podejrzane? I choćby już nie żadna patryotyczna apatya, ale tylko kosmopolityczna płochość, nie bezwiedne odstępstwo, ale bezmyślne naśladownictwo były pobudkami obecnego kierunku, jakież zdrowe, proste serce nie uczuje odrazy i przerażenia na widok tak wyraźnego udania, tak namacalnego fałszu, który na każdym kroku cechuje nasze artystyczne zachcenia i zachwyty? Wykazaliśmy już przedtem, choć w dorywczych rysach, całą tych porywów pozorność, nieznajomość rzeczy, jaką u nas grzeszą prawie wszyscy wielbiciele i krzewiciele malarstwa, rzeźbiarstwa, muzyki, nieszczerość i płytkość naszych zwiastunów, przedsłańców i samosłańców sztuki — i nie mamy ochoty znowu wrócić do przedmiotu, o którym, gdy się go dotyka, tak trudno jest satyry nie pisać... Lecz jakiż wtenczas trzeźwy umysł się zgodzi na podobną frymarkę słów i uczuć, i kogoż wtedy zabawi taka płocha gra ze świętościami Olimpu, a świętszem jeszcze nierównie sumieniem narodu? Zapał, entuzyazm!!... Wielkie i nieocenione to były po wszystkie czasy skarby ludzkiego ducha, większej jeszcze, nad wszelką cenę wartości nabrały one w tych smutnych czasach, w których teraz żyjemy. Szczęśliwy człowiek, szczęśliwszy jeszcze naród, który w wieku XIX tem bogactwem się szczycić ma prawo, który może coś nieziemskiego

ukochać, nad czemś nadziemskiem się unosić. Ale jeśli największa oszczędność takiego skarbu najświętszym jest obowiązkiem, to wszelka nim gra i spekulacya najwyższem się staje świętokradztwem; jeśli trwonienie tego złota na niepotrzebne przedmioty i cele kary godną jest płochością, jakżeż dopiero nazwać jego — fałszowanie?... Fałszowanie zaś entuzyazmu, udawanie zachwytu, zapalanie się na zimno, odurzanie się przy najprozaiczniejszej trzeźwości, ten jest jeden z najlżejszych zarzutów, jaki każdy miłośnik prawdy a nawet i sztuki, ma prawo robić naszym dyletantom i amatorom; a w tym najlżejszym tylko zarzucie ile już tłoczącego ciężaru dla polskiego sumienia! Jest coś niemoralnego i demoralizującego w każdem, i choćby najniewinniejszem na pozór i najbezinteresowniejszem, ale kłamanem uczuciu; jest coś godność ludzką poniżającego w każdym nieszczerym hołdzie, i hipokryzya była zawsze gorszą od najgorszego bałwochwalstwa! Podobne zaś drażnienie i łechtanie lekkiemi piórkami nerwów zapału w narodzie, jest dziełem równie płochem jak grzesznem; bo ta sztuczna ekscytacya prowadzić w końcu musi do zupełnego stępienia, bo to dziecinne i codzienne próbowanie najdelikatniejszych sprężyn polskiego ducha musi je tylko osłabić, rozprzęgać, i odjąć im tę siłę podlotu, która troskliwie pielęgnowana i oszczędzona, w danym razie może dźwignąć trud trudów, w chwili przeznaczeń może stworzyć cud cudów".

„Gdyby nawet nasze pobudki w tym kierunku były tak czyste i poważne, jak są płoche i niepokojące, i gdyby nasze uzdolnienie w tych sferach było tak wyraźnem i prawdziwem, jak jest wątpliwem i udanem, jeszcze i wtenczas każdy umysł rozważny musiałby przestrzegać przed podobnemi pociągami w podobnem położeniu, i przez wzgląd na nasze czasy i obecne potrzeby, kazałby umilknąć wszelkim względom choćby istotnego powołania. Bo te zajęcia i zamiłowania nietylko nas odwodzą od robót daleko ważniejszych, bardziej naglących, pod karą zagłady nieodzownych, ale stają nadto na zawadzie wielu drogim, niezbędnym ducha i życia nabytkom, ale żywią, powiększają w nas pewne

słabości i wady, od których przezwyciężenia zawisło może zwycięstwo najświętszej sprawy... Jest w sztuce zawsze jakiś miękczący i denerwujący element, którego wpływy wprawdzie zneutralizuje nieraz w sobie zdrowy i silny organizm normalnie rozwijającego się narodu, ale którym oprzeć się nie jest w stanie żaden kraj, jak nasz, ciężką niemocą złożony; a jeśli historya ciągłemi naucza przykłady, że niejeden lud znajdował w trudach pędzla i dłuta wielką chwałę i podnietę za czasów swej potęgi, marną pociechę w epoce upadku i konania, nie wskaże ona natomiast ani jednego, któryby w tych zajęciach był czerpał hart do oporu, odwagę i siłę do powstania. Artystyczne wychowanie i kształcenie zaostrza w ludziach tę nerwową czujność i czułość, to pragnienie ciągłych zmian i wrażeń, to cenienie pozornych stron życia z lekceważeniem rzeczywistych, tę fosforyczność błyskotnego i błyskawicowego zapału, tę łatwość do uniesień i upadków, tę skorość do zaczarowania się i rozczarowania — wszystkie te przymioty, których i bez tego mamy już poddostatkiem. Czego zaś nam brak, do nabycia czego nam artyzm zaprawdę nie pomoże, niewątpliwie raczej zaszkodzi, to tej stateczności w myślach i stałości w chęciach, tej rozwagi w rozpoczęciu dzieła i wytrwałości w jego dokonaniu, tego zimnego rozmysłu przy gorącem jednostajnem uczuciu, tej wstrzemięźliwości w słowach a energii w czynach, którym jedynie na tej ziemi jest danem, bez myłki zdążać do celu, i bez chyby go osiągnąć..."

„Wśród tych prób strasznych, któremi nas Bóg doświadcza, wśród tylu męk czyścowych, przez które zdążamy do odkupienia, nie w zalotach to sztuki, ale w zaletach obywatelstwa, nie w wygodzie używania, ale w godności żywota, przystoi nam szukać ćwiczenia i wydoskonalenia. W objęciach Muz czeka nas tylko wycieńczenie i uśpienie, publiczne obumarcie i łatwe a grzeszne zaspokojenie sumienia; hart i wytrwanie, wiarę w naszą sprawę i środki i siły do jej wywalczenia, znajdziemy tylko w twardej i mozolnej pracy, w krzewieniu religijnego ducha i czynnej miłości bliźniego, w trzeźwem badaniu naszych wad i niedostatków, i w szcze-

rem postanowieniu poprawy i naprawy... Nie pędzlem i dłutem, lecz krzyżem i mieczem zwyciężała Polska od wieków; nie sztukami pokoju zaświecić, ale mir Boży na ziemi zaprowadzić usiłowała; nie protekcyą udzielaną artystom, ale pomocą którą niosła ciemiężonym, walką którą wypowiedziała ciemiężcom, wsławiła się w dziejach; i z równem też przestrzeganiem przed trudami malarstwa i rzeźbiarstwa, a ze wskazaniem nierównie jeszcze wyższego celu, jak go z Elizyum Anchizes mógł naznaczyć Rzymianom, woła teraz i do nas z głębi przeszłości i z wysokości niebios, duch naszych ojców:

Excudent alii spirantia mollius aera,
Credo equidem; vivos ducunt de marmore vultus;...
— *Tu* gerere ad Christum *populos*, Polone, *memento;*
Hae tibi erunt artes, pacisque imponere morem,
Tollere *subjectos, et debellare superbos!*..."

Występuje przeciw tej rozprawie Klaczki wielka postać Matejki, poetyczna pełna wdzięku postać Grottgera: mówią że ogniem ich natchnień, duszą ich twórczości, była miłość ojczyzny, i że sztuka także może i służyć, i sławić, i do myślenia dawać, i serca rozgrzewać i umacniać. To zaprzeczenie jest, i Klaczko sam, choć słabe strony Matejki doskonale widział, szczerze to zaprzeczenie przyznawał i przyjmował. Zresztą były gniewy, urągania, ale w tych prawdziwego zaprzeczenia nie było. A choćby kto na takie i najbardziej się silił, ten nie potrafi dowieść, że Klaczko nie ma racyi kiedy mówi że sztuka nie jest pierwszą potrzebą i największą siłą narodów. Kto mu zaprzeczy, kiedy mówi, że ona jest „przypomnieniem utraconego Raju, powrotem na ciężkiej zmysłów drodze do zabranego światła ducha", że ma „powołanie szczytne a źródło boskie" — i że dlatego właśnie cześć jej ma być wysoką i rzetelną? Kto mu zaprzeczy, kiedy mówi, że sztuczny, udany zapał, że przyjmowanie złego za dobre, miernego za wzniosłe, nie jest czcią i miłością sztuki, ale jej profanacyą, nie stawia jej na wyży-

nach, ale z nich ściąga, nie podnosi, ale obniża? Kto mu zaprzeczy, kiedy to mówi — i kto powie to lepiej jak on?

Ale jest zaprzeczenie inne, bolesne: to ten widok przyszłości, czy jej program, w jakim Klaczko żyje i pojmuje sztukę, jak wszystko. To te dumne *debellare superbos*, te wspaniałe *tollere subjectos*, te wzniosłe *gerere populos ad Christum*, w które on wierzy jak w powołanie, przeznaczenie i niechybną przyszłość Polski; a dziś, co zostało z tych haseł, jak wykonać te przykazania? Dlatego jak *Hegemony* z przed lat kilku, tak i *Sztuka Polska* dziś jest do czytania przykra, zostawia smutek w duszy — dla autora podziwienie, ale zmięszane ze współczuciem i pożałowaniem.

Krytyka *Gladyatorów* Lenartowicza jest bardzo surowa, jest nawet złośliwa. Jednostajna sielankowa tkliwość jego dawniejszych wierszy czy poematów wydobyta jest na jaw i pokazana w jaskrawem świetle, tak samo jak wszystkie błędy tego nowego poematu odmiennej treści i formy. Krytyka jest niemiłosierna, a Lenartowicz dowiódł wielkiej i szlachetnej dobroci serca, kiedy żalu do Klaczki nie zachował, choć go zrazu żywo uczuł; dowiódł też artystycznego sądu nad samym sobą, kiedy tego słabego poematu nie pomieścił w zbiorowem wydaniu swoich dzieł.

Ale ta krytyka sroga, chwilami okrutna, niesprawiedliwą nie jest, jest słuszną. Co mówi, co wytyka, co zarzuca, to wszystko słuszne, to prawda. Chciałoby się nieraz trochę więcej litości nad poetą, ale poemat na pobłażanie nie zasługiwał, i jeżeli krytyka nigdy może nie była u nas ostrzejszą, to nigdy także nie była świetniejszą.

Klaczko uważa, że po wstrząśnieniach i boleściach r. 1846 i 1848, słodkie i ciche dźwięki poezyi Lenartowicza były miłe, może nawet potrzebne zbolałym, jako ukojenie, ułagodzenie. Czy to psychologiczne tłómaczenie wziętości Lenartowicza jest słuszne, nie wchodzimy, i nawet nie zupełnie w nie wierzymy; ale charakterystyka jego rodzaju, jego talentu, jego poezyi, ta jest prawdziwa. Chciałoby się, przez uszanowanie i przywiązanie do Lenartowicza, módz zaprzeczyć, ale nie można.

„Tylą nadziejami i zawodami wycieńczony duch narodu, rad znalazł odpocznienie i ukojenie w tych słodkich, czułych dźwiękach sielankowej nuty; uśmiechała mu się dziewczyna, która „przy tym niepokoju“ myślała o powoju co się plecie po krzakach, i o lichej ptaszynie co śpiewa w matuli ogrodzie, i z pewnem uczuciem tkliwej zazdrości witał tę sierotę, której „nic nie żal na świecie“, której żal jeno tej łąki, gdzie fiołki i dzwonki, tego słońca w zachodzie i fujarki wierzbowej... Miłe te wierszyki, objawiające się raz po raz w pewnych odstępach w dziennikach i pismach peryodycznych, zawiewały nas zawsze jakby lubą wonią lasów, zapachem świeżego żytniego chleba, ochładzały nam palące czoła lekkim wietrzykiem, co ugina kłosy pól naszych; było w nich wiele tkliwości, wiele czystości, dużo i oryginalności. Wprawdzie ta oryginalność, zbyt powtarzana, przybierała nieraz charakter maniery; wprawdzie ta tkliwość, przez bardzo bliską a częstą permutacyę, przechodziła w ckliwość, a czystość formy zdradzała tu i ówdzie pewną czczość myśli; razem szczególnie zebrane, te melodye monokordu okazały się monotonnemi; bławatki, stokrotki i bratki, które cieszyły oko, co je niespodzianie i zrzadka wśród pól odkrywało, w jeden pęk uwite, wydały się dziwnie blade, wiecznie te same... Poznałże się na tem niebezpieczeństwie lirnik, i dlatego umyślił innej sobie szukać drogi? Alboż może tylko za samym i naturalnym serca poszedł popędem, gdy odtąd Dobrego Pasterza i Św. Rybitwę przedewszystkiem opiewać postanowił, i jak dawniej polską ziemię, tak potem niebieską krainę zaczął podawać w obrazkach? To pewna w każdym razie, że jeśli temat był zmieniony, nuta pozostała ta sama, że wyżej czy niżej nastrojona, jedna wciąż zawsze dźwięczyła struna. P. Lenartowicz rzucił się w poezyę religijną, ale nie przestał być tym samym pasterskim poetą. Dusza jego wielbiła Pana — na wierzbowej fletni; na niebo jak na ziemię patrzał wciąż przez odwrotną stronę poetycznej lunety, stronę ładną i składną, ale zdrobniałą. *Zachwycona, Błogosławiona, Fragment o Apostołach,* były zawsze w gruncie sielankami, tylko że seraficznemi, że zamiast ma-

zowieckich, widzieliśmy tu w miniaturze tych „kmieci, którzy siedzą u Boga w wiecu“. Te niebieskie idylle miały te same, co dawniejsze ziemskie, zalety i wady; tylko że dla zdrowego uczucia wady tu jeszcze musiały się stać przykrzejszemi. *Je voudrais parfois un loup dans cette bergerie*, powiedział, jeśli się nie mylimy, Scarron o sławnych sielankach pani Deshoulières; i od takiego życzenia nie byliśmy i my czasem dalecy na widok tych owczarni p. Lenartowicza, świeckich czy świętych...“

Zapowiadanego długo poematu o *Gladyatorach* wyglądał Klaczko z życzliwą ciekawością, w nadziei, że ze zmienionym tematem zmieni poeta ton i rodzaj, że wyjdzie z zaczarowanego koła jednostajności. Ale się zawiódł.

„Długo i głośno zapowiedziany utwór, mamy wreszcie teraz przed sobą, i jesteśmy w stanie sprawdzić nasze widzenia i przewidywania. Powiedzmyż przedewszystkiem, że *Gladyatorowie* nie są wcale poematem większych rozmiarów, jak to z doniesień w dziennikach wnosić można było; nowa publikacya p. Lenartowicza jest małym obrazkiem, objętości pięciuset wierszów. Nie robimy mu z tego bynajmniej zarzutu; chcemy tylko tem zastrzeżeniem właściwą dać miarę całej sprawy i uchronić przy sposobności naszych czytelników od zawodu, któregośmy sami doznali. Boleśniej nierównie dotknął nas zawód innego rodzaju, z którym spotkaliśmy się odrazu i na samej okładce broszurki, i o którym przemilczeć nie zdaje się nam właściwem. Jedna z dobrych stron autora *Lirenki* dotychczas była skromność i bezinteresyjność. P. Lenartowicz nie miał zwyczaju przybierać postawy Tytana, jak to niestety w większej części czynili młodzi jego u nas współzawodnicy; nie głosił się on milionem, nie wyrzekał na świat, nie żalił się na ludzi, nie wyzywał przeznaczenia, i nie zapowiadał „pieśni, o której i Bóg nie śni“. Lirnik wciąż dotąd nucił naiwnie i bez żadnych uroszczeń, był „jak ta licha ptaszyna, co w wieczornym chłodzie, śpiewa sobie na kalinie w matuli ogrodzie“ i ujmował wielce tą prostotą, która w gruncie była też i najlepszą rachubą. Ale na czele *Gladyatorów*, i dwa razy na dwóch ty-

tułach poemaciku, położył autor *motto*, które w rażący i smutny bardzo sposób odbija od dawnego jego obyczaju i trybu, i w którem, wyrazami Kassandry z *Odprawy posłów* Kochanowskiego, wyrzuca „srogiemu Apollinowi, że mu wieszczego dawszy ducha, nie dał wagi w słowiech, ale wszystkie jego pieśni na wiatr idą, nie mając u ludzi więcej wiary, niż baśni próżne i sny znikome...“ Z ręką na sercu! — p. Lenartowicz do podobnych żalów nie ma najmniejszego prawa; autor *Błogosławionej* na obojętność i oziębłość ludzi uskarżać się zaprawdę nie powinien! Wziętość jego w kraju jest wielka i powszechna, uznania i hołdy zewsząd go otaczają, a krytyka nawet ma same dla niego dotąd tylko poklaski. Porównywanie zaś siebie do Kassandry jest czemś, czego nazwać nie chcemy, bo nie możemy na prędce znaleść stosownego a zarazem łagodnego wyrazu. P. Lenartowicz żadnej jeszcze żywotnej prawdy nie objawił narodowi, „żadnych nie przeczuł zdarzeń, żadnych ran ludzkości nie wziął w swoją pierś magnetycznie — on sobie tylko wciąż „piał idyllicznie!“ Jeśli tego rodzaju ma być przemiana mazowieckiego pieśniarza, to możemy go tylko błagać, aby tak wielkiego sobie nie zadawał trudu; to możemy sobie tylko życzyć, aby czemprędzej wrócił do swoich rozmów ze słowikiem, do dziewczyny i kaliny, i do swych świętych pastuszków. Bo wolimy już na trzy zbytki ocukrzone pienia czułych kmiotków, niż gorszącą gorycz proroczych samosłańców i samozwańców — bo wolimy już mdłe dumki, niżeli żrącą dumę!“

Przystępując już do *Gladyatorów* samych, wytyka im Klaczko różne i liczne błędy, a wreszcie zadaje sobie pytanie zasadnicze, czem jest, na czem polega wierna charakterystyka czasów w poezyi lub powieści.

„W poetycznem odtworzeniu jakiegoś wieku i narodu, dwojakiego rodzaju może być prawda i wierność. Jest prawda materyalna, mechaniczna, ta, co pospolicie lokalnym jest nazywana kolorytem, i która w gruncie bardzo małej lub żadnej jest wagi; jest następnie prawda moralna, duchowa, żywotna, która rzeczywistą i jedyną stanowi wielkość i wierność kreacyi. Pierwszą każdy może uchwycić, a dzięki szcze-

gólniej tak teraz upowszechnionym i licznym encyklopedyom, słownikom i doręcznikom, uchwyci ją nawet bez wielkiego trudu i zachodu. Drugą odgadnie i ukształci tylko potęga geniuszu, natchnienie mistrza, intuicya wysokiego umysłu. O pierwszą też mało dbali, bardzo niską, nawet zbyteczną ją być mienili i nieraz wprost z niej urągali się wielcy słowa mistrzowie; drugą natomiast w najwyższej zachowali świętości, i jej głównie swoją zawdzięczają nieśmiertelność. Eschyl swoim *Persom* nie daje żadnych osobnych kostyumów i lokucyj, każe im wzywać bogi Hellady, nawet samych siebie nazywać *barbaroi* — a nikt tu zapewne poety o niewiadomość nie posądzi; bo on wojskom Daryusza i Xerxesa zbliska się przypatrywał, oko w oko się z niemi spotykał, bo on przecież pod Maratonem walczył i pod Salaminą! Lecz Eschyl tworzył dla narodu, chciał, aby lud ateński jego dzieło w każdym zrozumiał odcieniu, i bez żalu poświęcił lokalny koloryt. Ducha zaś tych Azyatów, żywotne zaś słowo Wschodu, moralną fizyognomię państwa Cyrusa, pojął i oddał w jak najwierniejszych rysach — oddał już tym jednym rysem, że gdy żadnego ze zwycięzców salamińskich nie nazywa po imieniu i w prawdziwie greckiej i pięknej myśli wszystko odnosi tylko do ojczyzny, u Persów natomiast wszystko znowu do jednej odnosi osoby, wszystkie potęgi kraju w jednym wyobraża człowieku. I jestże gdziebądź, spytamy, genialniejsze i prawdziwsze uchwycenie despotycznego charakteru Azyi, iak zaraz w tej pierwszej scenie i w tym jednym wykrzykniku Atossy, kiedy ta matka króla królów, wezwawszy wszystkich dygnitarzy państwa i opowiedziawszy im długo swoje dręczące obawy i złowieszcze przeczucia, nagle urywa i woła: „Przecież wy to wiecie: jeśli zwycięży mój syn, stanie się godnym podziwu bohaterem; jeśli chybi, nikomu nie zdaje sprawy, i jak przedtem, nienaruszony tą włada ziemicą?...“ Podobnież i Homer żadnemi zewnętrznemi cechami nie oddziela Trojańczyków od Achajów, użycza im wspólnego języka i wspólnych bogów. Ale kiedy w boju nam pokaże ludy Pergamu napadające z przeraźliwemi krzykami, tak zawsze i wszędzie charakteryzującemi barbarzyńców,

a przeciwników ich śpieszących do walki w poważnej cichości, nawet bez towarzyszenia śpiewów, to wówczas w całej energii i plastyce, jakiejby żadne archeologiczne nie utworzyły drobiazgi, występuje przed okiem naszej duszy cała głęboka różnica między wolną indywidualnością Hellady a tym patryarchalnym pierwiastkiem, który konstytucyjnem jest prawem oryentalnego bytu! Tę samą uwagę zrobić można i o Szekspirze, któremu dziś każde dziecko przemądrze zarzuci wprowadzenie armat za czasów Cezara; ale Szekspir, jak Eschyl, nie tworzył dla pedantów i erudytów w ogóle, ani też w szczególności dla cudownych dzieci XIX wieku: tworzył dla swego ludu, od którego nie żądał znajomości dawnych *hastatów* i *pilatów*, i dozwolił mu cieszyć się widokiem własnych i ulubionych żołnierzy i armat, choćby i w rzymskich sztukach. Pedantom zaś i erudytom odpowiedział raz pośrednio i figlarnie przez usta tego błazna w *Learze*, który po zaśpiewaniu jakiejś zwrotki uroczyście oświadcza: „To proroctwo z r o b i jeszcze kiedyś Merlin; b o j a ż y j ę o k i l k a s e t l a t p r z e d n i m!...“ Tak mało o materyalną chronologię i mechaniczną wierność dbał, tak wytwornie z niej się urągać umiał ów William nieśmiertelny! Ale moralną dystynkcyę czasów, ale wielką psychologiczną prawdę epok i narodów, tę czuł, tę pojmował, tej ukształtowania dar w niezrównanym posiadał stopniu najwyższy ten geniusz dramatu, i ze zmysłem, którego urocze tajemnice nam wciąż tylko zgadywać i podziwiać pozostaje, zasunął Leara w mrok celtyckiego pogaństwa, postawił Makbeta na pograniczu barbarzyństwa i cywilizacyi, zbliżył Hamleta do czasów Reformacyi i uniwersytetu wittenberskiego i t. p. A jak wszechstronnie objął ten świat rzymski, który mu wszakże tylko z Plutarcha był wiadomym, to pozna każdy, który z uwagą porówna jego Rzymian z czasów Koryolana, a następnie z epoki Cezara, i w końcu Antoniusza! Bezwątpienia, w XIX wieku, wobec tak upowszechnionych elementarnych wiadomości, kiedyśmy wszyscy — jak mówi Goethe w *Fauście* — „wprawdzie nienajlepsze rzeczy, ale strasznie wiele czytali“, nikt nie poradzi ani nawet przepuści poecie

podobnych co w Szekspirze anachronizmów, i będzie to zaletą *Irydyona,* że w nim świat starożytny objawia się i z materyalną prawdą, którejby może nic nie miał do zarzucenia żaden Boeckh lub Goettlingk. Ale ta zasługa jest zaiste jedną z najpodrzędniejszych w tem cudownem dziele! Co temu utworowi nadaje piętno wielkiej, natchnionej kreacyi, to owa moralna prawda, owa głęboka psychologia i genialna intuicya, z jaką tu ukształcone są te trzy żywioły, klassyczności, chrześciaństwa i germaństwa, które dawne społeczeństwo rozkładać a nowe utworzyć były powołane! A ponieważ już wspomnieliśmy o *Irydyonie,* niechaj w końcu nam wolno będzie wskazać nawiasem, że w tem arcydziele jest jedna krótka scena z gladyatorami, jedna krótka stronnica, która więcej wypowiada o tym przedmiocie, niż cały i wyłącznie jemu poświęcony poemat lirnika z Mazowsza..."

W zakończeniu nie o poezyę już chodzi, ale o myśl polską, o polskie uczucie; i nie krytyk, ale Polak odpowiada na to słowiańskie braterstwo, którem Lenartowicz kończy zapasy gladyatorów:

„A w końcu widzi lirnik w wieszczym duchu tę błogą chwilę, „kiedy gladyator słowiańskiej swobody zwróci ku sobie obłąkane trzody, i naród gladyator, Lech z krainy lesiej, dzieło skończy i dzidę zawiesi". I „wtedy znów się zlecą Słowianie bracia na ojczyste wieco, i wiekowej zabywszy niezgody, to plemię śpiewne, ten Słowianin wolny, miłosną dumę zanuci jak wprzódy, palcami bijąc w muzyczne narzędzie..."

„O, ta myśl Słowiańszczyzny wiele nam miesza rozumy, i dziwnie nam teraz zakłóca sumienia!... Różnego rodzaju są nasze hallucynacye w tej mierze i w proteuszowych kształtach pokazuje się nam ta „zdradziecka Wila!..." Mamy naprzód panslawizm wygodny i niegodny, który żegna się z „marzeniami" i woła, że światło przychodzi z Kaukazu, który każe szukać karyery i chrestów i ręczy, że „mundur nie ciśnie i kaszkiet nie gniecie!" Mamy następnie słowianizm mistyczny i seraficzny, nadludzki i nadchrześciański, który całuje knut jako bicz boży, który „ani w myśli, ani w mowie, ani w żadnej czynności" nie chce być nieprzyja-

cielem ciemięzkiego rządu i tak szeroko rozciąga swą miłość, że aż w nią obejmuje — piekło i szatana! Mamy także słowianizm wandalski, teoryę nienawiści równie szaloną jak owa teorya miłości, który wymarzonych krzywd chce się mścić na Europie i z armią Attyli chce się złączyć na niekrzyżową wojnę barbarzyństwa przeciw cywilizacyi... P. Lenartowicz nareszcie wskazuje nam świątynię pokoju swojej architektury, wymysł swojej głowy, dziecko swojej natury, i w przeciwstawieniu od owego attylicznego słowianizmu, zaleca świeżo swój — idylliczny!... „Więc od płużycy żelaznego stoła, i od pasieki kędy brzęczy pszczoła, i z nad potoku od polnego stada, dziatwa słowiańska kołem pozasiada, jakoby w wieniec upleciona polny...“ I wszyscy wtedy „wiekowej zabywszy niezgody, dumę miłośną nucą jak wprzódy, palcami biją w muzyczne narzędzie...“ a naród-gladyator, Lech z krainy lesiej, woła: „Skończyłem dzieło, zawieszam dzidę...“

„Panu Lenartowiczowi tyle tylko odpowiemy, że w nowem swojem dziele słabszym jeszcze objawił się politykiem niż poetą, i większe, jeśli można, od klassycznego, okazał niezrozumienie słowiańskiego świata... Nie — i przez wszystkie bogi, słowiańskie, rzymskie — nie: my gladyatorami nie jesteśmy, o poeto! My za sprawę książąt się nie kłócimy, my dla pychy Cezarów nie toczymy boju — ani my, Polacy, ani nawet oni — Rosyanie!... I my i oni, wszyscy wiemy dobrze, w imię czego spór wiedziemy; świadomo lub instynktowo, czujemy wszyscy znaczenie walk naszych! Walka to dwóch wielkich światów, walka to Zachodu i Wschodu, katolicyzmu i schizmy, wolności i despotyzmu, cywilizacyi i barbarzyństwa!... Kto z tego boju wyjdzie zwycięzcą — *kto ostoit w nierawnom sporie,* jak się pytał już Puszkin... Bogu jednemu to tylko wiadomo! Ale nie myślmy, aby ta „Tebaida narodów“ mogła się zakończyć sentymentalną piosenką, aby ta wiekowa tragedya miała się wydźwięczyć słodką pastorałą! Nie nućmy bukolików, gdy zewsząd grzmią rogi *Iliady,* i nie mówmy o bratnich uściskach tego, którego tłoczące kolano wciąż czujemy na piersi co pęka! I precz z temi miękkiemi tony, gdy nam hartu i siły przedewszyst-

kiem potrzeba; i precz z tą fletnią wierzbową, gdy ucha i serca wytężamy ciekawie i drżąco na trąbę archanioła, na grom Sądu Ostatecznego; i precz z temi przypomnieniami jakiegoś przedhistorycznego braterstwa, gdy jedyne historyczne tu braterstwo — Kaina i Abla!...“

„Jest coś bolesnego, godność narodową poniżającego, w tych naszych tak częstych teraz i tak ulubionych odzywaniach się do „słowiańskich braci“; jest coś niewieściego i małodusznego w naszych przymilaniach do tej bezdusznej i bezdziejowej masy i rasy! Przewrotne Pygmaliony, temi uściskami nie ożywimy kamiennej i skamieniałej Galatei; wyzioniem w nich tylko resztki naszego ducha i męstwa! Czyż lirnik w istocie sobie tuszy, że jego „pieśń swobody, poleci pomiędzy skłócone rody, pomiędzy Serby, Czechy i lud ruski?...“ Serby i Czechy tego głosu nie zrozumieją; Serby i Czechy na szali losów słowiańskich nie zaważą; one tam padną, gdzie ostatecznie myśl Polski lub Rosyi przeważy... a ten lud ruski, jeśli to ma znaczyć Rosyanina i jeśli ten raczy rzucić okiem na „pieśń polską“ — on tylko parsknie w śmiech szyderstwa i z radością w niej przywita nasz hymn pogrzebowy! Nie, podobne przepowiednie i zapowiedzie nie pozyskają nam ani jednego sprzymierzeńca, nie rozbroją ani jednego wroga, ale tylko w nas samych rozczynią siłę oporu, zamącą wyobrażenia o najprostszych naszych obowiązkach i prawach, we mgle zanurzą naszą wielką tradycyę... O, ta nasza odwieczna miękkość i małoduszność, która zawsze się cofa przed nieprzepartym dylemmem, która jak dawniej nasze walki domowe, tak i teraz dziejowy spór Słowiańszczyzny myśli zakończyć — polubownie: spór Białego i Czarnego Boga, spór Ormuzda i Arymana! O, to nasze tylekroć nadużyte, a tak mało jeszcze zużyte powszednie: kochajmy się, które w przenośni, jak w rzeczywistości, tak często bywa tylko pożegnaniem ostatków trzeźwości i hasłem do nieznającego już granic upojenia! Nie, nie kochajmy się, ale ważmy się i rozprawiajmy się! Nie, nie kochajmy się: ale bijmy się, ale walczmy do ostatniego, ale gińmy wreszcie, jeśli już ginąć nieodgadniony w swych wyrokach nam Bóg przezna-

czył... tylko gińmy na jasnem polu naszej dziejowej sławy, a nie na mrocznych moczarach wymarzonej Słowiańszczyzny, gińmy z wysoko podniesionym naszym, znanym i szanowanym sztandarem, gińmy z całem nienadwątlonem przeświadczeniem o naszem powołaniu i naszem posłannictwie, z całą wiernością i godnością wielkich chrześciańskich rycerzy; a jeśli już koniecznie jaką z dawnych igrzysk Cyrku mamy wyczerpać naukę, to chyba tę jednę tylko a ostateczną: że nawet i gladyatorowie — z godnością umierali!...“

Wszystkie dotąd wymienione artykuły Klaczki wyszły w pierwszym roku *Wiadomości*, w r. 1857. Nigdy nie będzie już pisał do nich tak często. W najbliższym roku zwłaszcza, r. 1858, dostarczył zaledwo trzech artykułów, a z tych jeszcze dwa niezmiernie krótkie, po dwie strony druku To *Sprawa włościańska hr. Uruskiego* i *Polska jako naród* p. Morzyckiego. Obadwa ci autorowie dostają cięcie śmiertelne, jeden cios, ale zabójczy: ich prace odsądzone od wszelkiej wartości. Jeżeli tak, to czy warto o nich wspominać, nad niemi się znęcać? Klaczko wspomina, bo widzi w nich fałszywą złą dążność i tę chce odsłonić i zdeptać.

Korespondenci paryscy, to rzecz cokolwiek dłuższa, na dwa numery pisma. Jacy byli korespondenci *Czasu* lub niektórych pism warszawskich pięćdziesiąt lat temu, to rzecz może zajmująca dla ówczesnych czytelników tych pism, zapewne dobra nauka dla ich redakcyj, ale dziś ta sprawa nikogo obchodzić nie może. Prawda: a jednak radzimy, żeby kto może przeczytał sobie ten artykuł w *Rocznikach*. Przyjemnie jest i zdrowo, pośmiać się czasem, a rzadko się zdarzy, czytając w samotności, po cichu, roześmiać się w głos. Tę przyjemność mogą zrobić ci nieszczęśliwi korespondenci, opisani tak zabawnie, wydrwiwani tak dowcipnie, z różnemi swojemi sposobami pisania, sztukami, udawaniami, rzucaniem piaskiem w oczy, brakiem wiadomości i sądów, że choć są tylko ówczesnymi, dziś dawno zmarłymi współpracownikami pewnych dzienników, mogą uchodzić za typy zawsze żywe i zawsze się powtarzające. Żarty i drwiny zmierzają do nauki, czem korespondent z Paryża do pism krajowych być powi-

nien, czem i jak pożytecznym mógłby być, gdyby rozumiał i chciał.

Że Klaczko mało pisze do *Wiadomości,* to w początkach r. 1858 tłómaczy się brakiem czasu, innem zajęciem: wykładami o Mickiewiczu. Jeszcze w listopadzie r. 1857 Eustachy Januszkiewicz donosi żonie, bawiącej u ojca w Galicyi, że Klaczko zapowiada szereg odczytów: będzie je miał, jeżeli znajdzie pięćdziesięciu słuchaczy. Cena wstępu (na wszystkie wykłady) dwadzieścia pięć franków. W styczniu pisze znowu, że Klaczko się przygotowuje i że się bardzo boi. Dnia 26 stycznia pisze, że pierwszy wykład się odbył i że był dobry, ale trochę deklamacyjny. Co się stało, że władza zakazała dalszych wykładów? czy się obawiała jakich reklamacyj ze strony ambasady rosyjskiej? Dość, że zakazała. Wykład, zapowiedziany na 28 stycznia, nie odbył się [1]). Przerwa trzech tygodni, starania ze strony polskiej, i wreszcie pozwolenie. Słuchaczy nie pięćdziesiąt, ale dużo: sala w *Cercle des sociétés savantes* pełna, a w niej wszystko, co znakomitego w Emigracyi, począwszy od starego ks. Adama Czartoryskiego, i chorego Zygmunta Krasińskiego. Po trzecim wykładzie zapał, zachwyt. Krasiński pisze do Sołtana: „Szkoda, żeś nie słyszał, serceby ci podskoczyło“. Opowiadano, że stary ks. Adam zemdlał ze wzruszenia, co nieprawda. Januszkiewicz nie posiada się z uniesienia, i zaraz nazajutrz, 19 lutego, stara się żonie dać wyobrażenie o tym wykładzie, streścić go:

„Wczorajsza lekcya Klaczki sięgała *du sublime,* tak był genialny, tak artystowski w wykładzie pieśni Bogarodzica i Legionów. Otośmy z końcem XVIII wieku zginęli haniebnie, niesławnie, Legiony honor nasz ocaliły, dawne męstwo Polaków napowrót światu pokazały. Nie bito się za ojczyznę, tylko za honor, w pieśni o ojczyźnie niema ani słowa“.

„Co Mickiewicz przyniósł do nowej epoki? Naprzód religijność. U niego niema śladów żalu nad utratą naszej dawnej potęgi, znaczenia. Polska nie zachowała nic z czasów

[1]) F. Hoesick: *Julian Klaczko,* str. 111.

pogańskich. Równo z pierwszym królem, co wzrok przy chrzcie odzyskał, ona przejrzała i jako chrześciańska żyć poczęła. Myśmy nie mieli Izajasza, coby nas o błędach ostrzegał, mieliśmy Jeremiaszów (Niemcewicz, Woronicz), co płakali nad zburzoną Jerozolimą. Mickiewicz jest Ezechielem, co widzi przyszłą Jerozolimę, do niej tęskni, do niej przez Boga dąży. Pokolenie nowe wyszło z ducha Mickiewicza, i dziś, jak u niego w pieśni i wszędzie, ojczyzna jest wszystkiem, tak i ono nie żyje w expektatywie, że kiedyś może walczyć samo, ale każdej chwili, w każdem zatrudnieniu, szuka, jakby jej służyć".

„Kiedy po półtoragodzinnej improwizacyi przyszedł do określenia ojczyzny, tchu mu zabrakło, oczy zaszły łzami, głowa schyliła się i prawie opadła na biuro przed którem stał, i dopiero po kilkunastu sekundach powstał, powiedział: Przepraszam, i odszedł".

„Wielki to geniusz artystowski. Jak on to wszystko ślicznie wyłożył, ułożył w całość! tak pełną, okrągłą, że wszystko toczyło się jak wody w korycie rzeki. Obrazy nie wyszukane, a pełne barw tęczy. Jednem słowem, wszyscy a wszyscy znaleźli go mistrzowskim".

Streszczenie oczywiście dokładnem nie jest. Pisane z pamięci, opuściło widocznie nie jedno przejście i połączenie konieczne. Naprzykład: jeżeli Klaczko zaczął od Bogarodzicy, to nie mógł od niej przeskoczyć do Legionów, musiał je jakoś logicznie naprowadzić. Podobnie między Legionami a pytaniem, co Mickiewicz przyniósł, musiało być jakieś ogniwo łączące. Może i nie wszystko zapamiętane i zapisane wiernie. Czy to Januszkiewicz się pomylił, czy się pomylił sam Klaczko, tam, gdzie jest mowa o Legionach, że „biły się tylko za honor, a w ich pieśni o ojczyźnie niema ani słowa". Pomyłka gruba: biedna pieśń upomina się o siebie i przypomina, że „dla ojczyzny ratowania przedrzem się przez morze" i że „co nam obca moc wydarła mocą odbierzemy". W każdym razie jedyne to streszczenie, jedyny przechowany ślad tego wykładu. Ostatni odbył się 24 marca; ale choć był ostatnim z zapowiedzianych, to przedmiotu nie wyczer-

pywał. Januszkiewicz pisze do żony, że Klaczko doszedł zaledwo do r. 1831 (zapewne do Trzeciej Części *Dziadów?*), i że chyba po jakimś czasie zapowie ciąg dalszy i dokończy.

Oprócz tego przechowanego w listach prywatnych, jest i drugi ślad tych wykładów.

Wrotnowski, w dzienniku cytowanym przez Władysława Mickiewicza w *Żywocie* Adama Mickiewicza (str. 486, 487) zarzuca Klaczce z goryczą, że w czwartym wykładzie źle zrozumiał i źle tłómaczył Mickiewicza. „W lekcyi widoczne były dwa prądy działające na potok wymowy, na fale wzruszeń nerwowych: własna dobra skłonność i wpływ obcy, doktrynerski, świętoszkowski". Wrotnowski, Towiańczyk, nie mógł zgodzić się z Klaczką, kiedy ten mówiąc o Messyanizmie, nie przyznawał Mickiewiczowi słuszności. „Wziął na siebie oskarżenie i rozgrzeszenie Adama; pozwolił sobie tajemnice rodzinne z papierów pośmiertnych rzucić na pastwę publiczności. List męża do żony, list obłąkanej, wystarczył mu, aby ten zbiór korespondencyj poufnych nazwać archiwum ciemności, ministerstwa szatańskiego". O innych lekcyach mówi Wrotnowski bardzo mało. O jakim liście Mickiewicza i jego żony mówi, dojść nie można, ale można przypuszczać, że jeżeli nawet dobrze zapamiętał słowa takie, jak „archiwum ciemności i ministerstwo szatańskie", to w swojem oburzeniu źle zrozumiał i mimowolnie przekręcił zamiar i znaczenie wykładu. Mógł Klaczko ubolewać nad towianizmem Mickiewicza, ale nie mógł ani w myśli, ani w słowie uchybić czci, jaka mu się należy. Całe jego życie, wszystko, co mówił i pisał, dowodzi, jakie były jego dla Mickiewicza uczucia.

Ale czy te wzmianki w listach cudzych są wszystkiem, co po tych wykładach pozostało? Wspomnieliśmy wyżej, że w papierach Klaczki znalazło się coś jak plan, czy szkic tych wykładów. Prawdopodobnie zapisał te kartki przygotowując się, a miał je przy sobie mówiąc. Ale całe rozwinięcie myśli i cały jej blask, pozostawił improwizacyi. Oto, co z tych zapisków mniej więcej wnosić i złożyć można.

Siedm wykładów, siedm kartek, oznaczonych porządkowemi numerami. Ale numeru trzeciego brak; za to dwa

razy powtarza się numer drugi, a treść zapisków na tych dwóch kartkach bardzo podobna. Zapiski tak krótkie i skąpe, samo pismo tak drobne i niewyraźne, że często dojść trudno, co Klaczko myślał, co chciał powiedzieć. Jednak spróbujmy, w przybliżeniu, nie ręcząc za trafność, złożyć ciąg i następstwo myśli w tych wykładach.

Zaczął Klaczko od trudności swego przedsięwzięcia. „Nawet gdybym grzmiącemi słowy... Język kłamie głosowi". Zapewne i „głos myśli kłamie", czyli nie może jej dorównać, nadążyć wypowiedzieć tego, co ona w sobie mieści. „Mówić o mężu, którego pamięć tak świeża, kiedy w jego dziełach jeszcze drga jego dusza, drży serce do nieba związane" (serce Mickiewicza). Kończył się ten wstęp cytacyą z *Dziadów,* o tym kamieniu, z którego „gdyby gorzka łza nie ciekła, byłby wart być rzuconym do piekła".

Po tym wstępie mówił o związku poezyi z życiem, poezyi polskiej. Każdy żołnierz poetą, a pieśń, to skarbiec życia, dzielności. (Jak się z tem mógł łączyć Ogród Dantejski i Madonna Rafalela? zapisane są na tem miejscu, musiały służyć do jakiegoś porównania, do jakiejś illustracyi). Charakter poezyi polskiej jest wyłączny, bynajmniej nie grecki. I Bóg chrześciański inny jak grecki, i prócz tego „lampa szczęścia zgasła i swym dymem całą twarz zaćmiła".

Historya takiej poezyi jest trudna, bo jest tajna. Konrada *Pieśń zemsty* i *Improwizacya* rodzą się w tych dołach kryjomych, o których mówi wiersz do *Matki Polki.* W poezyach innych narodów mogą brzmieć słodkie melodyjne dźwięki, w naszej jęki konających; inni mogą chodzić po rozkosznej dolinie Tempe, my po sybirskich śniegach, a na własnej ziemi „żelazem oraczem trącamy o kości". Dlatego ta poezya tak różna od wszystkich, dlatego tak trudno o niej mówić. A dopieroż mówić o tym poecie, co chciał swój naród „dźwignąć, uszczęśliwić".

Przystępował do niego wreszcie. Rodzice, ich pobożność; dziecko ofiarowane od płaczącej matki pod opiekę Najświętszej Panny. Nowogródek: jakieś dziwne ognisko miłości ojczyzny, rodzinna strona Reytana, Korsaka, Kościuszki blisko.

Wzmianka o szkołach i przyjaciołach. Skromny dostatek, raczej ubóstwo, przez całe życie z godnością znoszone. Tu było jakieś porównanie z „ubóstwem“ Lamartine'a i zapewne z jego skargami, i wniosek, że Mickiewicz miał wspaniałą królewską naturę, *every inch a king.*

Co na niego działało, co się stało tłem jego duszy i jego natchnień? Czas od r. 1806 do r. 1812. Ten czas rzucił w jego duszę ziarna patryotyzmu, religijności i czci Napoleona. Był to czas przejścia, przełomu. W takim przyszedł i Homer, i Dante, i Szekspir.

Po wzmiance o Barze i o powstaniu Kościuszki, Legiony, expiacya niby, zadość uczynienie za dawne zamknięcie się w sobie. W Legionach jest razem poezya i czyn; a zmienia się w tym czasie sama miłość ojczyzny w nas. Inaczej ją czcił i wyrażał Kochanowski, Krasicki wyrażał źle. Jego „Święta miłości“ to najlepsza z jego bajek, mówi Słowacki. Teraz poczyna się ton inny. Odkupienie, honor, miłość ojczyzny, wiara.

Przez Legiony, przez wojny napoleońskie, odzyskanie honoru: rdza starta z narodu i jego sławy. Ale to jeszcze nie wszystko, nie dosyć. Porównajmy starą pieśń rycerską *Boga Rodzicę* i pieśń Legionów *Jeszcze Polska.* W tamtej jest charakter religijny, w tej tylko żołnierski. Polski świat oświecony był honorowy, a nie dość narodowy; jego literatura była polerowna, ale nie ludowa. Żywiołu religijnego brak. U Andrzeja Brodzińskiego są jego pierwiastki. Mickiewicz pierwszy obudził w nas żywioł narodowy, potem żywioł religijny.

Tak, na podstawie zapiski, wyobrazilibyśmy sobie treść pierwszego odczytu Klaczki. Jeżeli nie powiedział nic więcej nad to, co zanotował, to nie można mu oszczędzić niektórych uwag: tej naprzykład, że mówiąc o pierwiastku religijnym, twierdząc, że Mickiewicz pierwszy go obudził, a w nieznaczącym Andrzeju Brodzińskim widząc jego znaki czy zarody, zapomina o Woroniczu, w którym jest duch i pierwiastek religijny nietylko wyraźny i silny, ale złączony z myślą expiacyi i z myślą przyszłości. Wyższe klasy u nas były po-

dług niego honorowe, ale nie narodowe? A Sejm Czteroletni, i miłość ojczyzny za niego podniesiona tak wysoko? a wszystko, co ludzie ówcześni potem robili albo znosili, czy to nie było narodowe, nie z uczuć narodu płynęło, a do jego podniesienia dążyło? Zdziwiłby się bardzo, i słusznie, Niemcewicz i Ignacy Potocki, Staszic i Czacki, ks. Józef i Dąbrowski, gdyby usłyszeli, że w nich nie było narodowego pierwiastku i charakteru.

Następują dwie kartki, oznaczone liczbą II. Na obu znajduje się przypomnienie czy streszczenie pierwszego wykładu, pytanie, co „Mickiewicz dał czasowi“, zestawienie *Boga Rodzicy* i *Pieśni* Dąbrowskiego, twierdzenie, że w Legionach, w ks. Józefie, popędem głównym był honor, że „wyższe klasy były honorowe, ale nie narodowe“, że Mickiewicz pierwszy wprowadził i wyraził żywioł religijny. Ale różnic jest więcej. Jedna z rzeczonych kartek zaczyna się od słów: „Św. Dysputa. Wymiar Opatrzności. Homer. Virgili. Tasso. Ariosto. Szekspir. Adam. Bar i Kościuszko“. Jak się to łączyło? Musiało być jakieś porównanie, jakieś rozróżnienie pierwiastków między tymi poetami; ale co mogło być przejściem do nich od Baru i od Kościuszki? Któż dojdzie! Widocznie była dalej charakterystyka konfederacyi Barskiej i Kościuszkowskiego powstania: tamta była szlachecką, to było ludowem. Dalej: „Szlachta i lud u Adama, Zygmunta, Słow...(ackiego)“ W nawiasie: „Demagogia“.

Słowa „Nasze odkupienie: honor, miłość ojczyzny, wiara“, pozwalają się domyślać, że to odkupienie szło podług niego stopniowo. Pierwszem było odzyskanie honoru (przez Legiony i późniejsze wojny). Odzyskanie miłości ojczyzny, i odzyskanie uczucia religijnego, w zupełności dokonały się później, przez Mickiewicza. Powtarza tu Klaczko to, co powiedział w pierwszym wykładzie, że Mickiewicz pierwszy obudził „żywioł narodowy“, a po nim żywioł religijny. Zapisuje w tem miejscu dwa tytuły: *Księgi Szczęsnowe (Biblia Targowicka* Niemcewicza) i *Księgi Pielgrzymstwa.* Czy pierwsze miały dowodzić braku, a drugie odrodzenia ducha religijnego? Jeżeli taka była myśl Klaczki,

to była mylna. Nie można porównywać dwóch rzeczy, których cel, charakter, istota, były zupełnie inne. Niemcewicz napisał srogi pamflet, i nic innego pisać nie myślał. Mickiewicza *Księgi Pielgrzymstwa* miały być katechizmem a nieledwie ewangeliczną nauką. Rzecz prosta, że w tem dziele był pierwiastek religijny, a w tamtem być go nie mogło, nawet gdyby go było najwięcej w ówczesnem społeczeństwie i w duszy autora.

Na końcu kartki zapisany wiersz z *Przedświtu*, „My zabitej matki dzieci“, był może przeznaczony na zamknięcie tego wykładu. Po nich zaś jedno jeszcze słowo: *Irydyon*. Jak się łączył z tem, co go poprzedzało? Jakiej myśli służył za objaśnienie? Sam Klaczko może po latach nie byłby potrafił przypomnieć sobie i wytłómaczyć.

Powtarza się jeszcze to co było, honor odzyskany, rdza starta z narodu w bojach, odpłacenie za dawne zasklepienie się w sobie; przez Legiony sprawa polska łączy się z innemi, staje się uniwersalną; ale z tego wysnuwa się dalszy i nowy wątek myśli. Dwie pieśni stoją przy kolebce naszego wystąpienia w dziejach, i przy kolebce naszego odrodzenia: *Boga Rodzica* i *Jeszcze Polska*. Pierwsza wyłącznie i na wskróś chrześciańska. Jak ślepy Mieszko przy postrzyżynach, tak jego naród przewidział przyjąwszy chrzest. To jego o w i d n i e n i e. Przed chrześciaństwem on żył biernie, wegetacyjnie; życie prawdziwe zaczęło się z chrześciaństwem. Przy odrodzeniu, jak niegdyś przy tem przewidzeniu, taka pieśń, inna, zrazu świecka tylko i żołnierska; ale im dalej, tem szerzej rozlewa się uczucie narodowe, wszystko przejmuje i przenika, jest we wszystkich objawach życia. To nam nadaje wartość w oczach własnych, podnosi nas. Patryotyzm jest we wszystkiem, a wszystko w patryotyzmie. To już nie honor, nie prawo; nie o to chodzi, ale o życie, zbawienie, i to jest życiem i zbawieniem, z których koncesyj być nie może, koncesyj robić nie można. „Czyśmy z tego pierwiastka wyciągnęli wszystkie konsekwencye“?

Ale w geniuszu mogą się łączyć extremy (zapewne w geniuszu Mickiewicza). On wprowadza patryotyzm we

wszystko, a razem wynosi go nad wszystko, robi go spirytualnym: „Spirytualizowanie ojczyzny. Izajasz. Jeremiasz. Ezechiel“. W *Bezimiennym poecie* mówi Klaczko, że nie mieliśmy Izajaszów i Jeremiaszów, ale mieliśmy Ezechielów i ich widzenia niebiańskiej Jerozolimy. Można się domyślać, że Mickiewicz był tu wskazany jako taki Ezechiel.

I jeszcze raz o religijności, o nowej generacyi „dzieci zabitej matki“, a w zakończeniu nadzieja, że w przyszłości zejdzie się *Pieśń* Dąbrowskiego z pieśnią *Boga Rodzicy*, a w poczet wyznawców wliczone będzie imię Adama, który pierwszy i najwyższy obudził ducha narodowego i religijnego, „rozumne gromowładne czoło zgiął przed Panem“.

„Spirytualizowanie ojczyzny“, Ezechiel i jego widzenie, to było może przygotowanie i przejście do mistycyzmu Mickiewicza, bo w następnej kartce (IV) jest on zaznaczony wyraźnie. Religijność przesiąkła nasze uczucie narodowe; przemieniła Mickiewicza i jego kreacye; Konrad i Robak przytoczeni, zapewne jako przykłady. Ale przeciwstawień takich jest więcej, różnice dają się widzieć w ludziach, w historyach, w cywilizacyi; za Konradem i Robakiem bowiem idzie „Mikolaj i Adam, Piast i Św. Włodzimierz, Wschód i Zachód, Polska i Bóg“. Z tych zestawień i przeciwstawień musiał wychodzić zwrot do niebezpieczeństw kierunku religijnego, kiedy ten staje się mistycznym. Stoi bowiem zapisane „n i e b e z p i e c z e ń s t w o, s y m b o l d o g m a t u“. „Chrystus“ (ukrzyżowany), „bez winy i z własnej woli. Nie tak Polska. Pokora i praca, a nie pycha i bezczynność. Lud wybrany. Mistycyzm. Towiańszczyzna. Doświadczenie wieków, i obawa. Nauka objawiona: ale nie tak z ludźmi“.

Dalej było zapewne tłómaczenie, jakim sposobem psychologicznie Mickiewicz doszedł do mistycyzmu. Tłómaczenie przez nadmiar cierpienia. Są bowiem zapisane, z różnych jego lat, wyrazy i wybuchy boleści, i przypomniany jest Job, z pytaniem, czemu sprawiedliwy cierpi. Musiał Klaczko tłómaczyć i przyznawać zboczenie Mickiewicza w mistycyzm i towianizm, bo po tych zapiskach w nowym osobnym wierszu robi zwrot taki:

„Ale dusza zawsze wolna, królewska, *every inch*".

Wyobrażam sobie (nie wiem czy słusznie), że aż dotąd to był niby wstęp, postawiony z góry ogólny rys postaci Mickiewicza, jego znaczenia i wpływu na tle czasu, że zaś odtąd, dalej, miały nastąpić szczegóły, jego życie i jego dzieła. Teraz bowiem przychodzi Litwa, i Mickiewicz w niej.

Wzmianka o niewiastach, co ochrzciły Koronę i Litwę, Dąbrówce, Jadwidze, a potem różnica usposobień i charakteru. Polska mogła być na pochyłości kosmopolitycznej, Litwa miała konserwatyzm słowiański. „Żywioły ruskie w literaturze XVI wieku. Wiek XVIII. Reytan, Korsak, Kościuszko. Czartoryski i Czacki. Uniwersytet wileński. Odrodzenie literatury". „Oratorski charakter Polski, poetyczny ziem litewskich i ruskich. Skarga, Cieszkowski, Zygmunt Krasiński. Muzyczność języka. Muzykalne usposobienie Jagiellonów. Tęskna, rzewna, mistyczna żałość żywiołu ruskiego; wesołość, rzewność, rubaszność polska. Wpływ tamtych tak w XVI, jak w XIX wieku. Mistycyzm Towiańskiego i Litwa".

„Inne części Polski i Litwa. *Familia* (Czartoryskich) i jej wpływ na oświatę. Czartoryski, Czacki, Kołłątaj, Śniadecki. Uniwersytet. Jezuici i odrodzenie. Organiczny rozwój uniwersytetu. Dwa kierunki: ścisły i moralny. Śniadeccy i przeciwnicy. Słowo Nowosilcowa. (Jakie?)".

„Lelewel. Dwoisty charakter, jako badacz i profesor. Ujemność pierwszego. Budowanie ruin, cofanie historyozofii. Dodatność drugiego. Idea, postęp, zapał, wolność, głębsze powinowactwo, źródłowość, pierwotność, rodzimość. *Oda do Lelewela*.

„Gołuchowski. Wymowa improwizowana. Poetyczność systemu Schellinga. Inni. Groddek. Onacewicz, Borowski".

„Dygresya o matematycznem i humanitarnem wychowaniu". Zdaje się, że pierwsze ułatwiało zdaniem Klaczki kierunek kosmopolityczny, bo kończy tę dygresyę słowami: „Rosya wiedziała w co uderzyć, Nowosilcow uderzył w Lelewela, Gołuchowskiego, Borowskiego".

„Związki. Szubrawcy. Gurko (? jaki?)"

„Rok 1820. Zan. Jego listy. Promieniści. Wyrwicz. Ks. Adam. Filareci i Filomaci. Nauka, pomoc, moralność, poznanie kraju. Pieśni Filaretów“.

„Terroryzm. Więzienie. Rollison. Poświęcenie Zana. Wywiezienie“.

„Kara boża. Ławryn. Becu. Bajkow. Zaślepienie despotyzmu. Ukaz z 14 sierpnia 1824 r. *Bezrozumna narodowość polska.* Adam wywieziony. Zostanie poezya“.

Jedyna to z tych kartek, która się dała prawie dokładnie przepisać.

Następna (VI) ma treść prawie zupełnie tę samą, z pewnym jednak dodatkiem: *„Miłość.* Późniejsze miłości Adama *(Danaidy,* nie kupić *Muzy).* Pierwsza miłość. Maryla. Jej listy. Charakter rodzimy tej miłości. Zerwanie. Po miłości. Młodość i młodzież. Nosił w swem łonie cały świat ojczysty, i cały świat poezyi. Ramię do ramienia. Młodzież, praca, moralność, miłość kraju, zapał. Obecna młodzież. *Chwila, Marzenie“.*

W zakończeniu, w ostatnim wykładzie, musiał naturalnie być powrót do założenia, przypomnienie myśli przewodniej, a potem jej ostateczne dowodzenie i wniosek. Jest tu więc ten związek poezyi z życiem, który był na początku, a dalej jest ten związek ukazany jako nowy element w poezyi świata. Trzy oddzielone od siebie, liczbami odróżnione ustępy. Pierwszy, najkrótszy zapewne, ma treść tak oznaczoną: „Narodowość. *Tadeusz. Grażyna.* Ludowość. Materyał. *Dziady I.* Homer. Dante. Polityka i poezya. *„Bo lud sam“*...

W drugim ustępie: „Poezya powiązana z życiem. To nie artyzm. Każda pieśń czynem. *Oda, Wallenrod, Matka Polka, Księgi Pielgrzymstwa, Tadeusz.* Mickiewicz „czuł, czuwał, przeczuwał, wyprzedzał“. „Wyprzedzenie czasu: chrom (czy chromanie?) na myśli pytyjskie wyrocznie. Wszakże antycypacya poetyczna“ (to) „Fenomen naturalny i moralny świata. *Wallenrod.* Pobyt w Rosyi. (*Do przyjaciół Moskali).* Halban przebrany do przebranych Alfów. Stałość Wallenrodyzmu. *Dolus an virtus?* Wiersz do *Matki Polki.* Martyrologia polska. Nietylko przepowiedzenie bliższych zdarzeń, ale

i wskazanie dalszego rozwoju. *Księgi Pielgrzymstwa. Pan Tadeusz. Aristia i Nostos*".

Ostatni ustęp: „Nowy żywioł w poezyi świata. *Dziady* jako uniwersalny poemat. *Faust. Manfred.* Tytanizm, i jego kształcenie się w sztuce. Wiek XVIII. Don Juan, tytanizm życia. Wyzwanie zaświata do uczty. Arya Szamp (czy szampańska? zapewne *Fin ch'han dal vino?*) i duet Zerliny. Sensualizm XVIII wieku. Przebranie się Don Juana i Leporella. Leporello i Rousseau" (?).

„Faust. Tytanizm wiedzy. Spekulacya. Odmłodzenie. Logos. Siła. Czyn. Klątwa cierpliwości. Jeśli spocznie, przepadnie".

„Manfred. Tytanizm bólu. Rozczarowanie, brak rezygnacyi: ból. Drzewo wiedzy, nie życia. Rozpadłe trony i nowe tyranie. Opanowanie natury, a jednak wiedza tylko sam(a?). Chciał przyswoić, oświecać, ale siebie hamować nie umiał. Zabił najdroższe istoty. Chce zostać grob — (czy grobem? albo w grobie?) — by sobie nie zdać sprawy z czynności. A jednak dumny, i wielu się czuje w tym bólu: przed nim zgina kolana, i modły odpycha".

„Konrad, i tytanizm miłości. Nie życie, nie wiedza, nie ból: ale „Moc której ludzie nie nadadzą: uczucie. Uczucie spali czego myśl nie złamie. Poeta. Uczucie. Więcej niż kochać wolno".

„Leporello. Mefistofeles. Duchy Manfreda. Jeden Konrad ma anioła stróża".

O tej kwestyi tytanizmu rozmyślał Klaczko wiele. Między jego papierami jest osobny zwitek z napisem: *Tytanizm.* W nim zapiski bardzo luźne niestety, bardzo rzucane tylko a nie rozwinięte, o *Prometeuszu* Eschyla, i cały arkusz o *Fauście* i *Manfredzie.* Ten napisany, wykończony, tak, że mógłby iść do druku; ale nie dokończony, przerwany. Jest w nim mowa i o *Don Juanie* także (*Don Juanie* Mozarta, nie Moliera) — jako o typie tytanizmu życia, tytanizmu używania.

„Poezya przyszłości. Proza. Poezya tylko w cierpieniu, a twórczość tylko w miłości. Przeprowadzenie tej myśli w *Irydyonie,* w *Przedświcie,* w *Psalmach. Psalm dobrej woli*

ostatnie słowo Wszystko od naszej dobrej woli zależy, bo wszystko nam dali, co dać mogli poeci. *Grażyna, Wallenrod, Matka Polka, Księgi Pielgrzymstwa. Pan Tadeusz.* Robak". *„Boga Rodzica.* Spójrz na nią Panie" [1]). Poezya czynu".

„On sądów twoich nie chodził badać jako ciekawy
Nie dla mądrości ludzkiej on badał, ani dla sławy.
On szanował imię najświętszej Twej Rodzicielki
On kochał naród, on kochał wiele, on kochał wielu
Felix culpa".

I jeszcze raz:

„Spojrz na nią Panie jak z tych duchów rzeszą..."

Oto więc treść tych wykładów Klaczki o Mickiewiczu, z których zostało tylko wspomnienie. To jest w każdym razie ślad, choć bardzo niewyraźny, niepewny. Musiał Klaczko mówić to co sobie zapisał, ale czy wszystko to, czy nic nie wyrzucał, czy nic nie dodawał? czy w takim porządku i następstwie? Liczbowane kartki są niezaprzeczenie wskazówką, ale nie są dowodem: w mówieniu mógł on ten porządek zmieniać, nawet zapewne zmieniać musiał, bo trudno przypuścić, żeby był tak długo i obszernie to samo po parę razy powtarzał. Czasem nawet zdaje się, że związek materyi byłby lepszy, logiczniejszy, bliższy, gdyby następstwo cokolwiek przestawić. Ale te zapiski to smutna ruina, smutny szczątek budowy niezawodnie wspaniałej; i czuje się niemal żal do Klaczki, że zrobił tylko szkic dla samego siebie, a nie zrobił dla nas jakiegoś Mickiewicza. Choćby ogólnikowy, pobieżny, taki rys przez Klaczkę zrobiony byłby zapewne najświetniejszym jaki mamy wizerunkiem poety, najgłębszem jego zbadaniem i wytłómaczeniem. Z tych suchych notat bije zapał: one dają czuć, jak mowca miłował i jak podziwiał swój

---

[1]) Na innej kartce cały ten ustęp z *Psalmu dobrej woli* przepisany, musiał zapewne być przeczytanym na zakończenie wykładów.

przedmiot. One dają także poznać, jak go wziął głęboko, badawczo. Uniesienia i zachwytu, wiary w przyszłość, tak wiele, że nam zawiedzionym zostaje wrażenie smutku, i zazdrości. Ale w tej wierze, w tej czci, w tej miłości Mickiewicza i poezyi jest nietylko dobra wiara mówiącego, prawda jego uczucia, ale jest prawda i nas, prawda stała, prawda uczuć polskich, która zostać powinna pomimo zawodów i zaprzeczeń. A ileż dopiero mogło być uwag, spostrzeżeń, odkryć, których my z jednego słowa rozpoznać nie możemy, a mogły w nich być myśli genialne, źródło myśli i wiadomości dla drugich. Kiedy widzimy zapisane imiona Homera, Dantego, Szekspira, Tassa i Mickiewicza, nie możemy z nich nic wydobyć, nic się dowiedzieć. Ale w mowie musiało być ich zestawienie, charakterystyka, różnica ich twórczości. Albo ten przed zakończeniem ustęp o tytanizmie! Co za temat do porównania Fausta, Manfreda, i Konrada, i co za temat wspaniały do osobnej, do wielkiej rozprawy! Takiej w jednym wykładzie być nie mogło, ale wiele mogło być światła, rzuconego na te poemata i na tych poetów!

A dopieroż czar, blask, słowa i stylu! Klaczko podniecony, rozgrzany w uczuciu, Klaczko mówiący w uniesieniu, głosem, akcentem, podkreślający i podnoszący każdy ton swego uczucia, każdy niespodziany zwrot czy odcień swojej myśli. Kto słyszał jego mowy z czasów wojny francuskiej, polską we Lwowie, niemieckie w Wiedniu, ten wie, ile mowca sam dodawał siły swoim słowom; w druku słowa są te same, ale nie drga w nich ten głos smutny, nie grzmi głos gniewny. Kiedy mówił o Mickiewiczu, mówił z pewnością w wielkiem podniesieniu uczucia, i musiał sam potęgować wrażenie tego co mówił.

Nie przeczymy, że o ile z zapisków wnosić można, wykłady miały i pewne strony słabsze. Miał Klaczko upodobanie i zwyczaj silnie oznaczonych zestawień albo przeciwieństw. Czasem znowu uderzony jednym charakterystycznym rysem człowieka czy dzieła, stawiał ten rys w świetle bardzo jasnem, a inne zostawiał w cieniu. Tak tu podniósł pierwiastek czy motyw honoru w ostatnich latach XVIII i pierw-

szych XIX wieku, a na inne nie zwrócił dość uwagi. Zestawienie *Boga Rodzicy* i *Jeszcze Polska* dało się z pewnością pięknie przeprowadzić i szczęśliwie użyć, ale trudniej dawało się uzasadnić; wyobraźnia mogła te obie pieśni do siebie zbliżać, rzeczywistość zbliżenia nie wskazywała. Ale w czemkolwiek, i jakkolwiek, mógł się mylić, wpadać w złudzenie, w przesadę, albo w zbyt dowolne kojarzenie rzeczy, odżałować nigdy nie można, że tych wykładów nie spisał, bo przez to pozbawił nas pracy o Mickiewiczu, zapewne tak najświetniejszej, jak najświetniejszą jest jego wydana praca o Krasińskim.

II.

List o sobie i o innych. Mowa Mierosławskiego. *Katechizm Nie-Rycerski.*

Wykłady mogły oderwać Klaczkę od *Wiadomości Polskich,* ale tylko w pierwszym kwartale r. 1858, a tymczasem przez cały rok nie pisze do nich prawie nic. Dlaczego? Nie z powodu tych wykładów przecie. Nie, jest powód inny: jakieś nieporozumienie między nim a innymi redaktorami pisma. O co? jakie? Niewiedzieć; ale jakieś zaszło. Andrzej Koźmian, który w jesieni tego roku osiadł w Paryżu (już na resztę swego życia) pisze do dzieci w październiku, że „Klaczko porzucił *Wiadomości*". W innym liście: „*Wiadomości* spodziewają się, że Klaczko się do nich nawróci". Stanowcze potwierdzenie znajduje się w liście samego Klaczki do Ludwika Kastorego: „Obiecałem pisywać. Nie tak często wprawdzie, jak dawniej, ani z całą odpowiedzialnością redakcyjną, ale stosownie do ochoty i potrzeby". Słowa te stwierdzają fakt, ale nie objaśniają jego powodów. Nieporozumienie jednak nie było zapewne bardzo głębokie, jego powód nie bardzo ważny, skoro zaraz w następnym roku Klaczko będzie pisywał do *Wiadomości* często i dużo. Pomieniony zaś list do Kastorego wskazuje, że Kalinka nie był objęty tem nieporozumieniem, bo Klaczko wyraża się o nim bardzo serdecznie. Ale prócz niego, któż mógł znaczyć w redakcyi pisma? Wrotnowski? Nie dość na to, by aż Klaczko z jego powodu miał ustępować. Czy więc jakie poróżnienie z Czartoryskimi? Być może,

ale pewności niema, i nie wiele na niej zależy, rzecz obojętna, fakt drobny.

Wspomniany list jest ciekawy. Kastory bawił w Krakowie, gdzie jego wychowaniec, młodziutki ks. Marcelli Czartoryski chodził na wykłady uniwersyteckie. Klaczko pisze list, bez daty, ale treść wskazuje niewątpliwie grudzień r. 1858, list bardzo długi, donoszący o ludziach i rzeczach. Zaczyna się od pociechy danej przyjacielowi, przynajmniej od zamiaru pociechy, a właściwie od wyrazu własnego gnębiącego cierpienia.

„Nie mam nadziei, ani nawet roszczenia, że Tobie jakąbądź przyniosę ulgę; ale zdawało mi się, że wiadomości udzielane Ci o miejscu i osobach, które Cię tak długo znały, rozerwą Cię na chwilę i przyczynią się może do utrzymania stosunków niegdyś wszystkim tak drogich. Ludzie zazwyczaj tak mało mają nietylko współczucia, ale nawet i wyrozumienia dla cierpień nie ekonomicznych i nie statystycznych, dla bólów, których jakąś widoczną i namacalną stratą usprawiedliwić nie można! A jednak mnie się zdaje, że cierpienie jest zupełnie takim wrodzonym a (fatalnym) darem ducha, jak natchnienie, jak geniusz i t. p. Jedni się rodzą z sercem wciąż krwawiącem się, jak drudzy z wyobraźnią wciąż płodną, lub muzycznem usposobieniem, lub bohaterskim instynktem. Ale świat tego nie uznaje — i słusznie — bo słabość nie powinna mieć praw obywatelskich i tylko siła daje życie. Dla tych, nad których kolebką Lilith wyrzekła swoje zaklęcie, pozostało tylko konanie bez śmierci, a jedynym ich rozumem, który zarazem najwyższą jest ich cnotą, jest milczenie! A biada temu, kto milczeć nie umiał, lub się tego za późno nauczył! A biada temu, kto ręce do innych wyciągnął, zamiast je ściskać w pięści na własnej pękającej piersi! Straci on jedyny skarb, który posiadał na tej ziemi — godność swego bólu; jeśli zły i głupi, znienawidzi wówczas ludzi, jeśli uczciwy, wzgardzi tylko samym sobą. Trzeba być jak pająk milczący — powiedział nasz Brodziński! Tak jest, jak pająk — i dla własnej strawy a drugich zabawy, snuć z siebie te nici, które poprostu są Twemi wnętrznościami“...

„Ale dajmy pokój tej smutnej autopsyi i nie bądźmy jak te dewotki salonu i dorywcze Magdaleny, które wyspowiadawszy się ze swoich grzechów, znajdują obłudną lubieżność w ich przypomnieniu i akt skruchy zamieniają w akt rozkoszy".

Dalej o paryskich przyjaciołach i znajomych. „Leon (Kapliński, wracający w tym czasie z Galicyi do Paryża) opowiadał mi o dobrym wpływie *Wiadomości,* co też i twoje listy do Horacego (Delaroche) potwierdzają. Tak w skutek tego, jak i dla dodania animuszu Leonowi, obiecałem do nich pisywać. Nie tak często wprawdzie, jak dawniej, ani też z całą odpowiedzialnością redakcyjną, ale stosownie do ochoty i potrzeby. Leon do stałej kollaboracyi się zobowiązał, która się z nowym rokiem rozpocznie. Cieszy mnie to mocno; ale nie zataję przed tobą moich obaw. Leon jest jeszcze artystyczniejszy i drażliwszy odemnie. Ogląda się zawsze na to, co gotowi powiedzieć, na przygryzki i przekąsy jest niesłychanie czuły. Boję się, żeby biedny Walery za to wszystko nie pokutował i nie musiał odpowiadać za cudze niesmaki. Biedny ten męczennik dobrej sprawy, dla którego wszyscy bez wyjątku są niesprawiedliwi, przeczuwa szpilkowe kłucia i gorzkie sarkazmy, które go z tej strony czekają; mimo to z radością przyjął i ten krzyż na siebie".

„Aby pozostać *in publicis,* powiem Ci, że Towarzystwo św. Wincentego dobrze się rozwija. Horacy po Walerym najczynniejszym jest członkiem. Wydawnictwo (t. j. Walery — przecież on biedak za wszystkich pracować musi) skończyło Radziwiłła; pod wielu względami niezmiernie to ciekawa publikacya; zdam o niej obszerną sprawę w *Wiadomościach.* W przyszłym roku wyjdą *Relacye posłów* (2 tomy), *Żywot Niemcewicza* przez ks. Adama, a może i spis Archiwum Koronnego. Wielki także atlas Chrzanowskiego (podobnież za staraniem Wydawnictwa) już ukończony. Prawdopodobnie układ z Wolffem stanie, a wtedy wydamy (ja i Eustachy) *Pisma* Adama w 8 tomach in 8-o, i to w przeciągu jednego roku. Henriquel-Dupont zrobi sztych Adama. Stary Książę wrócił w tym tygodniu z Poznańskiego. Zamoyski

chory w Anglii. Bardzo pragnę jego powrotu. Od kilku miesięcy słyszę wciąż tylko (od Gałęzowskiego), że Zamoyski jest zgubą kraju; jak przyjedzie Zamoyski, posłyszę naprzemian, że najniebezpieczniejszym człowiekiem dla Polski jest Gałęzowski. Będzie to w każdym razie dywersyą w mojej monotonności. W szkole Batignolskiej wszystko po staremu, tylko że ja tam dwa razy na tydzień wykładam podobno literaturę, dzieciom nie na pożytek, ale na pociechę Gałęzowskiemu".

„Partya Mierosławskiego także się ze swojej strony wzięła do literatury, a głównym jej filarem w tej sferze jest Zienkowicz (Pszonka). Założył jakąś księgarnię słowiańską (ale ona da Bóg, nie przyniesie szkody naszemu poczciwemu Karolowi), ogłosił prospekt na *Żywoty męczenników polskich* nowej generacyi ze sztychami, a w końcu rozpoczął w znanej ci sali na Quai Malaquais kurs literatury polskiej od Stanisława Augusta aż do najnowszych czasów, po polsku. Lekcyj będzie 12, co niedziela, o godzinie 8-ej wieczór. Pierwsza miała miejsce przeszłej niedzieli. Nie byłem na niej, ale ponieważ się domyślam, żeś bardzo ciekawy szczegółów w tej mierze, więc powiem Ci com słyszał. Nasamprzód nie wykłada, ale czyta z manuskryptu Zaczął od ekskuzowania siebie, że zabiera głos w miejscu, gdzie niedawno się inny nierównie zdolniejszy „rozlegał"; tudzież oświadczył swój żal za urazy, których się mógł w swoim zawodzie pisarskim kiedyś dopuścić. Następnie czytał kilka ód Naruszewicza i bajek Krasickiego, objaśniając je ze stanowiska narodowego. O ile mnie zaręczano, literacka wartość wykładu jest równa zeru. Słuchaczów było wiele, szczególniej z młodzieży krajowej. Demokracya usilnie kurs popiera. Ja o kursie ani myślę; brak mi do tego ochoty, publiczności, a przedewszystkiem materyału. Naukowo przedmiotu traktować niepodobna, a bić ciągle w bęben zapału i dąć w trąbę Sądu ostatecznego, albo conajmniej w trąbę Jerychońską — do tegom za słaby, może też i za sumienny, czy wreszcie za dumny".

„Uff! Skończyłem z publicznemi sprawami i z lżejszem sercem przechodzę do prywatnych. O Horacym wiesz pe-

wno wszystko z jego własnych listów. Męczył się bardzo przez kilka miesięcy nad różnemi próbami artykułów do *Revue*, w końcu porzucił myśl tę na teraz i zabrał się do prostych ćwiczeń stylowych. Zdaje mi się, że to z wielkim będzie dla niego pożytkiem. Zresztą pracowity, silny, wytrwały i szlachetny jak zawsze. Polityknje bezustannie, coraz się staje radykalniejszym i coraz bardziej się rozczula i zachwyca nad listami pisywanemi z Londynu (jenerała Zamoyskiego). Wieczorki jego czwartkowe są licznie uczęszczane i pełne dymu cygaretkowego i politycznego. O Leonie powiedziałem Ci już wszystko. Rodakowski daleko posunął swego *Sobieskiego*. Portret jego kuzynki bardzo mi się podobał; jeśli tym trybem dalej pójdzie, nie wątpię, że się prędko zrehabilituje z ostatnich dekonfitur. Oby Leon mógł mnie tą samą natchnąć nadzieją! Ale między nami mówiąc, daleko lepszą widzę dla niego przyszłość w piśmiennictwie, niż w malarstwie. I Henryk (Rodakowski) też sądzi, że bardziej do pióra, niż do pędzla stworzony. Ale zrozumiesz, że nikt nie chce mu tego wyraźnie i otwarcie powiedzieć; a ja najmniej ze wszystkich bym się na taki akt przyjacielskiej śmiałości i okrutności zdobył. Norwid wydrukował broszurkę p. t. *O sztuce dla Polaków*, niby odpowiedź na moją. Jeśliby Ci wpadła w ręce i jeślibyś co w niej zrozumiał, racz o tem natychmiast donieść światu, bo nie godzi się chować światła pod korcem. Leon mi oświadczył, że mi do grobu nie przebaczy tej broszurki o sztuce, t. j. nie mojej — ale Norwidowej. A wiesz, że C. K. N. drukuje kompletny zbiór pism swoich, na których wydanie jakiś obywatel litewski dał fundusz! Tak przynajmniej pisał Norwid do Królikowskiego. Wspomniałem kilka już razy o Rogierze (Raczyńskim). Bawi tu od kilku miesięcy i nawet resztę życia w Paryżu przepędzić zamierzył. Widać, że bardzo zbolały i rozstrojony; ale wierzy niezachwianie w swoją filozofię, i to go utrzymuje. Pracuje nad systemem *de l'intelligible*, i oby dzieło było takiem, jak tytuł. Zresztą szlachetny, dobry i dziwaczny, jak zawsze. Dla mnie jest wielce uprzejmym. Schodzimy się co piątek na preferansa — bo i on gra w tę grę cudowną i ją lubi! Bywa

u niego wtenczas i Henryk, i Leon (który z pogardą i bólem patrzy na naszą dekadencyę). Razem z nim przyjechał i poczciwy Błociszewski, który nas czasem i na wyspie odwiedza. I Rogier też przychodzi raz po raz na nasz obiad, sam daje smaczne obiadki — ale ja z zasady nie przyjmuję zaproszenia. Rodakowski robi teraz portret Rogiera i do rozpaczy go przywodzi długiemi i licznemi seansami, których się domaga. Z wyższego towarzystwa są tu panie Świeykowska i Przeździecka, ale ich nie widziałem. Rogier koło nich motyluje i świerszczy. Zygmunt Krasiński bardzo słaby i to naprawdę, ma początki suchot. Aż serce się ścina na jego widok; tak zmieniony, tak zestarzał i zeszkieletował się! Zimuje tu także p. Andrzej Koźmian, którego korespondencye zapewne czytasz w *Czasie* i w *Dodatku*. *C'est un classique apprivoisé*, z którym rozmowa i miła i nauczająca, póki się nie dotknie *Ziemiaństwa* i poematu o Czarnieckim, co jak ów koń Trojański tyle w sobie chowa „spiżu". O Kossaku tylko wiem, że zdrów i pracuje, bo go tylko raz widziałem u Rodakowskiego. Pani Iza (Działyńska) przyjechała tu z ojcem. Czy Jan (Działyński) tu przyjedzie, nie mogłem się dowiedzieć".

„Zdaje mi się, że już o wszystkiem pisałem, co tylko wiem i co by Cię obchodzić mogło. Na końcu wspomnę i o sobie. Mały mój Zygmuncik [1]) stanowi prawdziwą i jedyną moją pociechę. Doskonały to chłopaczek. Ale ze szkoły jego w Clichy wcale nie jestem zadowolniony i wyciągnę go stamtąd jak tylko będę mógł. Daję także lekcye dwóm małym Krasińskim, którzy do mnie przychodzą. Zresztą żadna ze mną nie zaszła zmiana. Raz w tydzień bywam u Rogiera, drugi u Horacego. Miałem z tym ostatnim dwa wieczory co tydzień czytać po grecku: ale on bestya zawsze się wymyka. Ach prawda! Dałem się był namówić przez Eustachego i poszedłem do pani Wąsowiczowej. Byłem aż trzy razy. *Omne trinum* nietylko *perfectum*, ale nawet *plusquam perfectum*,

[1]) Cieszkowski. Kuzyn i szwagier Augusta Cieszkowskiego, wtedy zostający pod dozorem Klaczki.

tak, że już więcej perfekcyonować się w salonowem życiu nie myślę. Tak dziwnym mi się ten świat, a ja w nim wydał, że już więcej podobnych wycieczek nie spróbuję[1]). Trzeba się ostatecznie oswoić z samym sobą i nie szukać w innych czego się w sobie niema. Od siostry mojej smutne odbieram listy; łatam jak mogę".

„W końcu upraszam Cię o oświadczenie moich najserdeczniejszych uczuć kochanemu panu Marcellemu. Jako *functus magister*, powinienbym tu może załączyć dla niego soczystą merkuryałę o obowiązkach jego jako ucznia uniwersytetu, kolegi i zarastającego wąsikami obywatela. Ale ja już tyle morałów w życiu prawiłem drugim, że pozostały mi jeszcze mały ich zapas przeznaczyłem wyłącznie dla siebie".

„Daję lekcye dwom małym Krasińskim". W tych słowach jest dowód, że stosunki z ich ojcem stały się z czasem bliższe, ściślejsze. Czy nie do tych czasów odnieść się daje ta rozmowa, o której w książce swojej wspomina p. F. Hösick, na podstawie opowiadań Klaczki? Ten robił Krasińskiemu uwagę, że Polskę zbyt poetyzuje, idealizuje; Krasiński tłómaczył się porównaniem, może nie bardzo trafnem, do kobiety upadłej, ale nie zupełnie zepsutej, która mogłaby zgubić się do reszty, gdyby się z nią obchodzić surowo, a może się podnieść i uszlachetnić, jeżeli się w niej wzbudzi wiarę, że jest zdolną podniesienia się i wyszlachetnienia.

Oprócz tych różnych wiadomości, jest w tym liście jedna, która da powód do napisania i do ogłoszenia w *Wiadomościach Katechizmu Nierycerskiego*.

„Autor *Żelaznej Maryny*[2]) od pewnego czasu bardzo jest ruchliwym, tudzież cały sztab jego. Założyli czytelnię, do której cała młoda generacya uczęszcza; ogrzewają i zadymiają im głowy nietylko dawnemi teoryami, ale i praktykami... Zapowiadają czyn bliski i wyłudzają obietnice przy-

[1]) Przychodził jednak później do pani Wąsowiczowej często.
[2]) Mierosławski. Są dwa jego poematy: *Żelazna Maryna* i *Szuja*. Ten ostatni tytuł poematu i jego bohatera oznacza często w listach Klaczki autora.

gotowań. Gdyby broń Boże do jakiejś burdy (w ziemi *Maryi* Malczewskiego — bo tam godzą) przyjść miało, to strach pomyśleć o klęskach, któreby sprowadziła. W *Przeglądzie* swoim *(Rzeczy Polskich)* występują coraz otwarciej, i bez ogródki i omówień gadają o przyszłem i bliskiem powstaniu. Dnia 29-go dali obiad, na którym było 200 wojażerów. Szuja odezwał się w mowie zupełnie wojennej, gromił zdrajców, arystokratów, pół-środkowców. Między zdrajców zaliczył Henryka Rzewuskiego, Jezierskiego i — Andrzeja Zamoyskiego... i to nie wywołało żadnej protestacyi, to wszystko połknięto z rozdziawionemi gębami i okrzykami: „Niech żyje nasz Ludwik!“ Jeżeli Ci mam całe moje wypowiedzieć przekonanie, to ja się ruchu nie obawiam, i gotówem się o wszystko założyć, że ani palec się nie podniesie. Fanfaronada to czysta i nic więcej. Mimo to skutki mogą być, nawet już są fatalne. Odwodzi to od pracy, rozsądku, codziennych zadań i obowiązków, a w ostatecznym swoim rezultacie wyradza fałsz i odrętwienie. Zdaje mi się, że nie potrzebuję obszerniej tego przed Tobą tłómaczyć. Wszyscy ci Belwederczycy obiadowi, za powrotem tylko myśleć będą o bogatej partyi; a lepszy i szlachetniejszy zwątpi na zawsze, skoro świetna bańka nadziei rozbije się o pierwszy szlagbaum caratu. C, „niczem Sybir, niczem knuty; lecz narodu duch zatruty — to dopiero bolów ból!...“ Biję się wciąż z myślą, czy wystąpić otwarcie przeciw tej niecnej propagandzie fałszu i szału. Pocóż jesteśmy, jakąż mamy racyę bytu, jeśli, widząc złe, przeciwko niemu nie powstaniem; i nie jestże to naszym obowiązkiem odezwać się z głosem napomnienia, rozsądku i sumienia, wobec tak ohydnego matactwa? Ale z drugiej strony powiedzą, że my ich denuncyujemy! A chociaż każdy rozsądny odrazu zrozumie i uzna, że tam denuncyacyi niema, gdzie wszystko się tak jawnie odbywa, gdzie wszystko z kropką nad *i* się drukuje i publiczne się ma mowy i wnosi toasty, że zresztą Moskal od dawna i lepiej niezawodnie odemnie zna wszystkie te przewrotne obroty — ale czyż my o rozsądnych i dla rozsądnych piszemy? I czyż u nas nie wystarcza krzyknąć: „De-

nuncyant!" by nawet rozsądnego ogłupić lub przynajmniej do milczenia zmusić?"

Ten list pisany był w grudniu 1858 r. — w lutym 1859 r. wyszedł *Katechizm Nierycerski.*

Rewolucya czy powstanie? Polska przez gwałt, przez mord, przez terror, przez anarchię, albo Polska przez szlachetną wojnę, przez zwycięstwo siły zbrojnej jako skutku siły ducha, siły rozumu, siły miłości? Oddawna toczyła się u nas ta rozprawa między dwiema politykami, dwoma pojęciami i dwiema miłościami ojczyzny. Objawiła się w czynie, za Kościuszki, w warszawskich wieszaniach; powtórzyła się w r. 1831 dnia 15 sierpnia. Oba razy splamiła sprawę; za pierwszym razem osłabiła ją, za drugim przyprawiła o klęskę. Gdyby nie 15 sierpnia, gdyby nie podziemne rycie w bolimowskim obozie, Warszawa byłaby może zdołała się obronić, w każdym razie byłaby doczekała tej austryackiej medyacyi, która przyszła nazajutrz po kapitulacyi. Rzecz charakterystyczna: kapitulacyę podpisał, Warszawę poddał ten, co w mieście i w obozie rozprzężenie prowadził i szerzył — Krukowiecki. Na emigracyi Towarzystwo Demokratyczne prowadziło dalej tę politykę. Nienawiść społeczna i osobista była jego miłością ojczyzny, kłamstwo i potwarz jego bronią. Rzecz znowu charakterystyczna: w Warszawie robił to Krukowiecki, w Paryżu Towarzystwo to zawiązał Gurowski. W pismach swoich o zdradę oskarżali wszystkich, a swoją propagandę prowadzili, swoją teoryę wykładali w broszurach i książkach takich, jak *Katechizm Demokratyczny* i *Prawdy żywotne narodu polskiego.* Naprzeciw stawał, o zmiłowanie nad ojczyzną zaklinał, Kajsiewicz z kazalnicy, Krasiński w *Psalmach.* Na próżno: spadła klęska r. 1846. Po niej ta polityka przycichła; tak się dała poznać ze swoich owoców, że nie miała czoła się odzywać. Ale po kilku latach, kiedy tamto wrażenie zatarło się cokolwiek, wróciła jej odwaga; metoda została ta sama. Głównym reprezentantem tej polityki był w tych latach Mierosławski. Miał podobno teoretyczne wiadomości wojskowe; musiał mieć zuchwałą swadę w mowie. Wierzono w jego wojskową zdolność, do-

póki w Wielkopolsce, a więcej jeszcze w sycylijskiej i badeńskiej rewolucyi, nie okazał swojej niezdolności. W emigracyi widziany był źle. Nie przez arystokratów i czartoryszczyków tylko, ale ci, którzy wierzyli w spiski, a powstanie mieli w planie (Gałęzowski, Ordęga, Józef Wysocki i t. d.), nie wierzyli w jego zdolność, jeszcze mniej w jego charakter. Utrzymywał się jednak i miał zwolenników, siłą frazesu i fanfaronady. Miał oczywiście jakieś związki z całą rewolucyą europejską, z włoską w szczególności, i przez te stosunki został później dyrektorem marnej, więcej pozornej jak rzeczywistej, szkoły wojskowej polskiej w Cuneo. On tedy, 29 listopada 1858 r., na zebraniu swoich stronników wypowiedział mowę, nowy manifest dawnej polityki nienawiści i kłamstwa, nie więcej od dawnych głupi i bezecny, ale o tyle od nich gorszy, przewrotniejszy, że po doświadczeniu, po nauce r. 1846, miłość ojczyzny z dobrą wiarą już tej polityki wyznawać i jej się trzymać nie mogła.

Przed laty wystąpił przeciw tej polityce, bronił przed nią Polski, Kajsiewicz i Krasiński. Teraz, kiedy ona znowu podniosła głowę, wystąpił w tej samej obronie Klaczko. „Czy wystąpić otwarcie przeciw tej niemej propagandzie fałszu i szału? — pisze on do Kastorego — po cóż jesteśmy, jakąż mamy racyę bytu, jeżeli widząc złe, przeciw niemu nie powstaniem?“ I powstał przeciw.

Katechizm Nierycerski wziął nazwę od tego *Rycerskiego*, który w Szkole kadetów uczył, „że honor jest prawem, ojczyzna celem, a wiara zbawieniem żywota. Dziś inną otwierają szkołę dla młodego pokolenia i inny mu wykładają katechizm: zaprawdę nierycerski, ale hajdamacki, zbójecki i bluźnierski“.

Rozprawy o teoryach, o istocie i warunkach dobrej lub złej polityki, tu niema. Jest jeden fakt, mowa Mierosławskiego. Fałsze i kłamstwa, niegodziwość walcząca o pierwszeństwo z głupstwem, a bezczelność z przewrotnością, i to wszystko w Polsce, o Polsce, z nią niby na celu, a z jej zgubą za skutek, sprowadza wybuch oburzenia. Bywały w historyi nie naszej tylko, takie tragiczne straszne walki mi-

łości ojczyzny z gotującą się czy gotowaną jej zgubą. W takiem uczuciu, w takiem oburzeniu przestrzegał Demosthenes Ateńczyków przed Filipem; w takiem Skarga mówił kazania sejmowe, w takiem Krasiński przepowiadał, że „carycy w grobie kości skleją się z radości, a trup jej parsknie w śmiech szyderstwa“. W rzędzie takich zaklęć błagalnych i takich upomnień groźnych, staje *Katechizm* Klaczki; nie tak wielki, ale godzien iść za tymi poprzednikami, bo ma podobną do nich siłę miłości, siłę prawdy, i siłę świętego gniewu.

Walka rozumu z głupstwem, prawdy z kłamstwem i obłudą, szlachetności z podłością, jest tragiczna, kiedy się toczy o rzeczy wielkie i święte. Ale w tym razie staje się jeszcze tragiczniejszą przez to, że jest w niej, urąga jej szyderczo, pierwiastek komiczny. Głupstwo, podłość, niegodziwość, nie są same; jest oprócz nich, przejmuje je sobą, nadaje im swój charakter i kolor, błazeństwo — frygijska czapka Marata ozdobiona jest piórami z kapelusza Papkina. Czyta się tę mowę dziś, po pięćdziesięciu latach, i oczom nie chce się wierzyć. Klaczko nie wybierał szczególnie uderzających pereł czy brylantów z tego skarbu: wszystko w nim równe, cały jest taki, jak te wyjątki, które on przytacza. A ludzie słuchali, oklaskiwali, a ogłosiło tę mowę pismo, na którego redakcyę wpływali i ludzie dobrzy, i dobrzy Polacy! Wrażenie zaś oburzenia i upokorzenia podnosi się dopiero przez osobę tego mowcy, tego niby szermierza i rycerza miłości ojczyzny, w którym wszystko było udane i kuglarskie, nietylko wojskowa zdolność, ale nawet odwaga, a prawdziwą była tylko bezczelność zarozumiałości i kłamstwo. I z tem trzeba walczyć, i to trzeba wskazać, obnażyć — i na próżno! Ludzie nie przestaną wierzyć w Papkina, i kłaniać się przed nim jak przed bohaterem.

Od tragi-komicznej strony rzeczy zaczyna Klaczko. Gdyby można przedrukować tu wszystko, byłoby najlepiej: rzecz mówiłaby za siebie sama i okazałaby się w całej swojej wspaniałości; ale trzeba się ograniczyć do wyjątków. Jednak i wyjątki wystarczą, by pokazać i przypomnieć tę moc prawdy, moc uczucia i moc słowa.

„Gdyby nam wolno było trochę więcej mieć wiary w zdrowy instynkt i polityczny zmysł większego ogółu u nas, gdyby tak długie a tak bolesne nie nauczało doświadczenie, jak mało w naszym narodzie waży zimna rozwaga i hartowna cnota, a jak wiele natomiast czcza deklamacya, hałaśna hałastra, i ta szlachecka fantazya, od której najmniej są wolni ci, co na szlachtę wykrzykują i z niej całopalenie robią dla „ludu“... moglibyśmy w istocie zostawić bez komentarza tę dziwną oracyę, i przez krótką chwilę nawet się uśmiać z nadarzonej krotochwili. Gdybyśmy tylko byli w stanie spuścić się zupełnie i choćby na samo już uczucie dobrego smaku, na sam już gust literacki tego pokolenia, któremu jednak Skarga i Górnicki, Mickiewicz i Mochnacki tak piękne przecież i klassyczne zostawili wzory, znajdowalibyśmy już i w tem dostateczny powód do zaspokojenia siebie, i tuszylibyśmy z pewnością, że sąd literacki w ostatecznym razie wyręczy brakujący sąd polityczny. Bo w improwizacyi p. Mierosławskiego, rozkiełznaniu myśli odpowiada słów rozkiełznanie; jeśli gdzie, to tutaj człowiekiem jest styl — a o owocach głoszonej nauki sądzić już można z samych kwiatów jej retoryki. Do męki, którą nasz trybun gotuje dla polskiej duszy i myśli, zdaje on się już zaprawiać przedwstępnem męczeniem i gwałceniem tego, co tej myśli i duszy jest ciałem, i wpleciony w koło demagogicznej wymowy, język polski skrzypi i jęczy we wszystkich swych stawach i ustawach. P. Mierosławski prawi o sędziwym obowiązku, o sidłach zastawionych pod wonią malowanego raju i o zmartwychwstańczej wsteczności, o genezyjnym mieczu wydobytym z pochwy chaosu i o „cudzołoztwie zórz borealnych z aptekarstwem paryskiem“, o „zakropie law pierworodnych chmurami przedatmosferycznej dżumy“ i o „gęśli napiętej kiszkami ojca i braci“!!! W jednem miejscu widzimy „pszczoły, co lakierowanemi w dziegciu dybami wydeptują kryształowe pałace“, a w innem znowu „Bóg straszliwy, z brodą rozczochraną, od nadiru do zenitu, wyrywa raptem swemu miecznikowi Michałowi oburącz szablę płomienistą i jednem cięciem przepłata kulę ziemską od bieguna do bieguna

szramą kordylierską dotąd nie zeszytą"... Przez ciąg dwudziestu pięciu bitych stronnic p. Mierosławski piętrzy w ten sposób Ossy cudactwa na Peliony płaskości, sprzęga i zbija niestworzone wyrazy z potwornemi obrazami, wszędzie grzmią, huczą i syczą rodomontady *Capitana Spavento* i „Papkina Lwa Północy". W każdem zdrowem, powtarzamy, społeczeństwie, podobna mowa by wystarczała do odsądzenia mówcy od wszelkiego narodowego znaczenia i politycznego wpływu. Bo tak nie przemawia ani żaden mąż publiczny, ani żaden wódz zastępów, a jeszcze mniej ten Godfryd krzyżowiec, któremu w końcu (jeśli dobrze rozumiemy) p. Mierosławski czyni ten niezasłużony i niezamarzony nigdy zaszczyt, że go do siebie raczy porównywać. Takiego języka też nie używa ni trybun żaden ludu, ani na seryo demagog: ni Maryusz, ni Saint-Just, ani nawet Mazzini. Tak tylko przemawiać przystałoby niedoszłemu belletryście lub zaułkowemu retorowi..."

„Ale bólem to właśnie bólów naszego fatalnego położenia, że podobne retory na wodzów partyj wychodzą, czy też za takich uchodzą... Konieczność poważnego traktowania i dyskutowania rojeń i roszczeń wcale nie poważnych jest straszną klątwą naszych czasów — czasów, jak mówi Hamlet, „dychawicznych i tucznych występkiem, w których cnota sama musi żebrać u zbrodni przebaczenia, och, musi się nawet czołgać u nóg jej i błagać, by tylko uzyskać wolność czynienia dobrego!"... P. Mierosławski jest dotąd uznaną — acz nie zawsze przyznaną, i dla własnych nawet zwolenników nieraz meduzyjną — głową czynnego, ruchliwego stronnictwa, a głos jego ostatni odbił się echem entuzyazmu, zachwytu, w pewnej części tej dorastającej generacyi, w której ręku złożone przecież losy naszej przyszłości!... To wszystko może być wielkiem upokorzeniem dla naszej narodowej dumy, ale powinno też być i niemałem upomnieniem dla naszej obywatelskiej czujności. Przypatrzmy się więc uważniej improwizowanemu dziwadłu, bo wielu w niem widzi doprawdy dziwy i cuda, i niechaj nas śmiech nie rozbroi, bo są ludzie, co to wszystko wcale nie tak śmiesznem znajdują. Kiedy

próchno się świeci, a próżność się święci, nie czas wtedy dobrej sprawie próżnować, spuszczając się na świętość swych życzeń i chęci, i gdy na wyżynach narodowego horyzontu stoją wiatraki, to rozprawa z niemi nie jest, jako żywo, poczynaniem Donkiszota".

„P. Mierosławski ułatwia sobie zadanie niezmiernie i, by trafić do przekonań, obiera ten język pochlebstwa, którego zwodziciele ludu od wieków, z takiem powodzeniem dla siebie, z taką sromotą dla ludzkości używać zwykli. Traf-że to tylko, lub głęboka w tem myśl Goethego, że jego Mefistofeles w imionniku biednego studenta zapisuje owo *Eritis sicut Deus*, którem już wąż kusił pierwszego człowieka?... Mówca nasz więc schlebia biednej młodzieży, wita w niej ród „Tytanów", porywa ją z sobą na zawrotne szczyty swej hyperbolicznej fakundy, i stamtąd wskazuje jej świat cały, Polskę całą, którą posiąść może jednem skinieniem, jednem tylko westchnieniem!... „Młodzież to droga, dumkami boleści wykołysana — orlęta wypadłe z gniazda trzęsieniem opok ojczystych — świętych męczenników niebawni mściciele — nieodrodni spadkobiercy Podchorążych i akademików, których owdowiałego siodła lada chwila mają dosiąść — a jedno ich westchnienie, dla reszty świata niedosłyszane, starczy za sądne trąby, by wskrzesić matkę!!!"... Tak pochlebstwami ujętą, dziką wonią dzikich kwiatów odurzoną, dymem kadzideł zakrztuszoną, zapowiedzią bliskiego powstania rozpłomienioną młodzież, mowca wreszcie przestrzega — nie przed rosyjskim liberalizmem, który tyle u nas teraz głów mąci i sumień zakłóca, ani też przed tym panslawizmem, który w uściskach upiora krew polską wyssysa i zguby naszej żąda i naszego spodlenia: mowca przestrzega młode pokolenie — przed Francyą, przed Zachodem, „przed całą tą zachodnią cywilizacyą!"... We Francyi „policyjna tylko latarka przeraźliwie migoce", a szukającemu tajemnic w umarłym łatwo się zarazić śmiertelnemi wrzodami trupa. Zachód znikczemniał, umarł i gnije, i świeci tylko „blaskiem fosforycznego próchna i szpitalnych kantaryd". Nie korzystać więc i nie uczyć się z tej cywilizacyi, która „współcaruje

z Mongołami nad światem“ i w której „nikczemna tylko pasożytność“ może znaleść coś godnego do naśladowania. „Porwijcie w objęcia wasze żywą a nagą przyrodę i z niej wyciśnijcie do żył, do muskułów i aż do samego serca waszego moc pierworodnych bohaterów i patryarchów, co własnym przemysłem zwalczyli potwory i dziczyznę poprzedniego okresu genezy humanitarnej — bo ten, nie inny dzisiaj okres odrodzenia polskiego!!!“

Opuszczamy, z żalem, wspaniałą odpowiedź na mniemany upadek Zachodu, i dowodzenie koniecznego związku Polski z tym Zachodem, poprzestajemy tylko na końcowym ustępie.

„Kiedy Powstanie listopadowe zagnało tutaj naszą rodzinę tułaczą, wówczas Mickiewicz miał umysł i zmysł dla tego, co tylko we Francyi jest chrześciańskiem i pięknem, świetnem i świętem, i pod wpływem tych wrażeń i otoczenia takich ludzi, jak Lamennais, Lacordaire, Montalembert i im podobni, napisał te *Księgi Pielgrzymstwa*, w których najczystsza myśl chrześcianina i wygnańca znalazła swoje wcielenie w najczystszem słowie słowiańskiem. O tym samym czasie i w tym samym kraju, inny tułacz w innej zasiadł sferze myśli i wydawał poemata, które z góry rozgrzeszyły bezwstyd bieżącej literatury paryskiej, z któremi niczem są w porównaniu owe *Bovary* i *Fanny* i im podobne sprosności, co w naszych warszawskich dziennikarzach wywołują na Zachód oburzenie tak pocieszne a tak... lubieżne! W owych to poematach polskiego tułacza, pielgrzyma, „krzyżowca“, świeci w istocie „blask kantaryd szpitalnych“ i wieje atmosfera szlachtuzów i zamtuzów; dość (za wiele to już dla naszego pisma i pióra) powiedzieć, że w jednym z tych cynicznych obrazów bohater dogadza brutalnej swej chuci na zemdlałem ciele kobiety, która jest — jego matką!!!... A autorem takich obrzydliwości i gęślarzem tych żylastych szujów i żelaznych wszetecznic, Pindarem tej Wenery Kallipigos i Pygmalionem takiego rymowanego błota, nie był kto inny, jak p. Ludwik Mierosławski...“

Następuje potem rozprawa między polityką rewolucyjną a polityką organicznego rozwoju i roztropnego dążenia do

celu. Rzecz była pisana w styczniu r. 1859; wojna włoska była w powietrzu, a stanowisko, jakie miał w Europie Piemont już od wojny krymskiej, nasuwało samo porównanie między temi dwiema drogami i wskazywało która lepsza, która wiedzie do celu. Słusznie też stawia Klaczko ten przykład, a w swego przeciwnika godzi pytaniem:

„Cavour czy Mazzini — któryż z tych dwóch ludzi i dwóch systemów skuteczniej działał dla kraju, przyniósł pożytek ojczyźnie? Czy ten, co naród niemocą złożony wciąż truł, żgał i podżegał, spiskami opętał i „ruchami“ zbezwładniał, krzyż deptał odkupny a nóż święcił najemny, i sprawę najszlachetniejszą i najświętszą podał prawie w ohydę i zgrozę wszystkich dusz zacnych i umysłów cnotliwych — lub ten, który słabego cucił i wycieńczonego umacniał, zwolna i cierpliwie goił rany i siły sposobił, drzemiące żywioły budził, pielęgnował i krzepił, moralnie i materyalnie wszystko dźwigał i podnosił, administracyjne, finansowe, ekonomiczne stosunki naprawiał i ulepszał, i z małego państwa zrobił ten cudowny wachlarz Aladyna, co, gdy zwinięty, zdaje się tylko misternym być sprzętem, ale roztoczony stać się może namiotem dla stutysięcznego wojska. Cavour czy Mazzini? — w różnym stopniu, w nierównych rozmiarach i odmiennych formach i stosunkach, ale w treści jednostajne zawsze a hamletowe to pytanie dla każdego uciemiężonego narodu: pytanie, czy oświecać umysły lub tumanić fantazyą, czy serca ogrzewać lub je spopielić, czy siły wycieńczać i niweczyć lub je skupić i pomnażać, czy pracować z ufnością rozwagi lub miotać się w szale rozpaczy?“...

„Zawód to trudny niezawodnie, mozolny i krwawy, a nieraz nawet wydać się może rozpaczliwym. Daleko łatwiej zaprawdę i wygodniej, wszystkie takie prace lekceważyć i znieważać, a marzyć o „bliskiem powstaniu“ i gwarzyć o „dosiadaniu lada chwila, owdowiałego siodła...“ Nie obowiązuje to do niczego, a uwalnia od wielu przykrych trudów, od ciężarów, których przecież niepodobna podnosić i znosić w eterycznej sferze natchnienia i „westchnienia“. Wystawia się tem weksel na przyszłość, tem dogodniej-

szy, że bez oznaczonego terminu, a zjada się tymczasem i procent i kapitał. Ma się wtedy prawo gardzić wszelką gruntowną nauką, która „tępi ducha“ i śmieje się tylko z wołania pedantów o „specyalności“, boby to znaczyło — naucza p Mierosławski — „wziąć patent na Niemca, Francuza, Anglika lub Amerykanina“, a czegoś innego, jako żywo, potrzeba „orlętom, świętych męczenników niebawnym mścicielom“. Wierzy się wtedy w kmiecia wskrzesiciela — dla którego nawet nie masz i krzesiwa, kocha się chłopa seraficznie i wita w nim (używamy tu wciąż słów naszego mowcy) „spadkobiercę wielkiej ojczyzny“. Ale zanim to objęcie spadku się uskuteczni, zanim to otwarcie „testamentu nastąpi“, zanim przyjdzie „tego chłopa mierniczy ze szczerbcem i z żelaznemi słupami“, każe mu się „cierpieć jeszcze, cierpieć jak ojczyzna, i póki ona cierpi“ zaleca mu się „nie ruszać ani kołka w płocie, ani miedzy na niwach“; zalecanie zaś czegoś podobnego, jak szkółki ludowe lub wiejskie ochrony, obudza tylko uśmiech szyderstwa, a cóż dopiero, gdy kto się odważy wspomnieć o instytucyach św. Wincentego: wtedy już chyba się przeżegnać przed taką jezuicką szkaradą!... Wśród takich to marzeń, szyderstw i bankietów wcale nieplatonicznych, przepędza się lata, poświęcone nauce i wykształceniu; a gdy nadchodzi chwila rozczarowania lub upamiętania, gdy się wraca do kraju i zamiast zniebozstąpionych kosynierów, widzi samych żandarmów i krótkoucinających finanzwachów — wówczas pryskają nagle ideały runą nadpowietrzne budowy wietrzników; na miejscu, gdzie się bengalskim ogniem palił Wezuwiusz, zostaje do szczętu wygrzebany krater i zalega zimna brudna lawa; a gdy się do trudów nie przywykło, a obowiązków nigdy nie zaznało, wyprawa „krzyżowca“ kończy się wyprawą na posag, ochota do partyzantki zamienia się w ochoczość i namiętność do partyjki, a na zbawczego kmiecia, na którego spaść miało dziedzictwo całej odmłodnionej ojczyzny, spada ostatecznie batóg młodego dziedzica... Kto zaś większą miał czułość, czyli większą dumę, ten w takiej kryzys osądzi się męczennikiem i uzna się ofiarą społeczeństwa, ogłosi się „milionem“,

a zer mu do tego zaprawdę nie zabraknie; udrapowany płaszczem pychy zasiędzie na ruinach własnego nicestwa, a jeśli worek potemu, będzie z gorącej miłości do kraju wciąż od niego uciekał i po całej Europie ustawicznie woził swój żal po ojczyźnie, swoją osobę i swe nudy... Ale komu Bóg dał zdrowe uczucie i jasne sumienie, kto siebie zwodzić za dumny, drugich zwodzić za prawy, kto Polski nie kocha jak młodzieniaszek zalotnicę, z którą pewien czas przepędza się w upojeniu i szale i z sił męzkich uszczerbkiem, by potem z wybladłemi usty a wyblakłą duszą tylko módz sobie gorzko-słodko powiedzieć, że się także było kiedyś młodym i miało swoją „awanturę“, kto raczej tę Polskę kocha godnie i zacnie jak syn, jak mąż i jak ojciec, kochaniem dozgonnem, miłością niezmienną, niezmierną — ten nie kwiecistą ścieżkę fantazyi, ale cierniową obierze drogę pracy i obowiązków, ten będzie się trudził nad własnem nasamprzód doskonaleniem, a potem nad wydobywaniem sił z własnego łona narodu, i na tem stanowisku wytrwa, mimo przeszkód i zapor obcych despotów, i szyderstw i oszczerstw swojskich demagogów“.

W mowie Mierosławskiego, w tej nauce, jaką daje swoim młodym adeptom, jest pogarda wszelkich starań, prac, przedsięwzięć ekonomicznych, naukowych: Polska powstająca „nie będzie potrzebowała fizyków i doktorów, fabryk i warsztatów“.

„Ale najostrzejsze sarkazmy i strzały najbardziej zatrute, najsroższe potępienie i najdziksze przekleństwa, zachował nasz mowca dla tych szczególnie usiłowań w kraju, które umoralnienie i polepszenie bytu ludności rolniczej mają na celu. Ale całą złość, całą żółć, cały jad swojej duszy wylewa na tych zacnych obywateli, co reformę włościańską biorą szczerze do serca, a przedewszystkiem na to Towarzystwo Rolnicze w Królestwie, którego krokom i czynnościom towarzyszą dziękczynienia i błogosławieństwa wszystkich dusz polskich i chrześciańskich!... „Spekulanci to — woła nasz mowca — co szukają niby społecznego wyzwolenia ludu polskiego w nieprzystojnych dość zdzierkach łacińskiego i germańskiego prze-

pychu, i przezornie go wywłaszczają (!), rozbrajają, immobilizują na dzień własno-narodowego powstania, uwłaszczenia i polotu!... Czując, jak im niedostateczne przeciw zmartwychwstaniu Polski ludowej gwarancye trzech ościennych, a osławionych, a znużonych ciemięstw, poczęli jeszcze w tych ostatnich czasach przyzywać na ratunek swoich ołtarzów *(sic!)*, swoich rodzin i swojej własności, cały przybór policyjnego liberalizmu społeczeństw mieszczańskich... i za gwarancyą cara, a przy oklaskach Zachodu, odczepną jałmużną chlewa i sadu kartoflanego myślą kupić sobie spokój jednopokolenny od dzisiejszych gospodarzy"... „Ezau, Ezau nic już do stracenia nie mający! Zagospodarowany na twojem starszeństwie, za miskę soczewicy, Jakób... chce... aby lemieszowe pazury twoje wygrzebały mu zdroje miodu, mleka i talarów; za to karbowi twoi dostaną medal od komitetu rolniczego, a dzieci twoje po obrazku od księdza proboszcza!"... A nietylko to konspiracya ordynatów, hrabiów, obywateli i właścicieli między sobą przeciwko polskiemu ludowi; spisek ten sięga dalej i wyżej: biorą w nim udział — Papież Rzymski i — cesarz rosyjski!! „Ekonomiści posłusznej kongresom i Papieżowi Polski są w porozumieniu i z Kościołem i z carem... Na to zgoda i w Paryżu i w Petersburgu i w Watykanie i w kancelaryach ordynackich!!!"... Znana jest sławna konspiracya tabakierek, którą odkrył ohydnej pamięci Marat, „a miał ją od swojej praczki" — i uchodziło to dotąd za *nec plus ultra* denuncyatorskiej wściekłizny. Naszemu, polskiemu Maratowi, danem było dorównać, jeśli nie prześcignąć francuskiego mistrza i odsłonić przed młodem pokoleniem wielką „antinarodową" konspiracyę Towarzystwa Rolniczego, Ojca Świętego i cara Aleksandra!"...

„O, że też wszelkie u nas zacne, wytrwałe, rozsądne usiłowania koło dźwigania i podniesienia kraju, koło jego najistotniejszych zasobów i potrzeb, zawsze się rozbijały o złość, szyderstwo, ślepotę i pustotę! Że też wszyscy mężowie, którzy pracowali, trudzili się i wycieńczyli dla organicznego i postępowego urządzenia spraw naszych, umarli albo z samobójczej dłoni, albo z pękniętego serca, a zawsze

z prześladowania krzykaczy i z rozpaczy nad niedołężnością, obojętnością lub niewdzięcznością narodu: tak dobrze kanclerz Ossoliński i kanclerz Andrzej Zamoyski, jak Edward Raczyński i Karol Marcinkowski! Że też ani wspaniała odwaga Księcia Józefa („królewskiem książątkiem" nazywa go p. Mierosławski!...), ani zimna rozwaga reformatorów nie mogła być nigdy ochronioną przed zatrutym wyziezem republikańskich Zajączków i zajęców! Że u nas nietylko prędki rycerski Achilles ginie od zdradzieckiej strzały płochych, zwodniczych Parysów, ale i powolny, wytrwały, wszystko ważący Ulisses pada ofiarą krzykliwych, szydzących, syczących Tersytów, i że do tępienia i niszczenia wszystkiego, co szlachetnem i cywilizującem, nie potrzeba u nas nawet wielkiej francuskiej żakeryi: wystarczają na to — dzieci „Wersalu" i żaki Poznania!"...

A teraz przychodzi to, co najważniejsze: ideał, program tej polityki i środki jego spełnienia.

„Nie myśleć więc o pracy — naucza p. Mierosławski — ani dźwigać i doskonalić sił i zasobów kraju; nie „zażywiać Zniczowego kagańca Polski u fosforycznej oświaty Zachodu i jego policyjnej latarki", ani przyjmować „spruchniałych zdzierków łacińsko-germańskiej cywilizacyi!" Przedewszystkiem zaś nie ulepszać na teraz bytu włościan i nie dawać karbowym medalów! „Oszukany przez Jakóba, pod błogosławieństwem ślepego Izaaka, Ezau, a przyszły spadkobierca wielkiej ojczyzny, niechaj jeszcze cierpi, cierpi póki ojczyzna cierpi" i niechaj nie wypuszcza z rąk „testamentu", ani dozwala „ruszać kołka w płocie i miedzy na niwach, aż stanie między jego chmary mierniczy ze szczerbcem i z żelaznemi słupami". „Ten ci Polskę twoją powtórnie a niezatratnie skadastruje i takie ci włóki wymierzy, że niemi obdzielą się bez końca wszyscy bracia, bratańcy i wnukowie twoi... ten ci wysnuje szatę dla całej a trwałej ojczyzny — a na wyrost, bo wielka jak przezorność nieograniczonej miłości jego dla dalszych polskich pokoleń — taką, coby jak płaszcz niebios szyty gwiazdami, wszystkie syny, wnuki

i prawnuki odział wspólną opatrznością i wspólnym majestatem stworzenia!...“

„Jak p. Mierosławski właściwie sobie wystawia ten cudowny kadaster i jak myśli rozdzielić tę szatę ukrzyżowanej Polski między kmiecowe „chmary“ — tego nie wyjaśnia, i w miejscu Justyniańskiego kodeksu, o którym powiada, że „wydobyty z rumowisk Cezarowego społeczeństwa, przez lat tysiąc z okładem zachodnie przesypy ocieplał (!)“, nie ogłosił dotąd, o ile wiemy, słowiańskiego Swodu i „Ruskiej Prawdy“ własnego wymysłu i wynalazku. Ale lekarstwo, jakie ma na nasze zbolałe, zranione i rozszarpane ciało, to wspaniałomyślnie i usłużnie wyjawia, a lekarstwo to proste, skuteczne, prędkie — prędkie przedewszystkiem — chociaż nie nowe. Cudowny nasz lekarz, który „nad komedyo-operę w Loretańskiej kaplicy, przekłada kazanie w Moliera świątyni“, w tej też świątyni znalazł swego Hippokrata i Galliena, i jak sławny Argan doktoryzant, zna tylko tę jednę receptę: *purgare, seignare, reseignare*... „Krew jest arcyszczególnym sokiem“ — powiada szatan Goethego: krew szczególnie szlachecka, rozlana przez Piastowych kmieców, dodaje w glossie nasz retor, i takim to inkaustem parafuje swój pakt z młodem pokoleniem..“

„Tak jest! Rzeź, rzeź szlachty, taka to alfa i omega tego najnowszego Zakonu, i na końcu każdej zwrotki swej piosenki, krwi tylko żąda upiór, powstały z nieochłodzonego jeszcze grobu Rzeszowa i Tarnowa! Cepy i kłonice — oto tajemnice tej „genezyjnej“ Gnozy, i na dnie oratorskiej kałuży szyderstw i oszczerstw, świeci polska, spiekła krew! Rzeź tę przebiera mowca na wszystkie tony i diapazony, wykłada ją pod wszelkiemi figurami retoryki, pod figurą ironii, przykładu, przypowieści! „Chcielibyście“, pyta się z ironią cywilizatorów, którzy (marną zresztą według niego i trudu niegodną) wolność zachodnich społeczeństw w naszym kraju zaprowadzić myślą, „chcielibyście, przeceniając dużo wartość wzoru waszego, jeszcze wszystkich tych specyałów darmo dostać, a nawet obrachunkiem cudzych kosztów nie zachmurzyć sobie darowizny i marną dekoracyą przesadzonych z Za-

chodu chrustów, oszukać porodne boleści naszego ujarzmienia? Owoż to rzecz niepodobna!“... P. Mierosławski wprawdzie sądzi, że „krucyatowa“ dusza naszego narodu mało ma do zazdroszczenia „temu braterstwu amerykańskiemu, tej równości angielskiej, tej wolności francuskiej“... a wszakże każe jednak pomyśleć, „jakim to kosztem te narody okupiły choćby tylko i tę emeryturę!“ „Aby takiej tylko emerytury dostąpić, narody te wszystkie wypławić się naprzód musiały w krwi własnej potokach... i na zastygłych to dopiero falach takiego krwotoku, dopieroż na tym makadamie z gruzów łez i kości znikłych pokoleń, podeszły ród Latynów i Germanów rozwinął żagle swoje!“. . Nie dość więc — dodaje mowca — że „więzień polskich konserwatywni reformatorowie“ zaślepiają się nad wartością takiej emerytury łacińsko-germańskich ludów, ale chcieliby jej jeszcze dostąpić bez takiego, jak one, okupu?! Owóż to rzecz niepodobna!... Ale też p. Mierosławski innej zaprawdę dla nas, i to „rodzimej, słowiańskiej, piastowej“ wygląda emerytury, i zupełnie inaczej sobie u nas wyobraża stosunek tych znikać i powstać mających pokoleń! Myśl tę swoją ukształcił na końcu mowy w długim, roztoczonym i *con amore* opracowanym apologu (bo snać nietylko Chrystus, ale i Antychryst lubi przypowieści!), który w skróceniu powtórzmy, słów jego jak najwierniej się trzymając, a wypuszczając tylko, ile można, zbytnie efekta kolorytu i kataklizmowe i kataraktowe peryody:

„Przenieścież się wyobraźnią — powiada tedy p. Mierosławski do młodego pokolenia — przenieścież się wyobraźnią do tej epoki przyrodzenia, kiedy bryła ziemska, już zaskorupiała w twardą powłokę, z mętów pierwszego zastygu swojego wyłoniła potworne społeczeństwo... salamander, stusążniowych glizd, krokodylów, smoków elektrycznych, amfibicznych nietoperzy, olbrzymo-ropuch... społeczeństwo wodokrzewów i płazów tak już strasznych, tak potężnych, a tak przemyślnych, że sam Stwórca żadnego z niemi innego stworzenia do współwłasności globu dopuścić nie potrafił — chyba niższe organizmy, podłą czerń natury, na tani im pokarm

przeznaczoną... Pod taką to ichtyozaukracyą i batrachokracyą z heroldyą, tradycyą, kościołem, rodziną i własnością na globie rozgosz czoną.. jęczał przez długie wieki i modlił się do Stwórcy gnieciony płód innych stworzeń, płód lepszego i wyższego społeczeństwa... A kiedy broszurkami, emisaryuszami lub ruchawkami chciano podnieść ten chamski Ereb, wówczas tryskały aż pod sam tron Boga pianą protestacyj komitety rolnicze krokodylów i salamander, pytały się, czegoż chcą od nich, czyż może być co doskonalszego jak ten liberalny planeta, coś piękniejszego, sprawiedliwszego, płodniejszego od Zofijówek, Willanowów i Sieniaw?... Te buntownicze wycia niższego społeczeństwa — mawiały te komitety do Boga — zachwiewają nietylko nasze dzierżawy, ale i twoje podkopują carstwo!... A tak rzewne, tak wymowne, osobliwie samic *(sic!)* były wyrzekania na niebezpieczeństwo zagrażające ich drogiej a niewinnej ikrze, że anioły popłakały się w niebiosach i słońce wdziało żałobę"... Ale Bóg (nie Bóg chrześciański, przestrzega tu p. Mierosławski w prozopopei, którą także jeszcze niestety, wypisać nam przyjdzie!), ale Bóg prawdziwy, więc nieubłagany, straszliwy, z brodą rozczochraną, od nadiru do zenitu, raptem, swojemu miecznikowi Michałowi, wyrwał obrącz szablę płomienistą i jednem cięciem przepłatał kulę ziemską od bieguna do bieguna, szramą kordylierską, po dziś dzień nie zeszytą... Dopieroż słowo *Stań się!*, naraz przyłożone do wszystkich kraterów młodego świata, wysadziło, spaliło i osuszyło trzeci dzień genezy na czarnoziem dla trzech nowych!"...

„Więc młodzież nic nie znalazła do odpowiedzenia na straszną naukę tej strasznej bajki? Więc się zgodziła na zmiecenie ichtyozaukracyi i batrachokracyi, którą przecież jest biedna szlachta polska? Więc się „nie wcieliła w to ciało", któremu tak cierpieć kazano, i nie wzięła w pierś swą magnetycznie, przed ciosem, tych ran, zaznaczonych na własnych przecież ojcach, matkach, siostrach i braciach?... Alboż może młode pokolenie nie słyszało wcale o Humaniu, Tarnowie, Rzeszowie?... O, ono może tego nie wie: ono

tak mało zna dzieje własnego narodu, nawet dzieje lat temu tylko trzynaście ubiegłe! Niechże więc tu przeczyta choćby jednę małą stronnicę z naszej historyi, świeżą i jeszcze z łez nieosuszoną — data wierzytelna, jak tekst testamentu, wiersze krótkie, jak cięcia gilotyny, słowa lapidarne, jak napisy w katakumbach — i z powyższym apologiem niechajże porówna następny nekrolog!"

Tu długi spis pomordowanych w r. 1846.

„Taką to już odpowiedź — lat temu trzynaście — znalazła obecna zapowiedź p. Mierosławskiego, taka to księga Imion towarzyszy tej księdze Genezy, taka to adfabulacya tej przypowieści, taka historyczna rzeczywistość tej mitologicznej kosmogonii!... A jeśli młodzież nasza myśli, że nawet przez takie ojco- i bratobójstwa godzi się i można wskrzesić zmarłą matkę, jeśli za zwodniczem i zbrodniczem idąc hasłem, „iż ofiar trzeba koniecznie", sądzi, że im te ofiary będą czystsze i droższe, tem będą wykupniejsze, jeśli wierzy, że Królestwo Boże z czarta i że Ojczyzna nawet zbrodni warta... to jej zapowiadamy napewne, że się omyli w tej szulerskiej rachubie, że z tej krwawej loteryi tylko wyciągnie *nullę* i na dnie tej otchłani sobie tylko nicestwo pościele! Nie, wolności nie zdobędą na końcu hajdamackich nożów, i za takiem czerwonem morzem nie znajdą swej obiecanej ziemi!... Jeśliby kiedykolwiek na nas Bóg w swoim gniewie taki kataklizm miał zesłać, jak sobie roi i pieści obłąkana fantazya p. Mierosławskiego... o, wtedy z tego chaosu żaden się świat nie urodzi i „z fal takiego krwotoku" nie wypłynie żadna Polska wielka, wolna, potężna, „z orłem ze srebra i z szablą ze stali" — ale się wynurzy piekielny potwór z toporem watażków i workiem Judaszów, i krótko, tylko dzień jeden może, dzień ostatni, zaszaleje na ruinach ojczyzny, by potem opojony własną posoką, własnym żerem pożarty, własnym jadem roztoczony, dech wyzionąć u stóp Cara i Mongołów! I niechaj sobie młode pokolenie, ci „kmieciów piastowych przewodniki", nawet nie pochlebiają, że dostąpią choćby zaszczytu przodkowania w takiej ruchawce opętanych i potępieńców! Legną oni pierwsi

pod cepem i kłonicą; legnie i ten „mierniczy“ — jeśli uzna za stosowne znaleść się między nimi — a na czele stanie ten, którego tłuszcza zna i rozumie, który tłum podobny prowadzić umie, stanie jakiś „z dopuszczenia Bożego i swywoli ludu“ Szela II, który, zawiesiwszy jak jego poprzednik na trzy dni w imieniu cesarza (na trzy dni lub tygodnie) Dziesięcioro Przykazań, poda wreszcie spieniony motłoch pod knut i ukazy. I na wieki wtedy zaginie imię polskiej szlachty i polskiego ludu, a po młodem pokoleniu nie zostanie nawet pamięć sromotnych Herostratów. I słusznie! Bo „nie drugich śmiercią lecz własną bezpłodnie, kończą na ziemi wszystkie ziemi zbrodnie“, bo „bez szlachty ludu nie ma“, i nie masz Polski bez katechizmu!“...

„I jakąż skargę zanieść do Boga, że z takiemi doktrynami jeszcze walczyć potrzeba, że wśród narodu, który w przeciągu lat siedmdziesięciu widział Koliszczyznę i „trzy dni tarnowskie“, przychodzi jeszcze dowodzić młodemu pokoleniu, że rzeź nie zbawienie! I jakąż modlitwę przesłać do niebios za tę biedną rozćwiertowaną Polskę, w której po tylu dopustach i próbach, jeszcze taki człowiek, jak p. Mierosławski, swój głos podnosi, młodym naszym braciom nóż wślizga w ręce i przekleństwa kładzie w usta, krwawiących się jeszcze ran ojczyzny dotyka palcem niewiernym — nie żeby uwierzyć, ale żeby załechtać — i grozi sztyletami i szyderstwem przeszywa, i czego szałem nie dotruł, to błotem obrzuca!“ ...

„O, i nietylko ciało i krew Polski, ale Ciało i Krew Pana rzucił ten człowiek w bezdenną otchłań błota! Nietylko biedną męczennicę Trójkata, ale i przenajświętszą Ofiarę Trójcy przekłuł szpilkami szyderstwa i bluźnierstwa ten czciciel Boga straszliwego! Nie dość, że mówił o spisku Watykanu i Petersburga przeciwko „pańszczyznianemu narodowi“, niedość że się urągał z „Polski posłusznej kongresom i Papieżowi“ i z szlachty „broniącej swoich ołtarzów“ — on radził nadto naszej młodzieży przenosić „kazanie w Moliera świątyni nad komedyo-operę w świątyni Loretańskiej“ i najuroczystsze obrządki naszego Kościoła obydził

mianem sprosnego spektaklu! O, tego jeszcze nie dosyć! Człowiek ten wyrzekł, napisał, wydrukował następne słowa, które bez zmiany, ale nie bez drżenia tu kładziemy i które piekielnym ogniem długo palić się będą na grobowym kirze naszej Polski, słowa:

...„Bóg prawdziwy, nie ten omniszony podrzutek Jezuitów, co dzisiaj samemu sobie śpiewa w Sykstyńskiej kaplicy, w haftowanych pantoflach i w chaldejskim szlafroku“...

„I takie słowa słyszała młodzież polska, młodzież katolicka, młode pokolenie tego narodu, który wciąż się głosi przedmurzem chrześciaństwa i żali się przed Europą na prześladowania i okrucieństwa schizmy, który zbrojne swe hufce nazywa „wiarą“ i którego lud jeszcze dotąd świadczy rzymskiej wierze w męczarniach i katuszach pod knutem moskiewskiem, którego najdawniejszym hymnem jest pieśń *Boga Rodzica,* a najwyższą Panią Przenajświętsza Matka! I takie słowa słyszała owa młodzież bez zgorszenia, bez oburzenia, bez wykrzyku rozpaczy o, podobno je nawet okryła oklaskami!!! I nikt wówczas z młodych słuchaczów nie pomyślał, jakiego to narodu jest dzieckiem, jakiej Królowej poddanym? I żadnemu nie stanęła wtedy w pamięci własna matka lub siostra, która się może w tej samej właśnie chwili modliła do tego Boga za tego syna lub brata, żadnemu nie przyszła na myśl jakaś ukochana istota na ziemi, jakaś droga dusza w niebiosach? Nikt nie drgnął, nikt nie powstał z tych przyszłych powstańców, nikt z tych „świętych męczenników niebawnych mścicieli“ nie zemścił Chrystusa, gdy Go w ich oczach powtórnie męczono, octem i żółcią pojono? I żaden z tych „nieodrodnych spadkobierców dawnych Podchorążych“ nie przypomniał sobie, nie słyszał może, że owi bohaterscy Podchorążowie w wilię nocy listopadowej spowiadali się i komunikowali; i nikt z tych dorastających „krzyżowców“ nie miał nawet uczucia, instynktu tego prostego kaprala w *Dziadach,* który chociaż dawno nie wiedział, gdzie jego podziała się wiara, jednak francuskim kolegom nie dozwolił bluźnić imienia Maryi?“...

„Bóg miłosierny, Bóg dobry i litościwy, raczy im odpuścić tej winy! Przez pamięć naszych bólów, przez pamięć tylu polskich męczenników, co ginęli i giną za Jego wiarę, przez tę krew krzyżowanych na tysiącach krzyży poddanych swoich, „krew płynną przez lata po wszystkich ziemiach pod mieczem Trój-kata“, przez błaganie tej Jego Matki, z której świętem na ustach imieniem, od lat już tysiąca, z ciał polskich dusz polskich wyszły miliony, On nie pójdzie w sądy z tymi biednymi młodzieńcami i Polsce nie policzy ich błędów i obłąkania! On ich natchnie duchem pokory i myślą pokuty, On oczyści ich serca, oświeci ich rozumy i da im jeszcze żyć na chwałę Sobie, na pożytek ojczyźnie!“...

. . . .

„Kiedy wiek temu blisko zacni a światli mężowie zajęli się naprawą Rzeczypospolitej, pomyślano wówczas także i o młodem pokoleniu i postanowiono kształcić z niego przyszłych obywateli i obrońców ojczyzny. Założono szkołę, w której uczono wszystkich humanitarnych i wojskowych przedmiotów, i wydano dla niej sławny katechizm, który wykładał, że honor jest prawem, ojczyzna celem, a wiara zbawieniem żywota. Kadetów było imię tej szkoły i *Rycerskim* nazywał się *katechizm*. Z tej szkoły i z tego katechizmu wyszli Kościuszko, Kniaziewicz, Niemcewicz, Weissenhof, Mostowski, i tylu innych ludzi, którymi Polska odżyła — tylu patryotów, męczenników, bohaterów!“...

„O, dzisiaj inną otwierają szkołę dla młodego pokolenia i inny mu wykładają katechizm -- katechizm zaprawdę Nie-rycerski, ale hajdamacki, zbójecki i bluźnierski, a na nim — czy Pankracy zaprawia biednych Leonardów do odgrywania niebawem, na polskiej ziemi, szatańskiego *mysterium* Nie-boskiej Komedyi!“...

Chce się wybierać, obcinać, wyrzucać, skracać — nie można! Które tu słowo zbyteczne, albo które mniej mądre, mniej piękne od drugiego? które mniej godzi w samo sedno polskiej sprawy i przyszłości, i które mniej trafia w samą rdzeń rozumu, a mniej dzielnie na wskroś przebija skorupę czaszek twardych a serc zatwardziałych? które zaklęcie mniej

od drugiego wstrząsa samą głębią, samą istotą polskiego uczucia, miłości ojczyzny, polskiego i ludzkiego sumienia? Nie, takich słów słabszych niema; nie przebieramy więc, podajemy je wszystkie. Tak mało są znane niestety, tak zapomniane, że będą nawet dla wielu nowością, odkryciem!

Z jaką goryczą, z jakim bólem serca pisały się te słowa! Ale z większym odczytują się dziś. Klaczko kiedy je pisał mógł przypuszczać, łudzić się, że się na coś przydadzą, że się nie odbiją jak groch od ściany od mózgów zakutych a serc zepsutych; my dziś wiemy, że on nie znalazł wiary, że polityka przeciwna robiła swoje, że on także, jak wszyscy przed nim od Skargi począwszy, *visus est sicut ludens loqui*. Jak Szatan do umierającego w *Dniu dzisiejszym*, tak do nich wszystkich mówi Szatan historyczny: „Próżno się żżymasz, przegrałeś w tym boju“. Przegrał, prawda. Tylko z nim razem, z nimi wszystkimi razem, przegrywała zawsze, i przegrała, Polska. Mierosławski sam nie wierzy w to, co mówi o konspiracyi Towarzystwa Rolniczego z Aleksandrem II. My jego o to nie oskarżamy; on z tym cesarzem konspirować przeciw Polsce nie chciał, ale choć nie chciał, robił, jak żeby w zmowie z Moskalem, robił w Polsce interesa Rosyi, jej polityce, nie polskiej, dopomógł do zwycięstwa. Jego zamiary powstańcze poszły na marne, ale jego ideały rewolucyjne zostały, krzewiły się, żyją pod formą zorganizowanej anarchii, mordów i rozbójnictw, a jego „Bóg omniszony podrzutek Jezuitów“, ten utrzymał się także, Jego bluźnierstwa rozlegają się po ziemi głośniej, liczniej jak przed pół wiekiem, powtarzane na wszystkie tony w słowie pisanem, wpajane przez starszych dzieciom jako hasła postępu.

Gorzej nam dziś, niż było Klaczce, kiedy *Katechizm Nierycerski* pisał.

Że ten ściągnął na niego gniewy, groźby, protesty obrażonego patryotyzmu (!), rzecz prosta. Oto, jak je opisuje w liście do Kastorego, bez dnia, ale widocznie z końca lutego:

„Z Leonem (Kaplińskim) mieliśmy i mamy dotąd przykre przeprawy. Chodziło o *Szuję*[1]). Zdawało mi się być świę-

---

[1]) Mierosławskiego — przydomek, wzięty z tytułu jego poematu.

tym naszym obowiązkiem powiedzieć coś o jego mowie. Przekonanie to było podzielone tak przez Księżnę (Marcellinę Czartoryską), jak przez Horacego. Zająłem się więc rzeczą, rozchorowałem się, pisałem właśnie, gdy konał Zygmunt, pisałem wierzaj mi że łzami i krwią. Ale pisanie to nic: co za trudna przeprawa z Feliksem [1])! Oświadczył, że wystąpi, jeśli wydrukujem — ale gdy widział, żeśmy zdecydowani *passer outre*, pokazała się wtedy niezawisłość i niepodległość wszystkich tych duchowych ludzi, co wciąż na materyalizm Walerego wygadują! Czy uwierzysz, że on nam doprawdy proponował swoje wystąpienie — na ten jeden numer, po którymby wrócił?... Gdyśmy na taką komedyę naturalnie przystać nie chcieli, „poświęcił“ się dla zgody braterskiej i pozostał. Ale co za kwasy, co za żale i przygryzki! Cokolwiek bądź, nie żałuję tego kroku, chociaż wielu przykrości był przyczyną. Młode pokolenie niesłychanie oburzone. Gałęzowski krzyczy, że „prowadzę do zakrystyi“, a partya Szui gotuje odpowiedź, a którą ma uzupełnić jeszcze „kijami“. Czy uwierzysz, że główny ich zarzut jest, jakobym denuncyował młodzież przed rządem rosyjskim i zdradził jej obecność na obchodzie, gdzie miano do niej tę mowę!! Jakby sami nie wydrukowali tej oracyi z napisem do młodego pokolenia! Jakby w tej mowie wyraźnie Szuja do obecnych nie przemawiał i nie rzekł: „Kiedy wrócicie do kraju a spytają was coście przywieźli“ i t d. Jakby w ogóle policya rosyjska nie wiedziała o naszych publicznych obchodach! Młodzież, jakem Ci już powiedział, bardzo oburzona“.

„Przedwczoraj dała w salonach Verego bal składkowy, którego solenizantem był Szuja, a gospodynią — pani Sienkiewiczowa! Mniejsza, że tam na mnie chórem krzyczano „biada“, ale to boli — że młodzież polska bal dała w trzy dni po pogrzebie Zygmunta! Ja odbieram wciąż bezimienne listy, przepełnione groźbami i obietnicą „cięgów“ — gdyby te epistoły były przynajmniej ortograficznie pisane!...“

„Ale wróćmy do Leona: jeśli znasz jego charakter, jego oglądanie się na ludzi, jego moralny podział wszystkiego na

[1]) Wrotnowskim, współredaktorem *Wiadomości*.

przyjemne i nieprzyjemne — to się domyślisz jego fluktuacyj w tej całej sprawie — ja Ci ich opisać nie jestem wstanie. Zrazu oświadczył i rozgłosił wszędzie swoje wystąpienie; ale na przedstawienia Księżnej a przedewszystkiem na kazania Horacego, który prawie dzień w dzień do niego chodził i go upominał, znowu się zbliżył, by znowu zrywać i tak bez końca. Zależało to od osoby, którą każdego dnia widział. Pojechał był do Bohdana i wrócił już zupełnie dobrze usposobiony; nazajutrz spotkał się z Mazurkiewiczem i gromy na nas spadały! Wciąż badał swoje sumienie, a właściwiej i prawdziwiej białka w oku tych, którzy mu się nawijali, i przyszło nawet do tego, że i Waleryana zniecierpliwił, co dali Bóg nie mało znaczy. Wciąż zaręcza, że nasze przekonania i oburzenie podziela, że mamy za sobą i prawdę, i słuszność, i zacność — a jednak... „nie godziło się!!!" I dlaczegoż nie godziło się? Dlaczegoż sumiennego słowa nie powiedzieć, kiedy z drugiej strony wszystkiego się dopuszczają dla ohydzenia wszelkich uczciwych ludzi i robót, i trują serca i zawracają głowy, i nóż ostrzą bratobójczy, i bluźnią wierze i Bogu? Skąd taka exempcya właśnie dla najpodlejszych?"

„W tej właśnie chwili przerwał mi Walery doniesieniem, że był u niego Leon i oświadczył, że przy nas stać będzie, a to dlatego, iż nam grozi niebezpieczeństwo, iż mówią o kijach. Nie wiem, jak Ty to uważasz, ale mnie ta teatralna wspaniałomyślność ani buduje, ani rozczula. Wolałbym, aby przy nas stał dlatego, że z nami dobra sprawa że nasze przekonanie podziela. Może to wina zbytniego dawniej przesycenia się — ale ja mam teraz odrazę do wszystkich tych wielkich frazesów i scen romansowych! Cokolwiekbądź, mój kochany Ludwiku, nie miej o mnie obawy. Ci panowie odważniejsi językiem, niż czynem — z żakami strzelać się nie myślę (chyba gdyby Bóg natchnął samego Szuję, bo by może była szansa i zasługa dla kraju), a w razie nawet żeby mieli w istocie „drewnem grzbiet mi przepaprzyć", że użyję stylu Staszica w jego przekładzie Homera, to zniosę krzywdę z największym spokojem ducha i wcale się nie będę miał za shańbionego".

„Ach, że też wszystko u nas tak idzie oporem, że tak łatwo burzyć i podburzać, a tak trudno budować i uchować, i że tylko niewdzięczność u nas ma prawo nazwy niezawisłości! A jednak wyznam Ci szczerze, mój drogi Ludwiku, że właśnie w tych przykrych trybulacyach trochę się pokrzepiłem, że od dwóch lub trzech tygodni żyję życiem nie tak zgniłem, jak od lat tylu, i że nawet z umysłu i duszy mojej spada cień, który je oblekał od czasów już tak dawnych! Gdyby Bóg dał, abym w istocie i na zawsze się uwolnił od zmory ciążącej na mnie, od wspomnień, co mi rozszarpały serce i mózg wolnym a piekielnym wypaliły ogniem“...

„Ach ja bym z radością przyjął wszelkie próby i gorycze, bobym znów mógł żyć, pracować i nie być grobem własnego jestestwa, jak dotąd! Od dwóch lub trzech tygodni mam chwile, mam godziny duchowego spokoju, pogody serca, jakkolwiek znękanego. Mój Boże! mój Boże! oby to było początkiem mego zupełnego wyleczenia, powrotem stałym dawnego pokoju, dawnego światła, dawnej ochoty do życia“!...

III.

Śmierć Zygmunta Krasińskiego. Artykuł *Wiadomości.* List Klaczki. Nieporozumienie z Czartoryskimi. Wojna włoska. Klaczko o wojnie włoskiej. Dalsze artykuły z roku 1859. *Konspiracya i jawne działanie.* Rok 1860. Nieporozumienie w redakcyi. *Polska w roku 1860.* Zamknięcie *Wiadomości Polskich.* Polskie pisma Klaczki. Znaczenie *Wiadomości.*

Katechizm Nierycerski wyszedł 19 lutego 1859 r., 23-go umarł Zygmunt Krasiński. Trzy dni później w *Wiadomościach Polskich* artykuł o jego śmierci. Krótki, dwie strony ledwo. Pisany przez Klaczkę i Kalinkę.

„Polska poniosła jednę z tych strat niepowetowanych, której całego ogromu nawet nie jest w stanie w pierwszej chwili objąć myśl rozdarta, i na duszę narodu padł cień żałoby, który się tylko powiększa, im bardziej się pamięć usuwa. Dnia 23 lutego umarł w Paryżu, po ciężkiej a długiej chorobie, Zygmunt hr. Krasiński“.

„Nie tu miejsce ani czas teraz powiedzieć, jakim żywotem nieprzerwanych a rozdzierających bólów był żywot wielkiego męża, przez jakie przechodził katusze, z jakiemi walczył pokusy, aby utrzymać godność i wiarę swego narodu. Nie tu miejsce wykazać, jakim wzorem, upomnieniem, przestrogą był dla tych wyższych warstw naszego społeczeństwa, do których z rodu i stanowiska należał. Nie tu także miejsce wyliczać dzieła natchnione, jakiemi unieśmiertelnił imię, które głośną się stało chwałą wieku, a cichą modlitwą kraju“...

„Możemy tu tylko przypomnieć, że po Adamie Mickiewiczu, najwyższy to był wieszcz narodu, przywódzca jego myśli, kierownik jego sumienia :*currus Israel et auriga eius!* — że się palił wciąż ofiarą na ołtarzu ojczyzny i natchnioną piersią objął wszystkie jej bóle i wszystkie nadzieje. Anioł-stróż narodowego ducha, jego czystości, świętości, był on zarazem lekarzem naszych serc rozszarpanych, naszych rozpadłych umysłów, i na wrzody i rany polskiego ciała lał gojące balsamy wiary i miłości. W nocy naszej niewoli głosił przedświt zmartwychwstania, ciosy i klęski przeczuł duchem proroczym i przed niemi przestrzegał, upominał, a gdy się ziściły, przez żal i skruchę dostąpił tej dobrej woli, która najwyższym jest darem ducha i ją przekazał Polsce w najszczytniejszym hymnie naszej mowy, jako testament, jako słowo i ostatnią wolę!“

„Rodacy w kraju uczują całą wielkość tej straty i okiem serca obejmą straszną próżnię, nastałą w krainie ducha... My tutaj, wyznajmy z żalem, może nie ze wszystkiem odpowiedzieliśmy ważności takiej chwili. Bo w miejscu, w którem piszemy i w którem zgasł mistrz polskiej myśli i prawdy, rodacy nie uczcili tej dotkliwej klęski poważnym smutkiem, dnia śmierci wieszcza nie obchodzili jako dzień narodowej żałoby i na wyżynach polskiego towarzystwa nie spędzili w należnem i cichem skupieniu doby, w której, z jedną tą duszą, tyle nam i Polsce ubyło!“

„Nawet względy miłosierdzia i światowych z obcymi stosunków, jakie z pewną w istocie słusznością mogli mieć najzacniejsi, nie zdają się nam tym razem wystarczać zupełnie... Gdy jeden z uczniów się gorszył, że święta niewiasta wylewała na stopy Chrystusowe kosztowny olej, który sprzedany mógłby nakarmić ubogich, odrzekł Zbawiciel: „Ubogie zawsze z sobą macie, ale mnie nie zawsze mieć będziecie“. Otóż i my powiemy: „Troskę o ubogich mamy codziennie, ale nie zawsze daną jest nam chwila, w której możemy uzacnić się przed światem czcią oddaną duchowi narodowemu“.

Co to jest? dlaczego tak mało? dlaczego nie zdobyli się na więcej, i to we dwóch jeszcze? Co znaczy wyrzut,

że Polacy w Paryżu nie ze wszystkiem odpowiedzieli ważności tej chwili?

Wyrzut odnosi się do balu w Hotel Lambert, który się odbył nazajutrz po śmierci Krasińskiego. Zaproszenia były rozesłane, cofnąć się już nie dały. Bal wywołał dużo nieporozumień i przykrości; opisuje je Klaczko w liście (tym samym) do Kastorego.

„Śmierć p. Zygmunta, pewna ociężałość w skutek tak bolesnego wypadku, wreszcie trybulacye różnego rodzaju, o których zaraz obszerniej się rozpiszę, przeszkodziły dotąd mojej odpowiedzi na Twój list dobry i serdeczny. Że nasamprzód o zmarłym wspomnę, to wiesz z doświadczenia, że grób jest zazwyczaj tym tygielkiem Biblii, który z kruszcu same tylko oddziela i widzieć daje złoto. Wszystkie słabości, małości, dziwactwa, znikły nam z oczu, a przed zbolałem sumieniem staje tylko mąż wielki i natchniony, mistrz myśli, który się usunął i taką straszną próżnię zostawił w naszym świecie moralnym! Kogóż teraz mamy, kim się szczycić, do kogo westchnąć z ufnością z tym mistycznym — jeśli chcesz — zabobonem, ale który przecież część naszego biednego żywota stanowi? Co za puszcza teraz na naszej spiekłej niwie, co za czczość w krainie ducha! I Juliusz i Adam nas odbiegli — zostaliśmy bez żadnego już serc przewodnika, bez żadnego głosu z góry, och, i coraz podlej na tym podłym świecie!“

„Zygmunt umarł! Prawie bez konania, zgasł z wolna i w dniach ostatnich żadnego wyższego słowa nie wyrzekł — nawet dzieci nie widział i nie pobłogosławił przed śmiercią i ledwo że ksiądz Jełowicki w ostatniej chwili zdołał mu dać Święte Namaszczenie [1]). Testamentu nie zostawił. Pochowaliśmy go w przeszłą sobotę. Orszak był liczny. Pani Zygmuntowa z dziećmi szła za trumną. Żegnanie się w kościele z drogiemi zwłokami było rozdzierające. Zresztą pani Eliza znosi mężnie cios ten straszny; biedni chłopcy są jakby odu-

---

[1]) Podług zeznania innych, naocznych świadków śmierci, wszystkie Sakramenta.

rzeni, jeszcze i wczoraj ich widziałem i pocieszałem ich przez ciąg dwumiesięcznego nauczania, bo wielką mają bystrość i miłość do rzeczy krajowych. Jedna to z cichych a dobrych zasług nieboszczyka, że w dzieciach swoich zaszczepił taką gorącość uczucia polskiego, że mogłyby się podzielić z całą młodzieżą naszą arystokratyczną, która właśnie teraz dała dowód swej podłości — o czem zaraz wyraźniej. Jak długo familia tu jeszcze zabawi, nie wiem. Ludwik Krasiński gorliwie się zajmuje jej interesami i miałem od niego w tej mierze kilka depesz telegraficznych. Muszę Ci też powiedzieć, że p. Zygmunt zostawił dużo niewydanych a ważnych tworów: mianowicie I i III część *Nieboskiej Komedyi* [1]), spory zwój Rapsodów o św. Teresie (której Glossę pani Adamowa, jak wiesz, w małej liczbie egzemplarzy dawniej już odbić kazała), mnóstwo wierszów i t. d.; najważniejsza jest jego korespondencya: pisał dużo i na wszystkie strony, a zbiór takiej korespondencyi byłby jednym z najciekawszych, najpokaźniejszych pomników literatury, ale i duszy polskiej. Staram się przez Andrzeja Koźmiana wpłynąć na panią Elizę, aby wydała co można wydać z papierów męża. Co to za pokrzepienie byłoby dla spragnionej myśli narodowej takie wydanie w obecnej chwili! Pani Eliza podobno nie jest od tego, ale Braniccczyzna odwodzi ją od zamiarów w ciągłej obawie o majątek: gdyby wydano, mawiają, toby rząd rosyjski dzieciom zabrał majątek!! Co za troskliwość o mamonę, a tak jeszcze niepotrzebna — bo powiedz, czy jest podobieństwo, aby w obecnych szczególnie stosunkach Aleksander karał dzieci małoletnie za ojca? Ale w każdym razie nie rozgłaszaj tego; bo może się da coś zrobić, jeśli tylko o tem za wiele gadać nie zaczną. I pani Delfina posiada wiele wierszów i naturalnie listów nieboszczyka. Ona nierównie skorszą jest do ich ogłoszenia, ale nie przez wzgląd na dobro i chwałę kraju. Ach, że też śmierć każda tyle zarazem próżności i małości w żyjących odkrywa! Pani Eliza

---

[1]) Pomyłka: nie zostawił ani trzeciej części *Nieboskiej Komedyi*, ani *Rapsodów*, ani m n ó s t w a wierszy.

przysłała mi fotografię p. Zygmunta, arcydzieło życia, wyrazu, charakteru".

„Jakże to smutnem przeznaczeniem naszem, że zgon każdego naszego wieszcza musi być oznaczony skandalem? Mieliśmy taki i przy śmierci p. Zygmunta i to już nie od Jaźwińskich [1]). Dnia 24-go miał być bal w Hotelu Lambert. Pobiegłem do Jenerała zaraz rano (p. Zygmunt umarł o północy) i dowiedziałem się, że już był uczynił kroki u Księstwa, aby bal odłożyć. Księżna Anna nie chciała, pod pretekstem, że za późno już odwoływać inwitacye. Udaliśmy się więc w deputacyi do księżnej Anny: Morawski, Plichta, jenerał Władysław, Walery i ja. Dobra i kochana nasza [2]) Księżna, wspólnie z Jenerałową i Cesią [3]) ze swojej strony, krzątała się, błagała, upominała. Stary jak zawsze wachał się i nie śmiał decydować; księżyc [4]) nie mógł zrozumieć naszego nalegania i wołał: *Restez neutres!* Ale w skutek dwugodzinnego proszenia otrzymaliśmy wreszcie przyrzeczenie, że tańców nie będzie, ani muzyki, i że gospodyni w żałobie przyjmie gości i wytłómaczy powód; wymienione trzy panie miały także być w żałobie i pomagać gospodyni w eksplikacyach. Ostatnie słowo nam dane było: *Je ferai ce que vous voulez, il n'y aura pas de musique!*"

„Wyszliśmy zadowoleni, a manifestacya taka byłaby i pamięć Zygmunta godnie uczciła i dla nas się stała zaszczytną. Przyszedł wreszcie wieczór. Nasze panie stawiły się w żałobie, zaczęły już tłómaczyć gościom Francuzom. Księżna Chimay i margrabina de Béthisy odpowiedziały: *Mais il faudrait avoir un coeur de pierre et de boue pour vouloir danser*... Ale gospodyni inaczej myślała; balowo wystrojona nic nie mówiła i dała wreszcie hasło fatalne muzyce, której nie odprawiono. Tańczono więc, tańczono do pią-

[1]) Jaźwiński, emigrant, uderzył kijem jenerała Zamoyskiego przy pogrzebie Mickiewicza.
[2]) Ks. Marcellina Czartoryska.
[3]) Panna Cecylia Działyńska, siostra Jenerałowej Zamoyskiej.
[4]) Ks. Władysław Czartoryski.

tej rano w samą dobę śmierci Zygmunta!! Stary Książę myślał, że wszystko ocalił, skoro nie był przytomny tańcom, a Polakom zalecił wstrzymać się od nich. Ha! któż kiedy Polaka wstrzymać mógł od płochości? Tańcem i obiadem zaprowadzono ojczyznę do grobu!! Młodzież polska ani chciała słyszeć o takiej heroicznej abnegacyi, a nikczemna głupota starych ją tylko ośmielała. Mądry Barzykowski się dziwił, że tak wielką robię afferę z człowieka, który kilka napisał wierszyków; Bystrzanowski [1]) z bystrością zagadywał: *Tant d'embarras pour le fils d'un général*, a Sawicki się w końcu pytał, cóżby więc robi no jakby umarł Sawicki?!! [2]). Wszystko co Ci piszę jest wierzytelnem, przysięgam Ci na honor, a nie wierz tym, co mówią, że Polacy się wstrzymali. Kłamstwo nikczemne! I panie polskie tańczyły, a na ich czele pani Uruska, i młode nasze pokolenie tańczyło. Podłe nikczemniki! Och tak to nasza arystokracya uczciła męża, który najwymowniejszym jej był obrońcą, jedynym jej geniuszem — i salon to Księcia był teatrem takiej niegodziwości!“

„Za pierwszem uderzeniem smyczka panie nasze opuściły Hotel, to samo uczynił i Walery, poszedłszy wprzód do księżnej Anny, spojrzawszy w oczy i ukłoniwszy się nisko. Ja siedziałem w domu z Horacym, ani przypuszczając takiego skandalu, gdy wpadł Walery blady jak trup i rzucił się na sofę zalany łzami. Postanowiliśmy bądź co bądź nie przepuścić tego w milczeniu. Siadłem i napisałem.. Ale nazajutrz zaczęli nas reflektować. Jenerał i panie nasze byli za nami; Morawski (Teodor) groził nam największą niełaską i krzyczał w niebogłosy. Musieliśmy łagodzić wyrażenia, wykreślać całe ustępy i tak wyszedł artykuł, którego większa część czytelników wcale nie zrozumiała. Mimo to gniewy na nas były wściekłe; Morawski napisał nam w suchy i niegrzeczny sposób, że już nie jest prenumeratorem; w Hotelu od czterech dni wszystko na nas wre i kipi. Nie mają odwagi z nami zerwać; ale wystąpili z projektem wyprowa-

[1]) Ludwik — pułkownik.
[2]) Sawicki, domownik Czartoryskich.

dzenia Biblioteki do nowo budującego się domu dla szkoły wyższej na Montparnasse; a gdyśmy powiedzieli, że w takim razie ustałyby wszystkie nasze roboty, bo bez Biblioteki ani krokiem ruszyć niepodobna, a na Montparnasse zagrzebać się nie myślimy, odrzekli nam Morawski i Barzykowski, że prace nasze są chwilowe i czasowe, a tu chodzi o pomnik wieczny!! Ci ludzie zawsze tylko myślą o stawianiu mauzoleów i wyprawianiu styp... Z projektu tego nic nie będzie, jest on tylko miarą ich rozdrażnienia i podstępności; ale miarkuj z tego, jakie to trudności napotyka u nas choćby i najtrudniejsza, byle uczciwa i sumienna praca".

„Cokolwiek bądź, mój drogi Ludwiku, w podobnych próbach jeśli wiele się traci, to też i niemało zyskać można. My zyskaliśmy na bliższem poznaniu się i związaniu kilku prawych umysłów. *Le lendemain d'une défaite les bons soldats se retrouvent* — powiedziała nam nazajutrz po balu nasza dobra Księżna, i też w istocie Księżna, Jenerałowa, Cesia, Jenerał, Walery, Horacy, i ja, jesteśmy teraz ściślej niż kiedykolwiek z sobą związani, a w takiem towarzystwie i z takiem poparciem jestem zdecydowany wytrwać aż do końca. Jenerał może mieć swoje liczne ale, ale ma uczucie godności polskiej w wysokim stopniu, ma hart i wytrwałość, a dla ludzi sumiennych i gorliwych współczucie i współudział, który szanuje ich niezawisłość i żołnierzy dobrej sprawy nie myśli zamienić w dworaków. Księżna przez Horacego bliżej teraz poznała Waleryana i ceni go jak zasługuje. Schodzimy się u niej często. Co się tyczy Horacego, to jego Walery zupełnie skonfiskował dla sprawy. Perswaduje mu ciągle, że jedyne dla niego stanowisko i przyszłość, aby się stał naszym Dudley-Stuartem, że ma do tego potrzebną miłość sprawy, znajomość naszego narodu, niezależność, socyalną pozycyę, dobre imię i rozległe stosunki. O, trzeba być Walerym na to, aby na podobne wpaść pomysły — a nie prawda, że to pomysł godny takiego intryganta?"

„Biedny, poczciwy Walery! Ach co ten człowiek się trawi i cierpi, i znosi, i pracuje dla dobrej sprawy — i to wszystko, aby być ohydzonym i błotem obrzuconym! Horacy

powoli wchodzi w ten zakres pojęć i bierze udział we wszystkich naszych naradach i pracach. Pisze on teraz do *Revue des Deux Mondes* artykuł o p. Zygmuncie, jeśli nie podoła, to ja może podejmę się tego. Oprócz tego organizuje on pod wpływem Walerego biuro francuskie dla naszych rzeczy, aby raz po raz podawać potrzebne artykuły do gazet francuskich i angielskich. Słowem, zajmuje się już nami szczerze — szczerzej od wielu, co świętsze mają do tego obowiązki i wciąż o tych obowiązkach prawią".

Sprawa balu nie skończyła się na tem; miała ciąg dalszy. Artykuł *Wiadomości* (choć istotnie bardzo łagodny) zabolał starego księcia Adama, a rozgniewał jego żonę, dzieci i domowników. Andrzej Koźmian mówi wiele o tej sprawie w listach do dzieci i staje po stronie Czartoryskich przeciw Klaczce. „Balu już odłożyć ani odprosić nie mogli; stara pani Branicka prosiła ich, żeby się wstrzymali od wszelkiej publicznej manifestacyi żalu, bo rząd rosyjski mógłby się mścić na dzieciach Krasińskiego". Żeby więc urazy załagodzić, starego Księcia pocieszyć, Koźmian napisał korespondencyę do *Dziennika Poznańskiego* o całej sprawie balu. Napisał tedy, że odproszenie gości było już niemożliwem, że starano się nie dopuścić do tańców, ale tego cudzoziemcy zrozumieć nie mogli, że wreszcie nikt z Polaków nie tańcował.

Na tę korespondencyę Klaczko znowu posłał do *Dziennika Poznańskiego* sprostowanie. Krótkie, ściśle rzeczowe i ze swoim podpisem. Mówił w niem, że odproszenie gości byłoby się dało zrobić, że na przedstawienia i prośby niektórych Polaków przyrzeczono odprawić muzykę i nie dać hasła do tańców, że Francuzi byliby zrozumieli powód takiej zamiany balu na prosty wieczór, co niektórzy z nich wyraźnie mówili, że wreszcie były i Polki i Polacy, którzy tańcowali.

Po tem sprostowaniu dopiero największy gniew. Wyraża go i opisuje go Koźmian w listach do dzieci. Po jakimś czasie Klaczko, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, żałował przykrości zrobionej drugim, i na ręce Jenerała Za-

moyskiego napisał list z przeproszeniem do starego Księcia. Książę oświadczył, że urazy nie zachowuje, ale listu jednak czytać nie chciał. Wkrótce jednak oba jego synowie przyszli do Klaczki i podali mu rękę do zgody, i tak się ta sprawa skończyła [1]).

Wojna włoska! Kto pamięta wiosnę r. 1859, ten przyzna, że było w niej coś podobnego do „pamiętnej wiosny“ Mickiewicza. „Jakieś oczekiwanie tęskne i radosne“. Nie wiedziało się, że to będzie także tylko „mara senna“, a ta mara była tak piękna! Nikt nie wiedział w tych pierwszych miesiącach, że Napoleon III nie przewidział dalszych następstw, nie przygotował końca podjętej sprawy. Że ona się zawikła kwestyą rzymską, to przewidywali może mędrsi, doświadczeńsi; że za oswobodzeniem Włoch nie pójdzie oswobodzenie Polski, ale za ich zjednoczeniem pójdzie zjednoczenie Niemiec w ręku Prus, że Francya zyska wprawdzie Sabaudyę i Nizzę, ale zyska i niewdzięcznego sąsiada, który stanie się sprzymierzeńcem jej nieprzyjaciela, to jeden Bismarck może widział, i on nawet w śmiałych marzeniach więcej, niż w ustalonych wyrachowanych zamiarach. Ogół tego nie wiedział, nie przypuszczał, a widział wojnę, podjętą dla oswobodzenia jednego narodu z pod obcego panowania, widział zapał francuskich wojsk i francuskiego narodu dla tej sprawy, a to widząc, myślał dobrodusznie, naiwnie, że się coś w świecie zmienia, że świat staje się lepszym, piękniejszym, że prawo, że sprawiedliwość, że wolność ma swoich rycerzy i może zwyciężyć, że braterstwo ludów nie jest marzeniem, lecz rzeczywistością, faktem — że ta wojna, to prawdziwa krucyata dobrego przeciw złemu, a ta chwila w historyi tak wzniosła, tak wielka, jak równej chyba nie było nigdy.

„Marzyłem cudnie, srodze mnie zbudzono“, mógł o sobie powiedzieć europejski świat; gorycz zbudzenia była straszna, ale chwila złudnego marzenia była tak rozkoszna, jak wyobrazić sobie nie może, kto jej sam nie przebył.

---

[1]) *Listy A. E. Koźmiana.* Tom III, str. 311 i dalsze, z 23 i 26 marca.

Ale mogła się stać i niebezpieczną — zwłaszcza dla Polski. Polska, cała jak była, drgnęła „oczekiwaniem tęsknem i radosnem“, myślała, wierzyła, że po Włoszech, prędzej czy później, przyjdzie jej czas, na nią kolej. Ale ten czas może nie przyjdzie zaraz, rychło; a oczekiwanie, obudzona nadzieja, podniecona wyobraźnia, może nas unieść za prędko, za daleko, i zaciemnić widoki, pokrzyżować drogi przyszłości. Posiadania siebie, mocy nad sobą, jasnego i trzeźwego sądu, roztropnego postępowania, potrzeba nam bardzo wiele — tem więcej, że tych przymiotów nigdy nie mieliśmy dosyć, a mamy zawsze między sobą wielu, którzy je nie za przymioty mają i głoszą, ale za małoduszność i brak miłości ojczyzny.

W tej więc chwili, ciężarnej stanowczą zmianą w stanie Europy, ale ciężarną może i niebezpieczeństwem dla Polski, *Wiadomości* miały obowiązek przemówić i mówić. Zaczynają się artykuły Klaczki o wojnie włoskiej.

Jest ich, w r. 1859, pięć.

Pierwszy: *Wojna włoska,* to wybuch uczucia, zapału, nadziei. Ale jednak i przestroga także, i upomnienie.

„W chwili, gdy kreślimy te wiersze, losy Europy się ważą i przeważają na stronę wojny. Z obawą przez szczęśliwych, z utęsknieniem przez uciemiężonych, w swych początkach wyglądana, wojna ta jest szczytną w swych podnietach, jak w skutkach nieobrachowaną. Ale jakiekolwiek ścieśnione granice by jej chciano i umiano nadawać, to placem boju zawsze będzie wielki świat chrześciański i jeśli nie o ziemię, to zawsze potrąci o duszę Polski“.

„Bo duszą Polski jest prawo i sprawiedliwość: prawo Boże, nadane narodom do samodzielnego bytu, i sprawiedliwość, wymierzona ludom według ich zasług w cywilizacyi i chrześciaństwie, i według ich godności i wytrwania w męczeństwie. Gdziekolwiek prawo i sprawiedliwość stają do boju, duch Polski jest z niemi, i o nas, choć bez nas, głosi wszelka myśl szlachetna, wszelkie słowo twórcze, w paktach Europy objawione“.

„A wielkie, twórcze to słowo narodowości, które po raz pierwszy Francya jako przyczynę i cel groźnego boju pod-

nosi, gardząc grabieżą, nie garnąc zdobyczy, na nieprawym ciemiężcy prawego tylko żywota dla umęczonego narodu dochodząc! W świętości zadania, w bezinteresowności pobudek, w rozwadze i przezorności, z jaką cesarz Francuzów tę sprawę prowadzi — zyskując sobie uznanie nawet najmniej chętnych i najbardziej podejrzliwych, spokojem i cierpliwością przywodząc wroga do rozpaczliwego wyzwania, stanowczo wreszcie odrzucając sprzymierzeńców gorączkowych a burzących — w tem wszystkiem czerpiemy otuchę, że Boska Opatrzność pobłogosławi rozpoczętemu dziełu i wiemy z góry, że serca polskie towarzyszyć mu będą z gorącemi modłami i ufnem dziękczynieniem".

„I jest czemu ufać, jest za co dziękować, gdy po raz pierwszy, w sprawach europejskiej polityki, dobro uciemiężonego kraju staje się nietylko narzędziem, ale hasłem wojny i warunkiem pokoju. Pierwsze to złote ogniwa wielkiego łańcucha dziejów, który i sprawę naszą objąć musi; znaki to nowego porządku rzeczy, nowego zakonu świata — prejudykata, do których i my się odwołać będziemy mogli w naszym z łupieżcami procesie!"

„Lecz abyśmy ich w danym czasie nie uronili, stójmy dziś twardo przy naszych narodowych zadaniach i krajowej pracy. Niechaj oczekiwanie dalekich wypadków nie odwodzi nas od sumiennego i gorliwego pełnienia naszych codziennych obowiązków i wobec wielkiego dzieła wieku, do któregośmy jeszcze nie wezwani, nie opuszczajmy żadnej bieżącej chwili, która nas do trudu wzywa. Pamiętajmy o tem, że jeśli Piemont teraz cały świat zajmuje, to dlatego, że przez dziesięć lat sobą się zajmował, kiedy świat o nim zdawał się zapominać, i że dopiero w skutek pielęgnowanej wewnątrz siły, przyszła mu pomoc z zewnątrz. Słońce austerlitzkie dziś się wznosi nad Alpami, w opatrznym swym biegu zejdzie i nad pola lechickie. Nim zejdzie, siejmy przyszłej Polski siew..."

Drugi artykuł: *Sprawa włoska i opinia europejska*, ciągnie się przez cztery numera pisma, a jest pierwszym, jaki Klaczko napisał o dyplomatycznych stosunkach i sprawach,

pierwszym o politycznem położeniu całej Europy i o stanowisku każdego z wielkich państw w tem położeniu. Jest to więc przedsmak, czy zadatek, tej przenikliwości, tego sądu bystrego a głębokiego, który z czasem okaże się w *Studyach dyplomatycznych,* i zadatek ich godny. Żadnego liryzmu, żadnych uniesień, ani zachwytów nad Francyą, ani polskich skarg czy nadziei; proste, rzeczowe, objektywne pytanie, jak każde państwo pojmuje swój własny interes w stosunku do sprawy włoskiej i jak się w skutku tego pojmowania zachowuje.

Krótki wstęp o Austryi, która swoją polityką włoską od Kongresu wiedeńskiego gotowała sobie dzisiejszy stan rzeczy, choć jej przestróg przyjaznych nie brakło (od Anglii i od Piusa IX), a potem Anglia, w stosunku do Francyi, do Włoch i do Austryi. Anglia boi się i unika wojny zawsze, boi się jej w tym razie tem więcej, że w razie zwycięstwa Francyi, przewiduje ogromny wzrost jej przewagi w Europie. Z tej pobudki, zazdrosnej, radaby zatrzymać rzeczy *in statu quo,* nie tykać traktatów z r. 1815, ale nie śmie także oświadczyć się przeciw Francyi, stanąć przy Austryi. Gdyby stanęła przy Francyi, to tem samem odwróciłaby wojnę, skłoniłaby Austryę do ustępstw. Ale na to brak śmiałości, inicyatywy i zaufania do Francyi. Anglia z obecnego stanu Włoch poświęciłaby chętnie jedno, Państwo Papieskie; wszystko inne chciałaby zachować jak jest Ale na nieszczęście rządu (Torysów, lord Derby), opinia angielska sympatyzuje z Włochami; dzienniki, meetingi, znakomici politycy, przemawiają z zapałem za wolnością włoską.

Gabinet Torysów upada; do władzy przychodzi lord John Russell i lord Palmerston, a Klaczko z radością widzi w tem zadatek zbliżenia do Francyi, tego anglo-francuskiego przymierza, które wydaje mu się koniecznym warunkiem polityki uczciwej, cywilizacyjnej. Radość przedwczesna. Whigowie zastąpili Torysów, ale zazdrość do Francyi nie ustąpiła. I teraz zacznie się ta polityka, która Włochom pochlebia, mówi głośno o ich prawach, zachęca do wszystkich anneksyj, do zjednoczenia, żeby wystawić w ich oczach An-

glię jako lepszą przyjaciółkę Włoch niż Francya, a tej gotować coraz nowe we Włoszech trudności. Od pokoju w Villa Franca ta polityka Anglii stała się łatwą i stała się coraz wyraźniejszą. Tego Klaczko nie dostrzegł i w początkach maja 1859 r. dostrzedz nie mógł.

Dla Francyi ma Klaczko podziwienie najgoretsze. Nie dla jej szlachetności tylko, otwierającej nową może epokę w historyi, ale dla roztropności, umiarkowania, poszanowania praw drugich, z jakiem Napoleon III sprawę swoją prowadzi.

Rzesza niemiecka się burzy. Wszystkie małe państwa południowe, Sejm frankfurcki, głośno domagają się wystąpienia w obronie Austryi, wystąpienia przeciw Francyi. Napierają na Prusy, jako najsilniejsze, żeby wzięły inicyatywę i zrobiły krok stanowczy. Prusy są w położeniu trudnem. Ich wpływ, znaczenie, ich przyszła hegemonia w Niemczech, zależy od satysfakcyi, jaką dają narodowemu uczuciu Niemców, popędowi na zjednoczeniu: ale jeżeli za tym popędem pójdą, dadzą mu się pociągnąć, to wezmą na siebie odpowiedzialność za wojnę szerszą, a może powszechną, sprzymierzeńców zaś nie znajdą. Anglia oświadczyła się neutralną; Rosya niema ani interesu, ani prawdę mówiąc możności, czynnego wmięszania się w tę sprawę. Prusy więc zechcą i opinii niemieckiej dogodzić, przynajmniej w teoryi, i nie uczynić nic, coby wojnę z włoskiego terrytoryum mogło przenieść na inne jeszcze. Skutkiem tego trudnego położenia jest mobilizacya wojska, zapowiedziana i rozpoczęta przez Prusy. Klaczko nie uważa jej za rzecz poważną i znaczącą. Gdyby nawet Prusy chciały wystąpić w obronie Austryi, to jeszcze zwycięstwo ich, przy neutralności Anglii i Rosyi, byłoby bardzo wątpliwem. Nie bez ironicznego uśmiechu patrzy Klaczko na tę politykę Prus — i znowu się pomylił. One i tą mobilizacyą na dalszy tok, na koniec wojny wpłynęły, i ku swojemu celowi zrobiły krok, wówczas niewidzialny, ale obfity w skutki.

„Aby uchronić Europę od wojny powszechnej, trzy wielkie mocarstwa żądają od Prus neutralności; aby ocalić sławę

i potęgę Germanii, Rzesza wzywa je do oręża. W pośród tak sprzecznych postawiony wymagań, rząd pruski chciałby obu stronom, gdyby można, dogodzić, lecz przedewszystkiem o swoim nie zapomina interesie. Chciałby od klęsk zabezpieczyć się wojennych, a o tyle przecież być wojennym, iżby militarną i polityczną objąć dyrekcyę Niemiec. Wybrał drogę środkową, która ani neutralną jest, ani nieprzyjazną, w mniemaniu, że ona pomoże mu jedność Niemiec utrzymać, a do wojny powszechnej, mimo to, nie doprowadzi".

A Rosya? Ta oddała niezaprzeczenie wielką usługę Francyi i Włochom. Kanclerz ks. Gorczakow wysłał do Prus notę, z oświadczeniem, że Rosya życzy sobie zlokalizowania wojny we Włoszech, i że przeniesieniu jej na inne pola boju musiałaby sprzeciwić się stanowczo. Dlaczego Rosya zajęła taką postawę? Jakie miała wyrachowanie? Osłabienie Austryi oczywiście, zemstę za jej zachowanie się w r. 1854 i 1855, może nadzieję ograbienia jej z niektórych posiadłości na przyszłość — z pewnością własny stan wewnętrzny, niegotowość i niemożność na teraz do śmiałych przedsięwzięć.

„Osłabić Austryę bez żadnego z swej strony wysilenia, nie działając w tej chwili, przygotować działanie na później, i zemście i interesom narodu w ten sposób dogodzić — oto co na pierwszym mógłby mieć względzie rosyjski minister spraw zagranicznych. Od pokoju paryskiego spostrzegano nieraz, że Rosya wszelkiemi siłami stara się pozyskać ufność Zachodu; jak grzesznik skruszony, przyznaje się do dawnych błędów; nic jej nie kosztuje upokorzyć się na chwilę. Owe złagodzenie systemu rządowego, mniemana tolerancya religijna, zapowiedziane reformy liberalne, były to środki, które z równą rozgłaszała dotąd skwapliwością, jak skwapliwie korzysta dzisiaj z pory, aby zmazać z siebie niesławę zaborcy i znowu bez żadnej ofiary, nie tracąc jednego nawet ładunku, stać się niejako obrońcą uciśnionego narodu! Ta piękna w oczach Zachodu rola musiała zaważyć w rachubach chytrego rządu, który, choć panowanie swoje utrwala demoralizacyą, wie, ile siły moralne znaczą w naszej epoce. Rosya nakoniec grozi Rzeszy, bo spodziewa się, że Prusy

potrafią Niemców utrzymać na wodzy; pragnie ograniczenia wojny we Włoszech, bo sama potrzebuje pokoju. Jej finanse w nieładzie, armia w rozprzężeniu, stosunki wewnętrzne w stanie fermentacyi, którą może niebezpiecznie byłoby powiększać jakiembądź z zagranicy wstrząśnieniem. Z dawnych sprężyn machiny rządowej, jednę dotąd nietkniętą zachowała — dyplomacyę; nią też stroi się i osłania na zewnątrz, aby rozstrój wewnętrzny zasłonić. I oto, jak się domyślamy, cel i znaczenie dzisiejszej polityki rosyjskiej i okólnika ks. Gorczakowa".

Nasze próby i pokusy wobec wojny włoskiej, to naprzód wyraz polskiego uczucia, które ma prawo porównywać i powziąć żal głęboki do świata, że mniejsze krzywdy, mniejsze gwałty i okrucieństwa bierze do serca, karze i naprawia, a większe znosi milczeniem, i udaje że o nich nie wie. Ale szlachetne wzniosłe uczucie polskie nie czuje nawet tej goryczy: cieszy się szczęściem drugich, zwycięstwem sprawiedliwości u nich, a na swoją kolej czeka spokojnie.

„Wobec wielkiego i powszechnego zapału dla Włoch, wspomnielibyśmy może z goryczą o milczeniu i zapomnieniu, jakie omroczyły sprawę inną, sprawę niemniej czystą, niemniej świętą i równie europejską; a na widok długiego spisu krzywd, wyrządzonych Lombardom i Wenetom, przez publikacye urzędowe i prywatne codzień teraz roztaczane przed światem, nie wolnożby nam było zapytać, czy tam — na północy — nie dzieją się bezprawia nad miarę sroższe, okrutniejsze, i czyż nierównie więcej łez i krwi, a od lat tylu — płynie nad Wisłą i Wilią, nad Wartą i Sanem, niż na polach zroszonych Padem i Adygą?... I nie samego tylko takiego przemilczenia własnych praw i cierpień wymagają po nas obecne wypadki; wywołują one jeszcze w wyższym stopniu nasze zaparcie, i każą nam bez szemrania patrzeć na najpotworniejsze zjawisko, jakie wskazać mogą dzieje, i które bardziej jeszcze niż nasze interesa obraża nasze moralne instynkta, nasz zmysł prawości i godziwości. Bo w rzędzie przyjaciół tej Italii, dla którejśmy sami przecież, nie raz i nie na jednem polu, naszą krew przelewali, widzimy teraz naj-

główniejszego i najsroższego z naszych wrogów; rzekomym rzecznikiem lombardzkiej wolności stał się naraz ten naród, którego jedynym „Italiańskim“ dotąd był Suwarow, zapaśnik Macdonalda, Jouberta i Masseny; i na Moskala to wskazuje obecnie Francya, jako na życzliwego świadka swej szczytnej krucyaty, a w danym razie nawet jako na wspaniałomyślnego pomocnika. Przez jednę z najkrwawszych ironij naszego krwawego losu, przyszło nam ujrzeć Attylę północy w aureoli Gotfryda na południu, i ten sam rząd, co ogniem i mieczem, rozpustą i schizmą, tępi lud Bolesławów i Jagiełłów, „partyę polsko-łacińską“, jak ją nazywa zmiennik i nikczemnik Siemaszko, ten sam rząd święci w swych organach nieprzedawnione prawa narodowości włoskiej, a jeśli nie wszystkich buduje, rzadko kogo tem oburza!...“

„A wszakże, tak wielkiem i niezachwianem, głębokiem i rdzennem jest w nas to uczucie międzynarodowej sprawiedliwości, którem Polska od wieków jaśniała i jaśnieje — za czasów swego blasku i potęgi, jak za dni swej żałoby i męczeństwa — tak „nad śmierć silniejszą jest miłość“, która nasze tradycyjne i niezmienne stanowi *ius gentium*, że wszystkie wyż wspomnione względy, które dla niejednego narodu w naszem położeniu stałyby się tym „pyłkiem co ćmi oko ducha“, że my owe względy nietylko przezwyciężamy, ale że tryumf ten bez żadnej w nas odbywa się walki, że spełniając podobną duszną ofiarę, nie przypuszczamy nawet, aby to ofiarą być miało, i że przyrodzoną własnością, naturalnym, prawiebyśmy rzekli ślepym instynktem jest dla nas to, co dla innych a rzadkich byłoby w każdym razie najmozolniejszym dopiero nabytkiem najwyższej, moralnej kultury. Kiedy w przewidzeniu i obawie rosyjskiego z Francyą sojuszu, Anglik tłumi w sobie teraz dawne i szczere sympatye dla klassycznej ziemi, którą jego Byron tak wielbił, a jego Minto tak podżegał, i prawie się pyta, czy nie ma bronić tej Austryi, którą przecież już jego Szekspir „maluczką sercem a olbrzymią zbrodniami“ piętnował — my Polacy trwamy w naszych uczuciach, nawet wobec takich przewidzeń i obaw, i witamy z radością wschodzące słońce włoskiej swobody,

chociaż na krańcach tego horyzontu czernią się chmury moskiewskich pułków, i fałszywy blask szlachetności pada na drapieżnego ptaka, co w naszem ciele wciąż krwawi swe szpony".

Ale jest inna pokusa i inna próba, którą wytrzymać musimy. Austrya, jak żeby nie miała na sumieniu roku 1846, wzywa swoich poddanych Polaków do ofiar na wojnę, za swoją sprawę: tem wezwaniem znieważa i rani ich najgłębsze uczucia. Nie powinniśmy dać się rozjątrzyć, dać się wyrzucić ze spokoju i równowagi.

Czy w istocie rząd francuski insynuował Rosyi zabór Galicyi, żeby ją na swoją stronę przeciągnąć? Myślano tak, mówiono o tem podczas wojny. W polskich umysłach zaś rodziła się myśl, że byłoby lepiej, korzystniej na przyszłość być wszystkim pod jednem panowaniem, aniżeli pod trzema. Stąd pytanie, czy nie należałoby dobrze przyjąć wojsk rosyjskich, gdyby one do Galicyi wkroczyły? To uważa Klaczko za niebezpieczną pokusę i przeciw temu przestrzega.

„Wkrótce może staną na granicy Galicyi wojska rosyjskie — kto wie, może i wkroczą, może nawet i ją zadzierżą... Oby Galicyanie wówczas, z oburzenia nad piekielną burleską Martinitza, nie dali się zaciągnąć w komedyę, nierównie jeszcze piekielniejszą; oby pamiętali wówczas, że jeśli Austrya ma swych Breindlów i Kriegów, Rosya ma swych Siemaszków i Bibikowów; i oby, pomni słów Biblii, uciekając przed wężem, nie nazwali swym bratem szakala!... Nie w naszem ręku leży nasze mienie i nie nasza wola posuwa nasze słupy graniczne. Musimy uledz wszelkim, jakie z nami poczynią, zmianom i zamianom; możemy niektóre za mniejsze złe uważać i przynajmniej im nie złorzeczyć; powinniśmy ze wszystkich wszystkie dla nas możebne starać się wyciągnąć korzyści... Ale biada nam, gdybyśmy sami do tych frymarków nami naszą podali rękę; biada nam, gdybyśmy pakta, o nas a bez nas zawarte, uświęcili krokiem, któryby za objaw naszego przystania uważać miano prawo, i gdybyśmy wśród nowych możebnych rozdziałów naszej ziemi nie uchowali nierozdzielną naszej narodowej duszy!..."

„Próby to wielkie, cierpienia niezmierne. Ale jeśli z nich wyjdziem z ocalonem polskiem sumieniem i z uchronioną godnością narodową, kto wie, czy się wówczas nie okaże, że to ostatni był kres naszej męki, i że Bóg tam najsrożej doświadcza, gdzie najpełniej wynagrodzić zamierzył?... Przecież według misternej architektury chrześciańskiego wieszcza, krok już tylko jeden z najgłębszego koła Piekła do wyzwalającego Nieba, i przecież wiek bieżący już raz nam okazał, że sztandar wolności z ziemi włoskiej może zajść do Polski, i Bonaparte dać przykład, jak zwyciężać mamy!...“

Oswobodzenie Włoch, to dwie strony tylko. Proklamacya Dąbrowskiego z r. 1796, formacya Legionów, a potem powinszowanie Włochom, Medyolanowi w szczególności, że „wstrzymali się od bezpłodnego, bo przedwczesnego, wybuchu, że umieli przez czas czekać i na czas działać“. To powinszowanie jest oczywiście i upomnieniem dla innych.

A potem pierwszy zawód, pierwszy powiew zimnego wiatru na te gorące rozkoszne zapały: *Pokój w Villa Franca.* Program nie spełniony, obietnica nie dotrzymana, Włochy nie „od Alp do Adryatyku“ oswobodzone! A prócz tego, w możliwym powrocie wszystkich mniejszych książąt, w zawiedzionej nadziei Włochów zarzewie nowych zawikłań, może burz na półwyspie. Nie ci tylko, którzy spodziewali się doraźnego i zupełnego rozwiązania kwestyi włoskiej, ale najbardziej trzeźwi i umiarkowani muszą czuć rozczarowanie i obawy. Ale jednak to, co już zrobione i osiągnięte, to jest więcej. Lombardya wolna, Włochy, pod naczelnictwem Papieża, przestają być wyrazem geograficznym, a stają się organizmem narodowym i politycznym, zwycięzca dla siebie nic nie bierze, niczego nie żąda — a nadewszystko „dobro uciemiężonego narodu po raz pierwszy w dziejach świata jest nie narzędziem, ale celem boju“.

Federacya włoska pod przewodnictwem Papieża, ta myśl czy marzenie, którego spełnienia Napoleon III nie przygotował naprzód, ta szlachetność zwycięzcy, który nic dla siebie nie żąda i nie bierze — to złudzenie, które pospołu z Klaczką miała ogromna większość Europy pomiędzy zakończeniem

wojny a jej dalszemi następstwami. Ostatnie słowa artykułu, to upomnienie do Polski, to widoczne już przewidywanie, że przestroga może być potrzebną:

„A jeśli zwrócimy uwagę, że dziś, mimo takiej potęgi, takiemu dowodząc wojsku i tyloma rozporządzając środkami, cesarz Napoleon zaledwo w połowie był w stanie dopełnić tego, co tej wojny zdawało się być zapowiedzią, możebyśmy w tem znowu znaleźli tę naukę, którą historya na każdej karcie podaje, że wielkie zadania świata, chociażby najściślej pojęte i najlepiej odgraniczone, jednem wysileniem przeprowadzić się nie dadzą. Możebyśmy w końcu i to uroczyste i donośne dla nieszczęśliwych znaleźli upomnienie, że największe pomoce i najszczęśliwszy zbieg okoliczności w żadnym narodzie nie zastąpią tego, bez czego on ani żyć, ani odżyć nie może, to jest jego własnej dzielności, rozwagi i gotowości do ofiar...“

Następuje coś zupełnie odmiennego. Ks. Adam Czartoryski napisał *Żywot Niemcewicza.* Pisząc, nieraz podobno udawał się do Klaczki, poddawał jego zdaniu swój styl, przyjmował uwagi i poprawki. Teraz, zanim jeszcze książka wyszła z pod prasy, pozwolił ogłosić w *Wiadomościach* jeden z niej ustęp, mianowicie swój sąd o Sejmie Czteroletnim, o jego zasługach i błędach. Rzecz godna uwagi, jak ten sąd naocznego świadka, treściwy, na kilku kartkach, zgadza się z sądem Kalinki w jego dziele. Ale do tych uwag starego Księcia dodaje Klaczko wstęp, charakterystykę Niemcewicza, rzecz istotnie prześliczną. Może on widzi starego Ursyna w świetle zbyt idealnem, ale wszystko, co o nim mówi jest prawdą. Wizerunek, jeżeli nawet cokolwiek poetyzowany, jest podobny, jest rzeczywisty, a że z czcią i sympatyą kreślony, to ani prawdzie nie przeszkadza, ani nie ujmuje nic artyście, który ten portret robił. Nic piękniejszego, nic równego nikt nigdy o Niemcewiczu nie napisał, i nie trzeba nic więcej, nic lepiej. Wszyscy późniejsi mogą śmiało do tego wracać, stąd czerpać, tej charakterystyki Ursyna się trzymać.

Adres kamieniecki i Żywe obrazy, to epizody spraw krajowych, oba smutne. Szlachta podolska, korzystając z po-

bytu Aleksandra II w Kamieńcu, chciała podać do niego adres, z prośbą o język polski w szkołach i w sądownictwie i o poszanowanie religii katolickiej. Jenerał-gubernator nie poważył się tego adresu przyjąć i oddać, cesarz surowo, ostro, groźnie zgromił szlachtę, zebraną na jego przyjęcie. To jeden fakt, smutny, ale piękny, dla nas zaszczytny. Drugi nie piękny, i nie zaszczytny. Bal dla cesarza w Warszawie na Zamku miał się zacząć od żywych obrazów. Małości, płaskości, śmiesznych niemniej jak niegodnych, niektóre damy popełniły wiele przy tej sposobności. Ale też dostały od Klaczki! Od Dantego, od Krasińskiego, uczył on się inwektywy i pogardy — ale się też nauczył.

„Nie chcę dalej kreślić żywych obrazów tej moralnej śmierci; nie mam sił rozwodzić się więcej nad tem stępieniem wszelkiego uczucia narodowego, nad tem deptaniem ludzkiej godności! Wychyliliśmy tu do dna kielich goryczy, i łzami i krwią nabiegłe oko gubi się w bezmiarze naszego poniżenia. Że też do tego przyszło! Że też my sami własnemi rękoma splatamy naszym katom wieńce, kosztem naszej czci i naszej godności okupujemy na ustach carów uśmiech — pogardy, i córkom i synom naszym każemy służyć za symboliczne bałwany w obrazach, głoszących podbój i wielkość i miłość Moskali!.. Och! i czyż nic tym płochym dziewczętom, bezmyślnym chłopcom i pustym matkom nie przypomniało, w jakiej to stolicy i przed jakim to monarchą wyprawiano te sromotne maskarady? Czyż nie wiedzą, jakiego narodu są dziećmi i jakich to ciemięzców ofiarami, i czyż im w istocie chodzi o to, ażeby po Polaku, jak po owym rzymskim niewolniku, został tylko grobowy napis: *Saltavit et placuit?...*“

„Bądźmy wszakże sprawiedliwi i nie posuwajmy goryczy do tyla, abyśmy w *szlachectwie markizów z Parc aux cerfs* widzieli obraz naszej polskiej szlachty!... Godnością narodu frymarczyli tylko ci, co własnej nie mają, i przed monarchą rosyjskim pełzali tacy, którzy przed narodem oddawna nie mogą podnieść czoła. Gdzie dwór, tam są i lokaje, są i lokajskie dusze; szumowiny szumieć muszą: na to

już je sama etymologia skazuje; a dość rzucić okiem na wymienione osoby, by się przekonać, że między nimi niema ani jednego nazwiska poważnego, ani jednego historycznego imienia; próżnobyśmy także szukali tam poczciwej naszej szlachty wiejskiej. Powtarzam jeszcze raz: wśród uczestników owych niecnych zabaw, nie było ni prawdziwych panów, ni prawdziwej szlachty! Ale czyż panowie i szlachta będą mieli odwagę to jawnie potępić, czem w ukryciu pogardzają; czy względy towarzyskie i niebaczna dobroduszność nie rzuci płaszcza pobłażania na te ohydy, i zbrodni nie nazwie tylko słabością; czy opinia publiczna będzie miała odwagę zasłużone piętno kłaść na miedzianych czołach i kordon moralny zaciągnąć między zgnilizną a zdrowiem?... Inne to pytanie, i ból to może jeszcze większy! Bo bierność uczciwych gorszą jest i w skutkach straszliwszą, niż czynność nikczemnych lub płochych!...“

Wyznanie Jereja, to streszczenie książki, w której prawosławny duchowny kreśli obraz swojej cerkwi, i szuka środków jej podźwignienia. Rzecz bardzo zajmująca; trudna do uwierzenia, a jednak prawdziwa, świadek jest naoczny, do swego prawosławia szczerze przywiązany, nie podejrzany o złą wolę. Streszczenie to zrobił Kalinka, ale podług jego ustnych zeznań, zakończenie dorobił Klaczko.

„Takie są rady, któremi autor chce schizmę podźwignąć. Robak zepsucia musiał stoczyć do gruntu prawosławie, jeśli ojcom-kapłanom trzeba już dzieci odbierać, trzeba rządowej poruczać opiece, jeśli nauczycieli-kapłanów trzeba przez młodych pilnować studentów, którzy się podejmą obowiązku — tajnych donosicieli. Cóż powiedzieć o innych odmianach? Reformę wychowania zaczyna autor od gmachów, reformę duchowieństwa od pensyj dostatnich; z seminaryów wypędza filologię, w jej miejsce każe się uczyć medycyny. Widocznie sam autor dotknięty jest niemocą, z której chce drugich wyleczyć. Bo nie gmachów, nie pensyj, nawet nie nauk lekarskich potrzeba przedewszystkiem temu, który ma być dusz lekarzem. Słusznie, jeśli na giełdę nie idzie człowiek bez pieniędzy; ale biada Kościołowi, w którym pie-

niądz ma tak wielkie znaczenie! O, nie do zbawienia on prowadzi naród; *difficile est confidentes in pecuniis, in regnum Dei introire...* A choć, jak widzimy, w tem odrodzeniu schizmy rząd główną ma zająć rolę, bo i pensye wyznacza, i domy buduje, i nowe zakłada instytucye, przecież i te nawet środki nie wystarczą, jeżeli carowie osobistej odmówią interwencyi. W ich ręku złożona jest przyszłość prawosławia, bo tylko w ich ręku udać się może radykalne przekształcenie. „Jeżeli carowie tego dokażą — woła autor — jeśli pomazańcy Boży przeprowadzą tę reformę, to cały Sobór chrześciański, nietylko na tym, ale i na tamtym świecie, przed tronem Króla królów wykrzyknie imię ziemskiego cara, który to zrobił, czego od czasów kniazia Włodzimierza nikt jeszcze nie zrobił, bo z nocnych ciemności wyprowadził tych, co drugich wieść powinni do jasności niebieskiej". Lecz wnet ze drżeniem zapytuje autor: „Czy tylko duchowieństwo zasługuje na to, aby ta ręka potężna podniosła się do działania?..." I oto z kornem wyznaniem błędów i śmiertelnej niemocy, w uczuciu strasznego zwątpienia, schizma wyciąga błagalne dłonie i żebrze miłosierdzia — cara!... *Morituri tibi supplicant, Caesar!...*"

„O nie, nie takim jest Kościół katolicki! Bo on nie żyje chlebem, ale duchem i krwią; bo mu nie zależy na lepszych budynkach, na lepszej pozycyi sług swoich. On błaga Zbawiciela o kapłanów, którzyby umieli i to co mają, i siebie samych, poświęcić dla zbawienia bliźnich. Krew ofiary, to tajemnica jego dogmatu i tajemnica jego istnienia! On nie lęka się ludzkich potęg, nie cofa się przed męczeństwem i prześladowaniami, bo w prześladowaniu rośnie, a w męczeństwie zwycięża. Odarty ze wszystkiego, jeszcze jest najsilniejszy, bo ufa Temu, który przyrzekł z nim trwać do skończenia wieków. I odtąd też Kościół katolicki trzyma w swem ręku, i trzymać będzie do skończenia wieków, gorejącą pochodnię, z której rozchodzi się żywe światło na ludy i ludzkie dążenia!... Lecz czego żądać i czego spodziewać się od Kościoła, który, jak wąż pełzając u tronu ziemskiego, od niego dzisiaj oczekuje życia albo śmierci? Czego żądać

od Kościoła bez krwi, bez missyonarzy, bez męczenników? jakież on ma środki uświęcenia? Prawosławie nie odrodzi się z ducha, z ciała odrodzić się nie może, i zostanie czem było: żandarmeryą, która mogłaby uchronić imperyum od jawnych złoczyńców, gdyby sama nie kradła i nie rozbijała. A z swym Kościołem zostanie także Rosya, czem dotąd była: potęgą złowrogich ciemności, która, kiedy nie podkopuje drugich, sama siebie roztacza. *Sit ut est, aut non sit...*"

„Kiedy, przed lat blisko tysiącem, Wielki kniaź Włodzimierz postanowił był rzucić bałwochwalstwo, przywołał do siebie reprezentantów różnych wiar i kazał im tłómaczyć zasady swych religij. Wysłuchawszy ich sporów, uznał, że Kościół wschodni jest dla jego państwa wyznaniem najdogodniejszem, i zaraz, a z całym narodem, ochrzcił się wedle wschodniego obrządku. Do Polski inaczej zawitało chrześciaństwo: przyniosła je naprzód niewiasta, ślubując wiarę małżeńską polskiemu książęciu; utrwalił je śmiercią swoją wielki męczennik, twórca pieśni narodowej, św. Wojciech! Tak więc od samego chrztu, te dwa narody rozeszły się, a stanowczo. W Rosyi wiara, to rzecz zimnej rachuby, i potrzeba stanu; w Polsce, to rzecz poświęcenia, i potrzeba serca. Myśmy cierpieli, ale wierni katolicyzmowi; w Rosyi, prawosławie coraz bardziej kształciło się na wiernego carów niewolnika. I dzisiaj Kościół jest naszą siłą żywotną, jest odrodzeniem narodu; dla Rosyi jest rakiem toczącym, jest zarodem zgnilizny. Między życia prądem a życia trądem, mówi poeta, to tylko kwestya czasu!..."

Wojna włoska się skończyła, a niebawem objawiły się pierwsze oznaki tych dla Polski niebezpieczeństw, przed któremi Klaczko z góry, od początku przestrzegał. Wojna za sprawą włoską, zasada narodowości, to musi mieć dalszy ciąg — i urzeczywistnienie! Dreszcz nadziei przebiegł po żyłach tych w emigracyi, którzy od samego początku przez spiski spodziewali się dojść do powstania, przez powstanie do zwycięstwa. Trzeba działać, trzeba się gotować, trzeba korzystać z okoliczności! Pierwsze, jeszcze nieznaczne oznaki tego d z i a ł a n i a, które w dwa lata później wywołało wy-

padki warszawskie, a w cztery lata wybuch 23 stycznia, dawały się czuć w emigracyi. *Wiadomości* schwyciły je w samych początkach: Kalinka napisał *Plan konspiracyi i kadrów powstańczych,* Klaczko *Konspiracyę i jawne działanie.*

„Ktokolwiek spokojnem okiem przyjrzy się wypadkom ostatnich czterdziestu lat w Europie, ten łatwo wyrobi sobie zdanie o naturze i skuteczności działań tajemnych, konspiracyjnych. Broń to niebezpieczna, która strzela w ręku pierwej, nim się ją na nieprzyjaciela wymierzy: granat, co pęka w własnych szeregach. Ze wszystkich rodzajów konspiracyj, jakich na południu czy na północy Europy od wieków próbowano, dwie są tylko, które czasami dochodziły zamierzonego celu: dworska, jeśli jej zadaniem jest odmiana panującego, bez odmiany dynastyi — wojskowa, jeśli siecią swą obejmuje przeważną część armii; wszakże jedna, jak druga, wymaga gotowej, już ustalonej organizacyi, prędkiego nadto rozstrzygnienia, a przedewszystkiem poparcia opinii. Ale sprzysiężenie, które ma być i propagandą i uszykowaniem, które, szerząc się wśród tysiąców i trwając przez lata, ma zarazem ukryć się w zupełnej tajemnicy, jest pomysłem w zasadzie swojej niedorzecznym, jest kontradykcyą *in adiecto.* „Kto przypuszcza (mówi autor głośnej dzisiaj książki, doświadczony konspirator, towarzysz Mazziniego, Giovanni Rufini), kto przypuszcza, że konspiracye mogą przez czas dłuższy się utaić, ten chce rzeczy przeciwnej zdrowemu rozsądkowi. Stowarzyszenia tak utajone że ich odkryć nie można, istnieją tylko w imaginacyi ludzi łatwowiernych, i podobne są do owych armij, które, egzystując jedynie na papierze, nigdy bitew nie przegrywają. Sprzysiężenie, będące w ciągłym ruchu, a posiadające członków znaczną ilość, jest miną, która każdej chwili może wyskoczyć. Muszą znaleść się w niem krzykacze, śmiałkowie, zagorzalcy; a ci sami przez się największem są niebezpieczeństwem. Zresztą, taką jest natura ludzka, że powodzenie, nawet u najostrożniejszych, wyradza zbyteczną pewność siebie. Konspirator podobny jest chemikowi, który około palnych materyj pracuje: zrazu nie zaniecha żadnej ostrożności — ale później, a nieznacznie, puszcza

mimo dziś tę, jutro inną drobnostkę, aż przywyknąwszy do niebezpieczeństwa, wmówi w siebie, że go nie ma, bo go sam nie doznał...“

„Jest nadto konspiracya przedsięwzięciem, napozór wielkiem, w istocie próżnem. Żadnem sprzysiężeniem, żadną tajną zmową, o ileby nawet w ukryciu dały się utrzymać, niepodobna przyjść nigdy do zbiorowej, poważnej i spokojnie rozwijającej się czynności. Na drodze jawnej, można zamówić ogrom ludzi do działania; na drodze tajnej, samych tylko niedoświadczonych albo niecierpliwych. Nie siły, ale chęci, a nawet tylko zachcenia, konspiracya szykuje: jest organizacyą złudzeń. Bo sprzysiężonemu wszystko może stać się złudzeniem: i środki, i czas, i praca; prawdą jest tylko nieuchronne dla niego niebezpieczeństwo; prawdą na nieszczęście są klęski, które i na konspiratorów i na kraj za jednym razem spadają. Nieuniknione to następstwo wszelkich tajnych sprzysiężeń, że jedne siły w narodzie niweczą, drugie paraliżują i do nieczynności zmuszają. „W niekorzystnych usiłowaniach (mówi Massimo d'Azeglio, jeden z najpoważniejszych włoskich patryotów) marnotrawią się najlepsze żywioły, kraj traci ludzi najśmielszych, największej energii, którzy albo opuszczają ojczyznę, albo trzymani, że tak powiem, w kwarantannie, pozbawieni są możności służenia rodakom... A tymczasem rządy (dodaje tenże autor) upoważnione do podejrzeń i obaw, podejrzeń i obaw przesadzonych, jak się to zwykle zdarza kiedy idzie o niebezpieczeństwo ciemne i nieznane, mnożą ostrożności i środki policyjne, które tak wiele przeszkadzają pracy porządnej i rozwojowi sił narodowych...“

„W każdym niemal narodzie uciśnionym walka zaczynała się od szykowania tajemnego sił materyalnych, od sprzysiężeń i środków gwałtownych; dopiero później, po krwawych zawodach i szlachetnych męczeństwach, budzić się poczęło przekonanie o potrzebie wpływów głębszych, dzielniejszych, zwolna cały naród obejmujących, o konieczności stoczenia boju naprzód na polu moralnem. We Włoszech, gdzie wspaniały dramat restauracyi narodowej zbliżać się zdaje do ostatecznego kresu, ruch narodowy, w drugim dziesiątku naszego

stulecia w lożach i wentach poczęty, długo przez ludzi, jak Ugo Foscolo i Mazzini wyobrażany, długo przedwczesnem szamotaniem marnując swe siły, „z pieluch spiskowych“ nie mógł się wydobyć; aż trudami ludzi, jak Manzoni, Gioberti, Balbo uszlachetniony, przez Azeglio i Cavoura na szersze wprowadzony pole, z odmienionym w Europie kierunkiem politycznym, doczekał się chwili, w której prawie już całkiem sam o swoich losach wyrokować może“.

Następują inne przykłady. Niemcy szukały urzeczywistnienia swego ideału na drodze konspiracyjnej, i doszły tylko do wzmocnienia wszystkich rządów i reakcyi. Dziś dążą do tego samego celu jawnie, bez konspiracyi i wybuchów, a dążenie staje się coraz silniejszem. O Węgrach sam Kossuth, głowa rewolucyjnego stronnictwa, mówi w niedawno ogłoszonym liście otwartym, ogłoszonym w dziennikach angielskich, że „wyrośli już z pieluch konspiracyi“.

„A jeśli teraz z tego ogólnego poglądu na bieg spraw europejskich, zwrócim się do zadań naszych i do działań obywatelskich w naszym kraju, możemy tylko powiedzieć, że wspólne jest dla wszystkich narodów prawo pewnej moralnej dynamiki, że na całym świecie wspólne są warunki każdej pracy organicznej, każdej powolnej a mozolnej rekonstrukcyi. Jeśli stronnictwo rewolucyjne w całej Europie nie widzi nic przed sobą prócz ostatniej mety, to ludzie pracy organicznej spostrzegają wszędzie na swojej drodze pewne punkta, pewne korzyści pośrednie, do których dążyć trzeba i można, pociągając za sobą massę współdziałającą, i których zdobycie przez to samo jest łatwiejsze a nie mniej ważne, bo przygotowuje ostateczne zwycięstwo“.

„Aby sprawę narodu posunąć, nie dosyć jest widzieć sam tylko cel: trzeba przedewszystkiem patrzeć na położenie obecne, trzeba, z danych wychodząc stosunków, ulepszać je stopniowo, w miarę, jak bieżące wypadki przynieść mogą ułatwienie. Aby naród przyszedł do jakiejś siły, nie dosyć jeden w nim tylko rozwijać element, jednę tylko przypominać mu potrzebę: żadnego interesu nie godzi się zaniedbywać, bo dopiero ich zbiór tworzy polityczną budowę. Są, jak wia-

domo, w każdym kraju stosunki: socyalne, religijne, internacyonalne, wojskowe, finansowe, wychowania, sprawiedliwości, administracyjne, handlowe, przemysłowe, miejskie, rolne, obyczajowe, naukowe, literackie i t. d. Bez któregoż z nich, zapytamy, naród obyć się może w swem życiu codziennem? który zwłaszcza jest mu niepotrzebny do zdobycia i utrzymania swej niepodległości?... Wprawdzie, nie wszystkim można jednako, a zwłaszcza w każdym czasie i miejscu zarówno pomagać; ale wszystkie są godne pamięci, godne miłości i trudów, bo wszystkie są niezbędnemi cząstkami naszej politycznej całości".

„Powiemy w końcu: nikt trwale i szeroko nie może budować, kto nie buduje jawnie. Narody podbite nie mają sekretów stanu; ich najgłębsze myśli, ich najskrytsze dążenia znane są nieprzyjaciołom. Rząd nieprzyjazny może wszystkiemu przeszkadzać, wszelką pracę zbiorową rozprószyć, wszelkiemu rezultatowi zapobiedz — najważniejszej przecież korzyści wydrzeć nam nie potrafi, bo ta nie leży w owocach pracy, ale w zaprawionych robotnikach Dobre instytucye, nawet po swym upadku, zostawiają ziarno na przyszłość. Ale czyż nie zbyteczna dodawać, że aby na takiej drodze służyć ojczyźnie, potrzeba owego spokoju chrześciańskiego i pokory, które nie szukają własnej chwały ni upajających oklasków, i które może właśnie dlatego, że nie wyglądają tryumfu, tryumf najczęściej odnoszą; potrzeba owej cierpliwości, która nie jest wcale trwożliwą nieczynnością, ale owszem, jak słusznie powiedziano, jest doskonałym uczynkiem; potrzeba wreszcie umieć czekać, to jest czekać z trudem: *qui moris potitur, eum rerum potiri putant...*"

„Broń to niebezpieczna, która strzela w ręku pierwej, nim się ją na nieprzyjaciela wymierzy, granat, co pęka we własnych szeregach"... „Sprzysiężenie, które ma szerzyć się wśród tysiąców, trwać lata, a zarazem ukryć się w tajemnicy, to pomysł niedorzeczny, niemożliwość".

Prawdy to jasne, niewątpliwe, łatwe do zrozumienia...

Tak! wszystko co do słowa: tak! A prawdy niewątpliwe, jasne jak słońce, łatwe do zrozumienia, zrozumiane nie były,

broń niebezpieczna, w której skuteczność tylko wyobraźnia wierzyć może, jak mówi doświadczony Włoch, towarzysz Mazziniego, wystrzeliła w ręku tych, co ją nabijali, granat pękł w trzy lata później.

Jakich zwalisk narobił!

Kto miał słuszność? kto Polsce dobrze radził?

Ostatni to artykuł Klaczki z r. 1859. W następnym jest ich znowu bardzo mało. Wydanie dzieł Mickiewicza musiało zapewne zabierać dużo czasu, a podróż do Włoch, pierwsza w życiu, oderwała od robót redakcyjnych na kilka miesięcy. Ale jest i powód inny. Nie mówił mi o nim nigdy ani Klaczko, ani Kalinka, ale mówi o nim Andrzej Koźmian w swoich listach. Nieporozumienie w redakcyi *Wiadomości*. Wyszła broszura *Le Pape et le Congrès*, inspirowana przez Napoleona III, krytym sztychem godząca w władzę świecką Papieża. Rozgłos miała wielki, poruszyła cały świat. *Wiadomości* musiały zająć jakieś stanowisko w tej kwestyi, a zdania były różne. A. E. Koźmian pisze 1 lutego 1860 r. „Redakcya *Wiadomości* rozbija się o tę sprawę. Po jednej stronie, katolickiej i narodowej, Zamoyski i Kalinka, po drugiej Klaczko, Wrotnowski, Teodor Morawski, ks. Witold Czartoryski. Po środku ks. Adam i ks. Władysław. Zdawało się, że *Wiadomości* umarły i pogrzebane, ale nowe usiłowania zbliżyły umysły do zgody. Zdaje się, że do niej przyjdzie, ale z wrażliwem usposobieniem Klaczki nie można nigdy być pewnym długiej jedności. Książę ma napisać list do redakcyi, godzący wszystkie względy“. Dnia 12 lutego pisze znowu: „Porozumienie nastąpiło co do dalszego wydawnictwa *Wiadomości*. Mnie to nie dogadza, ale nie mogłem odmówić pomocy. Klaczko się usunął, jednak bez nieprzychylności“. Dość, że w całym ostatnim roczniku *Wiadomości* są dwa tylko drobniutkie artykuły: jeden *Wytrwałość hr. Uruskiego*, to powtórzenie dawniejszych srogich sarkazmów — drugi, *Polityka francuska hr. Raczyńskiego* (Rogiera), to z wszelką sympatyą i uznaniem dla autora zarzut, że pisze o sprawach francuskich dla Francuzów, którzy sami mogą o nich sądzić i stanowić, kiedy z pożytkiem dla Polaków

mógłby ich o sprawach francuskich oświecać, gdyby chciał pisać po polsku.

Jest wreszcie ostatni artykuł w całych *Wiadomościach: Polska w roku 1860,* składany, zbiorowa praca Klaczki i Kalinki. Jest to, jak mówi Wstęp, bilans polskiego życia z owego roku, ze starannem, sumiennem dodawaniem wszystkich cyfr i pozycyj na dobro czy na stratę narodu. Jest, w tym roku przynajmniej, przewyżka dobrego nad złem. Autorowie przechodzą po kolei wszystkie części Polski; dochodzą i wykazują, co która z nich zrobiła dobrego i zyskała, co zrobiła gorzej lub zrobić zaniedbała. Zestawienie bardzo zajmujące, bardzo rozumnie zrobione; ale którą jego część zrobił Klaczko, a którą Kalinka, tego ten w swoim spisie nie oznaczył. Na domysł więc tylko przypuszczać można, że cały rzeczowy a pracowity wykaz stanu tych różnych krajów mógł być dziełem Kalinki, a Klaczko dodawał ogólne uwagi. We wstępie, w zakończeniu, można zdaniem naszem poznawać jego styl, jego sposoby i zwyczaje pisania. To zakończenie, rzecz ciekawa, radzi w polityce polskiej odwoływać się do traktatów z r. 1815, bo to jedyny punkt oparcia, jaki nam daje istniejące dotąd, publiczne prawo międzynarodowe, obowiązujące całą Europę. Ta konkluzya czy nie jest może skutkiem pobytu margrabi Wielopolskiego w Paryżu i jego rozmów z Zamoyskim, z Kalinką i Klaczką? Zgodność tej konkluzyi z myślą jego adresu z r. 1861 jest uderzająca.

Polska w roku 1860 wychodziła przez ciąg stycznia 1861 r. Na niej skończyły się *Wiadomości.* Rząd pruski zakazał je w swojem państwie (5 stycznia 1861 r.), zamknął im jedyny jaki miały dostęp do Polski. Nie mogąc tam dochodzić, straciły swoją racyę bytu. Zamknięto je 1 lutego 1861 r. [1]).

[1]) Chcieliśmy wyliczyć, choć wymienić, wszystko, co Klaczko w *Wiadomościach* pisał. Nie ręczymy jednak, czy nam się to zupełnie udało. W spisie, sporządzonym przez Kalinkę, który mamy pod ręką, nie wszystkie artykuły są oznaczone nazwiskami autorów. Po długich latach nie wszystko zdołał sobie przypomnieć. Braków takich jes

W czterech rocznikach *Wiadomości* zawarta jest największa część polskich pism Klaczki. Same rzeczy drobne, artykuły, broszury. Czy to dosyć, żeby pisarzowi zapewnić stanowisko i znaczenie w historyi literatury jego narodu, żeby go uznać jednym z wielkich pisarzy tego narodu i z wielkich w nim umysłów? Dosyć, jeżeli w małych rozmiarach są wielkie myśli i wielkie prawdy, wypowiedziane w słowach wielkiej piękności i mocy. Artykuł czy broszura, to rzecz bieżącej, przemijającej wartości, jej znaczenie kończy się z chwilą, z okolicznością, która jej dała powód bytu i praktyczne przystosowanie? Zapewne: ale, choć przechodzą chwile i okoliczności, to nauki i prawdy do nich stosowane, na nich objaśnione, zostają naukami i prawdami na wieki, na zawsze, i stosują się tak samo do nowych okoliczności, do nowych stosunków, jak do tych minionych, wśród których powstały. Gdzie wielki rozum przenika i wskazuje warunki i prawa czy to politycznej słabości i siły, czy artystycznej piękności, tam prawda będzie zawsze, choć przejdą czasy, a zmienią się stosunki. Są, i nigdy nie przestaną być, prawdy w *Estetyce* Arystotelesa, w Macchiavella *Rozprawach o Liwiuszu;* w pismach Klaczki jest i zostanie zawsze nauka i przystósowanie do spraw polskich, tak jak zostały i nie wyczerpią się nigdy z pism naszych starych pisarzy. Nie stracił wartości ani Modrzewski, ani Górnicki, ani Skarga, choć skutku nie sprawił; ich bezskuteczność, ich daremność, ich zmarnowanie, w połączeniu z prawdą ich nauk i przestróg sprawdzonych historyą, przez to lepiej zrozumianych, sprawia, że cześć i wdzięczność i podziw dla nich mięsza się u nas dzisiejszych z gorzkim żalem i skargą na przeszłość. U Klaczki zmysł polityczny i osobny zmysł polskiego interesu, wskazuje najbliższe dzisiejsze niebezpieczeństwo lub obowiązki; ale nauka, jaką on daje współczesnym, służy tak samo późniejszym, bo choć zmieniają się stosunki i formy,

---

mało, ale są. Być więc może, że i jaki artykuł Klaczki uszedł jego pamięci. Ale jeżeli nawet tak jest, to w każdym razie żaden z ważniejszych.

nie zmienia się natura rzeczy i natura ludzkich społeczeństw, a przyczyny i prawa siły i słabości, wzrostu i upadku, powodzeń i klęsk są te same przez wszystkie wieki u wszystkich narodów. Klaczko w swoich artykułach politycznych tak rozumiał położenie Polski w swoim czasie i z tego położenia wynikające konieczności i powinności postępowania, jak niegdyś rozumiał je Modrzewski albo Skarga, Konarski albo Staszic. A jak dziś, choć niema elekcyi, ani *Liberum veto,* prawdą jest to, co oni z powodu elekcyi lub *veta* mówili narodowi o powodach i o skutkach nierządu w jego formie ówczesnej, tak prawdą jest i zawsze prawdą będzie to, co Klaczko mówił o naszych próbach i pokusach, o naturze i o skutkach tajnych sprzysiężeń, o propagandach politycznego i moralnego nierządu przez nierycerskie, nie chrześciańskie, nie polskie katechizmy. Prawdę tamtych stwierdził rozbiór Polski: prawdę Klaczki stwierdził rok 1863 i jego skutki aż do dnia dzisiejszego. Strach, co się z nami stało przez te pół wieku, strach, przez jakie jarzma kaudyńskie przechodziliśmy i przechodzimy! Kiedy *Wiadomości* w swoim ostatnim artykule radzą odwołać się do traktatów roku 1815, widzą w tem upokorzenie, ujmę, potrzebną, ale bolesną; dziś kto z nas wspomniałby o roku 1815, usłyszałby śmiech szyderstwa w odpowiedzi, a o równe prawo — tylko prywatne, cywilne — z innymi poddanymi państwa rosyjskiego upominamy się jak o coś dobrego, i doprosić się nie możemy! Dosyć — nie mnóżmy tych porównań i przykładów; zbyt to i znane, i bolesne, i daremne. Ale wiedzmy, i nie zapominajmy, dlaczego tak się stało. Klaczko pytał: Cavour czy Mazzini — my odpowiedzieliśmy: Mazzini!

Rozumowi politycznemu równa była, owszem większa od niego, miłość ojczyzny, uczucie jej nieszczęść i jej godności, i one to dawały Klaczce te słowa rozpłomienione, gorejące, palące czasem jak rozżarzone żelazo, a piękne tak, że z polskich prozaików najwięksi tylko mieli równe, piękniejszych nie miał żaden. Tak swoim językiem władać, jak on, tak używać wyrazów, taką wydobywać z nich moc i taki

blask, ledwo kilku umiało przez wszystkie wieki naszego piśmiennictwa.

Literatura mniej znaczy, jak historya, sztuka mniej, jak polityka, kultura mniej, jak potęga, słowo mniej, jak czyn. Klaczko powtarza to wiele razy; to przekonanie, to stanowisko zachowuje zawsze. Ale to względne mniej jest niezmiernie wiele; a choć literatura służy historyi, słowo czynowi, cywilizacya potędze, to znowu bez nich nie ma ani potęgi prawdziwej i trwałej, ani pełnego trwałego życia w narodach. Dlatego, obok politycznej roli i zasługi Klaczki, staje ta druga, cywilizacyjna, w jego pracach literackich i krytycznych. Zarzucają mu niektórzy namiętność albo przesadę: inni tryumfują, że się pomylił w swoich przewidywaniach co do sztuki polskiej. W przewidywaniach się pomylił, ale tylko w nich. W swojem pojęciu sztuki, w jej znajomości, w jej czci i miłości, nie mylił się, i nie widzimy u nas drugiego, ktoby mu na tem polu, w krytyce dzieł literatury i sztuki, w znawstwie, w sądzie, w rozumieniu, był wyższy, a nawet równy.

Klaczko nie był sam w *Wiadomościach* i byłoby niesprawiedliwie, mówiąc o tem, co on pisał, nie dodać, że zasługa Kalinki była równa, że pismo stało więcej ciągłą codzienną pracą tego, aniżeli świetniejszą, lecz rzadszą pracą Klaczki — niesprawiedliwością byłoby przemilczeć wartość całego pisma. Pozwolimy sobie więc powtórzyć tu własne słowa, dawno wypowiedziane w życiorysie X. Kalinki.

„Były *Wiadomości polskie* (w swoich małych rozmiarach) pismem pod względem politycznym i literackim tak doskonałem, jak przed niemi czy po nich nie widzimy, które z pism polskich byłoby im równe. Ale były one i wielką w naszem życiu nowością, wielkim nabytkiem i zwrotem. Znajomość i czujną kontrolę siebie samych one pierwsze tak wyraźnie, tak silnie affirmowały, jako postulat teraźniejszości i warunek przyszłości; z Mickiewicza i Krasińskiego wzięły wzniosły, chrześciański ideał Polski i Europy, a odrzuciły idealizowanie siebie samych; w polityce, jak w literaturze, dążenie do

ideału łączyły ze znajomością i z sądem rzeczywistości; w jednej, jak w drugiej mówiły prawdę. Że się podobać nie mogły, nic dziwnego; że na najmędrsze rady ich rozumu i najgorętsze zaklęcia ich miłości ojczyzny zatykano uszy, to pokazało się w bliskiej po nich przyszłości. Nie przydały się; miały garstkę wiernych i przywiązanych, co rozumieli i słuchali, ogół dzielił się na takich co nie znali, takich co nie dbali, i takich, co się oburzali naiwnie lub szkalowali przewrotnie. Już w tem dość dla redaktorów smutku, a to tylko jeden z wielu. Czy domyślają się ci — bezmyślni albo przewrotni — którzy na nich gromy swoje rzucali, czy zdolni byli pojąć, jaką przebywa mękę człowiek z sercem jak być powinno, kiedy się spostrzega, że jego naród, który on chciałby mieć najlepszym na świecie i najpierwszym, nie jest nietylko doskonałym, ale nawet tak szlachetnym, jak on sobie dotąd wyobrażał? że jego ojczyzna, którą kocha nad wszystko w świecie, w przeszłości miała w sobie samej mnóstwo przyczyn swego upadku, dziś ma ich w sobie mnóstwo, które jej dźwignąć się nie dają? Czy kto wie, jak się zmienia świat, jak się dusza rozdziera, w chwili takiego odkrycia? Odradza się ona zapewne i hartuje, ale co przebywa, co musi wytrzymać? A potem ten obowiązek powiedzenia prawdy surowej, gorzkiej, bolesnej! Kto był zmuszony drugiemu oznajmić nieszczęście, zadać mu cios w samo serce, ten niech spróbuje wyobrazić sobie, ile to kosztuje powiedzieć swemu narodowi: nie jesteś tam gdzieś myślał, ale dalej, bo nie jesteś taki, jak o sobie myślisz! Prześladowanie, jakie się za tę otwartość znosi, jest niczem w porównaniu z tamtą boleścią, ale boli przecie i ono. A dopiero strach o przyszłość, a zawód w najdroższych i pewnych prawie nadziejach, jak pokój paryski.... Trudno jest zliczyć, trudno dziś odgadnąć, co przez te lat cztery wytrzymali wydawcy *Wiadomości*".

„Bo i dodatkowych przykrości nie brakło. Nieprzyjaciele udaremniali robotę, szkalowali robotników; swoi, nawet bliscy, nie bronili i nie pomagali. W niewielkiej liczbie abo-

nentów wielkopolskich, gorliwych przyjaciół miały *Wiadomości* jeszcze mniej. Z liczby najwierniejszych był Kajetan Morawski i Tadeusz Chłapowski. W Paryżu samym, u najbliższych, chłodna obojętność, albo otwarte wyrzekanie się *Wiadomości* i wszelkich spraw ich. Ks. Adam je cenił, chwalił w nich poprawność i czystość języka, ale gorącego poparcia nie dawał pismu, choć na nie łożył. Jego najbliższe otoczenie trzymało się jeszcze dalej; serdecznym, gorącym stronnikiem i przyjacielem *Wiadomości* był w tem gronie ludzi jenerał Zamoyski jeden, i druga jeszcze osoba, księżna Marcellina Czartoryska, która dzieliła wszystkie troski i dążenia redakcyi, a nieraz opieką i przyjaźnią swoją umiała przynieść ulgę w trudach i zmartwieniach".

„Nie brakło krzyżów i cierni na tej drodze, a co pomogło znosić je tak wytrwale? Właśnie to dziwne podniesienie serc, to idealne pojęcie służby, obowiązku, patryotyzmu, które pod wpływem ostatnich zawodów doszło u nich do swego szczytu. Wszystko złe, jakie mogło być w Polsce, dawnej czy dzisiejszej, trzeba wyplewić z niej jak chwast — ale najpierwej z siebie samych, bo inaczej nie można drugich uczyć, ani od nich żądać. A więc zmusić się do cierpliwości, bo Polska była popędliwa; do wytrwałości, bo była niestała; do pokory, bo była zuchwała; do wyzucia się z osobistości, bo ona miłością własną i obraźliwością nieraz się gubiła".

„*Wiadomości* były doskonałem pismem, ale były fenomenem i wyjątkiem zupełnym pod względem pojęcia, z jakiem redaktorowie przystępowali do dzieła. To była służba Boża, to było powołanie, obowiązujące do wyższej doskonalszej cnoty, prawie jak powołanie zakonne; kto tym sposobem myśl Bożą, prawo Boże, sprawę Bożą podejmował się krzewić i w życie wprowadzać, ten sam z siebie wszelki stary kwas musiał wyrzucić. Kto dla swego dzieła chciał Bożej pomocy, ten musiał na nią zasłużyć; kto chciał pismem robić dobrze, a nie szkodzić, ten musiał prosić o światło, o łaskę, o natchnienie... Kiedy w ważnej jakiej kwestyi wa-

żny artykuł miał być napisany, redaktorowie nie zaczynali go pisać inaczej, jak po spowiedzi i komunii. Było i jest wiele pism sławniejszych od skromnych nieznanych *Wiadomości*, alė wznioślejszego pojęcia publicystycznego zawodu i obowiązku, cnotliwszego jego pełnienia, nie było nigdy i nie ma".

ROZDZIAŁ TRZECI.

I. Nieszczęśliwa miłość. Wydanie dzieł Mickiewicza. Podróż do Włoch. Listy do *Gazety Codziennej*. Powrót do Paryża. Biuro. *Wiadomości*. Teatr amatorski. Sąd o sobie. Wypadki warszawskie. Śmierć księcia Adama Czartoryskiego. Biuro paryskie i jego prace. Dzieła Mickiewicza wychodzą. *Korrespondencya* Mickiewicza.

II. *Poeta Bezimienny*. Warunki w jakich pisany. Bezimienność. *Nieboska Komedya*. Odkrycia Klaczki. *Irydion*. Sąd o *Przedświcie*. *Psalmy Przyszłości*. Wartość i Znaczenie rozprawy. Anegdota.

III. Rosnąca sława Klaczki. *Wspomnienia* Rufina Piotrowskiego. Praca Klaczki w Biurze. Jego tryb życia. Propozycya hr. Walewskiego. Odmowa. Artykuł o Prusiech i Niemczech. Wybuch powstania 1863. Powody popełnionych błędów.

I.

Nieszczęśliwa miłość. Wydanie dzieł Mickiewicza. Podróż do Włoch Listy do *Gazety Codziennej*. Powrót do Paryża. Biuro. *Wiadomości*. Teatr amatorski. Wypadki warszawskie. Śmierć księcia Adama Czartoryskiego. Biuro paryskie i jego prace. Dzieła Mickiewicza wychodzą. *Korrespondencya* Mickiewicza.

Przypuszczam, że w latach *Wiadomości polskich*, 1857 — 1858, przebywał Klaczko miłość, nie pierwszą zapewne, ale jedyną wielką i — nieszczęśliwą. Dlaczego to przypuszczam? na jakiej podstawie? Sam nigdy mi ani słowem o tem nie wspomniał; w znanych mi jego listach nie spotykam żadnego opowiadania, żadnego zwierzenia, żadnego imienia. A więc skąd domysł, że to było i że było w tych latach?

Tak myśleli i mówili paryscy przyjaciele Klaczki, świadkowie jego życia: widywali go ponurym, słyszeli gorżkie wybuchy rozpaczy. Później jeszcze, w r. 1861 — 1862, wisiał przy biurze Klaczki jego ręką napisany, w ramki oprawny, wiersz Malczewskiego: „Życie tylko boli, gdy kwiat jego zginął“. Drobne to poszlaki, ale jednak coś wskazują. W liście do Kastorego, z lutego 1859 r., pisze Klaczko, że śmierć Krasińskiego otrząsła go z tego życia zgniłego, w jakiem był „od lat tylu“, i że nawet „z umysłu i z duszy mojej spada cień, który je oblekał od czasów już tak dawnych. Gdyby Bóg dał, abym w istocie mógł się uwolnić od zmory ciążącej na mnie — od wspomnień, co mi rozszarpały duszę, a mózg wolnym a piekielnym wypaliły ogniem“. To już wskazówka wyraźniejsza. Wprawdzie nie mówi Klaczko co to za zmora,

co za ogień, ale widocznie jakiś ból wielki; a kiedy ustne podania mówią o gwałtownej w tych czasach miłości, przypuszczenie jest bliskie, że to o niej mowa. W jednym liście do Januszkiewicza, z Neapolu 1860 r., znajdują się takie słowa: „Jeżeli moja świętej pamięci Pani jest w Paryżu, to mi nie pisz nic, bo już dość mnie prześladuje jej wspomnienie“. Na zakończenie tych oznak czy poszlak, jeden szczegół. W ostatniej chorobie, ale na lat parę przed śmiercią, Klaczko kazał sobie odwinąć rękaw od koszuli i zdjąć bransoletkę, którą pod nim nosił ukrytą. Prosta złota obrączka, bez żadnego napisu, bez żadnego imienia, bez żadnej daty, bez jednej litery. Kazał ją oddać do kościoła, na odzłocenie kielicha, albo na jaki inny pobożny użytek. To była oczywiście pamiątka; mogła być i po matce wprawdzie, ale jednak prawdopodobniej nie po matce, tylko po jakiejś inaczej kochanej. Jaki był przebieg tej miłości, jakie jej dzieje? Może Kastory, może Januszkiewicz wiedzieli coś o tem, skoro Klaczko w listach wspomina im o tej miłości; ale ich niema, niema kogo pytać, od kogo się dowiedzieć o szczegółach. Zostaje tylko ogólna wiadomość, że kochał i że był nieszczęśliwym. Czy miał jakie nadzieje wzajemności? Robi je sobie każdy zakochany, więc i on robić je musiał, a gdy się w nadziejach zawiódł, rozpaczał. Ze swojem zaś usposobieniem wrażliwem i namiętnem, mógł zrazu przesadzać sobie te nadzieje, a potem wpaść w wielki gniew, gorycz, rozpacz.

Kto była ta, którą kochał? Nie ubliży się jej pamięci, jeżeli się wymieni jej imię. Była to księżna Zeneida z Hołyńskich Kazimierzowa Lubomirska. Szlachetne serce, żywy umysł, wielki wdzięk, przywiązywały do niej wszystkich do późnej starości, do śmierci. Dla Klaczki miała szczerą przyjaźń i zachowywała ją zawsze. I u niego także gorycz i rozpacz nie przeszły w obojętność: owszem stały się z czasem przywiązaniem i przyjaźnią. Przypadek zrządził, że byliśmy na jednem miejscu, w Neapolu, kiedy przyszła wiadomość o śmierci księżnej (w kwietniu r. 1893). Udzielić mu tej wiadomości, czy ją zataić? Lepiej że ją usłyszy z ust przyjaznych, niż gdyby się dowiedział z dzienników. Wzruszony

był bardzo. Po kilku minutach prosił, żeby go zostawić samego na resztę dnia. Nazajutrz wyjechał z Neapolu.

Głównem zatrudnieniem Klaczki, obok *Wiadomości polskich*, było wydanie *Dzieł* Mickiewicza. Zbiorowego i dobrego nie było: rzecz prosta, że jego potrzeba dała się uczuć i uznaną była za powinność, zaraz po śmierci poety. Januszkiewicz, od samego początku Emigracyi wydawca tylu rzeczy polskich, był wskazanym jako ze wszystkich najbardziej biegły i doświadczony, wskazany także czcią i miłością, jaką miał dla poety przez całe życie. Drugim wskazanym do tej pracy był Klaczko: do wydania umiejętnego, do porównywania i wyboru tekstów, do strony krytycznej i estetycznej przedsięwzięcia doskonale usposobiony przez znajomość podobnych wydawnictw zagranicznych, i znowu przez cześć i miłość Mickiewicza. Już w r. 1856 prowadził korespondencyę z Lausanną, w nadziei, że może tam da się odszukać jaki ślad wykładów o Literaturze łacińskiej; list taki przytacza prof. Józef Kallenbach w swojem dziele o Mickiewiczu. W r. 1858 donosi Klaczko Kastoremu, że toczą się układy z Wolfem (wydawcą petersburskim), że dojdą do skutku, że Henriquel-Dupont zrobi rycinę Mickiewicza, i że z Januszkiewiczem wydadzą dzieła w przeciągu jednego roku, w ośmiu tomach. Nie wie więc jeszcze, że ich będzie jedenaście — tem mniej, że zamierzony rok przeciągnie się do lat trzech.

Zajęty więc jest tem wydawnictwem, kiedy w początkach r. 1860 następuje nieporozumienie w redakcyi *Wiadomości polskich;* zdaje się, że przestaną wychodzić. Klaczko w każdym razie pisywać nie chce, usuwa się. Tak pisze Andrzej Edward Koźmian. Powód, którego wyraźnie nie podaje, jest różnica w sprawie władzy świeckiej Papieża. Zamoyski i Kalinka obstają przy niej goręcej, Klaczko nie bezwzględnie. I wtedy nadarza mu się niespodziewana sposobność podróży do Włoch. *Gazeta Codzienna* w Warszawie przeszła na własność Leopolda Kronenberga, a pod redakcyę Kraszewskiego: pragnie oczywiście korespondencyi z Włoch w tej chwili, tak niezmiernie ważnej. Robi propozycyę Klaczce, on przyjmuje.

Podróż do Włoch! Któż o niej nie marzy, jeżeli nosi w duszy cześć wielkości, a miłość piękności. Historya, i sztuka, i natura, ciągną do Włoch każdą wyobraźnię cokolwiek żywszą całą siłą wspomnień, powabów, szlachetnych wrażeń. Pragnie widzieć Włochy choć raz ten co w nich nie był, tęskni za niemi, pragnie widzieć ten, co je widział. Jakże dopiero musiał pragnąć i marzyć człowiek z organizacyą tak wyjątkowo artystyczną jak Klaczko, wrażliwy na piękność, wykształcony na wielkich dziełach tak twórczych jak krytycznych, od młodości zagłębiający się w Dantego, zachwycający się sztuką, a nie mniej ją rozumiejący! On przez całą swoją młodość musiał marzyć o Włoszech, pytać, czy, kiedy, będzie mu danem widzieć na własne oczy to, co zdaleka znał i kochał, co widział „oczyma duszy“. Marzył, pragnął, a nie mógł; nie miał za co pozwolić sobie tej rozkoszy. Teraz znalazła się możność, nadarzyła się sposobność. W Paryżu nie wstrzymywało go nic. Z *Wiadomościami* nie był w zgodzie, właśnie z powodu spraw włoskich; innych obowiązkowych zajęć nie miał; korrektę dzieł Mickiewicza mógł pocztą odbierać i odsyłać. Do wyjazdu zaś nęciły go Włochy nietylko swoim stałym urokiem, ale i historyczną chwilą, przeobrażeniem jakie przebywały. Wojna skończona, Lombardya odebrana, pokój w Zürichu zawarty. Ale dalej? jak się obróci, jak się rozwinie obudzony popęd do jedności włoskiej? Co świat, a w szczególności Francya, powie na gotujące się i dokonywane anneksye? Kto, Cavour czy Mazzini weźmie górę i pokieruje tym popędem? Co zrobi Papież, i co z nim zrobią te siły narodowe jedne, a drugie rewolucyjne? Chwila była ważna, w najwyższym stopniu dramatyczna, a dla umysłu politycznego Włochy w tej chwili były tak ciekawe, tak zajmujące i pociągające, jak zawsze dla artysty. Klaczko się nie wahał, propozycyę przyjął, wyjechał, i pisywał *Listy z Włoch* [1]).

---

[1]) Zapomniane tak, że nie wiedziano nawet o ich egzystencyi, wydobyte są świeżo i przedrukowane przez Dr. Ferdynanda Hösicka w *Przeglądzie Polskim.*

Pierwszy pisany jeszcze przed wyjazdem, w Paryżu, 18 marca 1860 r. Domyślamy się w nim programu, zawiadomienia czytelnika, czego się ma spodziewać od korespondenta, o czem ten zamierza pisać. Na samym wstępie spotykamy wielką smutną postać „wielkiego Florentczyka, co zadanie człowieka, obywatela i chrześcianina, z poważnej i surowej pojmował strony; żywot jego był trudem trudów, a jego pieśń była czynem“. Wspaniała jest charakterystyka Dantego, który „swój naród miłował, chciał nim cały świat zadziwić, ale temu narodowi nie schlebiał, ani mu pobłażał, nie wzbijał go w dumę i nie miękczył pieszczeniem, przywar jego nie mienił cnotami, a w słabościach jego nie upatrywał siły, przebierał w nim, nie nazywał go wybranym, karcił go surowo i żadnej bolesnej nie oszczędzał mu prawdy“ i... „zostawił przykład rzadkiej harmonii między gieniuszem a charakterem“.

Po takim wizerunku drugi, Petrarki. „Składny, dowcipny, uprzejmy, uczony, wielbił pokój luby i samolubny, pełen hołdów i żołdów, próżny trosk i ofiar. Od kolebki do grobu szukał tylko zgiełku, rozgłosu, rozrywki, rozkoszy... hardego ducha a kruchej duszy, lekkiego pióra a lżejszego sumienia... pełen sprytu i próżności, przygotował zdawna i starannie tę improwizacyę zapału (koronacyę swoją na poetę)... Kto bałwochwalstwa formy nie posuwa do ateizmu myśli, kto dla barwy życia nie poświęca prawdy żywota, ten długo będzie ważył wieniec nad posągiem Petrarki, i może go w końcu nie położy“.

Z tych dwóch „nie wieszcz *Komedyi,* ale pieśniarz sonetów został ulubieńcem narodu. Dla Dantego mieli Włosi grube komentarze, Petrarkę przycisnęli do serca, przyjęli go duszą, unieśmiertelnili naśladowaniem. Przez wieki był gieniuszem Italii, stał się symbolem jej ducha“ i t. d.

Co to wszystko ma wspólnego z Włochami roku 1860? co robi Dante i Petrarka w korespondencyach do dziennika o bieżących dzisiejszych sprawach? Jest związek, i zaraz się pokaże. Klaczko pyta, spodziewa się, myśli, że zachodzi wielka zmiana we Włoszech, że one zaczną być, okażą się

„nietylko Petrarki, ale i Danta ojczyzną“. Będzie na miejscu patrzał, uważał, śledził, czy tak jest, czy silny męski hartowny duch i patryotyzm bierze górę nad rozmiękczonym a bez treści. O tem on będzie pisał. Piękność natury lub sztuki może czasem wywoła z niego jaki wykrzyknik mimowolny, ale nie o nich chce mówić, nie chce powtarzać sto razy powtórzonych uniesień — i frazesów. Jak zapowiedział, tak i zrobił. Jego listy, jego felietony, to są polityczne głównie artykuły, czasem lekkie, humorystyczne, żartobliwe, ale poważne i głębokie zawsze. I zawsze tendencyjne, nauczające. We wszystkiem, co mówi o Włochach, o ich roztropności i o ich niebezpieczeństwach, co w nich chwali albo gani, jest zawsze ukryta alluzya do nas, nauka, przestroga, albo przykład dla Polski.

List drugi z Chambéry, ze stolicy tej Sabaudyi, której anneksya do Francyi jest właśnie w toku. W Anglii, w Niemczech, wielkie oburzenie, w całej Europie pewne zdziwienie, rozczarowanie, na widok tej bezinteresowności Napoleona III. Ale w samej tej Sabaudyi o którą chodzi, jakie uczucia? jakie żale czy gniewy na tę bliską i już niechybną zmianę odwiecznych stosunków i losów? Odpowie Klaczko na to pytanie, ale przedtem zajęty jest inną myślą. Ten kraj przypomniał mu jednego swojego znakomitego syna, Józefa de Maistre. Nie dawne czasy, sam Klaczko był ich wychowańcem, kiedy to imię oznaczało jakiegoś „Arymana czy Czarnoboha moralnego świata i nowszej umysłowości. Ale nowsze doświadczenie i nowsze publikacye ukazują tę postać w jaśniejszem i w prawdziwszem świetle. Wielki umysł i wielki pisarz, zmusił do uznania nawet przeciwników; nikt już nieośmiela się zaprzeczać, a szlachetność człowieka, wzniosłość i dobroć serca, wydobywa się z pod okrzyczanej ponurej surowości“. A z pod tej surowości, bezwzględności, wiele dobywa się na wierzch prawdy? Klaczko nie przyjmuje bez zastrzeżeń de Maistra teoryj, ale podziwia w nim wielką sumę głębokich i wpływowych pojęć. „On mnie razi i oburza w wielu miejscach, ale i tam, gdzie mnie gromem razi, razem z tym gromem widzę nietylko błyskawicę gieniuszu, ale i roztwierające się na chwilę niebo nieskończoności“.

W pierwszym liście, z Paryża, był Petrarca na parę do Danta i na jego przeciwieństwo; tu podobnie przy sabaudzkim Józefie de Maistre staje Genewczyk Rousseau. Klaczko uznaje jego zasługi, jest mu „wdzięczny za to, że pierwszy wśród filozofów XVIII wieku podniósł głos za jakimś sensem moralnym, że śmiał się ogłosić wyznawcą Boga. Nie był to Bóg prawdziwy, Bóg-człowiek, tylko Bóg-duch, Bóg-uczucie. Ale zawsze był zwrot i postęp zbawienny od Boga materyalistów i od Boga Voltaire'a. Ale uczucie śrubował Rousseau do uczuciowości, prawa serca zamienił sofistycznie w bezprawie namiętności, w życiu dał przykład umysłu, który nie w obowiązkach, ale w sentymentach, a właściwiej mówiąc, w drażnieniu, znajduje regułę bytu. Stał się wreszcie wielkim mistrzem tej szkoły, która nie może uwierzyć, biedna, że Bóg się przemienił w ciało, a za to co chwila ciało przemienia w Boga. I dlatego mam do Jana Jakóba wstręt".

Na końcu listu zadaje sobie Klaczko pytanie, coby powiedział de Maistre Sabaudczyk, de Maistre legitymista, głęboko i gorąco wierny swojej ojczyźnie i swojej dynastyi, gdyby widział Sabaudyę oddawaną Francyi? Co autor dzieła *O Papieżu* odpowiedziałby na broszurę *O Papieżu i kongresie?* Coby on myślał, próżna rzecz dochodzić i mówić. Ale co o tem myśli sama jego ukochana ojczyzna, Sabaudya? To jest pytanie na czasie. Odpowie na nie Klaczko w następnym liście.

Sabaudya nie stanowiła nigdy politycznej jedności z Francyą, była odrębna, udzielna. Ale z pochodzenia, ze krwi, z języka, obyczaju, cywilizacyi, ona zawsze była i dotąd jest, francuzką. Z Włochami nie łączy jej nic zgoła, prócz tego przypadku, że jej książęta zostali królami sardyńskimi, a niebawem zostaną może włoskimi. Ona się za włoskie sprawy i interesa biła wiele razy, i dobrze, ale włoskiego patryotyzmu nie czuje. Piękna Italia nie jest jej ojczyzną; tą jest ona sama dla siebie. Ma silne przywiązanie do swoich książąt, do swojej dynastyi, nie ma żadnego do ich Piemontu. A kiedy waga Piemontu przeciągnęła tych książąt

na tamtą stronę Alp, kiedy siła rzeczy każe im mieć Włochy za swoją sprawę główną, Sabaudya nie ma do nich żalu, życzy wszelkiego dobra, ale za nimi na tamtą stronę Alp nie pójdzie. W połączeniu z Francyą zostanie czem jest; przyczepiona do Włoch, byłaby geograficznie, etnograficznie, cywilizacyjnie obcą i obojętną przyczepką. Interesa ekonomiczne, łatwość nauk i wychowania, wszystko ciągnie na stronę Francyi. Nawet duchowieństwo sprzyja bardziej cesarzowi, niż królowi, który może w niedalekiej przyszłości podpaść pod klątwy kościelne. Za Włochami obstaje w całej Sabaudyi tylko jedno stronnictwo, rewolucyjne, bo we Włoszech widzi sprzymierzeńca rewolucyi, a spodziewa się jej tryumfów na kiedyś — we Francyi boi się jej poskromienia. Tu więc anneksya będzie łatwą i będzie szczerą. Inaczej może być w Nicei. (Klaczko każe pisać N i c e a, nie N i z z a, bo po łacinie nazywa się ona zupełnie tak, jak małoazyatycka soborowa Nicea). Nicea jest włoską; język, obyczaj, historya, wszystko należy do jedności włoskiej: tam może być trudniej.

Oto, co wydobył i wniósł Klaczko z obserwacyj, z rozmów z Sabaudczykami podczas swego pobytu w Chambéry, i pojechał do Turynu.

W następnym liście opowiada smutne dzieje tej podróży: przeprawę przez Cenis w śniegach, mrozach, nocnych ciemnościach, i w jakiejś strasznej na saniach osadzonej budzie. Jedzie w niej we dwóch, z towarzyszem młodym Francuzem; pocieszają się i pomagają sobie wzajemnie w tej biedzie. Francuz trzyma pod pachą w rękach, piastuje na kolanach, jakąś tekę z papierami; strzeże jej jak oka w głowie. Co on tam ma? Nie banknoty z pewnością; może jakie rachunki, prospekty handlowe, albo inżynierskie plany? Rozmawiają naturalnie o polityce: Francuz z żywością a nawet z niezwykłą znajomością rzeczy tłómaczy nagłe zawarcie pokoju w Villafranca. Cesarz musiał go zawrzeć wobec mobilizacyi pruskiej. W razie wojny nie byłby mógł postawić nad Renem więcej jak czterdzieści tysięcy ludzi. Dojeżdżają do Turynu, żegnają się, zamieniają karty wizytowe, i pokazuje

się, że towarzyszem podróży był młody dyplomata, p. Benedetti, a w owej tece wiózł ni mniej ni więcej tylko ostateczny, w Paryżu ułożony akt odstąpienia Sabaudyi i Nicei, do podpisu przez króla Wiktora Emmanuela. Ten sam Benedetti, głośny jako dyplomata w późniejszych latach cesarstwa, ten sam, który się tak smutno wsławił, tak mało wiedział i widział i przewidział jako poseł francuski w Berlinie w r. 1870.

Tego samego dnia przyjeżdżał do Turynu Ricasoli, i przywoził także akt anneksyi, tylko ważniejszej i miłszej: przystąpienie Toskanii, do unii z Piemontem. Przed kilkoma dniami przywiózł Farini taką samą uchwałę z Bolonii. Ta była z góry pewna, łatwiejsza: nikt nie wątpił, że Romania i Emilia pragną tego połączenia. Ale Toskania, przez całe wieki tak dumna w swojej odrębności, tak o nią zazdrosna, Florencya, taka wielka w historyi przez ludzi których wydała, czy ona zechce zrzec się tej samoistności? czy ten Cezar pozwoli się zrobić drugim? To pytanie niepokoiło i króla i samego Cavoura. Rozwiązał je ten, co dziś rozwiązanie przynosił, Ricasoli. Po wyjeździe Wielkiego Księcia wziął dyktaturę w Toskanii i tak umiał sprawę prowadzić, że ją dla Włoch wygrał. Człowiek niezwykłej zdolności i siły woli, jak dowodzi jego życie, w krótkości przez Klaczkę opowiedziane. W r. 1848 stłumił republikę Mazzinistów, i Florencyę oddał Wielkiemu Księciu. Ale ufał i wierzył w jego nadal konstytucyjne liberalne rządy. Zawiódł się, zniósł to milczeniem, przez dziesięć lat gospodarował w swoich majątkach. Ale gdy przyszła sposobna chwila, wystąpił, ujął ster spraw, i pokierował je jak chciał. Dzielny człowiek niezaprzeczenie, ale może aż straszny. Przytacza Klaczko jeden fakt z jego życia. Miał żonę, i powody zazdrości o żonę. Pewnego wieczora wsiadł z nią do powozu, niby na bal, ale nie na bal ją zawiózł, tylko do jakiegoś swego zamku w Maremmach, i tam ją trzymał, aż póki nie umarła – czternaście lat! Druga Pia di Tolomei, tylko tamta była niewinna.

Wjeżdża tedy Ricasoli do Turynu, tłumy ludzi, wjazd tryumfalny: ale dla Klaczki uroczyste wrażenie prysło za dotknięciem rzeczywistości prozaicznej. Tryumfator kłania

się na wszystkie strony, a kłaniając się odsłania — perukę! Łysina może być piękną, poetyczną, tragiczną: peruka musi być komiczną. Ta aureola z cudzych włosów nad głową męża stanu zmroziła zapał korespondenta, który w bardzo zabawnym ustępie prosi wszystkich łysych, żeby mieli odwagę swojej łysiny. Cezar się jej nie wstydził, a nieźle wyglądał jadąc w tryumfie na Kapitol.

Tryumf jakiś cichy, spokojny — aż wydaje się raczej chłodnym. Jak w okoliczności podobnej zachowałaby się ludność Paryża? jak ludność pewnych stref północnych, gdyby jej kto przywoził radość, szczęście? Gdzież włoski zapał, gdzie ten temperament, skłonny do uniesień i do objawów uniesienia? Tak rozmyślając, spotyka Klaczko człowieka niepokaźnego, grubego, w okularach, który z papierami pod pachą wchodzi w bramę ministerstwa spraw zagranicznych. Cavour! Jakto? on? ten, co to wszystko sprawił, on nie patrzy na tryumf, nie jest przy królu, przyjmującym akt unii? On, jak żeby się nic nie stało i nie działo, idzie załatwiać swoje codzienne czynności? Czy on nie tłómaczy czasem chłodnego zachowania się turyńskiej ludności? Czy to nie temperament piemoncki, dbały o rzecz więcej, niż o pozory? Patrzy Klaczko na otwarcie pierwszego parlamentu włoskiego, słyszy mowę tronową Wiktora Emmanuela, a w niej słyszy brak upomnienia o spokój, o cierpliwość, o posiadanie siebie, kiedy się tak wiele, tak nadspodziewanie wiele i nadspodziewanie łatwo dostało! Na wdzięczność ludzką nie bardzo liczy w ogóle, ale jednak nie może bez zdziwienia uważać w usposobieniu Włochów względem Francyi czegoś zimnego i niechętnego. Z Supergi podziwia piękny widok, a groby królów nasuwają mu piękną charakterystykę Karola Alberta i jego tragicznych losów, zestawienie jego z synem, zupełnie innym, nie tak zawiłym, nie tak też głębokim i tragicznym; na tem kończy swój pobyt w Turynie i jedzie dalej do Florencyi.

Gdzie Dante? gdzie Michał Anioł, Medyceusze, Macchiavelli i wszyscy inni? Niema ich w tych listach, jak żeby ich nigdy nie było we Florencyi. Listy są ściśle polityczne, dzi-

siejsze: piszący nie patrzy na dawne dzieje i chwały Włoch, tylko na ich obecne położenie, na przyszłość jaka z niego może wyniknąć. Raduje się oswobodzeniem, pragnie i życzy niepodległości zupełnej, utrwalonej; widzi dążenie do zjednoczenia całego półwyspu. Ale czy ono możliwe? Te różne części, tak odmienne, tak osobne i niezależne od drugich, czy one zechcą, a choćby chciały czy zdołają zrosnąć się w organiczną jedność i całość? Lombardya przyłączona, Toskania, Parma, Modena, Bolonia przyłączyły się same. Ale czy na tem koniec? Samo to ich przyłączenie jest przeciwne traktatowym postanowieniom, może każdej chwili stać się międzynarodową kwestyą i komplikacyą. Francya czy będzie na to dalej patrzała przez szpary, czy będzie mogła? Wyprawa Garibaldego do Sycylii może nie skończyć się dobrze; a gdyby nawet, to zostaje Neapol. Zdobyć go nie łatwo; zlać go w jedno z Piemontem trudniej. A dopieroż nad wszystkiem, i przed wszystkiem, kwestya rzymska. Jak się ta rozwiąże? jak wpłynie na dalsze losy Włoch? Włochy zjednoczone muszą dążyć do Rzymu, jako do swojego środka ciężkości, do swojej stolicy. Papież nie może im Rzymu ustąpić. Do francuskich planów, do konfederacyi włoskiej pod swojem przewodnictwem, i on się nie skłania, i Włosi jej nie chcą. Wypędzić go jak w r. 1848? Nie pozwoli Francya, jej wojsko jest w Rzymie. Jakie wyjście, jaki możliwy koniec? Droga Włoch najeżona trudnościami i szkopułami, a wszystko, co one dotąd zrobiły i zyskały może się o te szkopuły rozbić.

Wyjście znalazło się nieprzewidziane. Włochy doszły do swego celu przez wojnę pruską, przez pogrom Francyi i upadek cesarstwa. Ale w r. 1860 tego nikt przewidywać nie mógł, i Klaczko, bawiąc we Florencyi, szuka odpowiedzi na te pytania: chce dojść, jak Włosi wyobrażają sobie dalszy przebieg swojej sprawy, jakie upatrują drogi wyjścia. Szuka tego w rozmowach, w dziennikach, w broszurach: ale dochodzi do tego tylko wniosku, że różni różnie widzą i przewidują.

Klaczko podziwia, z powodu wjazdu Wiktora Emmanuela do Florencyi, cywilizacyę tej ludności, która umie obchodom

takim nadać charakter dostojny i estetyczny. Podziwia więcej jej cywilizacyę moralną i naturę szlachetną. Tu ludzie i stronnictwa walczą z sobą, ale do walki nie używają brzydkiej podłej broni. Oni jedni na drugich nie kłamią, nie rzucają potwarzy, nie szkalują się. Rewolucyonista legitymisty i nawzajem legitymista rewolucyonisty, nie posądza i nie oskarża o brak patryotyzmu, cóż dopiero o zdradę. Mają poszanowanie ludzi, poszanowanie przekonań, i poszanowanie siebie samych. Ale czy i jak potrafią dojść do swego celu, do siebie nawzajem przystać? Chmurne było niebo nad Florencyą, gdy do niej król wjeżdżał, a na horyzoncie sprawy włoskiej także chmur nie brak. Toskańczyk i Piemontczyk, sprowadzeni razem, czują się nie swoi w tem towarzystwie, nie wiedzą co z sobą począć, patrzą na siebie jak na nieznanych i obcych. Król widocznie zafrasowany, nie umie nawet wyrazem twarzy pokryć troski. Idzie dalej tą drogą, ale nie jest pewien czy ona dobra. Mówią, że kiedy z Watykanu padła ekskomunika, płakał. Do Cavoura miał powiedzieć, że pójdzie z nim aż do bram piekielnych, ale nie za te bramy — innym razem, że za dużo mięsa włożyli na rożen: upiec go będzie można chyba przy ogniu działowym. Anneksye wbrew zürichskiemu traktatowi, zagadkowa postawa Francyi, los Wenecyi, wyprawa sycylijska, Neapol, a nadewszystko Rzym, wprawiają Włochów w niepokój i obawę. Klaczko stara się badać, poznać, co oni myślą: czynni politycy, jak d'Azeglio, Poerio, Mamiani, Arese, uczeni, jak Tommaseo, Alberi, Montanelli, widzą położenie Włoch bardzo różnie. Najśmielszym, najpewniejszym dobrego końca wydaje się Ricasoli. I on byłby wolał, żeby Garibaldi nie był płynął do Sycylii, żeby dwór neapolitański był dał konstytucyę i reformy; ale jednemu przeszkodzić, drugiego sprawić, nie było mocy i sposobu, a ostatecznie wszystko się szczęśliwie ułoży. Montanelli, już w młodości sławny jako uczony, wielki prawnik i pisarz, profesor uniwersytetu w Pizie, w r. 1848 żołnierz i członek republikańskiego rządu we Florencyi, po powrocie W. Księcia emigrant, za wojskiem francuskiem dopiero wrócił do ojczyzny; ten wróży ze wszystkich najsmutniej.

Boleje nad opuszczeniem Wenecyi, ale utrzymuje, że Włochy powinny były stanąć na gruncie pokoju w Villafranca, choć przykrym, bo na tej drodze mogły dojść do rozwiązania kwestyi zgodnego ze swoją naturą i ze zdrową przyszłością. Rzesza, konfederacya, to jest dla nich forma bytu przyrodzona i jedyna żywotna. Z odrębności różnych miast i republik wyrobiła się cała wielkość włoskiej historyi — i cywilizacyi: ta odrębność jest w ich naturze, w ich krwi. A teraz przychodzi północny barbarzyniec, Piemont, który do włoskiej historyi i cywilizacyi najmniej należał, najmniej w niej znaczył, i chce nad wszystkiem wziąć górę, stopić w jedność na to, żeby panować. Ta część chce być całością! A wszystkie zasługi i chwały Florencyi, czy Wenecyi, czy Rzymu mają się poddać? Nie potrafią, choćby najbardziej chciały. Natura i historya odezwą się i upomną o swoje prawa, i ta jedność, choćby się dokonała, nie zdoła trwać. A dopieroż Rzym! Montanelli nie jest „klerykałem“, nawet nie katolikiem, ale Włochy katolickie są, i takiemi zostać muszą. Papież musi być panem u siebie, a ze świecką stolicą w Rzymie, być nim nie może. Nie skończyłoby się na upadku jego władzy świeckiej: w dalszym widoku ukazuje się upadek Kościoła, upadek wiary. W naszych czasach zaś na miejsce zburzonego katolicyzmu nie Luter przyjdzie, ale Voltaire. I takie to odrodzenie chcą zgotować Włochom! Cesarz francuski mądrze i szczerze chciał ich dobra, kiedy radził konfederacyę włoską. Wywiedli go w pole Piemontczycy; oni z nim nie byli szczerzy, oni mieli w sercu swoją żądzę panowania przez zjednoczenie. A gdy się spostrzegł, gdy się na tem poznał, nie dziw, że spuścił broń do nogi i zawarł pokój z Austryą.

Takie różne opinie, takie wróżby z różnych stron dochodzą do Klaczki. On je zapisuje i niewątpliwie chce dalej dochodzić, badać, porównywać i pomału wyrabiać własną opinię, własne wnioski, kiedy niespodziewane zdarzenie położyło koniec jego korespondencyi do *Gazety Codziennej*. Cenzura warszawska zapowiedziała redakcyi, że nie pozwoli nic mówić o kwestyi papieskiej. Kraszewski zawiadomił

o tem Klaczkę. Klaczko, który o tej kwestyi pisać chciał i o niej pisać musiał jako o głównej między włoskiemi, zrzekł się dalszych korespondencyj; jego listy się urwały.

Osobiste ich nie zastąpią. Jest ich kilka i rzucają światło na ówczesne usposobienie Klaczki, na jego stosunek do kwestyi rzymskiej: mianowicie ogłoszony przez p. Meyeta w r. 1907 w *Nowej Gazecie* list do Lenartowicza. Ten mieszkał już we Florencyi. Jak się ułożyły stosunki pomiędzy nim a Klaczką? Lenartowicz, bardzo dobry, mógł przebaczyć przykry dla siebie artykuł o *Gladyatorach;* ale Klaczko czy zrobił co ze swojej strony, żeby tę przykrość złagodzić? Czy okazał mu jaki żal, że się z nim obszedł tak nielitościwie? Musiało zapewne zajść coś takiego, skoro zaszło zbliżenie, ale wiadomości wszelkich brak. Zbliżenie jednak jest faktem, skoro jest list, i to poufny, zwierzenie swoich wrażeń i przekonań.

List przykry, powiedzmy to otwarcie. Klaczko, jak wszystko świadczy i dowodzi, jest przeciw władzy świeckiej Papieża: chciałby go widzieć sternikiem włoskich dążeń do niepodległości. Z redakcyi *Wiadomości polskich* wystąpił z powodu tej kwestyi. Rzecz łatwa do zrozumienia. Wyswobodzenie Włoch, to przecie sprawa dobra, sprawiedliwa: Namiestnik Chrystusa nie może tego nie widzieć. Czemuż tego otwarcie nie powie? czemu nie staje przy tej sprawie dobrej? Klaczko myśli i czuje to, co myślało i czuło bardzo wielu najszczerszych nawet katolików, myśli i czuje to, co czuł i myślał i mówił Zygmunt Krasiński, kiedy w r. 1848 miał audyencyę u Piusa IX. Nie widział, nie rozumiał, nie wiedział tego, co wiedział Papież, że pod dobrą sprawą kryła się i przekradała dążność zła, że wyswobodzenie Włoch nie było celem jedynym i całym, że był drugi: zburzenie Kościoła, zgładzenie chrześciaństwa, odchrześcianienie świata. Klaczko nie pojmował i nie wierzył, iżby złe mogło się łączyć z dobrem, pod jego flagą przemycać; dlatego nie mógł pojąć postawy i postępowania Papieża, dlatego pisze to samo mniej więcej, co przed laty mówił Mickiewicz w swoich dwóch ostatnich kursach. „Stolica Apostolska nie może w so-

bie znaleść żadnego natchnienia z góry? nie może wydobyć z siebie żadnej myśli wyższej, żadnego słowa potężnego, któreby ją i sprawę ludów wyniosły nad mizerne ludzkie rachuby“ i t. d. Ale choć można wyrozumieć jego uczucia i ich powody, to nie można przyznać mu słuszności. Można tylko znowu wyrozumieć, że wrażliwy bardzo, patrzący z zapałem w stronę piękną i sprawiedliwą spraw włoskich, do oburzenia bardzo skłonny i w niem namiętny, kiedy zobaczył i palcem dotknął różnych małości, płaskości, niskości w świeckich rządach Stolicy św., i w ludziach otaczających Piusa IX, że wpadł w gniew i oburzenie, a z nich w przesadę. Ale to wyrozumiawszy, nie można mu oszczędzić ciężkiego zarzutu. Nie miał prawa mówić choćby poufnie, nie miał prawa myśleć, że „niewola ludzi i ludów jest ich celem“ — „w Neapolu mordują ludzi, ale przynajmniej nie krzyżują Boga“.

I to ten sam Klaczko, co w r. 1849 nie miał dość słów oburzenia na tych, co Papieża z Rzymu wygnali, ten sam, co przed półtora rokiem napisał *Katechizm nierycerski* i trząsł się cały ze zgrozy na bluźnierstwa Mierosławskiego? To co w tym liście napisał, byłoby na swojem miejscu w ustach Mierosławskiego, w jego ustach nie! Wiem, że tych słów nie byłby nigdy powiedział publicznie, ani ogłosił drukiem, ale nawet w poufnym liście nie powinien był ich napisać; nawet w swojej własnej ukrytej myśli powinien był je stłumić, poskromić, nie dać im się złożyć. Mówimy o nich dlatego, że ogłoszone są, że mogą one, słowa Klaczki, stać się dogodną bronią w rękach nieprzyjaciół Kościoła. Cofnąć się już nie dadzą, a Klaczko umarł i odwołać ich nie może. Niech więc zostaną na przykład i na przestrogę, jak rozdrażnione nerwy i namiętny temperament mogą najlepszego człowieka ponosić, i unieść po za jego głębsze i stałe przekonanie, po za jego wolę.

Dodać jeszcze mamy obowiązek, że słowa powyższe brzmią bardzo dziwnie w uszach człowieka, który nie raz i nie sto razy słyszał, jak Klaczko mówił o Piusie IX nie już ze czcią, ale z gorącem, rzewnem, czułem podziwieniem. Przed swoją chorobą miewał często sposobność i powód mó-

wienia o Leonie XIII, o jego Encyklikach. Rozumiał ich doniosłość, oddawał sprawiedliwość, ale często kończył słowami: „Przecie to nie Pius IX; mój kochany Papież, to tamten“.

Są listy do Januszkiewicza. Ten, pisząc do żony, narzeka często na Klaczkę, że jeżdżąc po Włoszech, nie odsyła korrekty Mickiewicza, albo odsyła ją nieregularnie; Klaczko się tłómaczy, przeprasza, obiecuje poprawę. Z ustaniem korespondencyi ustał i dochód z *Gazety Codziennej*, a trzeba przecież i we Włoszech jeszcze zostać i do Paryża wrócić. Januszkiewicz radzi, obmyśla sposoby, przesyła fundusze.

13 czerwca.

„Mój kochany i dobry i drogi Eustachy.

„Dziękuję Ci, dziękuję Ci z całej duszy za Twój list drugi — bo pierwszy raził mnie jak gromem. Miałeś racyę niezawodnie, mój drogi i dobry przyjacielu. Ale gdy Twoje dobre poczciwe serce zbyt długo sierdzić się nie mogło na tego nieznośnego Juliana, pozostaje mi tylko z całej duszy Cię uścisnąć, a potem za przykładem wielkiego Scipiona zamiast wszelkich dyskusyj, udać się na Kapitol dziękować Bogom, co też niechybnie jeszcze dziś uczynię“.

„52 Via Babuino. Rzym 7 lipca 1860 r.

„Mój kochany Eustachy! Nie wiem, czy, że listy tu zatrzymują na poczcie, czy skutek to tradycyjnej niedołężności, ale wystaw sobie, że dopiero przedwczoraj odebrałem Twoje dobre pismo z dnia 25 czerwca. To niechaj Ci tłómaczy mój list z poniedziałku i moje naglenie; według rachuby ludzi, których się pytałem, długo się zwlekała Twoja odpowiedź i dlatego drugi raz szturmowałem, bo byłem w bardzo przykrem położeniu bez grosza na zupełnie obcej ziemi. Mamże Ci dziękować za Twoją dobroć, która przezorność swą aż do Marsylii rozciągnęła? Za powrotem ścisnę Ci rękę — czemś lepszem odwdzięczyć się nie mogę. A wrócę niezadługo, na końcu przyszłego miesiąca. W Neapolu dwa tygodnie zabawię, a potem tydzień we Florencyi, i z Florencyi na Li-

vorno i Marsylię wprost do Paryża. Do Florencyi wstąpić muszę, bom tam zostawił wszystkie moje książki i papiery (między innemi tom prozy Adama), których do Rzymu zabrać nie mogłem, bo rząd ojcowski nie lubi książek i papierów; gdyby nie to, tobym Ci już stąd wysłał tom prozy. Ale, mój drogi i dobry Eustachy, nie bądź gorączką, nie spiesz się zbytecznie, daję Ci słowo, że za powrotem wezmę się do dzieła i je prędko ukończę. Sam przyznałeś, że zbyt nagliłeś; a żalby mi było, gdyby dla tej niecierpliwości wydanie na czemś ucierpieć miało. Zaklęcia i łzy Wolfa[1]) nic nie pomogły: robimy wydanie pomnikowe, a nie księgarskie, więc w nakładzie musimy się stosować do wewnętrznych wymagań pomnika, a nie zewnętrznych cenzury i odbytu. Cóż z Henriquelem?[2]) i czy sztych postąpił? Aby już wszystkie załatwić interesa, muszę Ci też powiedzieć, żeś mi niemałego klina wbił w głowę ze swoją kopią *Zaślubin Najświętszej Panny* Rafaela. Rafaela *Zaślubin Najśw. Panny* niemasz zgoła w Rzymie i nie mogę się domyśleć, czego właściwie chcesz? Tu w Rzymie są Rafaela *Koronacya N. Panny* w Watykanie (z epoki perugińskiej), i *Transfiguracya* tamże; następnie *Złożenie do grobu* w galeryi Borghese (z pierwszej epoki), a w końcu niedokończona *Koronacya* w Watykanie, i tamże *Madonna di Foligno*. Oto wszystko ze świętych obrazów Rafaela tutaj. *Zaślubiny*, t. j. *Sposalizio,* jeśli się nie mylę, w Neapolu, chociaż dureń Postępski[3]) mi prawi, że w Medyolanie. Cokolwiek bądź, pisz zawsze o co Ci chodzi — ale wybrałeś we mnie nieszczególnego pośrednika; bo ja się na malarstwie nie znam, a jeszcze mniej na cenach, jakie tu za kopie dają. W każdym razie trzeba abyś dał miarę tak dobrze obrazu (jakiej go chcesz wielkości), jak pieniędzy (do jakiej sumy się posunąć), wtedy poradzę się tu księży naszych i artystów i postaram się jakiś układ zrobić. Tylko spiesz się z odpowiedzią, bo już niedługo tu będę bawił.

---

[1]) Petersburski księgarz i wydawca.
[2]) Henriquel-Dupont, sławny sztycharz.
[3]) Znany malarz religijny; on miał racyę, nie Klaczko.

Niezmiernie mnie ucieszyłeś wiadomością, że pani Wąsowiczowa ma się lepiej".

„Nie piszę Ci nic o Rzymie. Rachują tu na „Bożą pomoc", t. j. na koalicyę przeciwko cesarzowi, na śmierć jego, a jeśli jaki Ravaillac stąd nie wyjdzie, to tylko dlatego, że im brak odwagi, nie zaś woli".

„Czytaj zakończenie *Irydyona*".

„A kochajże mnie, jak ja Ciebie z całego serca i z całej duszy. *Julian*".

Neapol 28 sierpnia 1860 r.

„Mój kochany drogi Eustachy! Piszę do Ciebie, aby uśmierzyć, jeśli można, Twój gniew, że tak długo zwlekam z powrotem. Odwołuję się do Twojej duszy, do Twojej wrażliwości, do Twego zapału dla spraw świętych i wielkich i pytam się Ciebie, czybyś Ty miał większą moc odemnie, czybyś Ty chciał i mógł opuścić Neapol w chwili, jak obecnej, gdy co dzień, co godzina słyszysz, że się wszystko wnet rozstrzygnie, że Garibaldi tuż pod murami, że król już na statku i t. p.? Nie; jestem przekonany, że i Ty na mojem miejscu byś za nic w świecie nie opuścił Neapolu w podobnej chwili; i dlatego piszę śmiało do Ciebie, prosząc o pobłażanie, ale zarazem pytając się Ciebie, czybyś Ty był lepszym odemnie? Czekam więc w Neapolu końca pierwszego aktu przynajmniej — bo ileż to innych jeszcze nastąpi! Czekam i według wszelkiego prawdopodobieństwa długo już czekać nie będę. Garibaldi już w Salerno, wybieram się nawet tam jutro, aby widzieć obóz powstańczy; skoro zawita do Neapolu samego (jeśli Pianelli go nie zwycięży, o czem wątpię najmocniej), powiem, żem widział raz w życiu dramat wielki — i wrócę natychmiast do Paryża".

„A dramat to prawdziwie wielki, nauczający — nauczający przedewszystkiem dla królów; nie będę Ci opisywał tego, com widział — tyle o tem już pisano, tyle już zapewne o tem czytałeś, Ty, co wszystko czytasz; a telegraf zresztą wyprzedzi o wiele z ostatecznym rezultatem mój list, i zrobi go pod tym względem arcyniepotrzebnym. Powiem Ci tylko,

mój drogi, że jestem świadkiem najciekawszego widowiska w świecie: rządu, który jak śnieg topnieje, bez niczyjego przyczynienia się, dynastyi, która upada pod brzemieniem nicości — czegoś podobnego nie wystawi sobie żaden, co tego na własne nie widział oczy. Nie wierz w cuda waleczności ze strony powstańców: garstka to nie szykowna, i z wyjątkiem kilku Anglików, Węgrów, i naturalnie kilku zaprawnych i wiernych i dawnych towarzyszów Garibaldego, wcale nie heroiczna — ale wojsko za to neapolitańskie jest kwiatem podłości, tchórzostwa i kannibalizmu. Tu w Neapolu samym nikt nie śmie kiwnąć palcem, wszyscy się boją; mimo wszystkich usiłowań wysłanników Garibaldiego, niepodobna tu było najmniejszego wywołać ruchu — a jednak dynastya upadnie, upadnie nikczemnie, sromotnie, jak na to zasłużyła! O Bóg jest wielki — i gdy ludzie działać nie mają odwagi, On sam bierze w rękę sprawę, i obraca w perzynę wszystkie warownie podłości!"

„Co dalej będzie, czy Garibaldi w istocie po zdobyciu Neapolu popłynie do Fiumy i zapali Węgry? Czy Francya zechce, czy będzie mogła wziąć na siebie odpowiedzialność wszystkich tych kroków? Bogu to jednemu wiadomo! Ja jestem tu miotany i żgany nadzieją, obawą, weselem, rozpaczą — żyję w piekle i raju zarazem!"

„Ach co też tu widziałem, mój drogi, mój dobry Eustachy! Widziałem powrót emigrantów po dwunastoletniem oddaleniu, i przyjęcie ich przez rodziny, co te lata w żałobie przepędziły! Widziałem straszne te ciemnice, w których jęczeli więźniowie! Widziałem straszne wynalazki najpodlejszego terroryzmu i despotyzmu w świecie! Widziałem wiele rzeczy wielkich, wzruszających, strasznych, pięknych, i to wszystko przy oświeceniu ognia Wezuwiuszowego i błękitu golfu — widziałem rzeczy, o których długo za powrotem gawędzić będę z Tobą, mój dobry, mój drogi Eustachy!"

„A teraz jeszcze jedno na ostateczne zaspokojenie: skoro tylko telegraf Ci doniesie, że coś stanowczego tu zaszło w Neapolu, powiedz sobie wtedy śmiało, że w tydzień po tej dacie, wskazanej przez telegraf, uściśnie Cię serdecznie i osobiście

Twój — *Julian*".

Przed wyjazdem z Neapolu jakieś zajście, którego powodu dojść nie można, a które mogło skończyć się pojedynkiem, bo skończyło się wyzwaniem. Z kim? Z jakimś p. Ferrer, o którym wiemy tyle tylko, ile mówi jego karta wizytowa: *Il commendatore Achille Ferrer.* O co? O jakieś słowo obraźliwe: ale jakie i z jakiego powodu? tego nie wyjaśnia list świadka, któremu Klaczko swoją sprawę powierzył. Ten świadek, to p. Visconti-Venosta, później prezydent gabinetu ministrów we Włoszech, a list jego znalazł się między papierami Klaczki. Oto jak brzmi:

„Monsieur! Je m'empresse de Vous rendre compte de la mission, dont Vous m'avez fait l'honneur de me charger auprès de Monsieur Ferrer. Je me suis présenté chez Mr. Ferrer, et je lui ai dit, que la manière, dont il avait cru mettre fin à une discussion, qui n'avait d'ailleurs rien de personnel, en prétendant Vous imposer silence, constituait pour Vous une offense, et que je venais lui demander formellement de votre part, la réparation, que les hommes d'honneur ont l'habitude de demander, lorsqu'ils se croient offensés".

„Mr. Ferrer m'a alors répondu, que, bien que les paroles par lui prononcées n'eussent pas dans sa pensée l'intention d'une offense, cependant, pour calmer toute susceptibilité de votre part, il n'hésitait pas à Vous en présenter ses excuses".

„Il ne me restait, Monsieur, qu'à prendre note comme votre représentant de cette déclaration, qui satisfait à Votre honneur et met fin à ma mission".

„Je Vous préviens, qu'avant de Vous envoyer cette lettre j'en ai donné lecture à Mr. Ferrer, qui n'a pas cru soulever aucune objection. Agréez, Monsieur, l'assurance de ma considération la plus distinguée".

Emile Visconti de Venosta.

Naples, ce 29 âout 1860.

Satysfakcya więc zupełna, a osoba świadka dowodzi, że Klaczko miał już stanowisko poważne w ówczesnym włoskim świecie.

Po powrocie musiał Klaczko zamierzać jakąś większą pracę o sprawach włoskich, bo między jego zapiskami jest jeden karton cały zapełniony materyałami i dokumentami do tych spraw. Raporta ambasadorów z Turynu, Florencyi, Rzymu i Neapolu, noty ministrów do nich, prawie wszystkie, jeżeli nie wszystkie, z r. 1849 i 1850, przepisane jeżeli nie wprost z francuskiego archiwum, to z urzędowych ogłoszeń. Ale przytem ani jednego słowa Klaczki.

Za powrotem do Paryża, we wrześniu r. 1860, zastał w nim Klaczko nowość: to *Biuro,* które miało oświecać opinię europejską o sprawach polskich, a nawzajem opinię polską o położeniu politycznem ogólnem, europejskiem, podług którego mielibyśmy kierować swojemi zamysłami i krokami. W ówczesnym stanie rzeczy, w podniesieniu polskich uczuć i nadziei, wywołanem wojną włoską, taki kierunek wydawał się tem potrzebniejszym, im większe było prawdopodobieństwo kroków błędnych i szkodliwych: a znowu uwaga świata, zwrócona podówczas na różne sprawy narodowości, dawała nadzieję, że i na sprawę polską zważać zacznie. Dostarczać jej wiadomości, oświecać ją, zdawało się rzeczą nietylko wskazaną i pożyteczną, ale konieczną. Ta myśl i ta praca obróciła się w końcu źle, okazała się ona także błędną i szkodliwą. Ale zważywszy ówczesny stan rzeczy, przenosząc się w usposobienie ówczesne, nie można przynajmniej dziwić się, że myśl wydawała się dobrą, a praca była podjętą. Bardzo czynnie, bardzo gorliwie odrazu. Ta czynność wzrosła i rozwinęła się dopiero silnie po wypadkach warszawskich z lutego 1861 r., i do tej chwili odkładamy obszerniejszą wiadomość o *Biurze.* Tu, zapisując jego zawiązanie tylko, zaznaczamy, że Klaczko był z góry uważany za jego członka z bożej łaski, za jeden z jego filarów, za zdolność i siłę pierwszego rzędu, do powodzenia i skutku przedsięwzięcia konieczną. Nie usuwał się bynajmniej, owszem pochwalał pomysł gorąco, przystąpił chętnie, zajmował się odrazu czynnie i gorliwie.

Nieporozumienie z *Wiadomościami polskiemi* nie musiało być bardzo głębokie, skoro po powrocie z Włoch Klaczko wró-

cił i do współpracownictwa, i z Kalinką razem pisał *Polskę w roku 1860.* Z jenerałem Zamoyskim, pomimo różnicy w zdaniu o kwestyi rzymskiej, z domem Czartoryskich, stosunek musiał być na nowo całkiem dobry, bo widzi się Klaczkę z nimi nie w urzędowych i politycznych tylko, ale w towarzyskich nie ważnych a zabawnych, sprawach. Widzi się go mianowicie uczestnikiem teatru amatorskiego. Nie występował w nim jako aktor, ale urządzał, uczył aktorów, był reżyserem. Oto ten drobny szczegół z ówczesnego polskiego życia w Paryżu.

Pani jenerałowa Zamoyska i jej siostra panna Cecylia Działyńska, umyśliły zrobić ks. Adamowi Czartoryskiemu miłą niespodziankę na jego imieniny. Niespodzianką miała być komedya, a w niej synowa księcia, pierwsza żona ks. Władysława, córka królowej hiszpańskiej Krystyny, grająca po polsku. W Paryżu najgłębsza tajemnica: ale z odległości ona do Hotelu Lambert nie dojdzie, więc Andrzej Koźmian donosi swoim, że komedya się przygotowuje, że sam uczy się roli, i że Klaczko uczy księżnę Amparo. W papierach Klaczki znalazł się brulion afisza, jego ręką pisany, odmienny cokolwiek od wydrukowanego w *Listach* Koźmiana. Zapowiada on, że amatorowie „będą mieli zaszczyt i zuchwałość odegrać *Zrzędność i przekorę* Fredry“. Zrzędą był Andrzej Koźmian, Przekorą Teodor Morawski, Ludomirem Rogier Raczyński, Zosią księżna Amparo. Koźmian opisuje, jak się wszystko dobrze udało, jak stary Książę był rozczulony, jak wszyscy byli kontenci, „nawet Impresario Klaczko“. (*Listy,* tom IV, str. 196). Po przedstawieniu Deotyma improwizowała powinszowanie dla Księcia.

Czy nie do Deotymy pisał Klaczko list, którego brulion znalazł się w jego papierach, a który rzuca światło ciekawe na jego sąd o sobie samym, o swoim talencie i stanowisku? List jest do jakiejś pani. Ta pani przysłała Klaczce jakiś podarunek (może książkę?) z napisem, który jemu wydał się zbyt pochlebnym. Dziękuje, a zarazem protestuje przeciw przesadnym pochwałom. Ale ta pani pisze także, skoro on mówi o jej talencie; 'pisze wiersze, skoro on dwa

z nich przytacza. Stąd przypuszczenie, naturalne, że tą panią musiała być Deotyma [1]). Oto ten sąd Klaczki o sobie samym:

„Łaskawa Pani! Posłaniec Pani zaskoczył mnie wczoraj w chwili właśnie, kiedym wychodził z domu, byłem już na ulicy i mogłem tylko na razie w dwóch słowach zaświadczyć (jak tego żądano) proste odebranie przesyłki. Nie myślałem tem bynajmniej wywiązać się z powinności wyraźnego i szczerego podziękowania za dar tak uprzejmy. Czynię to obecnie, ale zarazem czuję się w obowiązku jak najwyraźniej też zaprotestować przeciwko wierszom do mnie wystosowanym, któreś Pani na pierwszej karcie swej przesyłki zapisać raczyła. Powiadasz Pani w nich, że „mowa moja błyskawicą, pióro tęczą lub piorunem". Na Boga, cóżbyś Pani większego powiedzieć mogła o Mickiewiczu, o Dantem? czyżbyś Pani inaczej mogła się wyrazić o samym proroku Izaſaszu? Wiem, że poezya ma swoją osobną sferę i swoją podniesioną mowę, że figury jej nie geometryczne, ale retoryczne, a wszakżeż i jej mowa jest, a przynajmniej powinna być, ludzką, i ona powinna znać m i a r ę. Miara nie jestże nawet duszą wszelkiej sztuki? Harmonia między myślą a formą, między treścią a jej objawieniem, między pięknością a prawdą, to przecież najwyższe prawidło, najwyższe powołanie mistrzowskiej twórczości".

„Niechaj mi wolno będzie miarę tę zastósować przed Panią, w przedmiocie, który dla Pani nie może mieć nic drażniącego, bo w przedmiocie mojej własnej wartości. Czy Pani w istocie wierzysz, że ja „w przyszłość patrzę śmiałym duchem, teraźniejszość mierzę stałą sądu szalą" i „pod minionych lat całunem czytam prawdę groźnolicą?" Czy Pani w całej szczerości ducha dała mi to świadectwo, któregobym

---

[1]) Na zapytanie w tej mierze odpowiedziala Deotyma łaskawie, że sobie nie przypomina ani żadnego swojego wiersza do Klaczki, ani jego listu; nie ma zaś przechowanych papierów z czasów swego pobytu w Paryżu w r. 1860.

ja nie tak łatwo dał nawet najwyższym świata gieniuszom? Otóż Pani na to wszystko jednym prostym odpowiem faktem. Są we Francyi pisarze, jak Renan, jak Rigault, jak Montégut, Paradol lub Bineau — pisarze tę samą mniej więcej co ja uprawiający niwę, do tego samego mniej więcej co ja należący zawodu, pisarze, których się poważa, ale których nikt do rzędu gieniuszów lub pierwszych gwiazd nie zalicza; z których nie jeden może nawet nie jest znany Pani, tak mało zyskali rozgłosu, — a z którymi ja jednak mierzyć się nie mogę, z którymi mierzyć się próbowałem — i na próżno!“

„I niech Pani nie myśli, że do sprostania im przeszkadzało mi czy to uprzedzenie Francuzów do cudzoziemca, czy też trudność oddania mych myśli w języku obcym — bynajmniej. Francuzi nie szczędzili mi ni serdecznej zachęty, ni życzliwej rady, a język francuski o tyle przynajmniej miałem w swej mocy, że w wyrażeniu mych myśli nie stał mi na zawadzie; a podobnież powiedzieć muszę i o piśmiennictwie niemieckiem, w którem również swych sił doświadczałem. Zewnętrzne warunki współzawodnictwa były dla mnie też same co dla drugich, a przecież nie potrafiłem odznaczyć się, zwrócić na siebie uwagi, wyjść z tłumu i stanąć na równi z pisarzami, których każdy znawca, powtarzam, poważa, ale których nikt do „chwał narodowych“ nie zalicza. Nie sprostałem, bo wyżsi są odemnie wiedzą, zdolnością, siłą, rozwagą, talentem. Jakżeż nierównie także wyższym odemnie niejeden prosty pisarz *Timesa* lub *Edinburgh Review,* który nigdy nawet ze swojem nie występuje nazwiskiem, który żyje w cieniu a ginie w zapomnieniu. A proszę Pani uważać, że mówię tu wciąż tylko o ludziach talentu ze skromnej sfery publicystyki, nie mówię nic o prawdziwych mistrzach wiedzy i słowa, z którymi mierzyć się nigdy też zresztą nie miałem roszczenia. Niech Pani ani myśli, że w tem tak niemiłosiernem ocenieniu własnych zdolności powoduje mną skromność uporna i na przebój: nie, bynajmniej! Wiem, że wszystko jest względne w ludzkich sprawach, i jeśli dotąd może zdziwiłem Panią moją względną

pokorą, zadziwię ją też niezawodnie jeszcze bardziej następną względną dumą, gdy powiem, że w porównaniu z wielką, z większą nawet częścią obecnych polskich pisarzy z mej sfery, nie jestem w istocie bez pewnej wartości. Bo się czegoś gruntownie uczyłem, bo nigdy o czem bądź nie piszę bez pewnej świadomości lub przynajmniej bez pewnego przygotowania, bo ważę swoje słowa i szanuję swoje pióro, bo wreszcie, jeślim bardzo daleki od równie śmiesznego jak grzesznego nazywania mojej pracy pisarskiej „kapłaństwem", jak to wielu u nas czyni świętokradzko, w tej mojej pracy jednak, bardziej niż na głos ludzi, uważam na głos sumienia — jak to nie wielu u nas teraz czyni, niestety!"

„Wszakże Pani nie gniewa ten przykład, który daję na człowieku, Pani obcym zupełnie, ten mój eksperyment za prawdę *in anima vili,* bo na własnej dokonany osobie? Oby ten przykład mógł zaważyć w jej umyśle, i oby ją mógł zachęcić do podobnych porównań w kwestyach nierównie ważniejszych, w sprawach nierównie godniejszych! Pani, ja słów lekko nie rzucam, i nietylko gramatycznie, ale i logicznie staram się zawsze godzić przymiotnik z rzeczownikiem. Więc możesz Pani być przekonaną, że nie dla samego komplementu Pani powiadam, że masz dar wielki, potężny, że posiadasz skarb języka polskiego, jakim się teraz może żaden z żyjących poszczycić nie jest w stanie. Gdyby tylko niezaprzeczonemu bogactwu odpowiadało umne i rozważne niem szafowanie! Gdyby tylko nadzwyczajny i wielki talent mógł uznać nieodzowną potrzebę miary, prawdy, pokory! Gdyby tak szczęśliwej naturze przyszła w pomoc dobra szkoła, zaprawa na rzetelnych wzorach, krytyka własna i obca, i sumienna, i gdyby zamiast zwodnego *Sic itur ad astra,* Pani obrała sobie trudne, bardzo trudne, ale wierzaj mi Pani że jedynie godne hasło: *Vitam impendere vero!*"

Jedyne to, jakie znamy, świadectwo, jak Klaczko pojmuje swoją zdolność i wartość. Świadectwo bardzo dla niego zaszczytne, a nawet zadziwiające ze względu na tę miłość własną, jaką niezaprzeczenie miał. Tutaj zaś okazuje się nietylko skromnym, ale aż pokornym. On jest tylko publi-

cystą! On nietylko o tem nie może myśleć, żeby dorównał wielkim pisarzom, ale nie zdołał, choć chciał i próbował, dorównać publicystom, jak Prévost-Paradol, krytykom, jak Emil Montégut! Tamci przewyższają go i wiedzą i talentem, jak on znowu przewyższa współczesnych publicystów i krytyków polskich. I on to mówi szczerze, on na prawdę myśli że tak jest. We własnych wspomnieniach znajdujemy także dowody, jak on uważał się za niższego od takich, jak Saint Marc-Girardin albo Paradol. Mylił się oczywiście; żaden z tamtych nie zostawił po sobie *Studyów dyplomatycznych*, jak żaden krytyk nie zdobył się na *Wieczory Florenckie*. Nie ta pani, Deotyma czy inna, przeceniała jego, ale on nie doceniał siebie. Ona miała racyę, kiedy mu mówiła, że „teraźniejszość mierzy stałą sądu szalą, czyta prawdę groźnolicą“. Ale on może dlatego cenił się za nisko, że jeszcze nie był się zupełnie doświadczył. On jeszcze wtedy nie przejrzał, nie odsłonił, nie obnażył Bismarcka, jeszcze nie zgłębił Dantego i Michała Anioła, jeszcze i *Bezimiennego poety* nie był wytłómaczył, dopiero nad nim pracował. Wprawdzie już i *Sztuka polska*, i *Krewni*, i zwłaszcza *Katechizm nierycerski* wystarczały na to, by go przekonać, że ci Francuzi od których się niższym mniemał, jeżeli nawet (co wątpliwe) przewyższali go wiedzą, to nie dorównali mu siłą uczucia i siłą słowa. Ale nie mniej, może tem więcej owszem, piękne jest to jego skromne wyobrażenie o sobie.

Dnia 1 lutego 1861 r. wyszedł ostatni numer *Wiadomości polskich*: zakaz rządu pruskiego zadał im ostatni cios. Miesiąc nie był się skończył, kiedy zaszły pierwsze wypadki w Warszawie, obchód rocznicy grochowskiej, strzały, pogrzeb zabitych; zadziwienie, przerażenie rosyjskiego rządu wyglądało jak jego cofanie się.

Podpisany był w tym czasie w Paryżu, pierwszy raz widział tych wszystkich ludzi: ks. Adama, Zamoyskiego, Klaczkę, Kalinkę; zawoził cokolwiek pieniędzy dla Biura i korespondencye. Między temi szczególnie zwracało na siebie uwagę sprawozdanie Augusta Gorayskiego o stosunkach i stronnictwach na Węgrzech. Czynności Biura szły zwykłym

normalnym trybem, kiedy ta wiadomość spadła jak piorun z jasnego nieba — jak tęcza, zapowiedź końca potopu, myśleliśmy wtedy. Wrażenie było przejmujące wszędzie, nawet u Francuzów. Przykre dla cesarskiego rządu, starającego się o dobre porozumienie, może o przymierze z Rosyą; zajmujące, nawet imponujące dla publiczności, dla dzienników. Jedne z zapałem, inne z sympatyą tylko, ale wszystkie oświadczały się po stronie polskiej. Wśród Polaków wrażenie wstrząsające i (zrazu) błogie, radosne. Najrozumniejsi, najdoświadczeńsi widzieli mimowolny wyraz i popęd szlachetnego uczucia — nie widzieli przygotowania, nie dostrzegli ręki spisku, ukrytej pod uczuciem i popędem warszawskiej ludności. Rozumieli odrazu, że ten popęd może być nadużytym, skrzywionym i że tego niebezpieczeństwa trzeba się strzedz; ale przeważała nadzieja, że do tego nie przyjdzie, że to piękne, wzniosłe uczucie miłości ojczyzny nie da się nakręcić i użyć na jej szkodę. Z tem samem wrażeniem przyjeżdżali do Paryża i zgłaszali się do Biura jego członkowie lub przyjaciele polityczni. Zaświeciła wiara, nadzieja, że coś się zmienia, że będzie lepiej. W tej wierze najgorętszym, najbardziej uniesionym, był może Jenerał Zamoyski; ale Ludwik Wołowski naprzykład, taki trzeźwy i raczej chłodny, miał ją także i wypowiadał z rzadkiem u niego wzruszeniem. Stary ks. Adam ze łzami w oczach przyciskał do piersi głowę dwóch młodych, którzy do niego przyszli z jakimś raportem i mówił: „Ja już nie dożyję, bom za stary, ale wy doczekacie“. Ignacy Plichta nie doczekał, umarł młodo w kilka lat później; podpisany doczekał lat siedmdziesięciu — a czego doczekał!

Klaczko był bardzo wzruszony, i był uniesiony. Widział i wskazywał różne trudności i niebezpieczeństwa, ale wierzył i zapewniał, że to co było, to się skończyło i nie wróci — zmiana być musi, system, zasadniczy kierunek polityki rosyjskiej w Polsce doczekał się upadku. Oni sami to czują, kiedy tak nie wiedzą co począć, chwieją się, cofają się: złamała się sprężyna, która dotąd dawała im ruch a trzymała ich dumną hardą postawę. Trzeba z chwili korzystać, trzeba

kuć to żelazo, kiedy się rozgrzało, kuć na dwie strony, w opinii Zachodu a przedewszystkiem Francyi, i w Rosyi wpływem na rząd a postępowaniem roztropnem.

Praca w Biurze stała się teraz gorączkową. Z kraju sypały się listy jak z rogu obfitości, przyjeżdżali wysłańcy, a dzienniki na wyścigi domagały się wiadomości. Trudno było nastarczyć. Praca była podzielona pomiędzy wielu, ale dzienniki najważniejsze należały do Jenerała Zamoyskiego i do Klaczki. Oni odwiedzali redakcye, oni informowali, do nich zgłaszali się znakomitsi współpracownicy, oni także pisywali sami. Zamoyski mało, rzadko, Klaczko częściej. Niepodobna dziś, po tylu latach, przypomnieć sobie i wskazać, który artykuł *Debatów* naprzykład, albo który ustęp w artykule pisanym przez Francuza jest jego pióra, ale pisywał nieraz, a objaśniał i inspirował stale, prawie codziennie.

Pierwsze tygodnie były pracowite i były stosunkowo łatwiejsze; ale kiedy pierwsze wrażenie przeszło, kiedy rząd cesarski zaczął rozważniej ogarniać i oceniać położenie, wystąpiła trudność działania na ten rząd przez opinię, a działania zręcznego, oględnego. Cesarz chciał i potrzebował przymierza z Rosyą; własny pociąg i względ na opinię francuską kazały mu okazywać się życzliwym dla Polski. Ufał i liczył, że swoim wpływem zdoła wyjednać u Rosyi taką zmianę systemu, która Polskę zaspokoi. Do tego dążąc, nie mógł oczywiście Rosyi urażać, musiał występować jako jej przyjaciel. Ale w tem trudnem położeniu zachowywał się chwiejnie i niezręcznie: cofał zrobione kroki, odwoływał wypowiedziane słowa. Kiedy w urzędowych lub pół-urzędowych dziennikach ogłosił, że w dobrej woli i szlachetnych zamiarach cesarza Aleksandra II jest pewne i najlepsze wyjście z dzisiejszej sytuacyi polskiej, obruszała się opinia polska i wpływała na francuską. Kiedy dzienniki paryskie występowały ostro przeciw tej lub owej nocie lub artykułowi ogłoszonemu w *Constitutionnel* albo w *Monitorze*, rząd spieszył dać satysfakcyę tej opinii i łagodził, tłómaczył, modyfikował to, co był oświadczył niedawno. Każda taka z jego strony satysfakcya była znowu rozumiana jako wskazówka jego po-

lityki, przechylanie się tej polityki na stronę polską. Wynikło z tego nieuniknione zapewne, ale niezaprzeczone mimowolne łudzenie się: cesarz bezwiednie łudził sam siebie i niechcący łudził Polaków, Polacy łudzili siebie, ale on im to złudzenie ułatwiał.

W kwietniu, po przyjściu Wielopolskiego, po rozwiązaniu Towarzystwa Rolniczego, po strzałach 8 kwietnia, i sytuacya w Polsce stała się trudniejszą, bardziej zawikłaną, i ta gra między rządem francuskim a polityką polską, działającą na opinię francuską, stała się i trudniejszą i żywszą.

Kiedy w czerwcu (1861 r.) półurzędowy *Constitutionnel* ogłosił artykuł, nietylko w treści przyjazny dla Rosyi, ale w formie i tonie przykry dla Polski, ks. Władysław Czartoryski, bawiący właśnie na dworze w Fontainebleau, oświadczył, że nie wypada mu tam dłużej zostawać. Krok ten zrobił na poradę Biura, a tym, który mu tę radę zanosił, był Klaczko. Na takie oświadczenie Księcia, cesarz polecił zaraz ogłosić w drugim pół-urzędowym dzienniku, w *Patrie*, artykuł w sensie polskim, przez co i *Constitutionnel* ujrzał się zmuszonym do cofania, odwoływania tego co był powiedział. Tą zmiennością i chwiejnością cesarz i sobie szkodził wobec Rosyi, i nas utwierdził w błędnej polityce złudzeń.

Wkrótce potem dogorywał w Montfermeil ks. Adam Czartoryski, a 15 lipca skończył. W ten sam dzień, rano, jeździł Klaczko z Andrzejem Koźmianem do Montfermeil, ale umierającego nie widzieli. Januszkiewicz pisze w jednym liście do żony, że Klaczko był przy śmierci Księcia; z listów Koźmiana zdaje się, że wrócił do Paryża przed końcem, ale to rzecz obojętna. Nazajutrz, 16 lipca, pisze Koźmian, że Klaczko przyniósł mu rano wiadomość o śmierci, że potem razem pojechali do Montfermeil, i że przy zwłokach Klaczko dostał ataku nerwowego.

W lecie r. 1861 skończone było *Wydanie zupełne Pism Adama Mickiewicza*. Wychodziło tomami, od r. 1860. Było pierwszem zupełnem, pierwszem dokładnem, i pierwszem pięknem. Takie winno było społeczeństwo polskie poecie, i sobie samemu. Praca wydawców, Januszkiewicza i Klaczki, była

gorliwa i umiejętna. Poszukiwania, starania o nieznane wiersze, ułamki, waryanty, prowadziły się pilnie i opłaciły się bogatym plonem. Strona zewnętrzna, druk, papier, wypadła poważnie, pokaźnie, estetycznie. Rycina Henriquela-Dupont piękna. Januszkiewicz myślał czas jakiś o wydaniu illustrowanem, o bohaterach i bohaterkach Mickiewicza, rysowanych przez pierwszych artystów polskich, ale zaniechał tego zamiaru. Czego zaś nie zaniedbał ani on, ani Klaczko, to zbierania wierszy niewydanych. Z papierów poety, z albumów i pamiętników, z pamiątek przechowanych u różnych osób, wyszły na jaw rzeczy dotąd nieznane, a uzupełniające pięknie, niektóre wspaniale, całe dzieło poety. Tu po raz pierwszy ukazał się Wstęp do *Pana Tadeusza,* tu fragment Pierwszej Części *Dziadów,* tu liczba wcale znaczna drobnych wierszy, znaczniejsza różnych waryantów. Listy, nie liczne, ale pierwsze jakie się dostały do wiadomości polskiego świata, znajdują się w tomie szóstym. Artykuły polityczne z pism emigracyjnych, literackie od dawnych młodzieńczych, zebrane i uratowane od zapomnienia. *Kurs Literatur słowiańskich* w tekscie francuskim; dotąd znaliśmy go tylko z przekładu Wrotnowskiego. Wydanie, podobne do tych, godne tych, jakie na cześć i chwałę swoich poetów robili Francuzi lub Niemcy, wykonane z całym pietyzmem i z całą umiejętnością. Przybyło od tego czasu wiele wydań Mickiewicza, niektóre zupełniejsze, ale żadnego nie byłoby bez paryskiego wydania z r. 1860 i 1861; na niem opierają się wszystkie, a jak w XVI wieku krytyczne teksty i staranne wydania autorów starożytnych nazywały się *editiones principes,* tak dla Mickiewicza edycyą główną, podstawną jest ta, i zostać nią musi.

Naszem zdaniem brak jej jednej rzeczy: przedmowy. Wydawcy powinni byli w jednej ogólnej objąć początek, cel i trudności swego przedsięwzięcia. Oprócz tego, przy każdem z dzieł z osobna, powinni byli uwiadomić czytelnika, z jakiego dawniejszego wydania lub rękopisu je drukują i gdzie znaleźli waryanty. Przy drobnych, przedtem nieogłoszonych wierszach dają w odsyłaczach takie objaśnienia, przy waryantach nie, przynajmniej nie zawsze. Przy *Kursie Litera-*



Z MEDALIONU ZROBIONEGO PRZEZ HR. LUDWIKA KRASIŃSKIEGO
W ROKU 1861.

tur należało już koniecznie powiedzieć, skąd się wziął ten tekst francuski. Mickiewicz nie redagował, nie pisał swoich wykładów. Kto je spisywał? czy je Mickiewicz poprawiał? Jak i kiedy? czy zaraz świeżo po wykładzie, czy później? To było potrzebne, a dziwno, że nie zrobione. Ale jeżeli są braki, choćby były i większe nawet, to wartość wydania i zasługa wydawców jest niezaprzeczenie wielka.

Z wydaniem Dzieł Mickiewicza łączy się jedna praca Klaczki, nie wielka, ale bardzo piękna. W szóstym tomie zbiorowego wydania miały wyjść listy Mickiewicza: były pod prasą, kiedy Klaczko umyślił zawiadomić o nich czytającą publiczność polską, zwrócić jej uwagę na charakter poety, jaki się w listach objawia, i napisał o nich studyum pod tytułem *Korespondencya Mickiewicza.*

Andrzej Koźmian pisze w jednym ze swoich listów z r. 1861, że po zamknięciu *Wiadomości polskich* powstała myśl wydawania nowego pisma, które je miało zastąpić, a miało się nazywać *Kronika.* Do tej *Kroniki* miał Klaczko przeznaczać swoją nową pracę. Do tego nowego pisma nie przyszło, *Korespondencya Mickiewicza* ukazała się jako osobna książeczka (1861 r.), przypisana Janowi Działyńskiemu „na pamiątkę drogich i miłych chwil razem spędzonych“. W tych latach musiał Działyński należeć do bliższych przyjaciół Klaczki, bo wzmianki o nim w listach do innych osób są częste i serdeczne.

Pamiątka piękna, bo ta mała książeczka, to jedna z pięknych rzeczy, jakie o Mickiewiczu były napisane.

Zaczyna Klaczko od pytania, czy „ogłaszanie pism poufnych i listów znakomitych ludzi jest rzeczą tak niechybnie godziwą, a nawet tak pożyteczną“, jak to wielu przypuszcza. Odpowiada zaś na pytanie jeżeli nie wprost przecząco, to co najmniej bardzo niepewnie, bardzo warunkowo. Co do ludzi, działających w historyi, mężów stanu, wojowników i t. p., niema wątpliwości. Oni należą do historyi, a ich myśl, ich wola, ich zamiar nie mieści się całkowicie w tem, co oni zrobili; może, a raczej musi wyjaśniać się, tłómaczyć, uzupełniać w ich poufnych zwierzeniach. Korespondencya Na-

poleona powinna być ogłoszoną, bo bez niej historya Napoleona nie będzie zupełną, pewną, prawdziwą. Ale inaczej jest z pisarzami, poetami, i artystami. Ci wypowiedzieli w swoich dziełach wszystko co w sobie mieli: ich myśl, uczucie, dążność, twórczość, zawarta jest zupełnie w tem, co wykonali; a czy po za tem, w swojem życiu prywatnem byli lepsi albo gorsi, mniej albo więcej podlegli złym zwyczajom, ułomnościom, przywarom, nieodłącznym od natury ludzkiej, o to mniejsza, to nawet niepotrzebne, bo to nie wpływa wcale na wartość, względnie na wielkość dzieł, jakie po sobie zostawili. Jakikolwiek był Szekspir, to *Hamlet* i *Macbeth* są i zostaną takimi, jak są. „Znajomość tej materyalnej rzeczywistości nie wiele się przyczynia do zrozumienia kreacyi ideału. Już Lessing powiedział, że najjaśniejszym gieniuszem na Parnasie świecą właśnie ów Homer i ów Szekspir, których biografia najbardziej jest ciemną".

Czy się Klaczko nie myli, czy nie idzie za daleko w swoich zastrzeżeniach? Ma słuszność najzupełniejszą i najoczywistszą, kiedy powstaje przeciw szperaniu i wyciąganiu wszystkich najdrobniejszych drobiazgów z życia znakomitych ludzi, zwłaszcza przeciw wietrzeniu i szpiegowaniu wszystkich ich słabości czy zboczeń, kiedy się oburza na „pogrobowe plotkarstwo". Ale różnica jest wielka, a rozróżnienie potrzebne, pomiędzy marnem i błahem plotkarstwem, a studyowaniem i głębszem poznaniem ludzi w ich poufnych zwierzeniach. Dzieła poety czy malarza nie dadzą się oderwać od jego indywidualności: ona je tworzyła, ona w nie weszła, i ona swoim wpływem wiele w tych dziełach objaśnia i tłómaczy. Tego nie moglibyśmy zrozumieć, poznać, gdybyśmy nie znali tych wpływów, jakie działały na poetę czy malarza w czasie kiedy dzieło tworzył, gdybyśmy nie znali ile być może dokładnie jego usposobienia, jego charakteru, jego życia. *Hamlet* i *Iliada* nie potrzebują zapewne takich objaśnień i komentarzy, ale jak ich potrzebuje Dante, tego dowodzą choćby tylko *Wieczory Florenckie* Klaczki; a co dalibyśmy za to, gdybyśmy mogli lepiej wiedzieć, dokładniej sobie wyobrazić, jakim był naprzykład Kochanowski? co-

byśmy dali za jakich parę listów Skargi, rzucających światło na *Kazania Sejmowe*, na usposobienie i na powody, które wydały tę potęgę natchnienia? Żeby zaś wziąć przykład bliższy, znajomość i rozumienie Krasińskiego, albo Słowackiego, czy nie zyskało tak wiele na ogłoszeniu ich listów, że bez nich byłoby nierównie trudniejszem i nierównie mniej pewnem?

Jednak, jeżeli można sądzić, że Klaczko zbyt ogólnie i zbyt stanowczo sprzeciwia się ogłoszeniu korespondencyj, to znowu nie można zaprzeczyć, że ma słuszność i zupełną i szlachetną, kiedy zaleca wydawcom największą ostrożność, dyskrecyę, poszanowanie cudzych uczuć, cudzych tajemnic. Człowiek znakomity, przez to, że jest znakomitym, nie przestaje być człowiekiem: nie traci tego prawa, jakie ma każdy do siebie samego, do swojej duszy. Jego uczucia, jego tajemnice, jego myśli są jego własnością: najwłaśniejszą, najistotniejszą, najbardziej z nim samym złączoną, i on jeden ma prawo odsłonić ze swojej duszy co chce, przed kim chce. Każdy z nas miałby za krzywdę swoją, za profanacyę swoich uczuć, gdyby ktoś drugi opowiadał lub opisywał te uczucia przed światem – a człowiekowi znakomitemu nie przyznajemy tego prawa. Przychodzi ktokolwiek, podsłuchuje wszystkie uderzenia jego serca, śledzi każdą myśl w jego głowie, chodzi jak agent policyjny za każdym jego krokiem, i potem każdy krok, każdą myśl, każde bicie serca wystawia na widok publiczny: to, co było świętością, albo zdrożnością, jednego, staje się ofiarą czy zabawką ciekawości wszystkich. Nie zabrania Klaczko badania i poznawania żywotów wielkich ludzi. „Pociąg to nieprzeparty, głęboko zakorzeniony w naszej naturze“. „Ale takiemu rzutowi oka na ludzkie strony i ludzkie koleje gieniuszu, naiwiększa towarzyszyć winna oględność i dyskrecya. W publikującym, jak w publiczności, musi panować to uczucie, że tu na obcym i niezupełnie dozwolonym znajdują się gruncie, że wzierają, że się wdzierają w prywatne stosunki człowieka... Tę księgę z siedmiu pieczęciami godzi się odmykać dopiero po długim lat upływie, gdy dawno już ostygły popioły zmarłego, a w cień

się zasunęło współczesne jemu pokolenie“... Oprócz tych względów zaś jest jeden jeszcze, ważniejszy od nich, wzgląd na „duszę ludzką, na jej dobro i w dobrem utwierdzenie“. Kto zbiera dokumenta do żywotów wielkich ludzi, ten z tym względem na baczności poświęci i odrzuci nie jeden szczegół choćby niewątpliwej autentyczności, ale wątpliwego pożytku. „Bo nie wszystko co zaszło, godnem jest zachowania, nie wszystko, co się działo, należy do dziejów... Nie trzeba starać się o wyczerpanie przedmiotu, jeśli się wie, że przyjdzie w takim razie zaczerpać w osad słabej ludzkiej natury. Lepiej nie jedno złudzenie zostawić nam nad wielkością, niż nas naprowadzić na myśl, że wielkość jest złudzeniem“.

Mówi Klaczko dalej, że lubimy układać stos z drzazg i okruszyn, a na takim stosie postać zmarłego człowieka zwykle nie okazuje się wyższą. Słabości, śmieszności. nawet małości ma każdy, a nasz wiek „przesiąka coraz bardziej tym lokajskim zmysłem, tą niedyskretną żądzą wnikania w szczegóły ich powszedniego życia, wkładania niewiernego palca nietylko w rany gieniuszu, ale we wszystkie jego szuflady i sprzęty. Prawda, że publiczność odebrała w tej mierze liczne zachęty od pisarzy samych. Chateaubriand, Lamartine, George Sand, nie czekali nawet lokajskiej posługi, i sami się przed czytelnikiem rozebrali do naga. Ale cokolwiek bądź, to czyhanie na wszystkie *intima* i *infima* sławnych żywotów jest jedną z największych nieobyczajności naszych obecnych obyczajów, a tem wstrętniejszą, że nie brak jej na mamiących pozorach. Grzeszna ciekawość głosi się tu czystem pragnieniem wiedzy; rzekoma miłość prawdy bywa prostą miłością skandalu“.

Ale jeżeli tak myśli, to dlaczego wydaje Klaczko *Listy* Mickiewicza? Jak może to robić, tak swojemu uczuciu czy przekonaniu zaprzeczać? Naprzód, te listy już były drukowane — po różnych pismach, rozsypane, nie zebrane razem, ale wyszły. Wydawcy Dzieł tego ignorować nie mogli. Prócz tego zaś powód drugi: Klaczko wiedział, że to ogłoszenie Mickiewiczowi ujmy nie przyniesie, że on w świetle listów nie wyda się mniejszym, że najbardziej podglądający i pod-

słuchujący lokaj nie złapie wielkiego człowieka na gorącym uczynku małości — przeciwnie, w tych poufnych zwierzeniach jego wielkość okaże się w całej swojej wspaniałości, bo w całej prostocie.

Prostota — to rys charakterystyczny, podstawny, korespondencyi Mickiewicza, zatem i jego natury, i ten rys wydobywa Klaczko z listów, uwydatnia go bardzo trafnie i bardzo pięknie.

„Charakter objawia się tu na wysokości gieniuszu, a między słowem a życiem niema tego bolesnego rozbratu, jaki niestety tak często sprawdzić przychodzi w odsłonionym bycie wielkich mistrzów słowa. Adam w drobnych sprawach i w małem kole sam nie maleje i nie drobnieje... Stary mocarz Brytanii staje bez korony, bez gronostajów, w zaniedbanym ubiorze, a jednak czy kto wątpi o jego majestacie? Mickiewicz podobnie występuje w tej korespondencyi bez purpury i bez dyademu, a jak Lear ma nawet chwile rozpaczy i szału, a jednak, jak Lear, również może o sobie powiedzieć zawsze i wszędzie, „że król — i w każdym calu król“.

W korespondencyi Mickiewicza niema ani śladu myśli o efekcie, jaki ten list, czy to słowo, może kiedyś zrobić. Często ludzie, nawet bardzo znakomici, piszą swoje listy (może bezwiednie) tak, żeby one mogły posłużyć do ich przyszłej biografii, jak wyznania czy dokumenta dla przyszłego Plutarcha. „Plutarchu zapamiętaj i zapisz sobie, że w tym a tym czasie, w tym a tym przedmiocie, ja myślałem to a to“. W listach Mickiewicza tej preokkupacyi, tej myśli o sobie i o swojej przyszłej chwale, niema zgoła. „Nie ma ani cienia tej strasznej emfazy, tej senekowej *grandiloquentia,* która (w nowszych mianowicie czasach, i u nas) tak powszechnie cechuje wszelkie wylania i wynurzenia się poetów i literatów“.

„Dla tych naszych mniemanych męczenników ducha i rzekomych kapłanów słowa, co na ofiarnym ołtarzu wciąż sobie palą kadzidła i chleb sobie pieką wcale nie powszedni, dla tych artystów i belletrystów, wołających bezustannie klą-

twą ludom co swoje mordują proroki“, a raczej nie dosyć ich żywią — dla tych wszystkich a bardzo teraz licznych Tytanów, co z takiem bogactwem wymowy i wymówek prawią o swojem pełnem sercu i o swojej pustej kieszeni, jakie w tej korespondencyi zawstydzenie i jakież upomnienie! I jakżeż w ogóle na każdej karcie tego zbioru poufnych zwierzeń, świeci ta wspaniała natura wspaniałego gieniuszu! Ileż to razy przychodzi podziwiać jego wyrozumiałość niewyczerpaną, czystość jego ducha i jego serca prostotę!“

Tę czystość ducha i prostotę serca wykazuje dalej Klaczko na wyjątkach z samychże listów Mickiewicza, od najdawniejszych, z wileńskich i kowieńskich czasów, kiedy młodzieniec już zakochany, nie jest jeszcze nieszczęśliwym przez miłość. Po wywiezieniu, w Rosyi, listy stają się więcej znaczące, przez wielką moc duszy, przez panowanie nad sobą i nad swoją boleścią, przez względną pogodę, jaką Mickiewicz zachowuje, a swoim przyjaciołom zaleca. „Ani cienia tych uroszczeń do męczeńskich zasług i tytułów, o jakie się teraz często i do uprzykrzenia upomina tylu samozwańców i samosłańców narodowej martyrologii“. A tęsknota, żałość, która pod tą pogodą i siłą tkwi, wyraża się tak po prostu, tak bez prozopopei, jak one. Słusznie też zaznaczony trafny zmysł i takt miłości ojczyzny i narodowej godności, w stosunkach z cudzoziemcami i z nieprzyjaciółmi. Absolutnemu i gorżkiemu Czeczotowi tłómaczy Mickiewicz jasno a roztropnie, że można i tych stosunków nie unikać i tamtym uczuciom nic uchybić. (Oczywiście zależy to od rozumu, taktu, godności i miary człowieka). Z listów późniejszych słusznie zwraca Klaczko uwagę na listy do Garczyńskiego, w których Mickiewicz może najbardziej się wynurza, na różnicę w stopniu jego przyjaźni dla Garczyńskiego i dla Odyńca; dla tego ostatniego jest Klaczko przykry, nie może mu zapomnieć wiersza do Aleksandra II, surowo niegdyś zgromionego w *Wiadomościach polskich* artykułem *Odstępcy* (przez Wrotnowskiego pisanym). W krótkim nawiasowym ustępie charakterystyka Garczyńskiego.

Skromność ujmująca, trudna do zrozumienia doprawdy, z jaką Mickiewicz mówi w listach o *Panu Tadeuszu*, oceniona i wyniesiona jak na to zasługuje; a potem już nie sama tylko „czystość i prostota serca“, ale wielka a zawsze równie prosta cnota, z jaką wielki człowiek znosi troski ubogiego ojca rodziny, godność i pobożność, z jaką znosi niedostatek, pokora dziwna, z jaką nie dowierza swoim uzdolnieniom, starając się o katedrę w Lausanne. Te wielkie strony charakteru Mickiewicza wydobywa na wierzch i oświetla Klaczko z całą należną czcią — nie bez wyrzutu sumienia, nie za siebie, ale za polskie społeczeństwo.

Z przeniesieniem się do Paryża, z objęciem katedry w Collège de France, „zjawia się ciemny punkt na horyzoncie“. To choroba żony, i równoczesne spotkanie z Towiańskim. W krótkich listach do żony widzi Klaczko „otchłań cierpienia i troski“ i tak jak zawsze, owszem więcej niż zawsze, podziwia „wielką wspaniałą prostotę i królewską prawdziwie godność“. Ale ciemny punkt na horyzoncie rozszerza się i wstrząsa nietylko domowy, ale i duchowy spokój poety. List do Towiańskiego jeden tylko, z r. 1847, kiedy Mistrz szuka zbliżenia do Mickiewicza, a ten, choć się nie wyrzekł wiary w naukę, to dla osoby Mistrza już nie może wydobyć z siebie tego uczucia, tej wiary, jakie miał w latach dawniejszych.

Na ostatku pismo, którem Mickiewicz odpowiada ministrowi oświecenia p. Fortoul, na odjęcie sobie pozostawionej dotąd połowy profesorskiej płacy, pismo, w którem broni swoich przekonań z taką samą godnością, z jaką znosi krzywdę, która dla ojca rodziny była wprost nieszczęściem. A wreszcie, najostatniejsze, już z Konstantynopola, listy do córki, tak proste, tak miejscami nawet pogodne, jak były pierwsze z Kowna do wileńskich przyjaciół.

Na nich koniec. I tu żałuję, ze względów czysto artystycznych, literackich, że Klaczko tak urwał swoją piękną pracę. Dziwno nawet, że on, tak dbały i tak aż do przesady prawie zazdrosny o artystyczną budowę swoich pism, o ich zaokrąglenie i wykończenie, że tu takiego zaokrąglenia i zam-

knięcia nie zrobił. Powinien był po ostatnim liście dać jeszcze jeden ustęp od siebie, a w nim jeszcze raz, na finał, pokazać postać Mickiewicza w oświetleniu swoich głębokich myśli i swoich przejmujących słów.

Szkoda, że tego nie zrobił. Ale i bez tego to co zrobił, jest jedną z piękniejszych prac o Mickiewiczu, jakie mamy w naszej literaturze.

Oprócz tego, drobne zdarzenia z tego lata, jak, że Klaczko przemawiał przy zamknięciu roku w Szkole Batignolskiej, że jeździł do Tréport kąpać się w morzu, a zresztą lato zeszło na dalszej, tej samej, zapewne coraz trudniejszej pracy w *Biurze*.

Im dalej, tem sytuacya staje się trudniejszą, niebezpieczeństwo wyraźniejszem. Demonstracye mnożą się i powtarzają ciągle: to już nie popęd, to przygotowanie, plan. Do czego ten plan zmierza? Nie do zbrojnego powstania przecież? W spiskowych, ktokolwiek oni są, miłość ojczyzny być musi, a roztropności nie wiele potrzeba na to, by obliczyć, że powstanie nie mogłoby zwyciężyć. Do tego się nie posuną? Ale szkody i niebezpieczeństwa z ich działania być mogą. Obchód Unii Horodelskiej, pogrzeb Arcybiskupa Fiałkowskiego, zamknięcie kościołów, wszystko to chmury na horyzoncie, który z wiosną wydawał się tak jasnym. Rząd rosyjski zawsze zdaje się nie wiedzieć czego chce, chwieje się między surowością a ustępstwem. Wielopolski w Petersburgu: z czem wróci? Rząd francuski ze swojej strony chwieje się między sympatyą i zachętą dla Polski, a pragnieniem przyjaźni z Rosyą. „Huśtawka, na której Polacy dostawali zawrotu głowy“, pisze Stanisław Koźmian w *Rzeczy o roku 1863.*

Tak dochodził do końca rok 1861.

II.

Poeta Bezimienny. Warunki w jakich był pisany. Bezimienność. *Nieboska Komedya.* Odkrycia Klaczki. *Irydion.* Sąd o *Przedświcie.* *Psalmy Przyszłości.* Wartość i znaczenie rozprawy. Anegdota.

Pierwszego stycznia 1862 r. wyszedł w *Revue des Deux Mondes* artykuł Klaczki: *La poésie polonaise du dixneuvième siècle et le Poète Anonyme* [1]).

„Horacy (Delaroche) pisze do *Revue des Deux Mondes* artykuł o p. Zygmuncie“ — pisze Klaczko do Kastorego w liście wyżej przytoczonym. „Jeśli nie podoła, to ja może podejmę się tego“. Delaroche nie podołał — pisał z trudem i ciężko — a słowa powyższe wskazują, że Klaczko zaraz po śmierci Krasińskiego zaczął myśleć o pisaniu. Czuł, że milczeć o Krasińskim nie można, byłby grzech, mówić o nim kazał obowiązek i sam honor narodu; musiał zaś Klaczko czuć, że nikt mówić nie potrafi lepiej, jak on — nikt tak dobrze, jak on. Myślał o Krasińskim zawsze, całe życie; co o nim myśli i powie, to rozważał nieraz i wiedział dobrze, skoro chciał pisać *Historyę poezyi polskiej XIX wieku,* przygotowywał materyały, robił notaty do tej pracy. Kiedy Krasiński umarł, stanęła przed Klaczką jego postać w swojej wielkości, a pod wrażeniem śmierci malały, zacierały się ułomności ludzkie człowieka i słabsze strony poety. Znajomości zaś Krasińskiego, jaką nosił w sobie przez całe lata,

---

[1]) Ustępy z *Bezimiennego Poety* przytoczone w przekładzie Józefa Jabłonowskiego.

teraz przyszło w pomoc uczucie, poruszone i wstrząśnięte śmiercią poety; i z połączenia tych dwóch czynników złożyła się praca, pierwsza tak wyczerpująca i tak piękna o Krasińskim, do dziś dnia najpiękniejsza ze wszystkich, jakie o nim są w naszej literaturze. Odkryło się i przybyło wiele od tych lat czterdziestu kilku, i my dziś wiemy o Krasińskim więcej, niż wiedział Klaczko, kiedy pisał *Bezimiennego Poetę*. My znamy wiele wierszy, o których istnieniu nikt się nie domyślał, my mamy *Trójcę w Bogu, w człowieku i w historyi*, mamy *Żywot wieczny*, mamy korespondencye, aż do najpóźniej odkrytych i wydanych listów do Reeve'a. Z tą pomocą, z temi dokumentami w ręku, prof Porębowicz napisze *Tryady*, Adam Krasiński *Poetę myśli* i *Dzień Ducha świętego*, a prof. Kallenbach *Krasińskiego młodość*. Ale my późniejsi wiemy tylko o Krasińskim więcej, niż w swoim czasie mógł wiedzieć Klaczko; z tego wynika, że możemy, nawet musimy, widzieć w Krasińskim nie jedno inaczej jak on widział, dopełniać co on pominął, nawet tu i ówdzie prostować to, w czem on się pomylił. Ale choć więcej wiemy, to nie rozumiemy Krasińskiego lepiej i głębiej, jak on, nie czujemy żywiej od niego boleści tego żywota, nie przenikamy bystrzej i trafniej natury Krasińskiego i działających na nią wpływów. Nietylko zaś nie rozumiemy głębiej i lepiej, niż Klaczko, ale bez niego prawdopodobnie nie rozumielibyśmy go dostatecznie. On nas wszystkich, tych co Krasińskiego czytają, i tych co o nim piszą, nauczył rozumieć. Przed nim były rozprawy, były komentarze częściowe, i było instynktowe, ale powszechne podziwienie, cześć, wdzięczność, wiara, wszystkie te uczucia, składające naszą miłość dla Krasińskiego. Ale jego znajomości, jego wytłómaczenia, jego rozumienia, jako poety i jako człowieka — tego przed Klaczką nie było. Setki nas czy tysiące czytało, wielbiło, zapalało się uczuciem Krasińskiego, chwytało tę lub ową jego myśl; ale żebyśmy mieli całość tej myśli i drogi jej wyrobienia, całość dzieła poety i jego postaci, żebyśmy widzieli związek między jego życiem a jego dziełem — nie, tego nie było, tegośmy nie mieli, to mamy dopiero od Klaczki i przez niego.

Po nim pracowali inni nad Krasińskim i nie bezskutecznie: dodali, objaśnili, odkryli nie jedno, i bardzo ważne. Ale tych wszystkich prac i ich skutku nie byłoby, gdyby nie Klaczko. Jego mały, krótki *Poeta Bezimienny*, to jest podstawa, na której opiera się nasza późniejsza znajomość Krasińskiego i wszystkie późniejsze o nim prace. Ta wskazała kierunek, ta otworzyła skrytości i odpowiedziała na pytania, rozwiązała zagadnienia. My późniejsi dodajemy, uzupełniamy, prostujemy — i dobrze robimy, a ufamy, że ta praca nie prędko ustanie i nie prędko przestanie być pożyteczną. Ale to co główne, co istotne, co stanowi i daje poznać samą treść i rdzeń poezyi i duszy Krasińskiego, to zrobił Klaczko. Swoim następcom zostawił tylko szczegóły, uzupełnienia, dodatki i małe poprawki.

Dlaczego pisał w obcym języku? Podjął kwestyę jedną z ważnych, z wielkich w literaturze, kwestyę bardzo piękną, ale i bardzo trudną, zawiłą, a zamiast obrobić i rozwiązać ją tak, żeby każdemu Polakowi stała się przystępną i jasną, on użył swego rozumu i talentu na rozprawę o Krasińskim — francuską. Dlaczego?

Bo myślał, bo chciał zwrócić uwagę europejskiego Zachodu nie na polskiego poetę tylko, ale przez niego, pośrednio, na polskie sprawy — dać poznać wielkość poety, wzbudzić zajęcie i podziw dla niego, ale zarazem pobudzić do myślenia i do pytania, skąd się biorą, jakim sposobem, w jakich stosunkach i warukach powstają takie natchnienia i takie dusze poetów. Myślano powszechnie wtedy, że nieznajomość rzeczy polskich, że nasze własne zaniedbanie w donoszeniu drugim o sobie i w ich oświecaniu, sprowadzały nam wielkie szkody, nawet na polu praktycznych starań i wypadków. Wierzył w to Klaczko, jak wierzyli wszyscy. Teraz, w r. 1861, kiedy uwaga świata zwrócona jest na Polskę skutkiem wypadków warszawskich, teraz jest pora kuć to żelazo, które się trochę rozgrzało: może się stanie gorącem i da z siebie co ukuć. Teraz Francuz czy Anglik będzie chętnie czytał o tym żelaznym wilku, jakim jest dla niego polska poezya i literatura; teraz łatwiej, chętniej, z pe-

wną sympatyą popatrzy na poetów i na ich dzieła, i może pojmie, uwierzy, że w nich jest wielkość. Może pojmie także, jakie warstwy, jakie pokłady boleści różnorodnej są w ziemi i w sprawie, która takich poetów i takie dzieła wydaje: może się wzruszy współczuciem, zaduma rozmyślaniem. Krasiński nadawał się doskonale do takiego celu: niedawno zmarły był jeszcze świeżą nowością dziennikarską czy literacką, a nasuwał jak żaden inny, dawał sposobność, owszem zmuszał do ciągłego przypominania kwestyj politycznych i historycznych.

Dlatego Klaczko pisał po francusku o *Poezyi polskiej* i o *Bezimiennym Poecie.*

Ale język i przeznaczenie rozprawy dla publiczności obcej nakładały na piszącego pewne nieuniknione, nieprzełamane warunki i konieczności w pisaniu. Musiał się skupiać, musiał uwagę czytelnika przywiązać do przedmiotu i trzymać ją w ciągłem natężeniu. Musiał oprócz tego pamiętać, że to czytelnik raczej lekki, łatwy do znudzenia i zniechęcenia. A więc należy unikać wszystkiego, coby go mogło nie już nużyć, ale tylko nie bardzo zajmować; a więc trzeba wiele pomijać, a całe światło, cały effekt, całą siłę talentu skupić na tem, co w dziele poety główne, najistotniejsze, wielkie. Polak, czytający *Bezimiennego Poetę*, może dziwić się, że tyle w nim opuszczeń i przemilczeń, i pytać dlaczego? Istotnie, o dziełach młodości, od *Grobu rodziny Reichsthalów* do *Agay-Hana* niema ani wzmianki. Co więcej, i co dziwniej, cała stopniowa formacya filozoficznych pojęć Krasińskiego, aż do ich ustalenia w *Przedświcie,* pominięta zupełnie. Jest rezultat, niema procesu jakim poeta do tego rezultatu doszedł, a *Trzy myśli* zaledwo tytułem i wzmianką przypomniane. Pominięty także *Dzień dzisiejszy* i *Ostatni; Niedokończony poemat* (już wtedy ogłoszony) zaledwo wymieniony. Dla nas to może być dziwnem, dla Klaczki, kiedy pisał, było koniecznem. On nie zamierzał książki o Krasińskim, ani nawet obszernej monografii; on miał na kilku arkuszach druku skreślić wizerunek poety i zarys historycznego stanu jego narodu. Musiał robić to rysami bardzo silnemi, ale szybkiemi,

pobieżnemi, musiał wiele opuszczać — za to ścisnąć w małych rozmiarach samą całą istotę przedmiotu. Tak też robi. Nie opowiada życia Krasińskiego, nie wdaje się w szczegóły, nie zatrzymuje się nad mniejszemi dziełami. Zakłada tło, a z tego tła wydobywa te dzieła, które poetę i czas jego obejmują i dają poznać najlepiej, w których mieści się cała siła jego genialniej myśli, jego poetycznej zdolności, i jego polskiej bolejącej duszy. Właściwie mówi Klaczko tylko o *Nieboskiej komedyi*, *Irydyonie*, o *Przedświcie* i o *Psalmach*. Ale to wystarcza — jemu przynajmniej przy jego rozumie i talencie — do charakterystyki Krasińskiego zupełnej, a najgłębszej, najprawdziwszej i najświetniejszej.

Obcy czytelnik i mały rozmiar pracy, to więc jeden warunek, w jakim Klaczko pisał. Ten tłómaczy opuszczenia i pominięcia. Ale był warunek drugi, który na tę pracę działał silnie — to wpływ czasu, historyczna chwila, w której rzecz była pisana. Rok 1861. Ludność Warszawy wychodząca na ulice z pobożnym śpiewem, bez broni, bez żadnej myśli rozruchów i zaburzeń. Strzały, trupy i ranni; na strzały za całą odpowiedź znowu spokój, moc nad sobą. Żadnego wybuchu, żadnego wykrzyku, żadnych pogróżek — majestat żałości i spokoju. Przemoc, jak przestraszona tem co zrobiła i robi, cofa się, chwieje, wypuszcza ster z ręki. I to trwa, trwa długo: jeżeli dotrwa, jak może się skończyć? Czy dobra sprawa swoją postawą spokojną i godną, tym cierpliwym a wzniosłym sposobem przypominania siebie i swoich praw, nie przemoże nieprzyjaciela? czy się nie pokaże raz przecie, pierwszy raz jak świat światem, że sprawa dobra i siła moralna może zwyciężyć? W początkach, i dość długo jeszcze, ta postawa Polski bezbronnej a broniącej się tylko siłą ducha, robiła wrażenie wzniosłości niemal idealnej. Nie widziało się sprężyn poruszających, ani celu w jakim poruszały. Było uczucie niebezpieczeństwa, możliwości złego obrotu i złego końca; ale była wiara w szczerość i prawdę tej postawy, przez to w jej trwałość. Chwycenie za broń byłoby hasłem klęski; walka bezbronna, bezorężna, może się okazać środkiem zwycięstwa.

Takie było uczucie — złudzenie! — powszechne, przez część znaczną roku 1861 — i w tem uczuciu Klaczko począł i pisał swoją pracę o Krasińskim. To zaś już zupełnie naturalne, że między tym rodzajem wypadków a poezyą Krasińskiego widział związek. One miały taki charakter piękny, wzniosły; czy to nie znak jakiejś w nas prawdziwej wyższości? Czy to nie ta cierpliwość, co staje się „panią niedoli"? Może Bóg wysłuchał i daje nam „dobrą wolę wewnątrz nas samych", może to „przedświt pięknego poranka?" Pod tym znakiem narodził się artykuł Klaczki; a między uczuciem, w jakiem był pisany, i tem, z jakiem my musimy go czytać, jest rozdźwięk przykry. Podziwienie dla pisarza i jego pracy zostaje zupełne i nietknięte, ale towarzyszy mu smutna uwaga, że Klaczko się łudził — nie co do Krasińskiego, ale co do nas.

Zaczyna się artykuł od tego związku między wypadkami a poetą. „Te wypadki o charakterze tak dziwnym, tak oryginalnym, tak nawet trudnym do zrozumienia dla sceptycznego nieco Zachodu, miały ten skutek między innemi, że zwróciły uwagę na zmarłego przed trzema laty poetę, którego wpływ na usposobienie narodu objawił się teraz tak widocznie nad Wisłą. Rzeczywistość żyjąca, dotykalna, zatwierdza, ratyfikuje myśl, czysto idealną, nawet mistyczną. Geniusz przedewszystkiem refleksyjny, filozoficzny, z za grobu wywiera władzę duchową nad narodem, i przejmuje go stopniowo, niewidzialnie, przekonaniem potężnem, zapala go dla prawdy tem wyższej i tem trudniejszej do pojęcia, że jest poniekąd abstrakcyjną, poddaje mu politykę i taktykę nową, nigdy nie używaną i nie widzianą, nie groźną bynajmniej i nie przestraszającą, a jednak zdolną zmięszać, zaniepokoić przeciwnika bardzo potężnego".

Cóż to za poeta? jakiż on był? Bez innego wstępu, bez przejścia przystępuje Klaczko do opisania tego poety, który przez całe życie pozostał bezimiennym, wyrzekał się sławy i chwały, wyrzekał się siebie samego, nie chciał nigdy przyznać się do tych dzieł, które wstrząsły jego naród do samej głębi duszy. Ta b e z i m i e n n o ś ć Krasińskiego, to

wyrzeczenie się sławy, były podług Klaczki pokutą, aktem ekspiacyi za próżność, za złą sławę, nie swoją. Z największą możliwą oględnością, dyskrecyą, dotyka Klaczko delikatnie stosunku Krasińskiego do ojca. Żadnych opowiadań, żadnych szczegółów. Po jednej stronie „nie zdrada, tem mniej nizki i brudny interes, tylko zachwianie charakteru słabego głównie przez próżność". Po drugiej stronie „syn siedemnastoletni, objęty oburzeniem spadłem na ojca i znieważony w sposób, jakiego znieść, z jakiego podnieść się nie może człowiek honoru i szlachcic". Co zrobił ojciec, jakiej zniewagi doznał syn, to zostaje w cieniu. Sąd sejmowy, pogrzeb wojewody Bielińskiego, zajście w uniwersytecie, wszystko to zakryte. Nie jest opowiedziane, bo takie opowiadanie Krasińskiemu, gdyby żył, byłoby bolesnem. Klaczko więc milczy, zlekka przechodzi ponad faktami; ale głęboko sięga wzrokiem w duszę takiego syna i z tego, co tej chwili przeszedł, wyprowadza całą tragedyę jego życia. „Człowiek, skłonny do pychy, byłby w takiem położeniu znalazł pretekst do postanowień i kroków ostatecznych; w zniewadze i prześladowaniu niezasłużonem, byłby widział wymówkę i byłby dał się wciągnąć w sytuacyę, której sam nie stworzył, ale do której ciągnąć go mogła i niechęć zwyciężonych i pokusy zwycięzców. Człowiek o sumieniu płytkiem byłby mógł znowu uledz słabościom i pokusom naszego wieku, oswoić się z tą doktryną pompatyczną a przewrotną, która głosi, że cel uświęca środki, a służba publiczna rozwiązuje wszystkie związki i prawa rodzinne. Taki człowiek byłby w lot chwycił sposobność popularności, równie łatwej jak rozgłośnej, i za zerwanie z ojcem byłby dostał huczne oklaski. Ale ten syn nie był ani Koryolanem, ani Brutusem — był chrześcianinem. Znał i pełnił poprostu przykazanie: „Czcij ojca twego i matkę twoją" i nie sądził, iżby miał prawo wyprzeć się tego kto mu dał życie, nawet go sądzić. Ale czuł się tak samo synem swojej ojczyzny; nosił w sercu wszystkie jej męki i wszystkie nadzieje, a postawiony tak między ojcem a ojczyzną, przyjął odważnie walkę bez wyjścia, walkę, jaką te oba

uczucia zarówno święte toczyły z sobą w jego duszy bez przerwy i bez wytchnienia".

Jeżeli Krasiński miał myśl ekspiacyjną, myśl wyrzeczenia się sławy, to zawsze Klaczko poetyzował cokolwiek, kiedy ją podawał za jedyny powód „bezimienności poety". On nie mógł kłaść swego podpisu na swoich dziełach, bo byłby naraził na prześladowanie, na zemstę, siebie, ojca, a później żonę i dzieci. Była w tem więc i ostrożność, słuszna, konieczna, obowiązująca, ale ostrożność.

Piękny ustęp o znaczeniu poezyi w porozbiorowem życiu Polski, znaczeniu, trudnem do zrozumienia dla ludzi żyjących w zwykłych normalnych warunkach, jedyny możliwy wyraz patryotycznych uczuć i boleści, z konieczności tajemniczy często, domyślny tylko, a zawsze odgadnięty, zrozumiany, ścigany przez rządy, a kiedy znaleziony, wystarczający na wyroki więzienia, zesłania na Sybir: jedyny pokarm duchowy, jedyny wpływ kształcący, temu narodowi dostępny, jednostronny, przez to nigdy zupełnie dobry, ale jedyny — a wśród tego chóru poetów, uniesionych i unoszących nadziejami i obietnicami przyszłości, naraz, nie wiedzieć skąd, głos surowy, groźny, złowrogi, jednego poety: poezya dziwna, zrodzona z nieszczęść Polski, ale ta podobno, „która po poezyi Goethego najgłębiej w naszym wieku przenika zagadnienia życia".

Ten głos złowrogi, to *Nieboska komedya.* Jej straszliwa tragiczność i jej głęboka mądrość jest w tem, że nikt nie ma racyi i prawdy, nikt nie zwycięża. To już Mickiewicz powiedział. Klaczko idzie w tem za nim, jak iść musi każdy, kto o *Nieboskiej* mówi. Klaczko może widzi jej zakończenie jeszcze straszniejszem jak jest. Podług niego krzyż zjawia się na obłokach „płomienisty i krwawy jak symbol kary, nie jak znak odkupienia". Klaczko nie znał listów Krasińskiego, nie mógł znać tej jego wiary, że „z myśli bożej wywinie się świat nowy", mógł więc nie widzieć, że krzyż w *Nieboskiej* jest zapowiedzią tego świata nowego. Ale jeżeli w zrozumieniu głównej myśli poematu nie dodał nic do tego, co już przed nim zrobił Mickiewicz, to odkrył przecie wiele i wska-

zał to, czego tamten nie widział lub pominął. Henryka naprzykład zgłębił więcej, wytłómaczył zupełniej. „Henryk miał pragnienie ideału i przebywał udręczenia bolesne; ale o tem nie pomyślał, żeby ten ideał urzeczywistnić w sobie, a ze swoich boleści dobywał tylko próżność i zatwardziałość w dumie. Szukał wrażeń raczej, niż doznawał prawdziwych uczuć. Opanowany własną dumą, myślał, że kochał i czcił ludzkość, a na prawdę kochał i wielbił tylko siebie i myśl swoją". „Z mętnego a zimnego źródła fałszywej egzaltacyi wypływają wszystkie jego nieszczęścia". Ta dwoistość w naturze Henryka, ta zdolność do rzeczy wielkich, skrzywiona i zmarnowana przez miłość własną, przez zwrot fantazyi na siebie samego, przez „dramatyzowanie swego życia", to jest odkrycie Klaczki. On pierwszy tak zrozumiał, tak przeniknął do głębi tę postać, i pierwszy dał ją poznać w opisie, nad który sam mało głębszych i piękniejszych skreślił. Zestawienie Henryka z Hamletem, dostrzeżenie pewnego podobieństwa między tymi dwoma ludźmi, żyjącymi w rozterce świata rozkładającego się i ginącego, jest tak świetne i tak słuszne, jak wykrycie samej najgłębszej, najsmutniejszej tragedyi w losie i życiu Henryka. On, niegdyś wyznawca humanitarnych idei, on rycerz postępu, zamyka się w twierdzy Św. Trójcy i staje się obrońcą tego, co ma za złe, z obawy, że to, co następuje, będzie gorszem — to tragedya Henryka. „Na taką walkę skazany być może w naszym wieku człowiek miłujący wolność... *Nieboska komedya* może długo jeszcze być dramatem przyszłości, i nieraz może jeszcze przyjdzie bronić porządku istniejącego, choć on nie jest porządkiem moralnym... Problem, zagadnienie, treść najgłębsza *Nieboskiej komedyi*, to walka ideału z rzeczywistością ludzkiego społeczeństwa, to człowiek, który ma w swojem sumieniu wzniosły ideał sprawiedliwości i uszczęśliwienia przez dobro, i chce ten ideał znaleść w otaczającym rzeczywistym świecie, albo go temu światu nałożyć. Wieki średnie wcieliły takie dążenie w tego Parcivala, co bierze ludzi za aniołów, szuka jakiejś doskonałej formy bytu, a znajduje ją (zgodnie z ascetycznem usposobieniem tych wieków) w tajemniczem i zakonnem bractwie

rycerzy św. Graala. Ale Szekspir dopiero stworzył w Hamlecie typ wiekuiście tragiczny człowieka, postawionego między ideałem a rzeczywistym stanem ludzkich społeczeństw". Henryk jest od Hamleta nieszczęśliwszy, straszniej tragiczny. Hamlet nie broni Poloniuszów i Osrików, nie zasłania tronu zbójcy Klaudyusza; Henryk zasłania i broni, choć nie kocha, nie ceni, choć gardzi, bo jeszcze gorsza jest „otchłań i nicość".

Obóz Pankracego, jego rozmowa z Henrykiem, doskonale oceniona; ale szkoda, że nie cokolwiek obszerniej. Wyjątki z obozu zwłaszcza byłyby potrzebne dla czytelnika obcego, który poematu nie znał. W zakończeniu pewien pessymizm, kiedy krzyż pojęty jest jako znak groźby i kary, a nie opatrzności i ratunku; obok tego pewien optymizm, złudzenie, kiedy Leonard, młody a nieodpowiedzialny za okropności i zbrodnie, podany jest jako typ młodszych pokoleń. Leonard święci obrzędy nowej religii, religii natury, Leonard daje święcenie zbójeckie: w nim niema pierwiastków lepszej przyszłości. Ale w czasie, kiedy Klaczko pisał, ta nadzieja o Leonardzie była naturalną. Tragiczność Henryka, jako obrońcy tego nieporządku świata jaki jest, przeciw gorszemu nieporządkowi jaki być chce, mogła być zrozumianą dopiero — Klaczko sam daje to poznać — po doświadczeniach roku 1848. Podobnie można było mieć illuzyę o Leonardzie jeszcze w r. 1861. Po Kommunie paryskiej, po skutkach tych święceń zbójeckich jakie on daje, doznanych wszędzie — nawet niestety w Polsce — w Leonarda wierzyć, w nim pokładać nadzieję, niepodobna. Nie w nim ratunek, nie w nim przyszłość, ale jedynie w ostatnich słowach Pankracego: *Galilaee vicisti.*

Szczególnie bystrem zdawało się spostrzeżenie Klaczki, że Krasiński, przeciwnie jak wszyscy inni poeci, w swojej twórczości idzie pochodem koncentrycznym, od przedmiotów i kwestyj naogólniejszych do więcej zamkniętych, ograniczonych, od ludzkości całej (w *Nieboskiej komedyi)* do narodów, przedewszystkiem do jednego narodu, polskiego. *Irydyon* miał już oznaczać zwężające się koło tego pochodu. Spo-

strzeżenie było bystre, miało pozór prawdy, ale jest zaprzeczonem. Z listów do Reeve'a wiemy, że pierwszy pomysł *Irydyona* był dawniejszy od *Nieboskiej*, a tylko wykonanie ciągnęło się długo. Tego Klaczko nie mógł wiedzieć, i pomylił się w kreśleniu drogi, jaką miał postępować geniusz poety. Ale w znajomości faktu tylko jest błąd: niema go w zrozumieniu i ocenieniu poematu. Głębszego zrozumienia, świetniejszego ocenienia, być nie może. Oto w streszczeniu jego początek: „Wiek prawie przeszedł od rozbioru Polski, a przez ten czas ile w jej rocznikach powstań, ile prób i wysileń, zawsze pokonanych, a zawsze ponawianych! I jaka gorycz musiała osiadać i gromadzić się w sercach zawsze skrwawionych, a nigdy nie przestających bić! Wydało to stan rzeczy dziwny, niepodobny do naturalnego życia innych narodów: naprężenie nieustanne, gorączkowe, chorobliwe, podkopujące, rozkładające pod niejednym względem samo usposobienie moralne tego narodu, wyniszczające w nim zmysł dobrego i złego, prawa i bezprawia, godziwości i niegodziwości. Obce panowanie jest straszne nie przez to tylko, co sobie pozwala względem ciemiężonego — straszniejsze jeszcze przez to, co ciemiężony mniema być dozwolonem przeciw ciemięzcy".

Krótkie skreślenie tego położenia Polski, wskazanie różnych pokus, jakiemi ją otacza ucisk i nienawiść: „Szczęśliwi tego świata nie mogą ani zrozumieć, ani sobie wyobrazić tego piekła pokus i udręczeń, jakie dla narodu ujarzmionego mieści się w tem jednem słowie: niewola. Poeta Bezimienny znał, rozumiał to piekło i struchlał. Zajrzał w głąb duszy polskiej, ujrzał w niej prądy myśli ponurych, dzikich i uczuł mróz w kościach. Przeląkł się tego uczucia narodowego, karmionego nienawiścią ciemięzców, przeląkł się tej miłości ojczyzny, mocnej jak śmierć, prawda, ale dyszącej myślami śmierci. Chciał dać przestrogę swemu narodowi — i napisał *Irydiona*".

Patryotyczny ból, dziedzicznie przechodzący z pokolenia na pokolenie, wcielony w Greka i w jego zemstę na zepsutym, spróchniałym Rzymie, Amfiloch, przez całe życie „szu-

kający nieprzyjaciół nieprzyjacielowi swemu“, Irydyon, podejmujący jego dzieło i bliski jego spełnienia — wielkość pomysłu, wielkość postaci, oddane są w krótkich zbitych kilku kartkach z siłą, z wyrazistością, z darem rysów czy słów najgłębszych i najpotężniejszych. Poemat jest wspaniały, wielki — ale ten rozbiór jest jego godzien. Co tu prawdziwsze, co świetniejsze, co wyraźniej, doskonalej dane do zrozumienia, pokazane niejako na oczy: czy zgnilizna i strupieszałość Rzymu, a w nim resztki, smutne zabytki, dawnej rzymskiej tęgości i powagi? czy chrześciaństwo w katakumbach już dotknięte pierwszemi oznakami różnic i rozdwojeń? czy Irydyon i jego siostra w swojem straszliwem poświęceniu? Wybierać trudno; wszystko jest mistrzowskie, wszystko wykonane ręką wielkiego artysty, wielkiego pisarza, kierowaną przez natchnienie wielkiego umysłu. Nie wiem jednak, czy na tem tle pierwszorzędnych piękności nie występuje ze szczególną plastycznością i siłą Heliogabal, a zwłaszcza Massynissa. Pierwszy opisany jako „wcielona próżnia“, w której „połyskuje błędny ognik lubieżności“, a rozsiada się i panuje strach. Drugi, jako szatan w klassycznych liniach i formach, dostosowany do starożytnego świata. „Niema w nim gorzkiej ironii Mefistofelesa, ani bezmiernej wściekłości Szatana Miltona: to jest starzec spokojny, poważny, majestatyczny“. Jego nieśmiertelna nienawiść i jego przebiegłość piekielna występują w całej swojej istocie i mocy, kiedy Irydyonowi każe oderwać miłość Kornelii od Boga, a przenieść ją na siebie, i drugi raz, otwarcie, kiedy udało mu się zasiać ziarno rozdwojenia i rozbratu w katakumbach, i kiedy w rozkoszy tego tryumfu, w rozkoszniejszej nadziei złego jakie przewiduje, zuchwale rzuca Bogu wyzwanie, nad które sam Szatan Miltona nie powiedział nic silniejszego, nic straszniejszego jako wyraz nienawiści i zemsty.

Żałuje się tylko, że Klaczko nie pisze więcej, dłużej, że się nie zatrzymuje nad każdą sceną, nad każdą pięknością poematu. Wskazuje każdą; ale gdyby się nad nią szerzej rozwiódł, naprzykład nad sceną Irydyona z Ulpianem, miałoby się jeszcze więcej rozkoszy z czytania. Prawda, że

jego kilka słów mówi i wrażenia robi więcej, niż całe kartki drugiego. Koniec poematu, żałość, z jaką Irydyon gotówby modlić się do Boga Kornelii za Grecyę, to rozrzewnienie, w którem jest zaród jego późniejszego przeobrażenia, to zajmuje ledwo kilka wierszy, ale obejmuje wszystko, co się dzieje w tej duszy. Krótki także Epilog, i znowu jest w nim wszystko, więcej nie trzeba; tylko byłoby miło, rozkosznie, gdyby było więcej. Tryumf, z jakim Irydyon patrzy na Rzym dzisiejszy, jego zawód, ból, gdy uczuł że to nie ten Rzym był przedmiotem jego nienawiści, i wyrok, posyłający go do ziemi mogił i krzyżów, przytoczone w przekładzie. Zakończenie zaś takie:

„Taki jest ten poemat w swojej całości. Że takie dzieło może nie być znanem zachodniemu światu, to dowodzi tylko, jak zapomnienie zaciężyło twardo nad ojczyzną Bezimiennego Poety; może dowodzi także, że łatwa przyjemność z czytania rzeczy lekkich a płytkich, odzwyczaiła i odwróciła nas od pragnienia i miłowania dzieł poważnych. W każdym razie dla tych, co chcą, czy mniemają, rozumieć *Fausta* i *Manfreda*, *Irydyon* nie może przedstawiać żadnej niejasności czy trudności“... Mówi on, że „ból patryotyczny nie stworzy nic, jeżeli jest samą tylko nienawiścią i przeczeniem. Mówi, że owszem wróg mógłby znaleść nową siłę i odmłodzenie w tem, co zemsta gotowała dla niego jako cios śmiertelny... Głos tajemniczy posyłał Irydyona na północ, do ziemi mogił i krzyżów; ideał najpiękniejszej i najmocniejszej miłości ojczyzny miał się przeobrazić, oczyścić z wszelkiego uczucia pogańskiego, rozświetlić się chrześciańską wiarą, a krzyż trzymać w rękach wysoko... Jeżeli kiedy nienawiść narodowa była poetom dozwoloną, to poetom narodu wystawionego na takie cierpienia, poetom, czerpiącym natchnienie z tych cierpień. Wielkością jest Bezimiennego Poety, wielkością rzadką a jego własną, że podniósł taki protest przeciw zemście. Umieścił *l'eterno amore* nie na bramie *della città dolente*, jak Dante, ale w samej najgłębszej głębi piekielnej otchłani“.

„Nienawiść jest bezsilną, zemsta nic nie stworzy. Żeby przemódz nieprzyjaciela, nie dość mieć do niego słuszny żal,

trzeba górować nad nim moralną wyższością. Taką naukę dawał poeta swojemu narodowi. Ale do tej wyższości jak dojść? Jak się w niej utrzymać? Przez poświęcenie — odpowiadał poeta — przez ofiarę. Oswobodzenia czekać nie od złego, jakiego możnaby wrogowi życzyć, lub nawet jakie możnaby mu zrobić, ale od dobrego, jakie się w sobie rozwinie. Zdać na Boga chwilę ostatecznej sprawiedliwości, zrzec się wszelkiej pracy ukrywania i spiskowania, która psuje tylko charakter narodu, a przyćmiewa czystość duszy, trwać w swojej nadziei wbrew wszelkim próbom i udręczeniom, wyzywać niebo wiarą i ufnością jaką się w niem pokłada, w stanowczych chwilach zaświadczyć swoje życie śmiercią, ale znosić śmierć a jej nie zadawać, iść na mękę jak pierwsi chrześcianie z krzyżem w ręku a wyznaniem wiary na ustach — oto, jak natchniony poeta i patryota pojmował obowiązek Polski w niewoli, jak rozumiał jej o f i a r ę. Z tej myśli wyszły, jej służą, wszystkie odtąd dzieła autora *Irydyona;* ta myśl prześwieci je swojemi promieniami, będzie ich treścią i duszą... Niech Polska raz się utwierdzi w tej wierze, że jej męka, byle czysta, może być zbawczą, a nie będą dla niej już strasznemi ciosy nieszczęścia, ani pokusy rozpaczy. Owszem poeta nietylko w takim razie niczego się dla niej nie boi, ale przyjmuje z radością nawet ten los, co ją na czas pewien oddziela od świata żyjących".

Taki ustęp stanowi w pracy Klaczki przejście od *Irydyona* do *Przedświtu,* przygotowuje streszczenie i krytykę tych pojęć, tej nauki, z jakich *Przedświt* wyszedł, na jakich poeta opiera swoje nadzieje i obietnice.

Krytyka, wypowiedziana z największem uszanowaniem dla poety, z podziwieniem dla poematu, jest nietylko otwarta, wyraźna, ale surowa. Krasiński tak Polskę idealizuje, że aż widzi i pokazuje ją w świetle fałszywem. Oto początek tego ustępu:

„Podług *Bezimiennego Poety* nietylko była przybita na krzyż, jak Chrystus, na to, by jak On zmartwychwstała, ale poświęciła się na śmierć dobrowolnie, żeby odkupić grzechy innych, sama niewinna, wolna od wszelkiego grzechu i wy-

rzutu. Zbytecznem byłoby zbijać taką naukę. Nie mówiąc już o tem, że ma w sobie wielką zarozumiałość i pychę, że jest obrazą religii, ona jest obrazą także historycznej prawdy, a podaje truciznę tym, w których chce pokrzepić i utwierdzić wiarę".

I po tym wstępie, przypomnienie szczere a wspaniałe, że Polska nie za winy drugich pokutuje, ale pod ciężarem własnych upadła. „To nie usprawiedliwia, nie tłómaczy bynajmniej zbrodni, jaką drudzy na niej spełnili; ale ona miała wiele do naprawienia, wiele potrzebowała zapomnieć, wiele się nauczyć".

Klaczko ma słuszność, kiedy to mówi, kiedy Krasińskiego tak surowo sądzi; jako chrześcianin i jako człowiek polityczny musi go sądzić surowo. A jednak sąd jest za surowy. Klaczko nie znał, nie mógł znać tych pism i listów, które objaśniają dokładniej Krasińskiego naukę. W tych pismach i listach zaś znajduje się wytłómaczenie jego myśli, po którem ta myśl ukazuje się zgodniejszą i z historyczną prawdą, i co ważniejsze, z chrześciańskiem uczuciem i wiarą. One mówią, że podług Krasińskiego życie ludzkości ma w sobie powtórzyć życie Chrystusa Pana, Jego śmierć i Zmartwychwstanie także. Śmierć i Zmartwychwstanie mają się spełnić na jednej części ludzkości, nie na ludzkości całej. Na taką część, na taką „ofiarę" przeznaczona (wybrana) jest Polska, dlatego, że miała więcej ducha poświęcenia i miłości, jak inne narody. Te czyny miłości i poświęcenia pełniła nie z myślą o ofierze, ale instynktem, z popędu wrodzonego uczucia. Nie poświęciła się na ofiarę świadomie i dobrowolnie, ani nie była ofiarą bez winy. Ale śmierć zadano jej w chwili, kiedy właśnie dochodziła do świadomości swoich win i do postanowienia poprawy. Jest zaś w tych swoich losach „w y o b r a ż e n i e m i f i g u r ą" Chrystusa Pana. Tych słów używa Krasiński wyraźnie, rozmyślnie, a w ich oświetleniu inaczej wygląda, innego znaczenia nabiera ta „Chrystusowa ofiara", która w *Przedświcie* tylu i tak słusznie razi.

Tego Klaczko w r. 1861 wiedzieć nie mógł. Wspaniałemi zaś i mądremi słowy kończył ten ustęp:

„Kiedy Polska i jej poeci lubią powoływać się na Biblię i mówić o narodzie wybranym, to nie od rzeczy będzie przypomnieć im, że Izrael zostawił w tej księdze ksiąg przykład trzech Proroków, którzy razem składają całość natchnioną gorejącym patryotyzmem. Naprzód Izajasz gromi i piętnuje grzechy ludu, przepowiada kary; po nim Jeremiasz lamentuje na gruzach miasta niegdyś kwitnącego; a na ostatku dopiero Ezechiel w zaprowadzeniu Babilońskiem widzi w zachwycie odbudowanie miasta i świątyni. Jeremiaszów Polska miała, miała Ezechielów, ale kogo jej po dziś dzień brakło, to Izajasza z ognistym językiem, Danta odważnego a nieubłaganego, którýby jej otwarcie stawił przed oczy prawdy bolesne ale zbawienne, którýby śmiał zbadać i zgłębić jej rany, zamiast je głaskać".

Słowa wspaniałe i mądre. Jednak występuje przeciw nim jeden, i świadczy, że Polska miała swego Izajasza: Bóg go dał, ona tylko w tem podobna do Izraela „twardego karku" słuchać go nie chciała. Ten jeden — to Skarga.

Po tych zastrzeżeniach podziw, zachwyt nad pięknościami *Przedświtu*. „Poeta Bezimienny nie napisał nic, coby go przewyższało siłą natchnienia, bogactwem obrazów, czystością formy".

Kończąc *Przedświt*, myślał Krasiński, że to jego „ze słowem rozstanie"; nie przeszło dwa lata, a musiał znowu głos zabrać, nie żeby nadzieję dawać i przyszłość obiecywać, ale żeby od złego wstrzymywać, klęskę odwrócić. Klaczko tłómaczy obcemu czytelnikowi, nieświadomemu rzeczy polskich, skąd i dlaczego wzięły się *Psalmy przyszłości*. Przykra rzecz przed obcymi swoje złe strony odsłaniać, ale uniknąć tego nie mógł. Opisuje więc krótko pewną część Emigracyi polskiej, wpływy, pod jakiemi wyrobiła się jej polityka, sposoby, jakiemi działała. „Były pobudki szlachetne, było pragnienie oswobodzenia ojczyzny, było nawet bohaterstwo i męczeństwo, nikt nie przeczy. Ale nie da się też zaprzeczyć, że więcej było czczej deklamacyi i manii małpowania zachodniego radykalizmu. Demokraci polscy naśladowali swoich braci francuskich w nienawiści katolicyzmu, i podkopywali religijne uczucia narodu,

w tej samej chwili właśnie, kiedy cesarz Mikołaj zaciężył nad Kościołem nowem srogiem prześladowaniem. Nienawiść szlachty, jako zepsutej i zgniłej, wiecznej zawady na drodze postępu, była szerzona ze szczególnem upodobaniem. Koniec nie mógł być wątpliwym: jakieś bezskuteczne powstanie, i straszne rozdarcie w społeczeństwie".

Co się mogło dziać w duszy poety, który to przewidywał, który i sam nie był bez winy, bo swoim optymizmem, swojemi obietnicami przyszłości zasłaniał warunki teraźniejszości i rzeczywistości, mimowolnie prowadził do ich zapomnienia? Co mu się działo, kiedy po ekstatycznych uniesieniach *Przedświtu* musiał podnieść rozdzierający lament *Psalmów,* kiedy zobaczył, że ów „Chrystus narodów zmartwychwstania bliski może popełnić samobójstwo, że ten ludów lud jedyny, co miał inne nauczać prawa miłości, może popełnić zbrodnię Kaina"!

Po takim wstępie streszcza Klaczko *Psalm miłości.* Przypomnienie rzezi roku 1846, i Słowackiego wiersz *Do autora Trzech Psalmów.* „Gniew, szyderstwo, gwałtowne wybuchy i skryte alluzye", ogromny talent i zwykła taktyka fałszywych oskarżeń (w tym razie o przywidzenie i o tchórzostwo), to broń, której użył Słowacki. Krasiński musiał ją odeprzeć. Zrobił to w *Psalmie żalu.* Klaczko rozróżnia słusznie jego nadzieje na przyszłość dalszą, jego wiarę w Polskę, która bądź co bądź podźwignie się kiedyś, i trafny zmysł rzeczywistości, ponure, prawie rozpaczliwe wróżby na przyszłość bliższą; połączenie „siostry gilotyny z knutem bratem", przewiduje jako możliwe, niechybne prawie, a w niem najcięższą próbę do przebycia dla Polski. Ale zwątpienia w nim niema: wbrew wszystkiemu co widzi i temu co przewiduje, podnosi swój ostatni najwyższy hymn nadziei, wiary i miłości w *Psalmie dobrej woli.* O tym mówi Klaczko własnemi słowami mało, wyobrażenie o nim chce dać przekładem końcowego ustępu.

Po krótkiej wzmiance o *Resurrecturis,* mówi o zapomnieniu, jakie zaciężyło nad Polską i jej sprawą. Ważne, wielkie wypadki, jak wojna Krymska, przechodziły, a jej z tego za-

pomnienia nie wyrwały. Umierał wśród tego Poeta Bezimienny, i znowu świat nie wiedział o jego śmierci, jak nie wiedział o jego życiu. „Aż pewnego dnia lud warszawski się podniósł, bez broni, w ręku miał tylko swój sztandar i krzyż: nie zadawał śmierci, tylko ją ponosił. A kiedy ciemiężyciel, przerażony tą postawą tak nową i niewidzianą, pytał: „Czego chcecie“, odpowiedziano mu: „Ojczyzny“. Dusza autora *Resurrecturis* musiała wtedy zadrgać z radości. Ideał, o którym całe życie marzył, stawał się rzeczywistością, a jego poezyę, która tak długo była bezimienną, teraz cały naród podpisał swojem imieniem“.

Przepyszne zakończenie, ale bolesne. Tak! W r. 1861 zdawać się mogło, że na prawdę naród podpisuje Krasińskiego naukę wiary, nadziei, i miłości. Czas pokazał, że to nie cały naród. Część jego, i duża, podpisuje najczarniejsze przewidzenia *Psalmu żalu* i *Dnia dzisiejszego;* wciela w rzeczywistość straszne obrazy trzeciej części *Nieboskiej komedyi* i stwierdza „bólów ból, narodu duch zatruty“. Nie czyta się już dziś tych słów Klaczki z takiem uczuciem, jak gdy jego *Krasiński* ukazał się po raz pierwszy: wtedy dzieliło się i powtarzało wszystkie jego radości i nadzieje, dziś ze smutkiem wyznać przychodzi, że on się łudził. Ale to złudzenie nie dotyka, nie zmniejsza, wartości i znaczenia jego pracy. Łudził się w swojem wyobrażeniu o nas, o współczesnej Polsce — nie łudził i nie mylił się w swojem rozumieniu i określeniu Krasińskiego. W nas zmieniło się wrażenie, z jakiem go czytamy, nie zmieniło się podziwienie dla jego dzieła, rozmiarami małego, ale wielkiego znaczeniem. W niem bowiem po raz pierwszy kwestya niezmiernie ważna, postać jedna z największych w polskiej literaturze, była zgłębiona do samego dna, okazana w swojej całości i w rozmaitości swoich pierwiastków składowych, z przenikliwością, intelligencyą, prawdą taką, że jak Klaczko kwestyę rozwiązał, jak postać zrozumiał i opisał, taką ona już musi zostać na zawsze, bo taką jest. Oświecił zaś kwestyę i postać światłem wyjątkowego talentu, urokiem i blaskiem swego słowa.

Rzadcy, nader rzadcy na świecie całym są pisarze z taką mocą, z taką pięknością, z takim czarem słowa: a ci którzy ten dar mają, ci są na prawdę wielcy. Klaczko należy do tych wyjątków, jest jednym z wielkich pisarzy na tym świecie; można go czytać zaraz po Platonie, po Cyceronie i Tacycie, po Pascalu i Bossuecie, po Macaulayu, po Skardze, a on nie zblednie, nie wyda się przy nich małym, nie będzie zawstydzony w towarzystwie tych wielkich. Miał w sobie wszystkie pierwiastki i warunki tej świetności; ale *Bezimienny Poeta*, największy, najtrudniejszy z jego dotychczasowych prac, połączył je wszystkie i pokazał w takim stopniu, że dał ostateczną sankcyę, naznaczył go na wieki niezatartą jaśniejącą cechą wielkiego pisarza.

W polskiej zaś literaturze, w polskiej krytyce literackiej, stanął na wysokości, jakiej ona przedtem nie dosięgła, nad jaką odtąd wyżej się nie wzniosła, nad jaką wyżej wznieść jej nie można. To jest szczyt. Na równi, daj Boże, żeby kto mógł stanąć i utrzymać się; poniżej może być wielu, i różnych, i nawet znakomitych. Ale lepiej rozumieć, lepiej przedmiot wyłożyć, lepiej pisać, nie potrafi nigdy nikt.

Z tą pracą Klaczki łączy się anegdota, którą choć raz opowiedzianą w życiorysie X. Kalinki, powtarzamy tu, jako ciekawą.

Kiedy Klaczko skończył *Bezimiennego Poetę*, Kalinka wpadł na myśl dziwną, że ten artykuł przydałby się daleko więcej, gdyby był podpisany przez jakiego Francuza. Taki Francuz stałby się znanym i głośnym odrazu, i mógłby przydać się bardzo w sprawach polskich. Z tym projektem udał się do Klaczki. Klaczce żal było pięknej pracy, żal i sławy, jaką sobie mógł zrobić — ale jeżeli to potrzebne i pożyteczne, to mniejsza o niego, zrobi tę ofiarę. Na szczęście dowiedział się o tem Zygmunt Jordan: wpadł w wielki gniew na niepotrzebne poświęcenie, a gdy tamtych przekonać nie mógł, wytoczył sprawę przed Jenerała Zamoyskiego. Ten wytłómaczył Kalince i Klaczce, że takie poświęcenie nietylko nie byłoby potrzebne, ale byłoby szkodliwe: że sława

Klaczki będzie nierównie więcej warta i pożyteczna dla Polski, niż sława jakiegoś Francuza, który w dodatku nie umiałby jej utrzymać swojemi własnemi pracami. Ale ten drobny szczegół, ten pomysł tak dziwny, charakteryzuje usposobienie tych obu ludzi i Klaczki gotowość do poświęcenia swojej miłości własnej, tem piękniejszego, że jej miał wiele.

III.

Rosnąca sława Klaczki. *Wspomnienia* Rufina Piotrowskiego. Praca Klaczki w Biurze. Jego tryb życia. Propozycya hr. Walewskiego. Odmowa. Artykuł o Prusiech i Niemczech. Wybuch powstania 1863. Powody popełnionych błędów.

Praca o Krasińskim zrobiła wielkie wrażenie, nie w polskim tylko świecie, ale we francuskim. Przez nią stanął Klaczko odrazu jako znakomity pisarz francuski, jako jeden z najznakomitszych między współczesnymi. Dawniejsze jego francuskie prace, choć zrobiły mu pewne imię, były już wyszły z pamięci; same przez się zresztą nie mogły tak zwrócić na niego uwagi, jak ta. Francuzi, pisarze, i pisarze dobrzy, stawiali go w rzędzie swoich najlepszych. „Między nami — mówili — jest bardzo mało takich, którzyby tak pisali, jak on“, a zapytani, w czem widzą tę jego wyższość nad sobą, odpowiadali, że w odrębności, w rzadkiej oryginalności stylu. „Nasz język — mówili — jest tak wyrobiony, podaje piszącemu tyle zwrotów i form gotowych, że nasz styl staje się przez to poniekąd stereotypowym. Wszyscy mniej więcej piszemy podobnym; styl osobny, własny, indywidualny, spotyka się już chyba u najznakomitszych, najświetniejszych; ale ci, co stoją w drugim rzędzie, piszą wszyscy mniej więcej jednakowym stylem i językiem. Klaczko ma swój, osobny, a tak świetny, że pod tym względem może się śmiało równać z naszymi najlepszymi“. *Revue des Deux Mondes,* taka trudna i wybredna w doborze współpracowników, zaczęła odtąd uprzejmie, skwapliwie, starać się o współ-

pracownictwo Klaczki. Stary Buloz, jej sławny i wszechwładny dyrektor, podobno z niedowierzaniem i niechęcią dał się namówić na przeczytanie *Bezimiennego Poety;* ale przeczytawszy, stał się uprzedzająco grzecznym i przyjacielskim dla nieznanego przedtem autora. W papierach Klaczki przechowało się kilkanaście jego listów: wszystkie albo dziękują za artykuły, albo proszą o nowe. Niektóre otwierają raz na zawsze *Rewię* wszystkiemu, co Klaczko zechce jej przysłać, a czasem upominają się, skarżą się, że redakcya nie może się doczekać obiecanego rękopisu. Więcej jednak, niż sam Buloz, pisze takich listów p. Mars, sekretarz redakcyi i administrator pisma. Niebawem, w parę miesięcy zaledwo po pierwszej, ukazała się w *Rewii* druga praca Klaczki — Klaczki w bardzo małej części tylko, ale podpisana jego nazwiskiem i dlatego pożądana, skwapliwie w lot pochwycona. W kwietniu i maju r. 1862 wyszły *Souvenirs d'un Sibérien.* Uwaga świata była zwrócona na Polskę i Rosyę: śledztwa i zesłania były ciekawością, *une actualité. Pamiętniki* Rufina Piotrowskiego były świeże i przez Polaków czytane z najżywszem, ze wszech miar słusznem zajęciem. Gdyby skorzystać ze sposobnej chwili, temu zachodniemu światu dać poznać tę stronę polskiego życia, może zajęcie już obudzone podniosłoby się wyżej, może współczucie dla jednych, oburzenie na drugich, rozeszłyby się szerzej i zakorzeniły głębiej. Takie obrazy, takie wspomnienia, mogą być środkiem pomocniczym w działaniu na francuską opinię. Wziął więc Klaczko *Pamiętniki* Piotrowskiego, skrócił je i ogłosił. Z trzech tomów zrobił artykuły do trzech zeszytów pisma; i słusznie, w całości byłyby za długie. Czy sam tłómaczył? Sądzilibyśmy raczej, na domysł, że tylko wybrał i wskazał ustępy do tłómaczenia, a samą robotę przekładu powierzył komu innemu. Z jego usposobieniem i z jego ciągłem podówczas zatrudnieniem w Biurze, trudno przypuścić, żeby był chciał i mógł tłómaczyć. Napisał zaś wstęp, potrzebne dla obcego czytelnika objaśnienie o różnych powodach, formach, stopniach i ofiarach zesłania. W tym wstępie nie pomija i tego, co Mickiewicz w *Kursach* nazywa „Literaturą sybirską“: przy-

pomina przygody Beniowskiego, pamiętniki Kopcia, Ewy Felińskiej, i tak doszedlszy do najświeższych skazań i wspomnień, podaje najciekawsze, najbardziej charakterystyczne ustępy ze *Wspomnień* Piotrowskiego, od jego wyjazdu z Paryża aż do śmiałej, trudnej, a dziwnie szczęśliwej ucieczki. *Wspomnienia* miały istotnie wielkie powodzenie. Księgarz Hachette wydał je zaraz jako książkę, a bardzo usilnie starał się o pozwolenie autora.

Co więcej robił Klaczko w ciągu tego roku 1862? Pracował w *Biurze:* pisywał o Polsce do dzienników francuskich, albo uczył Francuzów, co i jak o niej pisać mają. Było to zajęcie codzienne, nieustające. Niepodobna dziś przypomnieć sobie lub dojść, jaki artykuł *Debatów* lub *Patrie* był przez niego pisany, albo przez niego natchniony. Wystarczy ogólna wiadomość, że to robił, i bardzo gorliwie. Naoczny świadek może zeznać, że Klaczko codzień rano był w Bibliotece, przeglądał wszystkie dzienniki polskie i niemieckie, czytał nadchodzące listy, a kiedy w nich znalazł coś godnego uwagi, nadającego się do rozgłoszenia, gotował z tego materyału artykuł przeznaczony dla Francuzów lub Anglików. Kiedy zdarzyło się coś, co uchodziło za ważniejsze, albo trudniejsze do traktowania, to stałym zwyczajem Biura robotę tę powierzano Klaczce. Także jeżeli chodziło o to, by rzucić w świat artykuł, podpisany jakiem bardzo znanem, sławnem imieniem francuskiego pisarza, znowu Klaczko miał za zadanie nakłonić tę znakomitość do pisania, i objaśnić co i jak ma pisać. St. Marc-Girardin, Prévost-Paradol, Mazade, miewali Klaczkę za inspiratora, kiedy mówili o sprawach polskich. Do wszystkich zaś sesyj Biura, odbywających się regularnie raz w tydzień, i do wszystkich codziennych rozmów o odebranych listach i o najbliższej, na dziś, robocie, należał zawsze, czynnie, koniecznie, bez niego nic się nigdy nie postanowiło i nie robiło.

Jaki był prócz tego tryb jego życia? Mieszkał w *Bibliotece Polskiej*, w domu Jenerała Zamoyskiego, na Quai d'Orléans 6; miał dwa małe pokoiki na czwartem piętrze. Drugi był sypialnym, pierwszy pracownią, a w nim szafa

z książkami, duży stół do pisania i duża sofa do leżenia. Lubił czytać leżący, lubił zwłaszcza leżący pisać, to jest dyktować. Było mu to łatwiej i wygodniej, jak siedzieć przy stole z piórem w ręku. Na tę służbę pisania pod dyktowaniem bywał zwykle odkomenderowany jeden z podrzędnych pomocników Biura, młodych Francuzów, a służba nie koniecznie była łatwa. Klaczko najłatwiej skupiał myśl i nadawał jej formę, w pokoju ciemnym a przynajmniej przyćmionym. Spuszczał więc firanki, wyciągał się na sofie, a nieszczęśliwy Francuz siedział za firanką przy oknie i pisał jak mógł w wielkiej niewygodzie na jakimś małym stoliczku. Cięższą próbę cierpliwości musiał przechodzić, kiedy Klaczko kazał sobie przeczytać to co podyktował. Nic nigdy nie było mu dość dobrze napisanem: przemieniał, poprawiał, kazał mazać, i znowu przywracać to, co przemazał, i tak bez końca, przy każdym okresie, każdem zdaniu, niemal każdem słowie. Wypracowywał, piłował te okresy i zdania jak największy pedant z czasów i szkoły Szymanowskiego czy Osińskiego. Jednak u niego ten sposób pisania nie wstrzymywał rwącego potoku myśli i uczuć, nie paraliżował temperamentu i popędu, a ostatecznie wychodził na dobre, skoro wydawał takie doskonałości języka i stylu.

Rozrywek, przyjemności, nie szukał, a te które lubił, były bardzo proste i łatwe. Lubił teatr, ale bywał w nim rzadko, zapewne żeby nie wydawać pieniędzy. W eleganckim świecie, polskim czy francuskim, nie pokazywał się, nie miał do tego ochoty. Nawet u księżnej Marcelliny Czartoryskiej rzadko bywał, choć przyjmowała prawie co wieczór A jednak lubił znajomości, lubił stosunki z ludźmi, lubił świat. Jeżeli w nim nie bywał, to może ze względu na wydatki, które to za sobą pociąga. Z Jenerałem Zamoyskim i jego rodziną była zażyłość i szczera przyjaźń; z Hotelem Lambert nieustające codzienne stosunki, ale polityczne, urzędowe niejako: towarzyskich tyle tylko, ile koniecznie potrzeba, a bliższe, serdeczne, nie były nigdy. Klaczko miał wrażenie, że tam nie był lubionym i że mu to nawet dawano uczuć: wspominał naprzykład, że w latach *Wiadomości pol-*

skich widywał je leżące na stole, na widoku, nie otwarte. Z Januszkiewiczem był w ścisłej przyjaźni, a przez niego wszedł w kółko zwykłych gości pani Wąsowiczowej. Kiedyś pisał, że był u niej trzy razy, że to *trinum perfectum*, a nawet *plusquam perfectum*, bo tam bardzo nudno; a jednak dał się wciągnąć w te nudy. Lubił partyę, pani Wąsowiczowa chciała ją mieć co wieczór dla męża, a urządzał Januszkiewicz. Przychodził więc Klaczko dość często, zwabiony ponętą wista czy preferansa, i należał do tej partyi, przy której stary Jenerał wyglądał i grał jak automat. Grywał także, i to prawie co wieczór, w tak zwanym *klubiku*. *Klubik*, to był pokoik w nader skromnej restauracyi *à la Tour d'Argent*, naprzeciwko Biblioteki Polskiej, po drugiej stronie mostu, gdzie członkowie Biura i ich przyjaciele schodzili się na obiady po franku i dwadzieścia pięć centimów. Obiady były naturalnie złe, czasem tak skąpe że i głodu nie zaspokoiły, ale były tanie; towarzystwo było bardzo doborowe. Klaczko, Kalinka, często Horacy Delaroche, często Leon Kapliński, nie rzadko Kazimierz Błociszewski; z młodszych Ignacy Plichta, Jan Stadnicki, wtedy uczeń Szkoły dróg i mostów, Francuzi Ravelet i Lasserre. Po obiedzie pogadanka w osobnym pokoiku i partya, którą oba, Klaczko i Kalinka, bardzo lubili. Te pogadanki były bardzo miłe, dopóki się nie pokłócili: a to, czy o źle zadaną kartę, czy o jaką kwestyę polityczną lub literacką, zdarzało się dość często. Między Klaczką i Kaplińskim zwłaszcza dyskusye powstawały łatwo, z jakiegobądź powodu, z tego głównie, że jeden i drugi był nerwowy i drażliwy.

Stosunki finansowe były oczywiście bardzo skromne, skoro Klaczko mieszkał na czwartem piętrze, a na obiad nie mógł wydawać więcej, jak franka i 25 c. W tem położeniu spotkała go propozycya świetnego stanowiska. Piórem zrobił sobie taką sławę, że nie pisma tylko, ale rządy mogły pragnąć i starać się to pióro dla siebie pozyskać. Hr. Walewski, podówczas minister domu cesarskiego, a za kilkoma nawrotami minister spraw zagranicznych, ofiarował Klaczce miejsce sekretarza. Rzecz ponętna sama przez się,

ale ponętna zwłaszcza przez to, że otwierała możność, przynajmniej nadzieję doprowadzenia wpływów polskich do ministra i do cesarza. Klaczko wziął propozycyę do namysłu, odniósł się z nią do swoich przyjaciół, i po namyśle zapytał wprost ministra, jaki, w razie przyjęcia, byłby jego stosunek do spraw polskich. Odpowiedź była, i taką być musiała, że jako urzędnik francuski musiałby służyć tylko sprawom francuskim, a polskich zaniechać. Wtedy Klaczko odmówił.

Co byłby więcej w ciągu roku 1862 napisał albo zrobił? Andrzej Koźmian wspomina, że Klaczko ma na myśli jakąś pracę o Niemczech, że się do niej gotuje, zbiera materyały. *Bezimienny Poeta* dał poznać francuskiemu światu rozum i talent Klaczki, jako znawcy i sędziego rzeczy literackich: nie odkrył jeszcze drugiej strony jego zdolności, politycznej. Ale przed końcem tego samego roku (1862) objawiła się i ta druga połowa jego uzdolnienia i powołania. W Berlinie zatarg między Koroną a parlamentem. Świeżo z poselstwa w Petersburgu powołany, Europie mało jeszcze znany, nowy minister Bismarck-Schönhausen, bez wahania postanowił i króla skłonił, śmiałym krokiem ująć ster rządu, rozwiązać Izbę, obchodzić się bez parlamentu. Pierwszy stanowczy występ na scenie świata człowieka, który miał na jego losach tak strasznie zaciężyć; na horyzoncie politycznym chmurka mała i daleka, nie wzbudzająca wielkiej uwagi, tem mniej obawy. We Francyi zwłaszcza te wewnętrzne sprawy pruskie wydawały się rzeczą tak obojętną; ważnego nic z nich wyniknąć nie mogło! Nikt, bez wyjątku nikt, nie przeczuwał, że ta mała chmurka na dalekim obcym horyzoncie była ciężarna gromami, że niosła w sobie burzę i zburzenie całego porządku ówczesnego świata. Jednak, choć niebezpieczeństwo nie było ani widocznem, ani przypuszczanem, to zajęcie i ciekawość były obudzone temi berlińskiemi sprawami. Jak się to skończy? kto kogo przemoże? czy mogą wyniknąć z tego jakie ważniejsze skutki? To pytanie zadawał sobie i rząd francuski, i myśląca poważniejsza opinia; to pytanie chciała traktować *Revue des Deux Mondes,* a odpowiedzi podjął się Klaczko.

Dnia 1 grudnia 1862 r. wyszła pierwsza część pracy pod tytułem: *L'agitation unitaire en Allemagne et le régime constitutionnel en Prusse.*

Klaczko bawił w Niemczech niedługo, ale w Heidelbergu, w pracy przy boku Gervinusa, znalazł się w samem ognisku wielko-niemieckich marzeń, aspiracyj i namiętności. Ze swoją zaś bystrością nie potrzebował patrzeć długo, by przejrzeć do głębi i rozpoznać na wskróś naturę tych dążności i marzeń. Sejm frankfurcki z r. 1848 i 1849 dał mu je poznać ze strony, której w Heidelbergu może jeszcze widzieć nie miał sposobności. Prusy zaś znał dobrze, z urodzenia, jako Polak, a krótki pobyt w Wielkopolsce i w Berlinie utwierdził i pogłębił tę znajomość. Z pewnością mało było ludzi w ówczesnej Francyi — nieszczęściem mało nawet między należącymi do jej rządu — którzyby o stanie Niemiec w ogólności, a w szczególności Prus, o ich uczuciach, usposobieniach, widokach i zamiarach na przyszłość, wiedzieli tyle, co Klaczko. Mógł z czystem sumieniem i z uczuciem spełnionej powinności tłómaczyć Francuzom, co to jest ten niemiecki popęd do zjednoczenia i co jest ten konstytucyjny zatarg, czy zamach w Prusiech.

Na wstępie stawia twierdzenie, że narodowe zjednoczenie jest tak samo popędem Niemiec, jak zamiarem Prus. Cel jest jeden i ten sam u obu stron obecnie zwaśnionych. Różnica jest w środkach. Niemcy chcą zjednoczenia przez wielki, powszechny i liberalny popęd narodu; Prusy chcą zjednoczenia przez siebie; zamiar, inicyatywa i wykonanie mają wyjść nie ze społeczeństwa i z całej Rzeszy, ale z góry, z rządu, i z rządu pruskiego. Nie zjednoczenie Niemiec jako takich, tylko zjednoczenie ich przez Prusy, pruską mocą, pod pruskiem panowaniem. W celu zgodność: o drogę do celu, o środki tylko, spór. Po takiem założeniu — które po skutkach i doświadczeniach nasuwa uwagę, że ta pruska droga była krótsza i pewniejsza — przystępuje Klaczko do skreślenia historycznego procesu tej narodowej niemieckiej świadomości i dążności.

Zbudziła się, poczuła się w sobie, przez najazd francuski, przez upokorzenie i ciemięstwa Napoleona. Nikt nie może temu popędowi odmówić ani prawa, ani szlachetności. Niemcy przechwalają się i fanfaronują, kiedy sobie jednym przypisują upadek Napoleona, ale niemniej w walce z nim zasługują na wszelkie uznanie. Nie mniej, raczej więcej, w tych pracach i zdobyczach pokojowych, jakiemi dokonali postępów ogromnych w nauce, sztuce, bogactwie, administracyi. Zbudzony patryotyzm objawił się i działał czynnie we wszystkich kierunkach życia, ale zarazem w marzeniach swoich zaczął pożądać bez granic: *des Deutschen Vaterland* jest wszędzie, bo cały świat dla Niemców. Ale ten patryotyzm pod hasłem narodowego zjednoczenia i wolności, doznał bolesnego zaprzeczenia od niemieckich królów i książąt. Kongres Wiedeński zachował, utwierdził, przypieczętował przysięgą na Trójcę św. całe dawne rozbicie Niemiec na niezliczone mnóstwo małych państewek, i nietykalną, nieograniczoną władzę każdego z tych książątek.

Zawód, rozczarowanie; tu i ówdzie słabe między młodzieżą porywy czy próby oporu, ale w ogóle rezygnacya i bierność. Nie bierność myśli wszakże; filozofia Hegla wychowuje, kształci, przerabia całą umysłowość niemiecką, a zarazem wyrabia i podnosi wrodzoną skłonność do ubóstwienia siebie, do uznania się za naród-ideał. Na grunt, przygotowany przez abstrakcyę i spekulacyę, padł zasiew praktycznych pragnień i dążeń patryotyzmu. Potężny wyraz dawała mu i wrażenie robiła wielkie, Gervinusa *Historya poezyi niemieckiej*. Wzbijała ona w dumę, ale zarazem wywoływała wstyd. „Wydaliście tylu wielkich ludzi, byliście wielcy na tylu polach, a gdzie wasze znaczenie, wasza potęga? czem jesteście, Niemcy, jako całość, jako naród, jako państwo?“ Popęd do zjednoczenia, pragnienie potęgi, rozkrzewiły się i wzrosły bardzo pod wpływem tej książki. Wypadki pomagały także do tego przeobrażenia. Zmiana panowania w Prusiech, król Fryderyk Wilhelm IV, dziwnie zmięszany z legitymizmu, pietyzmu i romantyzmu, zdawał się oznaczać zmianę w dotychczasowej polityce Prus, wyzwalać

się z pod supremacyi Austryi i ks. Metternicha. Zaród konstytucyi, nadany przez niego w r. 1847, obudził w liberalnych Niemczech nadzieję połączenia i odmłodzenia całej Rzeszy za sprawą i pod przewodem Prus.

Rok 1848, rewolucya w Wiedniu i w Berlinie, w Heidelbergu uchwała profesorów i doktorów zwołania Sejmu Rzeszy do Frankfurtu. Wszystkie większe i mniejsze potentaty, zastraszone rewolucyą, poddały się tej uchwale. *Bundestag* zaczął zasiadać, obradować, uchwalać, i objawił odrazu nieograniczoną, nienasyconą żądzę zaboru. Nie rozumiał różnicy pomiędzy mojem a twojem: wszystko było jego, było niemieckie. Królowi hollenderskiemu uchwalono zabrać Limburg, królowi duńskiemu nietylko Holsztyn, ale Szlezwig; rzeka Mincio była naturalną granicą Niemiec; Czechy i Węgry ich na wschód wysuniętemi granicznemi Marchiami; Wielkie Księstwo Poznańskie integralną częścią Rzeszy Niemieckiej. Wykonanie tych uchwał było trudniejsze, niż ich powzięcie. Austrya w ciężkich obrotach i kłopotach; Prusy, same nie dość śmiałe i przedsiębiorcze, a oglądające się zawsze niespokojnie na to, co powie i co zrobi Rosya.

Ale popęd do zjednoczenia w wielkiej ojczyźnie, do restauracyi cesarstwa był tak silny, że wreszcie frankfurcki parlament ofiarował koronę królowi pruskiemu i wysłał uroczystą deputacyę do Berlina. Król dał odpowiedź zrazu wymijającą, w końcu odmowną. Gdyby *Bundestag* był się więcej pośpieszył, może król byłby się okazał śmielszym. Ale w r. 1849, kiedy Austrya już pobiła Włochów pod Novarą, a wojska rosyjskie miały się wyprawiać na Węgry, położenie Austryi było już silniejsze, i nie można było na nią nie zważać. Jeden z liberałów frankfurckich użalał się gorzko na króla pruskiego, że „odprawił jak służącą Rzeszę, która jechała do Berlina jak oblubienica do oblubieńca“. Porównanie nie trafne: „Król pruski miał dla tej korony takie uczucie, jak dla dziecka, płodu ukrytych miłostek, do którego przyznać się na razie jakoś nie można, ale które czułość ojcowska będzie legitymować przy pierwszej zdarzonej sposobności“.

Austrya, zaspokojona o siebie samą, odpłaca teraz Prusom ich pretensye do pierwszej roli w Niemczech. Sposobność daje jej sprawa Elektora Hesskiego. Ten Elektor zażądał od swoich Izb *votum* zaufania i nieograniczonego kredytu, a gdy odmówiły, ogłosił stan oblężenia w całym kraju. Cały kraj protestował, nawet wojsko. Elektor uciekł się pod protekcyę Austryi; naród hesski apellował do Unii ściślejszej, zawiązanej przez Prusy w r. 1849 i mającej swój parlament czy siedzibę w Erfurcie. Prusy po stronie Hessów, Austrya po stronie Elektora: zdaje się, że przyjdzie do wojny. Król żąda kredytu na zbrojenia, wojska z obu stron posuwają się ku granicom; nagle i niespodziewanie Prusy udają się w pokorę i podpisują w Ołomuńcu (1850 r.) zobowiązanie restauracyi Elektora Hesskiego i zaprzestania wszelkich agitacyj w Holsztynie.

Upokorzenie, rozpacz! Niemcy tracą oparcie i ufność w Prusiech, Austrya tryumfuje i występuje z projektem reorganizacyi Rzeszy, mocą którego Austrya włączyłaby do niej wszystkie swoje posiadłości nie-niemieckie, czyli miałaby tyle głosów w *Bundzie*, taką przewagę, że stałaby się absolutną panią Niemiec. Na to nie mogły się zgodzić inne mocarstwa. Francya, Anglia, Rosya, oświadczyły, że skład i konstytucya Rzeszy ustanowione są traktatami z r. 1815 i że nie mogą być zmienione bez zgody wszystkich państw podpisanych na tym traktacie. Prusy tak się przelękły włączenia krajów austryackich do Rzeszy, że czemprędzej wyłączyły z niej W. Ks. Poznańskie, żeby odjąć niebezpieczny precedens.

Stary frankfurcki *Bundestag*, przedmiot wstrętu i pogardy całych Niemiec wolnomyślnych i patryotycznie ambitnych, przywrócony w całym blasku swojej niedołężności.

Zawód i upokorzenie wywołują żal i niechęć do Prus, które mogły nadać inny kierunek sprawom niemieckim, a nie śmiały, czy nie umiały, czy nie chciały. Usposobienie staje się coraz bardziej gorzkiem, bo Prusy coraz dalej posuwają się na swojej drodze legitymistyczno-reakcyjnej, a sobie i Niemcom sprowadzają coraz nowe upokorzenia. Wojna

Krymska dawała im wyborną sposobność do świetnej politycznej roli: stając po stronie państw zachodnich, Prusy mogły nawet wiele zyskać. One się chwiały, dyplomatyzowały, w gruncie trzymały z Rosyą, i tyle na tem zarobiły, że na kongres paryski zaproszone były ledwo w ostatniej chwili, a na nim nie miały żadnego wpływu, nie znaczyły nic.

Jak inaczej, jak mądrzej, korzystał z tej sposobności i jak inaczej wyszedł na niej mały Piemont! Ale Piemont jak ujął w rękę sztandar włoskich narodowych dążeń, to go nie wypuścił; a skupiał w sobie i wyobrażał dla Włochów nietylko sprawę narodową, ale i sprawę konstytucyjnej wolności.

Choroba umysłowa króla Fryderyka Wilhelma IV, regencya jego brata, powitane były w Niemczech jako szczęśliwy wypadek. Książę Rejent, późniejszy król, a w końcu cesarz Wilhelm I, nie był popularnym, uchodził za skrajnie monarchicznego i absolutnego, po rewolucyi roku 1848 kilka lat ostrożnie przebył w Anglii. Mimo to teraz powitany był dobrze, prawie z zapałem, bo instynktem zgadywano w nim wyznawcę i patrona wielko-niemieckich dążności. Ten nie opuści sprawy Holsztynu, ten podniesie na nowo sprawę Hessyi elektorskiej!

Wojna włoska postawiła Niemcy w kollizyi dwóch uczuć. Dążenie do zjednoczenia narodowego podobało się, bo mogło być przykładem i precedensem; a z drugiej strony panowanie Austryi we Włoszech, to panowanie niemieckie. Stąd sprzeczne objawy w opinii i w postępkach.

Ten historyczny obraz roztacza się wyrazisty, pełen życia; związek przyczyn ze skutkami, różnice usposobień i dążeń występują jasno, przejrzyście. Opowiadanie zajmuje i przykuwa uwagę tyle, ile każe się podziwiać znajomość rzeczy i rozum polityczny. Obraz obejmuje także umysłowe, naukowe życie i postępy Niemiec, krótko, treściwie, w głównych rysach. Słowem świetny obraz; ale czy skończony? Zdaje nam się, że nie. Autor doprowadził opowiadanie do chwili, kiedy ma się rozwinąć i wybuchnąć spór między królem i rządem a Sejmem, kiedy na przód sceny wysuwa się

po raz pierwszy potężna złowroga postać Bismarcka — kiedy on się nie zawaha rządzić bez budżetu i bez parlamentu. To zakończenie „agitacyi niemieckiej“, to właśnie część najciekawsza i najważniejsza całej sprawy, a tego niema. Klaczko miał sposobność pokazać, jak Bismarck, podług jego własnych słów, „przestępuje ustawy pruskie, żeby wstąpić w prawo niemieckie“ i bierze dyktaturę z myślą wielkiej inicyatywy „zjednoczenia Niemiec“ przez wolę rządu, z góry — ten prawdziwy przedmiot sporu między narodowem i liberalnem dążeniem niemieckiem a dążeniem Prus do opanowania Rzeszy, robi ważny krok ku rozstrzygnięciu. A pisarz i polityk taki jak Klaczko, nie korzysta z tej sposobności, nie opowie co się tam dotąd stało i co się dalej stać może.

Dlaczego?

Bez dowodu i pewności, ale sądzimy i wierzymy, że Klaczko myślał i chciał pisać dalej, że swojej pracy nie skończył, tylko ją urwał. Z jakiego powodu? Ostatnia część jego artykułu wyszła 15 stycznia 1863 r. W dziewięć dni później wybuchło powstanie w Polsce. Cała myśl, cała dusza Klaczki, zwróciła się w tamtą stronę. On nie mógł już, nie był zdolny myśleć i pisać o czem innem, oderwać się od tego jednego przedmiotu, od tego jednego pytania: co teraz? co dalej? co z tego będzie? Dlatego nie skończył pracy o *Agitacyi niemieckiej*. Stwierdza to nawet wyraźnie jeden list Buloza, przechowany między papierami Klaczki. List jest z 22 lutego i mówi co następuje: „Czy są jakie wiadomości lepsze z Polski? czy rząd francuski myśli na prawdę wdać się w tę sprawę, poważnej a ohydnej interwencyi pruskiej? W takim razie byłby dobry powód do dalszego ciągu pracy — jeżeli Pan możesz ją podjąć w tych okolicznościach — o Prusach i o tym królu Wilhelmie, który zdaje się coraz bardziej zmierzać do swojej zguby“.

Nie on zmierzał do swojej zguby!

Im bliżej było do końca roku 1862, im bardziej mnożyły się demonstracye, zwłaszcza odkąd zaszły zamachy skrytobójcze, zmieniało się wyobrażenie i sąd o krajowych wypad-

kach. Piękne złudzenia z początków roku 1861 znikały, następowało przekonanie, że wypadkami kieruje spisek, i obawa tego kierunku. Po zamachach na Wielopolskiego i na W. Księcia, Biuro uznało potrzebę jawnego potępienia zamachów. Protest ten napisał Klaczko. Chodziło teraz o to, żeby był podpisany przez głowy wszystkich stronnictw emigracyjnych. Seweryn Gałęzowski był gotów, przyrzekł swój podpis; ale pod wpływem swego otoczenia obietnicę cofnął. Akt, podpisany przez jednę tylko część Emigracyi, miał oczywiście znaczenie daleko mniejsze; dlatego nie był ogłoszonym. Jednak, choć rok dochodził do końca, choć do wybuchu było już tak blisko, nikt w tym gronie ludzi nie przypuszczał, iżby do niego przyjść miało. Stronnictwo rewolucyjne, spiskujące, może mieć złą politykę, ale miłość ojczyzny przecież ma, Polski na oczywistą niechybną klęskę wystawić nie zechce! Tak myśleli do końca ludzie, połączeni w paryskiem Biurze.

W ciągu tych dwóch lat odegrali oni rolę ważną. Byli rozumni i zdolni, chcieli dobrze — a co robili było szkodliwem. Czem wytłómaczyć błąd, trudny do pogodzenia z tą summą rozumu, jaka w nich była, i z tym najczystszym, najszlachetniejszym patryotyzmem? Klaczko zajmował między tymi ludźmi miejsce wielkie, jedno z naczelnych; odpowiedzialność więc spada i na niego w znacznej części, do niego także odnoszą się wymówki, i powody które błąd tłómaczą. W jego żywocie więc, w pracy jemu poświęconej, przypomnienie ich będzie na miejscu, powinno być. Opowiadanie zaś, przedstawienie i błędów i okoliczności łagodzących, najwierniejsze, najdokładniejsze i najsłuszniejsze, znajduje się w Stanisława Koźmiana *Rzeczy o roku 1863.* Stamtąd je pożyczamy:

„W pierwszym rzędzie powinien był *Hotel Lambert* zmierzyć i rozpoznać istotne położenie, tem snadniej, iż lepiej od innych wiedział, że wówczas na układach między Francyą i Rosyą ograniczała się sprawa polska, i że żadnego innego na razie wyjścia nie wskazywano, ani obiecywano. Lecz, że poufnym radom towarzyszyło nieodmiennie zapewnienie o stałości zamiarów cesarza, i przyrzeczenie, że sprawa

polska opuszczoną nie będzie, przemagała w sądzie *Hotelu Lambert* nieograniczona ufność w wszechmoc cesarza i ostatecznie rozumowanie: że choćby w Polsce rzeczy miały dojść do ostateczności, Napoleon III, wobec niej, nie cofnie się i pomimo dzisiejszych rad i zastrzeżeń, znajdzie środek rozwiązania i zamiary swoje spełni. Mówiono sobie: polityka cesarska jawnie nieraz potępiała ruch zmierzający do jedności włoskiej, przecież skrycie sprzyjała mu, dopomagała, i tylko odpowiedzialność ze siebie zrzucić pragnęła; to samo będzie z ruchem polskim. Rozumowanie błędne, bezpodstawne, które znowu wytłómaczyć się da jedynie ówczesną atmosferą, ówczesną wiarą w Napoleona III, niezrozumiałą dzisiaj, i tem nawyknieniem współczesnych domyślania się zamiarów i postanowień tego człowieka wedle własnych życzeń, gdy ich odgadnąć nie można było, lub gdy nie było nic do odgadnięcia".

„Wprawdzie wyżej skreślone zachowanie się, zwierzenia poufne cesarza, zwłaszcza jego doradców, których zbiornikiem był *Hotel Lambert,* mogły pozostawić wątpliwości, tem łatwiej powstające, że się ich chętnie uczepić pragnęło. Ani co do zaniechania demonstracyj, ani co do przyjęcia ostatecznego systemu Wielopolskiego, nie były one stanowczemi i wyraźnemi. *Hotel Lambert* o szczegółach przebiegu i wpływie rokowań między Francyą i Rosyą na ustępstwa czynione w Warszawie, mało wiedział, może wiedzieć nie chciał. Mógł Napoleon III upatrywać tę korzyść w ruchu polskim i w przebiegu wypadków, że stopniowo do coraz większych ustępstw skłaniały rząd rosyjski, w duchu i kierunku zawiązanych z nim układów, w myśli „zadowolnienia Polaków", zarazem środek trzymania Rosyi w zależności od polityki francuskiej, która posiadała słowo zagadki polskiej i możność zaklęcia jej tajemniczych dla Petersburga następstw. W sposobach i środkach, używanych w Warszawie, mógł sobie Napoleon III upodobać metodę i praktyki spiskowe, które zmysł jego w tej mierze wykształcony i doświadczony odgadywał, a nie dostrzedz lub zapoznać niebezpieczeństwa głównego, które stąd dla kraju i wspólnej sprawy

wynikało. *Hotel Lambert* i *Biali* nie powinni byli popaść w ten gruby błąd“.

„Około systemu, uosobionego namiestnictwem W. Księcia reformami Wielopolskiego, każdy rozsądny człowiek, nietylko mógł, ale miał obowiązek skupienia się i dania mu całego swojego poparcia. W najtrudniejszych położeniach są chwile, które, gdy się je umie pochwycić, można na największe niebezpieczeństwo narażoną sprawę jeszcze zbawić. Taką chwilą dla wszystkich rozsądnych ludzi i *Białych*, było przybycie W. Ks. Konstantego. Tu trzeba było zmierzyć rozumem i sumieniem położenie, tu zrozumieć, że choćby istotnie ruch i demonstracye sprowadzać miały ustępstwa, osiągnięto ich możliwą miarę, dotarto do granic, że zużytkowane demonstracye i ruch, zawsze niebezpieczne, już tylko zgubnemi stać się mogą przez ich nadużycie; tu wreszcie trzeba było i można było odepchnąć marzenia, ogólnikowe nadzieje, a chwycić się rzeczywistości. W. Książę bowiem na czele rządu polskiego, to była już rzeczywistość i przyszłość.“

„Dlaczego naród nie uchwycił i uchwycić nie umiał tej sposobności naprawienia błędu powstania listopadowego, strat i szkód, które, ono bytowi narodowemu wyrządziło? Oto dlatego, że wpojono w niego przekonanie, iż w 1831 r. był ofiarą, nie nauczono go, że był w 1830 r. winowajcą względem siebie samego. W dalszem następstwie błędnego wychowania, mylnych pojęć, pod wpływem wiadomych czynników, społeczeństwo, bez zdania sobie dokładnie z tego sprawy, odpychało niezaprzeczenie znaczną i doniosłą summę ustępstw i korzyści, którą przybycie W. Księcia do Warszawy przedstawiało, aby zaznaczyć, że czyni to z obawy i troski, iż przyjęcie będzie zrzeczeniem się niepodległości zupełnej, zaprzepaszczeniem odbudowania Polski, i zmarnowaniem sposobnej po temu chwili rządów Napoleona III we Francyi, jego w Europie przewagi. Nietylko dla cienia wypuszczano z ust kawał mięsa, ale nie zdołano zmierzyć tego, co istotnie ówczesne położenie zdolnem było przynieść i zapewnić narodowi — korzyści jedynych, jakie rządy Napoleona III mogły mu przysporzyć“.

„Tak już zresztą zapędzono daleko społeczeństwo, ruch i demonstracye, kierowane spiskiem, tak górowały nad wszystkiem, dążenie do rozwiązania skrajnego, choć nieokreślonego, polegającego coraz bardziej na — wszystkiem lub niczem, słowem do odbudowania Polski niepodległej, było tak naglącem i o tyle gwałtownem, o ile bezmyślnem, że już wtedy, aby stanąć otwarcie, jawnie przy W. Księciu i systemie Wielopolskiego, trzeba było odwagi cywilnej, której brak narażał zawsze w Polsce na spaczenie lub utratę najlepszych widoków, najistotniejszych warunków zapewnienia bytu narodowego".

„Zamiast niezbędnej w rzeczy publicznej odwagi cywilnej, coraz wyraźniej, coraz silniej występowała małoduszność, i to tak w Polsce rozpowszechnione mniemanie, czy wymówka, iż nie należy w dążeniach narodowych od ogółu się oddzielać, bez względu na ich zgubność i bezrozum".

„Że skupienie się poważnej części społeczeństwa około W. Ks. Konstantego mogło zażegnać niebezpieczeństwo wynikające ze spisku, położyć koniec jego władzy i działaniu, najlepiej świadczy, iż spisek to natychmiast zrozumiał i wszystko na jedną postawić kartę uważał za konieczne. Tą jedną kartą był strzał, który wymierzył do W. Księcia. Strzał ten bowiem, albo musiał wywołać zwrot stanowczy w społeczeństwie, albo doprowadzić do celu ostatecznego spisku, do zerwania zupełnego z istniejącym porządkiem rzeczy, do odepchnięcia systemu Wielopolskiego i do powstania zbrojnego. Strzał ten był jakby opatrznościową przestrogą, daną *Białym* i całej rozsądniejszej części społeczeństwa w spóźnionej godzinie. Kto w nim nie usłyszał wszystkich późniejszych strzałów powstania, ten albo był głuchym, albo umyślnie uszy sobie zatykał. Była to ostatnia, ale nad wszelki wyraz sposobna chwila do zerwania ze spiskiem, do przejrzenia jego bezmyślnych celów, do potępienia szalonych, otrzeźwienia rozsądnych. Trzeba to było uczynić, nietylko uroczyście, ale stanowczo".

„*Biali* nie zrozumieli, że po strzale do W. Księcia nie było już wyboru, jak tylko między Wielopolskim a katastrofą.

Nie szaleni i *Czerwoni*, których sąd w tej mierze był ograniczonym i zupełnie zamąconym, najwięcej tu politycznie zawinili, ale rozsądni i *Biali*, którzy mogli zmierzyć skutki; nie ci, co strzał dali, ci, którzy zamknęli na jego następstwa oczy, którzy nie odczuli, lub uznać nie mieli odwagi, że on rozstrzygającą zaznaczył w wypadkach chwilę".

„Wszechstronnie zmarnowaną została ta chwila, zużytkować ją mieli jedynie *Czerwoni*".

„Nie szło tu tylko o potępienie ze stanowiska moralnego i dobrej sławy społeczeństwa, zuchwałego zarówno jak ohydnego czynu, przedewszystkiem szło o wyjście zbawienne i korzystne, z coraz groźniejszego, coraz bardziej opłakanego położenia. Do tego zadania nikt nie wzniósł się. Brnęli wszyscy dalej, coraz głębiej, w bagnie ogólnikowych nadziei, i dlatego strzał do W. Księcia poczytano za pożałowania godny szczegół, nie użyto go do zwrotu".

„Tak zatem wszystko służyło coraz wyraźniej tylko do zapewnienia tryumfu *Czerwonych*, który miał się stać pogromem kraju. Rosło zaślepienie rozsądnych i sumiennych, im bardziej wszyscy do katastrofy zmierzali, im bardziej zbliżała się jej chwila. Nie przypuszczano nieuniknionego przecież na obranej drodze zbrojnego powstania. Wstrętną była każdemu myśl samobójczego zamachu. Nie widziano otchłani, chociaż wykopywano ją w oczach wszystkich".

Oto jest tłómaczenie psychologiczne błędów politycznych, popełnionych przed wybuchem 23 stycznia 1863 r. Kiedy ten nastąpił, było w Paryżu zrazu smutne osłupienie, szukanie wiadomości i objaśnień z kraju, pytano co robić: oświadczyć się za powstaniem lub przeciw — rozpoznanie opinij i zamiarów francuskiego rządu, wreszcie postanowienie i wysłana do kraju wskazówka, żeby nie popierać. Dobrze skończyć się nie może: więc lepiej, żeby się skończyło prędko.

Zmianę w tem postanowieniu sprowadziła konwencya prusko-rosyjska z 8 lutego. Ona spowodowała Napoleona III do wmięszania się w sprawę, od której chciał trzymać się na boku. Z niej wynikły wszystkie dalsze następstwa, in-

terwencya dyplomatyczna, noty trzech mocarstw, i polskie złudzenie, że ta interwencya w żadnym razie zupełnie bezskuteczną być nie może. Za zmianą stanowiska Francyi, poszła zmiana postanowienia w paryskiem Biurze, wskazówka „nie popierać“ cofnięta, przesłano do kraju hasło „trwać“.

Że zbłądzili to zbyt wiadome i pewne. Ale czy ktokolwiek inny na ich miejscu nie byłby tak samo zbłądził, tak samo uwierzył? Wszak to hr. Walewski, minister, powiernik cesarza, powiedział: „*Les frontières de la Pologne future s'étendront jusqu'où s'étendra l'insurrection*“. Jan Działyński poszedł do powstania, z oddziałem Taczanowskiego; jego żona wkrótce potem widziała Cesarza. Usłyszała od niego te słowa: „*Votre mari est allé rejoindre l'insurrection: il a bien fait*“.

Że takie słowa ministra, i Cesarza, mogły działać na Hotel Lambert i na Biuro, to się nie da zaprzeczyć, jak się też nie da zaprzeczyć, że ich wprowadzały w błąd.

Dalszy przebieg sprawy, stosunek mocarstw do niej i między sobą, mianowicie Francyi, Anglii i Austryi, powody ich postępowania, ich mniejsza lub większa dobra wiara, należy do historyi; tu wystarczy zapisać, że wdanie się trzech mocarstw w sprawę polską zmusiło Polaków powstaniu przeciwnych do uczestnictwa w powstaniu i do wytrwania przy niem aż do końca r. 1863 i początków 1864 r. Tu obchodzi nas tylko Klaczko. Jak on rozumiał położenie, jak się zachował? Odpowiedź krótka: tak, jak inni. Odpowiedzialność podziela z nimi, nie dźwiga jej więcej niż inni. W papierach paryskiego Biura mogą się znajdować szczegóły jego zdania i zachowania się, ale na ogół było ono takie jak wszystkich. W skutek interwencyi, w jakiś koniec dobry, choćby niezupełnie, ale lepszy od tego co było, wierzył, a przez pierwsze miesiące wiara ta była silna i gorąca. Kiedy Paweł Popiel przyjechał w marcu do Paryża, żeby tamtejszy stan rzeczy rozpoznać, a dać poznać tutejszy, Klaczko gniewał się na niego, że oblewa zimną wodą, kiedy rozpoczęta akcya budzi takie nadzieje i powinna pobudzać do zapału i poświęceń.

Odpowiedź rosyjską, dwuznaczne postępowanie Anglii i Austryi, stopniowy ubytek lepszych widoków, a niemożność cofnięcia się, odrobienia tego co się stało, fatalizm błędu, który jak fatalizm zbrodni pociąga jedno złe za drugiem i wydobyć się zeń nie daje, Klaczko widział i czuł, jak czuliśmy wszyscy — więcej jak wszyscy, bo i patrzał bystrzej i czuł żywiej.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS TREŚCI.